

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 7/262-8/263

1969



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

W. GOMBROWICZ : **FRAGMENT Z DZIENNIKA**

J. GIDYŃSKI : **CUDZOZIEMCY ZA GRANICĄ A
NOWY KODEKS KARNY**

M. SAWULAK : **ANNA KOWALSKA**

W. WEINTRAUB : **STANISŁAW PIGOŃ**

SPIS RZECZY

Witold Gombrowicz:	<i>Fragment z dziennika</i>	3
Ryszard Krygier:	<i>Z notatnika spiesznego turysty (dok.)</i>	11
Zygmunt Haupt:	<i>Perekotypołe</i>	19
Aleksander Pfau:	<i>Zegarek</i>	27
W I E R S Z E		
Andrzej Busza:	<i>Sztuka — Pejzaż zimowy — Noc</i>	60
Henryk Grynberg:	<i>Fragmenty poematu pt. „Wysokie Milczenie”</i>	62
Stanisław Wygodzki:	<i>Z cyklu „Drzewo ciemności”</i>	66
OBSERWATORIUM		
—	<i>Król Ube i Polacy</i>	69
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Juliusz Mieroszewski:	<i>Sojusz</i>	71
Paweł Zdziechowski:	<i>Kapitałści i dziennikarze</i>	73
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	82
S A Ś I E D Z I		
E. Żagiell:	<i>Litwa współczesna</i>	89
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	96
—	<i>Z Czechosłowacji</i>	101
K R A J		
Józef Gidyński:	<i>Cudzoziemcy za granicą a nowy kodeks karny</i>	117
—	<i>Czarna lista</i>	117
O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA		
Seweryn Kubalski:	<i>Katolicy świeccy kontestują</i>	118
STRATY KULTURY POLSKIEJ		
Mikołaj Sawulak:	<i>Anna Kowalska (1903-1969)</i>	125
Wiktor Weintraub:	<i>Stanisław Pigoń (1885-1968)</i>	129
—	<i>Śmierć Marka Hłaski</i>	159
KRONIKA KULTURALNA		
Adam Sutkowski:	<i>Muzyka w Europie Wschodniej</i>	161
Andrzej Nakov:	<i>Kontrowersyjne koncepcje nowoczesności</i>	172
—	<i>Komunikaty:</i>	181
NAJNOWSZA HISTORIA POLSKA W WERSJI SOWIECKIEJ		
Aleksander Smolan:	<i>Chryzantemy</i>	183
K S I A Ź K I		
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Wolny niewolnik</i>	199
M. Broński:	<i>Ku beta-rewolucji</i>	205
Maria Czapka:	<i>Przyczynek do kalendarium mickiewiczowskiego</i>	208
Maria Danilewicz:	<i>Krajowe nowości wydawnicze</i>	210
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	214
◆		
Zofia Hertz:	<i>Humor Krajowy</i>	218
◆		
J. Korson:	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	220
◆		
W. Babiński, J. P. Dąbrowski, E. Etler, B. Lewickij, A. Kruczek, Z. Nowicki, M. K. Pawlikowski, T. Saryusz- Bielski, o. E. Szymeczko, OMI, J. B. Znamierowski Zb. Brzeziński, Redakcja:	<i>Listy do Redakcji</i>	231

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Lipiec-Sierpień-Juillet-Août 1969

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

T. Czochańska, Nowa Zelandia	F. 27,38
Fundusz Biblioteczny Domu Polskiego w Adelajdzie, SA. (Australia)	F.109,50
S. Gołowicz, Adelajda (Australia)	F.109,50
Aleksander Grzonka, Gossau (Szwajcaria), po raz piętnasty	F. 28,00
Dr Franciszek Kałuża, Pretoria (Afr. Połudn.), po raz drugi	F. 18,50
Koło Polek w Nowej Zelandii	F. 54,80
Paweł Łysek, Flushing, N. Y. (USA)	F. 49,00
Mec. Edward Marzec, Toronto, Ont. (Kanada)	F.115,00
S. Miłoszewska, Chicago, Ill., (USA)	F. 4,90
Eugenia Ojrzynska, Toronto, Ont. (Kanada)	F. 4,50
Józef Osiński, Brooklyn, N.Y. (USA)	F. 14,50
François Prause, Monrovia (Liberia), po raz drugi	F.100,00
Nina Sereda, Montreal, Que. (Kanada), po raz dwudziesty siódmy	F. 32,00
Mec. Jan F. Stróż, Toronto, Ont. Canada	F.115,00
Tadeusz Świętochowski, New York	F. 39,00
Z Trenton, N.J. (USA)	F.137,00
Towarzystwo Przyjaciół Paryskiej „Kultury” w Toronto — wpłatę otrzymaną anonimowo	F.450,00
P. Urbanowski, Double Bay, NSW (Australia)	F. 27,38
M. Wisdom, Matraville, NSW (Australia)	F. 27,38
Janusz Wołkowski, Chicago, Ill. (USA), po raz drugi	F. 98,00
Anonimowo z Cleveland, Ohio (USA)	F. 24,50
Anonimowo z Sherman Oaks, Cal. (USA)	F. 24,50
Bezimiennie, Chicago, Ill. (USA), po raz trzeci	F. 73,50
Bezimiennie Westmount, Que (Kanada), po raz ósmy	F. 36,00

DZIĘKUJEMY!

SPROSTOWANIE

Czerwcowy zeszyt *Kultury* ma na okładce Nr 5/261. Naturalnie jest to Nr 6/261. Prosimy Czytelników o poprawienie tej pomyłki.

Bieżący Zeszyt *Kultury* jest podwójny (lipiec-sierpień 1969). Następny zeszyt ukaże się na początku września rb.).

Fragment z dziennika

Piątek

Zadziwiające i zawstydzające. Co? Dziennik Lechonia, t. I, który przejrzałem jeszcze raz dokładniej. Jak powstał ten splot stanowiący niekłamana oryginalność tego dziennika, ta mieszanina artyzmu, wielkiej wrażliwości, przenikliwości z... nieuctwem, z ignorancją, z ciasnotą, z zaślepieniem. Język świetny na ogół i w tym języku wyrażone są sądy subtelne o literaturze, sztuce i częstokroć o ludziach, ale w tymże języku Lechoń wypowiada także całe swoje okropne ograniczenie, nieznosnie polskie. Pod względem intelektualnym dziennik jest jak garnitur z roku 1939, który wyjmujemy z szafy, zalatujący naftaliną. Lechoń nie miał żadnego dojścia do współczesnego człowieka i współczesnego świata, w kulturze się gubił, pojęcia nie miał o myśli dzisiejszej współczesnej, o czymkolwiek co by mu pozwoliło świat teraźniejszy ująć i uporządkować. Chaos. Ciemność. Odmęty i mgły. Pasje i zadrażnienia wręcz naskórkowe. Lata spędzone w Paryżu spływały po nim jak deszcz po dachu. A gdy Historia wyrzuciła go na dobre z Polski utopił się w szerokim świecie akurat tak samo, jak pierwszy lepszy dziedzic wygnany z folwarku.

Tragizm notatek dotyczących zmagania Lechonia z powieścią „Bal u senatora” jest komiczny. Nic poza naiwnymi „zagadnieniami” w rodzaju, czy Skarga ma się ukazać przed czy po dialogu z Eleonorą.

Ta zatęchła piwnica, jakim sposobem usadowiła się w naszym duchu? Czyżby ślepotą na świat, naiwność, ignorancja były następstwem utraty niepodległości? Ależ Polska za Sasów była bezkonkurencyjnie najgłępszym krajem Europy, a i za Jagiellonów Polak kroczył w ogonie narodów cywilizowanych; gdy Francja miała Rabelais'ego i Montaigne'a, my — Reya i Kochanowskiego. Więc co? Jaki powód? Brak większych miast, polska „wiejskość”? Niepodzielny prymat duchowy księdza proboszcza? Tak, ale to może nie jest najważniejsze, ważniejszy jest może *kształt* owo

zgrubienie kształtu Europy, która rzeźbiona misternie, niczym Grecja, przetacza się po polskich równinach w toporne bezmiary Rosji, Azji. Być krajem przejściowym nie jest łatwo!

Ponieważ na partykularzu zwykła szerzyć się mania pompacyjnych tytułów, więc Lechoń stał się „*Altissimo* Poeta” a Józef Mackiewicz „Hetmanem”. Ale jeśli *Altissimo* był jednak rasowym artystą, to Hetman nadawałby się raczej na rotmistrza kawalerii, chciałem powiedzieć „lekkiej”, ale powiem „ciężkiej”. Hetman żyje jedną ideą — walki z komunizmem — i nic innego go nie obchodzi, a zwłaszcza nie obchodzi go, że te pięćdziesiąt lat krwawego przewrotu to odpowiedź na tysiącletnie duszenie chłopca i robotnika przez szlachciurę, który rozsiadł się okrakiem na chamie i żarł. Walka z komunizmem, a też rewizja snobizmów, dziwactw, przerostów dzisiejszego intelektualizmu wydają mi się bardzo wskazane, sam je uprawiam. Ale nie wystarczy do tego brawura i nic więcej, jak w roku 1939, kiedy to ułani szarżowali na tanki ku osłupieniu całego świata. Pozwolę sobie też wyrazić przypuszczenie, że gdyby górne sfery literackie i intelektualne Europy nie okazały się wobec szarży Hetmana równie opancerzone, jak owe tanki, osądy jego wypadłyby mniej surowo. Trudno i darmo — jeśli nazwiska Schulza, Witkiewicza, Miłosza, czy Mrożka, przeniknęły do owych środowisk, które nie są chyba tak niemądre, to o Hetmanie jakoś głucho. Hetman twierdzi że moja *Ferdydurke* jest „nadmuchana” (?) ale fakt faktem, że *Ferdydurke* choć trzydzieści lat temu napisana, zdobyła już sobie z młodzieńczą werwą prawie wszystkie kraje Zachodu; a Hetmana jeśli i przetłumaczą od czasu do czasu na jakiś język, to nie dlatego, że dobry a dlatego, że łatwy. To prawda, że trudno wyznaczać hierarchie gdy chodzi o utwory artystyczne, ale jeśli będąc literatem, mieszkając o 20 kilometrów od lotniska Nicei, mając do czynienia nieustannie z pisarzami, krytykami, dziennikarzami wszystkich nacji, nie spotkałem się ani razu z nazwiskiem „Mackiewicz”, mam prawo powiedzieć, że jego książki nie wywołują zainteresowania w czytelniku biorącym bardziej na serio literaturę. Mimo to Hetman traktuje mnie okropnie z góry i beszta od snobów, pozerów, mętniaków — wiecznie ta sama beznadziejna kolekcja wyzwisk, równie głupich co obrażających, którą mnie raczy od niepamiętnych czasów impotencja mózgowa pewnego odłamu emigracji. W wieku lat ośmiu stosowałem w walce z moim starszym bratem, który mnie łął, taktikę „a kuku”. Wyłaziłem zza krzaka i krzyczałem „wariat”, a gdy startował w moim kierunku wyłaziłem zza innego krzaka i krzyczałem „bydlak”. Czy nie są to metody zbyt dziecinne, panowie, zważywszy iż wszyscy mamy już koło sześćdziesiątki? Bardzo mi to na rękę zresztą, że Hetman zaczepia mnie w sposób tak grubiański, bo to mnie zwalnia z obowiązku pewnej dyskrekcji do której poczuwałem się zawsze w stosunku do pisarzy emigracyjnych. Ale już czas pohamować nieco naszego, coraz bardziej szalejącego, Savonarolę. Uwaga mości Panowie! Pod przewodem takiego Hetmana zawędrujecie wprost do Ciemnogrodu.

P.S. W artykule swoim w *Wiadomościach* o zbiorze felietonów Hemara, któremu nie szczędzi najwyższych pochwał („najinteligentniejsza książka jaka ukazała się na emigracji”) Hetman zastrzega się, że jego pochwały nie są bynajmniej w związku z przesadnym już chyba entuzjazmem, któremu dał wyraz Hemar w swoim o nim artykule. Otóż w ostatnim numerze *Wiadomości* czytamy list Hemara do redakcji: „Pogratulować znakomitego Mackiewicza... Cóż za świetna lekcja pisania esejów!”

Ale to nie o esej Mackiewicza o nim, Hemarze, tylko o następnym, poświęconym książce gen. Pragłowskiego, którą mianuje Hetman „wspaniałą” czy coś w tym rodzaju. Pogratulować! Nie upłynęło i trzech miesięcy a już mamy cztery arcydzieła. Życ nie umierać w tym klubie wzajemnej adoracji.

S o b o t a

Moja polemika z Baską Szubską w *Wiadomościach*, do której dołączyło się z piętnaście osób, wywołała zgorzienie paru moich przyjaciół, którzy mi piszą: któż to widział żeby poważny pisarz tak się pospolitował! Jeleński mówi, że oni wciąż tkwią w konwenansie i zupełnie nie rozumieją w czym rzecz. Ma rację. Zleźć z cokołu, przegnać dwór i gwardię przyboczną, rozebrać się do goła zawieszając na kołku gronostaje, i wyjść na ulicę żeby bić się z pierwszym lepszym — tak, to w moim stylu. W takiej bitwie na pięści ulatnia się cała sztuczna „wyższość” pisarza, oparta na konwenansie i ceremoniale, zanika dystans chroniący go od czytelników, natomiast z tym większym okrucieństwem daje się we znaki istotna wyższość i rzeczywista niższość, ten problem okropny, dręczący. Przecież już od dawna głoszę, że sąd niższego dotyka i boli, niczym „but za ciasny”, że nie jest prawdą jakoby to nas „pisarzy” nic nie obchodziło.

I lepiej, że ta bitwa na pięści i na goło zaczęła się od kobiety. Pisarz i kobieta, oto dwie istoty delikatne i chronione, więc doskonale żeśmy się pobili. Zapewne byłoby to o wiele ciekawsze gdybym wziął walkę bardziej na serio, ale i tak fakt że wezwałem publicznie Basię by uznała własną niższość a moją wyższość, ma swoje znaczenie. Ta polemika, pozwolę sobie skromnie zauważyć, jest jedyna w historii literatury. Chwała Baście i mnie!

Łatwo zrozumieć na czym polega trudność i groza zagadnienia. Basia, jak każdy, może widzieć świat tylko swoimi oczami i myśleć swoim rozumem. Nawet gdy powie „ten jest wyższy, lepszy ode mnie”, to ona, nie kto inny, tak osądziła. I nawet gdyby powiedziała, że wierzy w wyższość Einsteina bo tak ją poinformowali ludzie znający się na rzeczy, ona, nie kto inny, musi w ostatecznej instancji osądzić że ci specjaliści są godni zaufania. Otóż to, że każdy, chce czy nie chce musi być ośrodkiem swojego świata i najwyższym sędzią, kłóci się jaskrawo z obiektywizmem, który nam każe uznać cudze światy i cudze widzenie. Męczarnia

tych co rzucili się Baśce z pomocą a mnie na pohybel z tego właśnie się bierze; bo, obiektywnie biorąc, trudno przypuścić aby wszyscy co mnie chwałą byli kretynami; a znów nie można widzieć cudzymi oczami i z tej perspektywy wszyscy ci moi wychwalacze są kretynami i ja także. Sprzeczność. *Inde ira*.

Zapewne, gdybym wziął to bardziej na serio... Ale mimo wszystko to dla mnie było pouczające doświadczenie. Rzecz najważniejsza, że po tym starciu poczułem się z Basią o wiele lepiej, nieomal po przyjacielsku — czy i ona także? Jeśli tak, to by dowodziło że łatwiej znosić torturę wyższość-niższość gdy się ją obnaży, niż gdy jest opatulona delikatnościami, dyskrecjami, manierami, pruderiami i inną hipokryzją.

S r o d a

Najgłębsze rozdarcie człowieka, jego krwawiąca rana, to właśnie to: subiektywizm — obiektywizm. Podstawowe. Rozpaczliwe. Relacja subiekt — obiekt, czyli świadomość i przedmiot świadomości jest punktem wyjściowym myślenia filozoficznego. Wyobraźmy sobie, że świat się redukuje do jednego jedyne go przedmiotu. Gdyby nie było nikogo, kto by sobie istnienie tego przedmiotu uświadomił, on by nie istniał. Świadomość jest poza wszystkim, jest ostateczna, jestem świadomy moich myśli, ciała, wrażeń, doznań, dlatego to wszystko dla mnie istnieje.

Już w zaraniu myśl rozbija się u Platona i Arystotelesa — na myśl subiektywną i obiektywną. Arystoteles poprzez Tomasza z Akwinu dosięga rozmaitymi drogami naszych czasów, a Platon poprzez św. Augustyna, poprzez Descartes'a, poprzez oślepiający wybuch kantowskiej krytyki i z niej się wywodzącą linię idealizmu niemieckiego, poprzez Fichtego, Schellinga, Hegla poprzez husserlowską fenomenologię i egzystencjalizm, dochodzi do potężnego rozkwitu, większego niż za pierwszych dni. Myśl obiektywna natomiast urzeczywistnia się dzisiaj przede wszystkim w katolicyzmie i marksizmie; ale marksizm nie jest, jak sam Marks twierdził, filozofią, a katolicyzm jest metafizyką, opartą na wierze, jest dosyć paradoksalnie subiektywnym przeświadczeniem że świat obiektywny istnieje.

Chciecie odnaleźć subiektywizm i obiektywizm w sztukach plastycznych? Spójrzcie. Czyż renesans to nie obiektywizm, barok — subiektywizm? W muzyce Beethoven subiektywny, Bach obiektywny. I jakież głowy nie wypowiadały się za subiektywizmem! Artyści, myśliciele jak Montaigne lub Nietzsche... a jeślibyście chcieli zobaczyć jak dalece to rozdzielenie nasze jest wciąż krwawiące przeczytajcie dramatyczne strony w „Bycie i Nicości” Sartre'a poświęcone dziwnemu pytaniu: czy istnieją inni ludzie oprócz mnie samego?

Mówię „problem dziwny” bo istnienie innych ludzi jest przecież najbardziej naoczną, namacalną rzeczywistością — a dla Sartre'a egzystencjalisty, ale i marksisty, ale i moralisty, było

nieomal sprawą życia i śmierci uznać ową rzeczywistość. A jednak po gruntownej analizie tego problemu u Descartes'a, Kanta, Hegla, Husserla, zmuszony jest uznać, że istnienie drugiego człowieka jest nie do przyjęcia dla myślenia ścisłego, filozoficznego. A dlaczego? Gdyż jestem w ostatecznej swojej istocie, jak się rzekło, czystą świadomością, jestem podmiotem... A jeśli bym przyjął, że inny człowiek też jest świadomością, to staję się w tej samej chwili obiektem dla tej cudzej świadomości, a więc rzeczą. Nie mogą istnieć dwa subiekty w myśleniu ścisłym, jeden wyklucza drugi.

Ignorantom dla których filozofia jest kupą bredni, bo nic nie rozumieją, pozwolę sobie zwrócić uwagę, że nad analogiczną sprzecznością łamią sobie głowy np. fizycy (teoria falowa i korpuskularna światła, dwoiste ujęcie elektronu, *continuum* einsteinowskie i teoria Plancka). Wszędzie, wszędzie, najgłębsza myśl człowieka rozbija się o tę samą dwoistość interpretacji, wewnętrznie nie do pogodzenia. I dlatego człowiek jest dla siebie taką tajemnicą.

Ale dla polskich myślicieli ten bagatelny problemik to czyste zawracanie głowy, w sam raz dla egocentryków i snobów, oraz pięknoduchów.

I rzecz szczególna, ta sprzeczność zasadnicza ujawnia się także, gdy spróbujemy zastanowić się czym jest świadomość jako taka, czysta świadomość — gdyż o to właśnie idzie, że świadomość musi być zawsze świadomością czegoś, jest korelatywna, mogę uświadomić sobie kształt tego stołu, lub ruch tamtej krowy, ale świadomość w oderwaniu od obiektu nie może być pomyślana gdyż jest właśnie tym, jest uświadamianiem sobie czegoś. Więc tu prawo identyczności, że A równa się A, zawodzi — znów zasadnicza sprzeczność dla naszego myślenia, nie dająca się pokonać, i to nas doprowadza do formuły egzystencjalnej, która uwypukla to jakieś fundamentalne „wyminięcie” zachodzące w nas, tę nieuchwytność człowieczeństwa: „człowiek jest tym czym nie jest i nie jest tym czym jest”.

Tak wyglądając w ogólnych zarysach problemik subiektywizmu, który dla wielu łepetyn jest „egoistycznym zapatrzeniem się we własny pępek” i „mętniactwem”. Dla mętnych głów wszystko jest mętne. Ten bagatelny problemik, ta maleńka trudność, dominuje całą kulturę współczesną. Ale mętne głowy nie są nawet w stanie zrozumieć, że ich bój z marksizmem nie jest niczym innym, jak właśnie walką subiektywizmu z obiektywizmem. Albowiem, marksizm wyprowadza się z nauki, jest próbą naukowej, czyli obiektywnej organizacji społeczeństwa, jest przeto abstrakcyjną teorią, operującą oderwanymi pojęciami, ujmującą ludzi aby tak się wyrazić „z zewnątrz”. A ten kto broni swego świata wewnętrznego, swojej wolności, swego życia prywatnego, konkretnego, jest po stronie subiektywizmu.

Jeszcze jeden przykład aby lepiej uprzytomnić różnicę między obiektywizmem i subiektywizmem. Gdy operujecie człowieką chorego na zapalenie ślepej kiszki, jest on dla was przedmiotem,

operujecie go akurat tak samo jakbyście naprawiali samochód lub inną maszynę, to mechanizm, który źle działa. Ale od strony chorego, tego co „przeżywa” operację, sprawa przedstawia się inaczej, jest to coś odrębnego, jedyne, własne, to „jego” operacja.

Poniedziałek

„Książeczka o Dantem tego Polaka jest haniebna. Bezsensowne, idiotyczne, że ta potwarz ukazała się w druku. Podarłem i wyrzuciłem do diabła tę potworność kretyńską. Ungaretti”.

Ten telegram wysłał do Dominika de Roux Ungaretti po przeczytaniu mego francuskiego „Danta”. Dominik pisze mi, że attaché ambasady włoskiej w Paryżu zapowiedział swoją wizytę.

Czwartek

Atak i ślub. Dziś już trochę chodzę po mieszkaniu — po czterech miesiącach — i trochę zaczynam pisać. Wszystko odbyło się w przeszłości jak gdyby zaprzeszłej — siedemnastego listopada wczesnym rankiem — bóle rozdzierające w okolicy serca — nie mogę się ruszyć, jęczę. Ale człowiek jest sam dla siebie niekończącą się niespodzianką, i ja choć w strachu że umrę i ze świdrem co mi pierś rozrywał, żenowałem się budzić Ritę i wzywać lekarza o tak wczesnej godzinie; w końcu przyszedł i dał mi zastrzyk, ale gdy ból popofolgował, mnie i Ritę ogarnęła wesołość, wpadliśmy w doskonały humor, śmieliśmy się i mówiliśmy głupstwa medyk patrzył na nas jak na półgłówków.

W następnych dniach jeszcze kilka ataków — leżałem skazany na absolutny bezruch — oszołomiony pigułkami, gdym ruszył ręką lekarz krzyczał „niech pan się nie rusza!” — bezruch trwał 2 miesiące — teraz już lepiej, ale po czterech miesiącach jeszcze nie wolno mi wychodzić z domu — ale już odpowiadam na najpilniejsze listy, słucham muzyki. Zawał serca, tak to się nazywa...

Nie umarłem ale jednak coś we mnie zostało dotknięte śmiercią — tamto sprzed choroby jest jakby za murem. Powstała jakaś nowa trudność pomiędzy mną a przeszłością.

Niedziela

U Polaków przybywających z Polski daje się zauważyć dawny kontredans wewnętrzny. Mówią — komunizm nas dławi, hamuje rozwój, kraj jest w nędzy, nie ma wolności słowa... A zaraz po tym — A co?! Nasza literatura, odbudowa Warszawy, nasze rowery i motocykle, nasze znaczki pocztowe jedne z najpięk-

niejszych i nasz balet... Albośmy to jacy tacy, chłopcy krakowiacy!

Albo, albo. Albo literatura jest zdławiona albo jest „wielka”. Jakiż to wstyd nie pozwala nam przyznać się do siebie, ta mania trzymania fasonu! Nadrabiania miną.

Polak który potrafi *przyznać się*, natychmiast staje się Europejczykiem i wysokiej klasy. Polak, który ukrywa, usiłuje wykazać się przed zagranicą, który się wstydzi jakby dzisiejszy czy wczorajszy marazm był jego wyłączną winą, utożsamia się ze swoją nędzą. Kto zrzuci z siebie łachmany staje się suwerennie nagi; kto się wstydzi i chowa pod krzesło wystrzępione nogawki zasłaniając jednocześnie ręką dziury marynarki, jest nędzarzem. Ten nasz wieczysty wstyd! Ta słabość!

Pan Stanisław Kocik zamieszcza od czasu do czasu w pewnym dzienniku paryskim artykuły informacyjne o życiu literackim w Polsce. Niedawno wystąpił z artykułikiem w którym mnie nazywa „najbardziej polskim z 'wielkich' pisarzy polskich współczesnych”. Bardzo pięknie, ale czyż nie lepiej byłoby powiedzieć „wybitnych”? Któż uwierzy żeby w Polsce było współcześnie tylu „wielkich”, gdy nikt na Zachodzie o tym nic nie wie? Stanisław Ignacy Witkiewicz jest według pana Kocika „olbrzymi” (*im-mense*) i nic nie mam przeciw takiej jego opinii, ale czyż nie lepiej mieć trochę poczucia humoru i nie sadzić tak „olbrzymami” i „wielkością”? Jestem dumny że pan Kocik wykorzystał okazję by pisząc o mnie przemycić nieco „wielkości polskiej” ale skutek może być obosieczny gdyż, zdenerwowany taką ilością wielkości, gotów jestem napomknąć coś tu i ówdzie w prasie zagranicznej o mierności. Człowiek czuje się dziwnie. Całe życie walczyłem o to, żeby nie być „pisarzem polskim” ale sobą, Gombrowiczem, cały ten nałóg mówienia „nasz” uważam za śmieszny. „Wstrzymał słońce, ruszył ziemię, polskie wydało go plemię”, to już w stawającej się dziś Europie myszką trąci. Walczyłem żeby być sobą a oto naród w osobie p. Kocika znów mnie ucapił i zrobił ze mnie piórko w swoim ogonie pawim. Jest też irytujące, że pan Kocik nadmieniwszy, iż jestem w Polsce zakazany, nie omieszkał dodać że jednak figuruję w jakiejś tam encyklopedii, że jakiś tygodnik wydrukował jednak o mnie w ostatnim dziesięcioleciu esej pewnego Jugosłowianina i że jednak mój *Ślub* został wystawiony na prowincji (trzy dni to trwało, policja zabroniła). Coż to za szczytna bezstronność? Czy to jednak służyłoby do wykazania, że jednak nie jest tak źle, że jednak kultura w Polsce itd.? Boże święty! Czyż jeszcze trzeba tłumaczyć, że takie śmieszne łataniny zastosowane do sprawy ważnej, jaką jest cenzura może tylko wzbudzić politowanie w czytelniku francuskim? Lepiej byłoby, panie Kocik, żeby Pan nie wymachiwał Witkiewiczem jak sztandarem a był po prostu szczery. To i Polsce wyszłoby na korzyść.

Inny przykład, bardziej subtelny, ale ten już nie nadaje się do żartów. Po wkroczeniu armii sowieckiej do Czechosłowacji ukazały się w prasie emigracji protesty Polaków, niektóre bar-

dzo odważne, jak protest Andrzejewskiego. Nie podpisuję z zasady protestów będąc zdania, że literat nie jest żadnym przewodnikiem, ani nauczycielem, że jest osobą prywatną i bardziej może prywatną, niż inne osoby. A też, że takie protesty zanedbano się rozmnożyły aby mogły wyrzeć skutek. Niemniej podzielałam w zupełności ich uczucia i jestem dla nich pełen uznania. Ale pewien szczegół mnie zastanawia, prawie freudowski: ich dziecinne nieomal zgorszenie zdaje się zapominać, że Polska doświadczyła tego samego gwałtu. Przecież od lat już Polska jest krajem okupowanym — akurat jak dziś Czechy. Gdyby powiedzieli „dla mnie gwałt jest aktem codziennym, wiem co to jest, więc potępiam najazd rosyjski” — wszystko byłoby jasne. Ale zapomnieli... nawet ci co mieszkają zagranicą. Przejęci Czechosłowacją zapomnieli o własnym losie.

Witold GOMBROWICZ

„NA ANTENIE”

Miesięcznik Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, ukazujący się dotychczas łącznie z tygodnikiem „Wiadomości”, począwszy od numeru na maj 1969 ukazywać się będzie jako

SAMODZIELNE CZASOPISMO

Prenumerata roczna £ 2-2-0, \$ 5,00 lub F. 25,00. Cena pojedynczego egzemplarza 3/6, \$ 0,50, lub F. 2,50. Zamawiać należy w KSIĘGARNI SPK — PCA PUBLICATIONS LTD., 16/20 Queens Gate Terrace, LONDON S.W.7.

„NA ANTENIE” w swym numerze czerwcowym zawierać będzie: Komentarze, audycje, reportaże i felietony. Materiały dokumentarne i relacje świadków — przede wszystkim o sprawach krajowych —

m.in. „Dialog Kraj — Emigracja” — dyskusja na marginesie artykułów w paryskiej „Kulturze”.

„Na ANTENIE” ukazywać się będzie w ostatnim tygodniu każdego miesiąca poczynając od maja 1969.

Z notatnika spieszego turysty (dok.)

W I E T N A M

S a j g o n

Samolot zniża się powoli. Przelatujemy nad deltą rzeki Mekong, znanym siedliskiem terrorystów. Z powietrza nie widać ruchu, nie słysząc strzałów. Spokój zupełny: skąpana w słońcu i wysuszona ziemia poorana wijącymi się kanałami mętnej wody. Lądujemy na lotnisku w Sajgonie.

Jest to chyba w tej chwili jedno z najbardziej ruchliwych lotnisk świata. Setki samolotów transportowych i wojskowych startuje, ląduje lub czeka. Nauczeni smutnym doświadczeniem kilku zamachów Wietkongu, Amerykanie zapewnili względne bezpieczeństwo lotniska budując ścianki betonowe między samolotami. Tak więc gdy jeden zostanie zaatakowany, nie musi to pociągnąć za sobą serii pożarów.

Ruch uliczny bardzo żywy. Uderza różnaitość i wymyślność środków lokomocji. Rowery i motocykle różnej wielkości, lambrety 3-kołowe z ławeczkami, na których mieści się 8 osób (tylko chyba dlatego, że Wietnamczycy są drobni). Poza tym oczywiście są riksze rowerowe i motocyklowe, taksówki i autobusy, no i transport wojskowy, z którego korzystają cywile.

Sajgon projektowany był przez Francuzów. To się od razu rzuca w oczy; przede wszystkim piękna aleja centralna, prowadząca do Pałacu Prezydenckiego, imitująca Pola Elizejskie, dużo drzew, zasadzonych sto lat temu przez Francuzów. Na szerokich ulicach miasta było dawniej dużo kawiarni w stylu paryskim. Niestety, zostały zlikwidowane: zbyt łatwo było rzucić bombę lub zastrzelić kogoś...

Sajgon był na pewno pięknym miastem, gdy żyło w nim

300.000 mieszkańców. Obecnie mieszka trzy miliony. Normalny ruch budowlany niemal że ustał, chociaż nawet teraz widać trochę bardzo nowoczesnych kamienic w różnych stadiach konstrukcji.

Sajgon jest teraz wyraźnie miastem w stanie oblężenia, i to oblężenia od wewnątrz i od zewnątrz.

Zasieki z drutu kolczastego, worki z piaskiem, czołgi. W ogrodzie pałacu prezydenckiego helikopter, czołg, patroly wojskowe, worki z piaskiem i zasieki. Na noc zamyka się przelot ulicami w pobliżu pałacu. Szyby zalepione taśmą papierową na wypadek ataku raketowego. Te są szczególnie dokuczliwe, gdyż wystrzeliwane są zupełnie na ślepo.

Wietkong rzuca zapasy tych rakiet (sowieckich) w plastikowym opakowaniu na dno płytkich rzek lub strumyków. Na dany rozkaz dwóch żołnierzy Wietkongu wydobywa rakiety z wody ustawia na trójnogu i strzela. O celowaniu mowy nie ma. Na dwa dni przed moim przyjazdem trzy rakiety wybuchły przed moim hotelem.

Wietnamczycy twierdzą, iż bezpieczeństwo w Sajgonie jest stuprocentowe — i na pewno jest bardzo dobre — ale w ciągu 24 godzin od mojego przyjazdu terroryści zastrzelili majora wietnamskiego (i zbiegli), a mina zabiła kilka osób.

A obok tego — i mimo tego — płynie życie jako tako normalne. Politycy wietnamscy bawią się w różne rozgrywki personalne, ludzie chodzą do kawiarni, dansingi prosperują. Ludzie żyją, rodzą się (masami), umierają. Przede wszystkim — ludzie cierpią.

Wydaje mi się, że za mało uwagi zwraca się na tę tragiczną okoliczność, że wojna w Wietnamie zaczęła się w roku 1941 i nigdy właściwie nie ustała. Japończycy, Francuzi, Amerykanie, a nade wszystko „wujaszek” Ho Chi Minh wyprowadzili ten kraj z równowagi. Jest to kraj o starej kulturze (i o czarującej mieszance kulturalnej azjatycko-francuskiej z akcentem na tę ostatnią), ale gospodarczo jest to kraj prymitywny choć zasobny.

Nie znam jednak kraju na świecie, który po tylu latach zawieruchy nie zatraciłby się. A co dopiero kraj kolonialny — bez wykształconej administracji i z niesamowitym obciążeniem historycznym.

Nie mam kwalifikacji (i na pewno Redaktor poskąpiłby mi miejsca), żeby się rozpisać nad historycznymi źródłami dzisiejszej tragedii. Któż z nas zastanawiał się kiedyś nad historią Tonkinu, Annamu i Kochinchin — trzech oddzielnych państweczek, opanowanych przez Francję ponad 100 lat temu. Każde z nich było rządzone przez Francuzów inaczej i różnie (i nienawiści) dzielnicowe trudne są do opisanie.

Jeżeli do tego dodać francuską tradycję pieniactwa politycznego, różnice religijne między katolikami, buddystami i sektami oraz korupcję, która po tylu latach wojny jest nieunikniona — oto lekko naszkicowane tło sytuacji.

Na tym tle zarysowuje się wątpla postać „wujaszka” Ho, jednego z założycieli Kominternu. Używam określenia „wujaszek” zupełnie celowo, by przypomnieć innego „wujaszka” — „Uncle Joe” Stalina. Ho jest po Stalinie najbardziej krwiożerczym satrapą komunistycznym, jakiego znamy nasze dzieje.

Być może, że słowa te będą uznane za prymitywne przez umysły bardziej światłe i na pewno nie przekonam Wacława Zbyszewskiego, dla którego wojna w Wietnamie jest zupełnie zbędna. Ja jednak sądzę, że należy stale i uparcie podkreślać, iż brutalny i niehumanitarny terror komunistów jest lepszym kluczem do zrozumienia tej wojny, niż książki wielu mędrców amerykańskich i europejskich.

Na przykład: od stycznia do marca roku bieżącego ponad 1.300 młodych ludzi zostało zamordowanych za odmowę wstąpienia w szeregi Wietkongu. Ponad 2.000 zostało uprowadzonych bez śladu.

W czasie słynnej ofensywy Tet w roku 1968 ilość indywidualnych morderstw (według skrupulatnie przygotowanych list) przekroczyła cyfrę tysiąca w jednym tylko mieście — Hue. (Masowe groby są nadal odkrywane).

Ile osób zastanawiało się nad wymową tych faktów? W chwili, gdy to piszę, ukazała się w tutejszej prasie wzmianka, że w ciągu ubiegłego tygodnia wykonano 324 zamachy na osoby cywilne; w wyniku których zginęło 201 osób.

Jednym z najważniejszych argumentów, które wielu przekonały, że wojna tutaj to powstanie narodu wietnamskiego przeciwko skorumpowanym politykom i amerykańskim najeźdźcom, jest prosta dedukcja, że Wietkong nie mógłby się utrzymać tylu lat w terenie bez poparcia — lub przynajmniej przyjaznej neutralności — ludności miejscowej.

To jest oczywiście argument bardzo poważny. Opiera się on w znacznej mierze na doświadczeniach podziemia ostatniej wojny i na sprawdzonej wówczas zasadzie, że „ryby potrzebują wody, żeby w niej pływać”.

Ja osobiście zawsze podejrzewałem, że się tu coś nie zgadza, ale dopiero na parę dni przed wyjazdem przeczytałem znakomitą książkę, która mi wiele wyjaśniła. (Denis J. Duncanson, *Government and Revolution in Vietnam* (Oxford)).

Duncanson cytuje źródła komunistyczne, że w ciągu dziewięciu lat — od r. 1954 do zamordowania Prezydenta Diema — wymordowano na prowincji w sposób bardzo brutalny ponad 20.000

ludzi, to znaczy, że w każdej wsi zabijano przynajmniej 1 osobę rocznie. Morderstwa te tłumaczono jako karę za kolaborację (co było równoznaczne z uniewinnieniem w oczach wielu ludzi) z imperialistami amerykańskimi; Amerykanów było wówczas w Wietnamie Południowym paruset.

Jak można żądać od mieszkańców miasteczek czy wsi, by czynnie pomagali rządowi, który nie jest w stanie zapewnić im jakiegokolwiek ochrony, gdy każdy wójt, jego zastępca i nauczyciel ludowy mogli się spodziewać, iż którejs nocy poderzną im gardło? Wielu się tego doczekało.

Ale, jak już napisałem, Wietnam, to nie tylko wojna; to naród, żyjący na marginesie wojny.

Jednym z najważniejszych zajęć mieszkańców Sajgonu jest polityka. Polityką zajmują się wszyscy z wielkim zamiłowaniem. Rozmowa z grupą adwokatów, lekarzy i — co ciekawsze — aptekarzy, jest przyjemnością intelektualną. Ma się do czynienia z ludźmi kulturalnymi, światowymi. Ich opanowanie francuskiego jest znakomite. Nawet politycy wietnamscy o wykształceniu angielskim czy amerykańskim wolą mówić po francusku.

Z tego, co mogłem zauważyć, wszyscy politycy wietnamscy zgadzają się, iż istnieje, zbyt wiele partii. (W tej chwili jest ponad dwieście grup, które chce się zarejestrować jako partie; ale jest podobno czterdzieści „wielkich” partii). Nigdy nie mogłem zrozumieć, co te partie różni między sobą — poza personaliami.

Obecnie prowadzone są starania skomasowania tych partii do liczby 2-3 bloków (jeden ma się nawet nazywać Front Narodowy. Znamienne dla dzisiejszej atmosfery jest dążenie organizatorów tych bloków do pozyskania Prezydenta Nguyen Van Thieu na przywódcę. Dowodzi to jego wzrastającej popularności i braku jakichkolwiek różnic politycznych między blokami. Prezydent oświadczył ostatnio, iż gotów jest do pracy politycznej, by zmniejszyć ilość partii i doprowadzić do stworzenia lojalnej opozycji; nikt jednak wtedy jeszcze nie wiedział, który blok zaszczycony zostanie udziałem ze strony Prezydenta.

Ten komiczny przykład to tylko jeden z dowodów, iż pozycja Prezydenta Thieu i jego rządu wzmocniły się ostatnio znacznie. Po raz pierwszy od zamordowania Prezydenta Diema istnieje w Południowym Wietnamie rząd z prawdziwego zdarzenia. Mobilizacja przeprowadzona została skutecznie i Wietnam ma teraz w szeregach ponad milion żołnierzy, których Amerykanie zaopatrują w nowoczesny sprzęt (czego dotychczas nie robili).

Moim zdaniem sytuacja wewnętrzna poprawiła się tu znacznie. Jednym z rezultatów tego jest sprawa cenzury prasowej. Atakuje się na przykład parlamentarzystów za korupcję, szmugiel, a jeden oskarżony został o kradzież dwóch bardzo starych posągów.

gów z pagody w Środkowym Wietnamie, które sprzedane zostały do muzeum amerykańskiego. O istnieniu korupcji wiedzieliśmy wszyscy; teraz możemy także o tym czytać w miejscowej prasie...

Moje rozmowy z poważnymi Wietnamczykami i doświadczonymi obserwatorami amerykańskimi i australijskimi przekonały mnie, że gdyby doszło do uczciwych i wolnych wyborów — komunistyczny Front Wyzwolenia Narodowego zdobyłby może 15 % głosów.

Wietkong jest zmęczony i wyniszczony. Oddziały jego zasilane są w coraz większej mierze rekrutami z Północy, co oczywiście zmienia charakter gry. Amerykanie przy pomocy mózgu elektronicznego obliczyli wiek nieprzyjacielskich jeńców i zabitych i przekonali się, że jego przeciętna obniża się wyraźnie i stale.

Operacja „otwartych ramion”, zapraszająca przeciwników do przejścia na stronę rządu Południowego Wietnamu, ma ciekawe cyfry. Operacja ta CHIEU-HOI zaprasza wrogów, by się oddawali pod opiekę władz. Gdy to następuje, żołnierze Wietkongu (bardzo niewielu żołnierzy Północy przechodzi na drugą stronę — muszą myśleć o rodzinach) przechodzą dokładne badanie po czym poddani są dwumiesięcznemu „przekształceniu” ideologicznemu. Następnie są wolni — wracają do rodzin i mają roczne odroczenie z wojska.

Do końca marca 1969 roku z zaproszenia skorzystało 102.944 żołnierzy. (W roku 1967 ich liczba osiągnęła 27.178, by spaść w następnym roku do 18.171. Obecnie wzrost jest zdumiewający: 9.564 w ciągu pierwszych trzech miesięcy b. roku, a wiadomości z początków kwietnia podają dalszy wzrost tych liczb).

Wietkong jest wyraźnie zmęczony. Wielkie straty w ludziach spowodowały też przeniesienie oddziałów Wietkongu do walki z daleka od rodzin, a tego Wietnamczycy nie lubią, więc uciekają.

Postęp pacyfikacji jest także bardzo zachęcający. Zamiast dzieł — jak poprzednio — okolice według stopnia wpływów komunistycznych, uznano cały kraj za otwarty do pacyfikacji, którą prowadzą nie tylko wojska, ale też oddziały „Rozwoju rewolucyjnego”, grupy szkolone przez pułkownika Bai, byłego komunistę.

Wojna w Wietnamie prowadzona była przez Amerykanów w bardzo dziwny sposób — była to wojna obfitująca w tabu. Wiadomo było, iż pewne posunięcia przyspieszą decydujące zwycięstwo: bombardowanie i blokada portu Haifong, bombardowanie tam w okręgu produkcji ryżu, bombardowanie ośrodków cywilnych. Wszystko to byłoby bardzo okrutne, ale nie bardziej okrutne od tej przeciągającej się wojny. Wszystko to Amerykanie postawili poza nawiasem posunięć dozwolonych, jak również desanty na wybrzeżu Północnego Wietnamu, które zmusiłyby nieprzyjaciela do trzymania dużych ilości wojska u siebie na wybrzeżu.

Ponadto — nieprzyjaciół transportował swe wojsko przez rzekomo neutralny Laos, a bazy, kwatery i szpitale umieścił na terenie neutralnej Kambodży. Tak więc — oddziały komunistyczne „wychylały się” z Kambodży w miejscach oddalonych o 40 kilometrów od Sajgonu, atakowały i uciekały z powrotem do „neutralnego” kraju. A Amerykanie mogli tylko zgrzytać zębami.

Nie siedziałem cały czas w Sajgonie. Pewnego dnia przewodnik mój zaproponował mi przejażdżkę autem do fabryki laki — 33 kilometry za miastem. Zaznaczył, że pojedziemy jeżeli droga będzie tego dnia bezpieczna.

Zapytałem, po czym to poznaje. Odpowiedział, że jak się widzi dużo aut jadących w stronę przeciwną, to się trzeba zatrzymać i sprawdzić; ewentualnie zawrócić. Nigdy nie dowiedziałem się, co się robi, o ile komuniści robią zaporę gdy się właśnie wraca do Sajgonu. No, ale nie wypadało okazywać strachu, więc pojechaliśmy.

Po drodze widziałem blisko rozmieszczone posterunki wojskowe i policyjne, strzelnice, worki z piaskiem, strażnice. Przyglądałem się kontroli rogatek miejskich; jest ona bardzo dokładna. Sprawdza się nie tylko dokumenty, ale rewiduje samochody, otwiera bagażniki, podnosi maski.

Na drodze widać było dużo flag Rządu sajgońskiego, za co właścicielom domów, na których te flagi wiszą Wietkong z zasady podrzyna gardła.

Parę dni potem zaproszono mnie do Vung Tau, miejscowości kąpielowej znanej pod francuską nazwą Cap-St. Jacques. Wietnamczycy jeżdżą z Sajgonu samochodami. W dzień główne szosy są zupełnie bezpieczne. Nocami bywa różnie. Ja jednak leciałem australijskim samolotem transportowym. Oficer prasowy wyjaśniał, iż lot jest nieprzyjemny, ostry. Samoloty nie mogą startować i lądować normalnie, gdyż byłyby narażone na ostrzeliwanie z dzungli — a Wietkong ma doskonałą broń chińską i sowiecką.

Vung Tau jest ważną bazą transportową wojsk sprzymierzonych. Jest też prowincją stosunkowo bezpieczną, jako półwysep, który łatwo jest zabezpieczyć.

Objechałem autem piękne plaże i zatoki, piłem aperitif we francuskiej restauracji nad morzem, a obiad jadłem w restauracji wietnamskiej (jedzenie wspaniałe). Potem zwiedziliśmy wioski rybackie — katolicką i buddyjską, które sąsiadują ze sobą w zupełnym spokoju. Wieczorem tańczyłem na regularnym sobotnim przyjęciu u przemiłej pary: on Amerykanin, ona — Wietnamka. Bill przeżył wiele lat w tym kraju i bardzo go pokochał.

Następnego dnia zaprosili mnie oni do swego domu plażowego na obiad. Zapytałem jak mu się tak udaje żyć stosunkowo normalnie w samym środku wojny.

Mimo żeśmy dużo pili, odpowiedział zupełnie spokojnie: „Nie mam zamiaru poddać się warunkom zewnętrznym, muszę raczej wpływać na te warunki moim własnym postępowaniem. Nie można zresztą stale żyć w strachu”...

Na przyjęciu tym był również główny amerykański doradca cywilny okręgu. Jest on doradcą burmistrza Vung Tau. Powiedział mi, iż doszedł do przeświadczenia, iż przykład działa cuda, i że swym przykładem postanowił dać okolicy poczucie bezpieczeństwa. Wobec tego chodzi po mieście i jeździ po okolicy bez osłony i bez broni; wszyscy o tym wiedzą. Każdy agent Wietkongu mógłby go zastrzelić; jak dotychczas nikt nie próbował.

Wraca obecnie do Stanów Zjednoczonych na kilkutygodniowy urlop, ale już poprosił o ponowny przydział do Wietnamu. „Nam tu nie wolno przegrać, bo jeżeli tu przegramy — nie damy rady nigdzie indziej to będzie koniec zabawy”...

To samo wrażenie odnoszę z rozmów z oficerami australijskimi do spraw cywilnych. Jeden z nich — major — pochodzi z naszych stron. Dokładnie nie mogłem się dowiedzieć, ale zdaje się, że z Austrii. Mówi biegle po wietnamsku (i kilkunastu innymi językami) i jest bardzo popularny wśród miejscowej ludności. Wszyscy go znają. Podkreśla on pocieszające zjawisko, iż atmosfera zaufania wzmacnia się ostatnio i że życie cywilne rozwija się coraz bardziej. W ostatnim roku wzrósł ruch budowlany, powstają nowe przedsiębiorstwa. Podobno nawet — jak mi powiedział ktoś inny — zaczynają kupować tereny w Sajgonie. Widocznie ludność zaczyna wierzyć w jaką taką przyszłość.

„No tak” — przerywa dowódca jednostki, młody i bardzo inteligentny podpułkownik — „co z tego, kiedy kilka tygodni temu Wietkong złapał dziewczynkę, która przyjaźniła się z żołnierzem Południowego Wietnamu. Na oczach całej wioski zamordowano ją w strasznych torturach. Wietkong stacza się powoli do poziomu zwykłego bandytyzmu, ale mimo wszystko poczucie osobistego bezpieczeństwa w wioskach jest kluczem do całej sytuacji”.

„Są wioski” — dorzuca major — „gdzie zamordowano już trzech kolejnych wójtów i zawsze znajduje się ktoś czwarty na to stanowisko. Wydaje mi się, że zamiast krytykować należy raczej podziwiać, iż w tych warunkach Południowy Wietnam ma nawet taką administrację, jaką ma i że jest jeszcze tylu ludzi odważnych, którzy podejmują się służby publicznej”.

I tak można by w nieskończoność. Zamiast słuchać dziennikarzy amerykańskich, których raz i nieuporządkowany ruch kołowy i którzy — dla kontrastu — pokazują „uporządkowany” ruch Hanoi gdzie oczywiście nikt bez zezwolenia nie ma prawa mieć auta, zamiast słuchać proroków, którzy popierali interwencję w Wietnamie, póki ją prowadził John Kennedy, a potem ją zwal-

czali by innemu Kennedy'emu otworzyć drogę do Białego Domu — wołę mówić z ludźmi prostymi, szczerymi i doskonale poinformowanymi. I tak rozmawiałem z działaczami amerykańskich Związków Zawodowych, stacjonowanymi w Sajgonie by ćwiczyć działaczy związkowych, z urzędnikami cywilnymi australijskimi, z rezydentami francuskimi, mieszkającymi od lat w Wietnamie, z artystami, kupcami, dziennikarzami wietnamskimi.

I jeżeli — mimo wszelkich obaw Prezydent Ryszard Nixon zachowa zimną krew i oprze się atmosferze hysterii i moralnego terroru, rozszalałej na uniwersytetach amerykańskich — kilkanaście milionów Wietnamczyków, a za nimi setki milionów innych Azjatów będzie jeszcze mogło żyć w stosunkowym spokoju i bezpieczeństwie. Albowiem wszystko na tym świecie jest „stosunkowe”.

Ryszard KRYGIER

1.000.000

GILLETTE super silver
wysłał w bieżącym
roku do Kraju
T A Z A B

- Obecnie cło zostało podniesione z 1 zł. i pół na 10 zł. od sztuki, co oczywiście zlikwidowało opłacalność wysyłki większych ilości. (Od 30 sztuk cło wynosi tylko 3 zł. od sztuki).
- Powyższą podwyżkę tak uzasadnia „Życie Warszawy” z 19 lipca: ... „za każdy dolar wydany za granicą na zakup „Silverów” otrzymywało się w Kraju do 280 złotych”.
- Tak było istotnie i TAZAB ma pełną i wyłączną satysfakcję wprowadzenia tego towaru i ułatwienia naszym Klientom na całym świecie NAJKORZYSTNIEJSZEJ pomocy rodzinom.
- Okazja ta została obecnie przekreślona, ale w najnowszych ILUSTROWANYCH KATALOGACH TAZABA ZNAJDĄ ZAINTERESOWANI INNE KORZYSTNE OKAZJE.

Największy na świecie Polski Dom Wysyłkowy

TAZAB and Co., Tazab House

22, ROLAND GARDENS, LONDON, S.W.7.

16, STUYVESANT STR., NEW YORK, N.Y. 10003,

Tel.: ALgonquin 4-4161

20, RUE LEGENDRE, PARIS 17*, Tel.: 924-0045

Perekotypołe

„Oznajmujemy tym listem naszym wszem wobec i każdemu z osobna, komu o tym wiedzieć należy, iż pozwoliliśmy i pozwalamy Wielmożnej Salomei Wiśniowieckiej aby prawa swego dożywotniego które piastuje na swych dobrach na Wołoczyszczu i wsiach Wołoszczowce, Dorofiejówka, Korostawa, Balkowce, Januszowce, Manaczyn, Pisarzówka, Zielone, Matwijowce, Medwedówka, Kaczorzyńce, Petrykowce, Sarnów, Porochnia, Niemierzynce, Kociary i Hłochwasty w powiecie krzemienieckim leżących ze wszystkimi folwarkami, budynkami, rolami, polami, zaroślami, borami, gajami, łąkami, pastwiskami, rzekami, strugami, stawami, sadzawkami, młynami, karczmami, poddanymi i ich robociznami, czynszami, daninami i innemi przynależnościami dawno według prawa i zwyczaju tamże leżącymi w spokojnej posesji utrzymanymi i zażywanyymi rzec się mogła a to dla chwalebnej chęci złożenia ślubów czystości, ubóstwa i posłuszeństwa w słynącym w Kościele bożym i ludzkim zasługami domu cnotliwych panien reguły i *ex ordo* Świętego Benedykta, by stać się oblubienicą Chrystusa. Co dla lepszej wiary i wagi ręką naszą podpisawszy pieczęć koronną przycisnąć kazaliśmy...”

Za sprawą tego wydanego przez Kancelarię Królewską dokumentu duch ksieni, „panny garbatego ciała”, zmarłej jeszcze w roku 1716 straszył w klasztorze gdzie Nietota była na pensji.

No bo oczywiście strachy. Jest coś niesamowitego w trwodze, zmorze, drzeniu i dygocie przed sprawami strasznymi, a zarazem czemuś one pociągają i wabią choć dojmują i wstrząsają, i za tym wstrząsem, dreszczem coś ciągnie, porywa, tak jak pociąga nas ostrze opartej o ścianę siekiery, błękitnej, zastygłej w grozie stali, albo kiedy nieuniknienie ciągnie urwa, przepaść, obryw skalny, czy przerębel w lodzie, czy toń bezdennej wody, czeluść klatki schodowej w wielopiętrowym domu, gzymsowanie na wieży zapraszające do przejścia się pomiędzy niebem i ziemią. Trwoży ciemność, noc, cienie w których kryją się rzeczy niesamowite,

pustka wszelaka, puste mieszkania, domy opuszczone w których „straszy”, a wszystkiemu temu dopomoże gadka, opowieść, bzdura wyssana z palca albo przekonywująca, i znów dajemy się oszukać, sami tego chcemy, sami dopomagamy, sami sciszamy w sobie niewiarę, byle osiągnąć tę chwilę doprowadzającego do zawrotu głowy strachu i strachu. A znowu dla odmiany strasznym może być najjaśniejszy dzień, samo południe, z okrutnym słońcem zawieszonym wysoko na niebie, z jego palącym, jaskrawym nie do zniesienia okiem obejmującym świat u dołu, gdzie nic się przed nim nie ukryje, nie zatai, gdzie sino od horyzontu i różowo w drgającym w upale kryształe powietrza i tylko zawiruje wariacki w upalnej ciszy wirek pyłu, skręt, korkociąg diabelski ni z tego ni z owego podnoszący się z ziemi, tuman kurzu zataczający się wpośród kłosów, podniesie się i przepadnie, jak Południca co to zakręciła się pod niebem w obłędnym tanecznym solo i z nagłą swym babskim zadem Południcy przysiadła wpośród miedz i rozstajów i szczy po babsku, w przysiadzie, bo aż tu do nas zaniósło ni stąd ni zowąd, pod błękitną kopułą bezchmurnego nieba, wpośród upału i suszy, paru kroplami deszczu.

Strach w samo południe. Nachodzi mnie o nim wspomnienie z czasów pierwszej wojny. Było tak żeśmy rodziną, z dziećmi, manatkami, koszami, na prędcie zebrany dającym się unieść dobytkiem, uciekali. Uciekali, bo ucieczka jest dla nas wszystkich kinetycznym przedłużeniem życia, ostatnią obroną nas wszystkich, w ucieczce chcemy jeszcze bardziej tym życiem zachłysnąć się, pozostawić pomiędzy nami i strasznym ocalającą przestrzeń, odgrodzić się nią, odżegnać od niesamowitego. Była stacja węzłowa i siedzimy w restauracji dworcowej, zapchanej, zatłoczonej, ale stoliki wciąż jeszcze przykryte obrusem, lśnią nakrycia i wazonik z kwiatami i solniczka i pieprzniczka, chociaż podłoga zaśmiecona, zapluta, u stolików oparci czołem o blat śpią ludzie. Jakiś pan siedzący przy stoliku obok nas stuka obrączką na palcu w blat stołu, bo chce by mu przyniesiono zupę. I w tym stukaniu, jak w „Dziadach”, chociaż to nie noc ale samo południe, na stacji węzłowej zapchanej uciekinierami, zaśmieconej, z tłumem, walizami, tobołami, rozgardiaszem, w rojącej się od ludzi i much restauracji stacyjnej, w biały dzień, w samo południe słyszeć nam się daje przestroga. Kiedy taki inteligent, pan, zatroskany i zniecierpliwiony ale wciąż poprawny, tak po inteligencku stuka obrączką na palcu za kelnerem restauracji stacyjnej, który to kelner może dwa dni temu jeszcze sam uciekł pierwszym pociągiem, albo może to jego na prędcie postawili *k'stience* magazynu kolejowego bo go ktoś wziął za szpiega. A tu stukanie jak w „Dziadach”: „Dzieci, chodźcie pod kantorek... Czego potrzebujesz Duchu?... Proszę o troje paciorek...” A my, dzieci, zapatrzone w tego pana co to taki fason odwala wpośród chaosu, zawieruchy wojennej, ucieczki. My dzieci zapatrzone w niego, wsłuchane w ten stuk, pukanie odzywające się w samo południe.

To ostrzeżenie nie kazało czekać długo. Nadszedł pociąg

uciekinierski i zakotłowało się u wszystkich wyjść i na peronach, beładnie, z bagażami i tobołami, spocone twarze, tupot nóg, szturm przypuszczany do wagonów. Pociąg był zestawiony z najrozmaitszych wagonów, pasażerskich i towarowych, już zapchanych ściśnioną masą ludzką, ich pudła ciężkie, zastygłe w tej chwili w bezruchu na szynach, zapłutym, zaśmieconym, czarnym od pyłu węglowego, zacieków smarów i szczyn ludzkich torze.

Przed nami czeluść towarowego wagonu. Odsunięte na rolkach ciężkie drzwi, brudnoceglana, wypętlża od słońca i pluch farba desek oszalowujących ściany, szczeliny wąskich okienek, znaczone białą farbą hieroglify metryki wagonowej, cyfry, zrudziałe żelazo okuć, sztab, śrub. Przed tłoczącą się ciżbą ludzką rozdziawiona straszliwa paszczeka drzwi wagonu towarowego. W lata potem miał wyglądać tak samo, tyle że szczeliny okienek oplatał drut kolczasty, a za siatką ramki despeczerskiej widnieją kartki ceduł frachtowych i destynacja dla tych co na torach rozrządowych zestawiają eszelony, pedantycznie informujące o miejscach przeznaczenia: Birkenau, Bełżec, Sobibór, Teresienstadt, Dalstroj, Wostok, Gułag...

Ta zapowiedź przyszła w dzieciństwie, które przecież samo przez się jest takie puchowe, różowe, z którym my dorośli wiążemy nasze pojęcia o niewinności, beztroście, anielskości, sielskości. Zapomnieliśmy...

Ach, te wszystkie rymy dla dzieci, bajki, gadki, wierszyki, klituś-bajduś, pracowicie układane przez pozał się Boże rozmaite paniusie i Konopnickie, żeby tylko tym malusińskim dobrze poprzewracać w głowie, owe „ciszkciem, chyłkiem, milczkiem, bokiem biegła Mańcia w pole mrokiem... ot w sekrecie wam powiadam, że uciekła od swej Madam, od swej Madam, od swej bony, co parasol ma zielony...”, czy „chlupu-chlupu, chlastu-chlastu, nie mam rączek jedenastu, ale mam dwie rączki małe, lecz do prania doskonałe...”, czy „kling-kling-kling-kling-kling-kling-śliczna, Miejska Kolej Elektryczna...”, czy „a jakże mi się masz Panie Żurowski, a kupię ja tobie czerwone pończoszki...”, albo „o mój ty buraczki ćwikłowy, rada bym ja wianuszek zdjąć z głowy, rada bym mieć takiego mężulka, co czerwony i spaśny jak kulka...”.

A tu tymczasem ci mali, te bobasy, czy jak tam im dorośli wymyślają tak przemile, to osobny gatunek ludzki, niedołączny bo niedołączny, ale mający swe własne zrozumienie, swoje własne tradycje, swój folklor, własną teorię poznania, swój żargon-gwarę, mowę sekretną, podawaną z pokolenia na pokolenie tylko między parolatkami (a to „ency-pency, w której rency?”, czy liczenie w zabawie, „inki-pinki lodominki, inki-kwas — ty zajączku biegaj w las!”, czy inne tym podobne co to pono wywodzi się jeszcze z sanskrytu, jak to jakiś lingwista podsłuchał, wytłumaczył), swoją własną opowieść, rytuał, moralność, etykę, swoje dociekania, przesady, tabu, niczym nie gorsze od wymysłów, przesądów i tabu dorosłych. Niektóre z tego aż straszne, kiedy na przykład tak się ostro uderza po ręce szczotką, zwykłą szczotką, aż na

skórze wystąpi prawdziwa, krwawa „rosa”, albo gdy wierzch dłoni pocierać do białości a potem powąchać to „pachnie trupem”. Kładzie się palec na czubku nosa i robi zeza, albo wywraca oczy by tylko widać było białka. Zdziwiałoby to kiedy ścierpie noga i aż dziwnie i nie można na niej ustać. A jak długo można wstrzymać oddech? Straszne kiedy powstrzymać życiodajny haust do płuc i czeka się czeka, aż policzki zsinieją. Albo zamknąć oczy i iść po omacku, macając przed sobą świat, albo znowu kiedy naciskać gałki oczne przez zaciśnięte powieki, to pojawiają się jak w transie narkotycznym kręgi żółte i sine pod powiekami, aż strasznie. Popatrzeć na świat przez zielone szkieleto z rozbitej butelki po piwie i cieszyć się nim widzianym na zielono. I nagle „dzwoni w uchu”, jak cieniutki telefon czy dzwonek elektryczny. A umiesz „po włosku?” Co znaczy, czy umiem po włosku? No to wyrwa się rozmówcy boleśnie włos ażeby wiedział co znaczy umieć „po włosku”. I smaki, najprzedziwniejsze, od zawsze łakomej słodczy, słodkości najrozmaitszych rodzajów, lodów, soków, cudownej, aromatycznej słodczy miodu wprost z plastra pszczelego, niesamowitej słodczy poziomek, na której samo wspomnienie niejednego dostaje alergicznej wysypki, cudownych wiśni-moreli, aż nudnej słodczy wyszanego kwiatu akacji, aż do przestąpienia progu słodkości, kiedy zje się za dużo kostek cukru, po rozmaite kwasy, kwaskowatości, ostrości, pieprzności, papryki, aż po gorycz gorczycy „dwa ziarnka” o którą dopraszają się dusze umarłych dzieci, aż po gorycz i kwasotę gąbki przepojonej żółcią i octem, jaką na ostrzu włóczni Umęczonemu podawał zdjęty litością żołnierz rzymski.

..

No to jakże wobec tych wszystkich straszności nie miałyby Nietota nie zatracić się w przesądach, w zabobonach, czarach, kabałach, znakach złowróźbnych, wróźbach, przepowiedniach, zaklinaniach, odczynianiach uroków, w tym osobnym folklorze panięsko-dziewczęco-dziecinny.

Obiera Nietota jabłko, weźmy, uważnie, by okorowane ze skórki, łupiny, tej łupiny broń Boże nie przerwać, aż wyjdzie jej ta łupinowa loxodroma, ostrzem noża obrana z czerwonego jabłuszka („Maruszką moją, Maruszką, pójdziesz ze mną rwać jabłuszka!”) i wtedy jednym ruchem rzuca się przez ramię poza siebie skręcająca się łupinę i kiedy ta upadnie ułoży się w przypadkowy monogram, kształt pokręcony, który od biedy można zawsze odczytać jak w esach i floresach ukazuje nam jakąś literę, a ta litera będzie początkowym wskaźnikiem imienia tego kogoś, co w przyszłości będzie kochankiem, narzeczoną, mężem.

Uważa Nietota by nie przejść pod opartą o mur drabiną, nie przeskakuje tarzających się po trawie dzieci, bo nie urosną, nie wstaje lewą nogą z łóżka rano, bo nieszczęście, a już te wszystkie piątki feralne, złowróźbne trzynastki, czy dobrowróźbne dotknięcie się garbusa, po czym ujrzenie białego konia,

by znowu nie powracać po potrzebne ale zapomniane w domu drobiazgi, owe poniedziałki „szewskie”, tyle różnych spraw o których należy pamiętać, albo też i same zaraz się przypominą. Siedzi się w rozgadany towarzystwie takich samych młodych i z nagła powstaje pauza, cisza, przerwa w rozmowie, kiedy nie pada ani słowo. No to wiadomo że ktoś w tym gronie ma skrzyżowane nogi, albo na pewno gdzieś „oficer kawalerii płaci długi”. Tak samo uszy nam ni stąd ni zowąd czerwienieją, aha gdzieś daleko mówią o nas. A już, gdy w sierpniowy wieczór mignie świetlana smuga „spadającej gwiazdy”, tej co spełni nasze życzenie.

No to jakżeż by Nietocie miały ująć karty. To przecież była dla niej ostatnia ucieczka w samotności, karty powierniczki jej marzeń i zachceń, domysłów, wyroczni i wróżb. Może nie kabała cygańska łudzająca i oszukująca, z jej „blondynami”, „brunetem” zawistnym po lewej stronie i czarnym krzyżem trefla, mającym położyć kres wszystkiemu, czy asem karo zwiastującym list, to dobre dla analfabetów. Kładło się pasjansa, „solitera”, zabawka w przypadkowość, kiedy to kładzie się na przemian kolory, albo wedle starszeństwa, i pasjans wychodzi, „napoleoński” albo „zegar”, w dachówkę, w koło, czernią się piki i trefle, czerwieni karo i cœur, zniecierpliwienie kiedy pasjans „nie wychodzi” i nuda i pustka kiedy wszystko składa się i szereguje. Tylko broń Boże! nie szachrować, nie podglądać kart, do czego korci i świerzbi.

Ileż uciechy z tej talii kart, z ich konterfektami waletów, dam, królów, z ich magicznym starszeństwem, karty, wzorowane jeszcze na średniowiecznych koślawych drzeworytach, z waletami, ich halabardami i marsowym zakręconym wąsem, z królami o ładnie ufryzowanych brodach i przekrzywioną na bakier koroną w lilie, z berłem poważnie wspartym o ramię, z ich damami w kwefach, koronkach i diademach, z okrągłą piersią wydzierającą się z ciasno zasznurowanego stanika, a w palcach róża, albo zwierciadło, a na policzkach róż i bielidło. Kolory nazywa się wykwintnie, wymawia z francuska a to przecież pocziwe „dzwonka, wino, czerwień i żołądz” stangretów i zmiany warty w kordgardzie i murarzy i młokosów zagrywających w ostatnich ławkach skrycie przed okiem profesora w „sechcyka”, „durnia”, „ein und zwanzig”, bo już inteligenci to tylko w „belotę”, „preferansa”, wreszcie bridge’a.

Był czas w którym strony, okolice, w których majątków swych i dóbr wyrzekła się panna ksieni Benedyktynek przemyskich, wydzielali sobie, w których w ciągu paru lat rozmaici okupanci i rozmaite władze zmieniały się bodaj że czternaście razy. Rozrywali je sobie Niemcy, Petlurowcy, Denikin, strzelcy siczowi z Galicji, Polacy, bolszewicy, „zielone” bandy Baćki Tutnyka i banda Marusi, a nawet jakiś „Niczij Dewiatyj Połk”. Właściwie królowała tam wtedy Taczanka.

Taczanka to lekki pojazd który wynalazczo przerobiono na podwozie dla karabinu maszynowego. Wóz który z daleka wydać się mógł chłopską podwodą ciągnącą na jarmark czy na wesele,

załadowany snopami czy zarzucony weretą, robił nagle na drodze zwrot, czy galopem wyjeżdżał z zagajnika i sponad pókoszków wyszczerzał nagle pysk Maxima i czekał serią, kiedy powożący trzymał rozbiegane konie a polem kładł się pokos poszerzanej serii.

Do tego celu zabierali po dworach, folwarkach, cukrowniach lekkie, niemalowane, „perekładne” bryczki, „amerykanki”, najtyczanki, linijki, powoziki, dryndy na resorach, na sprężynujących drewnianych listwach, i na tym montowało się karabin maszynowy Maxim, albo Colt, Browning czy Schwartzlose. Dąbrową wołyńską niesie się echo serii, skacze i chodzi korba zamka i karabinowy strzelec trzymając uchwyty u tyłka broni wodzi lufą objętą rurą płaszcza chłodnicy i maszyna łyka gurt z nabojami. Oczy strzelca, bładoniebieskie, zimne oczy śmierci patrzą przez szczerbinę, kciuk naciska na zwalniacz spustu. Sypie się deszcz wyrzucanych łusek.

A tu w czasach beztroskiego pokoju i pogody w ułańskich szwadronach karabinów maszynowych, w plutonach taczanek, błotniki czterech malowanych w ochronny kolor, wozy znakowano dla fantazji, z mody karcianej, w cztery asy: „Trefl, Caro, Pik i Cœur”.

.. .. .

Nietota pozwala mi oglądać swój Zielnik. Wielki foliał którego karty poprzekładane są arkuszami bibuły, a na kartach systematycznie ponaklejane, porozpinane i sprasowane, żdźbła, liście, łodygi, szypułki, kwiatostany, strąki, włochate torebki nasienne, baldaszki, bedłki, pręciki, łuski, kwiaty zasuszone i kolory ich bladziutkie i wypełzłe, tkaneczka liści kruchutka. Wszystkie pedantycznie zaopatrzone w imiona, nazwy łacińskie. Ruta, rozmaryn, macierzanka, kozłek lekarski czyli waleriana, męczennica-passiflora, mięta, nagietki, rdest albo drjasen, dzika róża, rabarbar, żywokost, borówki-łochynie albo pijanice, rumianek, pokrzywilcza jagoda (atropa belladonna), prawoślaz, jaskólcze ziele, lipowy kwiat, dziewanna, dzięgiel, dorohozołot co zwie się także tysiącznikiem, centurią, ciemiężyca to cząbr, czemer-jad, podbiał, lulek czarny, ostróżka, żywokost, bieluń, dziędzierzawa, szaleja, naparstnica (digitalis)... A to co? nie, nie śmiej się, to przecież widłak-Nietota... A to? To perekotypołe. Perekotypołe? No tak, ze ślazowatych. Salsola pestifer. Tu nie jego miejsce bo to zielnik roślin leczniczych, ale zabłąkał się. Bo wiesz błąka się, nie czepia miejsca, toczy się kulą po ziemi, czepia płotów i krzaków, wiatr niesie nim, sam widziałeś, nie? Perekotypołe...

Ta mania zbieracka, rozumiała u bab, widziałam zamawiających choroby, rozumiała była u młodej dziewczyny, nie jakiejś „snowydy” ale po prostu studentki medycyny. Nie dawała się nawet wtedy gdy była w sanatorium Bratniaka. „Gryzę granit nauki”, pisała. Nawet nie mam pojęcia co to było, no, wiadomo, studia medyczne, chemia taka i owaka, organiczna i nieorganiczna, fizjo-

logia, histologia, farmakopea, a w początkach przede wszystkim anatomia, już nie nauka a dyscyplina, bo nic tam nowego wymyślić nie można tylko setki, tysiące łacińskich do nauczenia się na pamięć słów, w tę stronę i na wywrót. Prosektorium zaczynali wtedy już na pierwszym trymestrze, w chłodnych, wysterylizowanych lśniących od białej farby olejnej ścian salach, śmierdzących formaliną. Prosektor, wielki, siwy, z wiechciami wąsów, w fartuchu z czarnej ceraty i dłoniach urękawiczionych w gumę, surowy i rubaszny, nie krępujący się dziewcząt-studentek, mówiący ostatnie gruboskórne świństwa.

No to Nietota, ażeby mi zaimponować, zabrała mnie kiedyś do prosektorium, kiedy nikogo tam nie było, ażeby mi pokazać zwłoki. Były to zwłoki kobiece, jakieś staruchy, żebraczki pewnie, zabrane z przytułka czy po prostu z ulicy, chudy trupek, z jego ogoloną czaszką, wymoczone w formalinie ciało koloru mahoni, z wydatnym nawet u staruszki wzgórkem Wenery.

I znowu po latach przyszło to nawrotem kiedy na świadectwo czasem pogardy ukazano nam setki, tysiące fotografii stosów ludzkich trupów w obozach śmierci czy u rozkopanych dołów masowych egzekucji. Wyszłe i kanciaste od kości obciążniętych skórą, straszliwy teatr lalek, manekinów, żebra, piszczele, miednice, wyszczerzone zęby i golone czaszki, spiczaste kolana i stawy łokciowe, skóra napięta na kościach policzkowych, wpadłe w oczodoły zagasłe oczy, i w tym ciała kobiece, bezwstydne w ich nagości, ukazujące właśnie ów sterczący wzgórek Wenery. Wido-ki jakby z obrazu jakiegoś mistrza z quattrocenta, góry zwłok jakby w ruchu, jakby podnoszących się z ziemi, powstających z martwych by pójść tłumem, zdążyć długim wijącym się wężem ku dolinie Sądu Ostatecznego. Albo jakby jakiś ludzki zielnik, martwych i zasuszonych ludzkich łodyg, jak w Zielniku Nietoty.

.....

„Ja wiem”, powiedziała, „ja wiem wszystko! Naprawdę wiem!”

Mówiła podniesionym głosem, wyraźnie i metalicznie, ostro i dźwięcznie. Nogi trzymała razem i oboma rękami opierała się o brzeg sanatoryjnego łóżka, tak jakby chciała pozostać dokładnie symetryczna, jakby przez doskonałą symetrię miała dodać ostrości i klarowności temu co miała powiedzieć.

„Wiesz, jak parę lat temu byłam na wakacjach u wujostwa, to odnajmowali letnisko przy tej wielkiej linii kolejowej idącej na zachód. Tam, z tego domu co parę godzin można było widzieć jak idzie pośpieszny. Wiedziało się o tym naprzód, bo szyny kolejowe zaczynały ciężko stękać, rozlegał się wśród podkładów głuchy stuk i westchnienie. I potem cisza... A potem znowu... A teraz to już słyszać było z daleka szum i łoskot nadjeżdżającego pociągu. I głos ten jakby się podnosił. I to było straszne takie wyczekiwanie... Wuj, no wiadomo, inżynier, mówił że w fizyce nazywa się to efektem, czy zjawiskiem czy zasadą Dopplera. Szum, gwizd lokomotywy nadchodzącego pociągu w miarę zbli-

żania się podnosi się do górnej granicy, by potem opaść, zaniknąć z powrotem, Aha, nie jakaś taka akustyczna ciekawostka, bo ma zastosowanie i w innych dykasteriach nauki, weźmy w astronomii, gdy dokonują pomiarów odległości gwiazd na podstawie przesunięć się linii Fraunhofera w widmie spektroskopu. Widzisz jak to uczenie wykładam. Ale wyczekiwanie było straszne... Możesz się śmiać ze mnie, z takiej egzaltacji, ale to było strasznie wyczekiwać, strasznie... Jestem głupia, co tu mówić, nie mam tego co nazywa się wyobraźnią. No, zawsze czytam poezję, Słowackiego i Staffa, ale zawsze... No, nie mam wyobraźni i nie mam... Ale jak wtedy wyczekiwałam to chciałam sobie wyobrazić to co nadchodzi... a że nie stać mnie było na wymyślanie czegoś to oczywiście czepiały się mnie oczywiste asocjacje, bo wiadomo „pośpieszny czwarta dwadzieścia trzy”, to więc nadleci coś z taką ognistą grzywą. Ale znów jak nie widziało się grabowego żywopłotu dwutorowej „sztreki”, ani perspektywy szyn, ani nieba, ani ziemi, to stawało się to tylko wyczekiwaniem. Myślałam sobie... czy może być coś takiego jak samo tylko wyczekiwanie... bez obrazu, bez światła, bez bólu... możesz się śmiać... To tak jakby ktoś myślał że można żyć powiedzmy samym smakiem truskawek, że wszystko, świat, dobre i złe, głupota i nuda, ambicja i poczucie humoru, dewocja i zmartwienie, że wszystko to można skupić w jakiejś jednej sensacji. No, powiedziałam na chybił trafił — smak truskawek. Ale możesz mieć co ci się żywnie podobą... To u mnie wtedy wszystko zmieniło się w wyczekiwanie... Czemu się na mnie patrzysz?... Czy myślisz że przyszło coś, że nadleciało? Czy wydaje ci się że byłabym tutaj, czy myślisz że po takim wyczekiwaniu naprawdę mogło nadejść coś większego, innego, coś co by miało mnie zabrać i porwać w tym szalonym pędzie, że zostałyby coś po mnie?”

„No, chyba nie muszę ci mówić że przeszedł „pośpieszny czwarta dwadzieścia trzy”.

„Jeżeli dotąd pali mi się w głowie rozpalonym ćwiekiem czerwonego światła semaforu po przejeździe pociągu, to nawet żeby nie wiem jak było to bolesne i dziurawiące mi mózg na zawsze to nigdy, nawet w najbardziej wyrozumowanym tłumaczeniu nie...”.

Nietota siedziała teraz już niesymetrycznie na sanatoryjnym łóżku i była zawstydzona i zmieszana swoim wybuchem.

Zygmunt HAAPT

Zegarek

Jeden taki Genadij Jakowlycz mój sąsiad z baraku chciał grać na harmonii. Nienawidził instrumentu i nie lubił muzyki, bo nie miał słuchu za kopiejkę; chciał ale, aby go „w ludzi zapraszano” pograć do tańca. „W towarzystwo gwarne się dostać”. — mówił. Mordował się więc za przepierzeniem nad tą swoją harmonią, gmerał sztywnymi paluchami po małych guziczkach, sapał i stękał wykręcając głowę na stronę, aby nie zezować na palce. Tupał przy tym kopytem do taktu aż szkło leciało z lampy i przezywał instrument „słowami” jak woźnica poganiający konia, wydobywając z miecha tony straszne „nieakuratne”, jak gdyby uwziął się uparciuch na moją biedną rodziną. Co dwa, trzy dźwięki wtykał palec w niewłaściwy przycisk. „Harmoszka” duła: „Taaa”, a on krzyczał do niej: „Tiii” — „Tiii ma być”. Harmoszka: „Ta”, a on: „Ti”... i śpiewał do harmoszki falsetem „co to ma być za melodia”. Przez kilka nutek instrument powtarzał fatalną pieśń a potem drogi się rozchodziły i Genadij nie umiał w żaden sposób „przytrafić” paluchem właściwego bemola. Próbował po klawiaturze „na szczęście” — „ciepło-zimno”, ale bez skutku. Starał się więc naprzód „z garmoniją” po dobremu. Przemawiał do niej jak do człowieka: „Nu dawaj pożalujsta: Taaa...”. A harmoszka nic, tylko sapie swoje: „Tiii”. Tak to przekomarzenie się trwało minutę a może dziesięć minut, bo w ciemnościach było trudno orientować się w czasie, a Genadij zajmował się zwykle kulturą o północy. W końcu wył z rozpaczy rozżłoszczony niepowodzeniem i wygrażał się do miecha: „*Ja tibja razerwu na ch...*”. Po czym szedł pić z rozgoryczenia, bo z powodu przekornej harmonii oddalały się jego marzenia aby go koledzy „cenili za grajka” i prosili o bis na potańcówkach.

Są ludzie, którzy nadymają się do czerwoności a pozostają

zawsze szarzy. Tacy trwają w drugim wymiarze i choćby nie wiem jak się nadymali, wegetują rozpląszczeni na ekranie życia jak mysz po której przejechał traktor. Udadają że myślą, ale tylko pretendują bo myślenie jest jednak trzecim wymiarem dla nich niedostępnym. Pretendując powtarzają zasłyszane zdania, czasami zmieniając jedynie kolejność słów. Czekają zatem na hasła. Wypowiemy słowo: „pociąg” i zawsze otrzymamy w odpowiedzi tę samą historię o ciotce w pociągu i ukradzionej gęsi. Powiemy słowo: „Mandżuria” i będzie to to samo opowiadanie zasłyszane od dziadka o burdelach w Mandżurii. — Albo słowo „zegarek”... Nic nowego. Cały mózdzek przypomina wielką, ograniczoną ramami tablicę szkolną na której wypisane są pytania i odpowiedzi — ze sto, albo ze dwieście. I po tej tablicy porusza się cień człowieka. Cień nie pada poza ramy bo nie potrafi poza nie wyjść. Dlatego jeśli porozmawia się z takim osobnikiem godzinę, czy dwie, poznaje się wszystkie pytania i odpowiedzi „jego tablicy” i nic więcej realnego nie pozostaje z niego oprócz smrodu onuc i odgłosów chęptania zupy. W tym wszystkim ludzkim jest tylko kompleks, kompleks własnej szarości. Stan, który powoduje manię wyróżnienia się, jakąś chęć uniezwyklenia, nieokiełznaną wewnętrzną potrzebę, pragnienie aby wyrzucić kotwicę własnego ja poza ograniczające brzegi tablicy i potem do tej kotwicy hołować własne cielsko.

Na przykład taki Fiodor Wasylicz miał odcięte trzy palce u dłoni, mówił że to z wojny; ale on nie pasował wiekiem na żadną wojnę. Upił się po prostu i odmroził „kiedyś niedawno”. Fiodor Wasylicz nawet nie umiał barwnie wymyślić historii o palcach których nie miał. Przychodzi do mnie w nocy na dyżurze i mówi: „Wymyśl mi coś Aleksandr Siemionowicz o tych moich palcach, zapłacę, wdzięczny będę. Ty człowiek taki więcej gramotny, może co wyczytałeś żeby do mnie pasowało. Ale taką mnie naucz historię, aby się ludziom trzęsły zęby ze strachu i włosy stawały dęba jak będę im to opowiadał”. — Fiodor Wasylicz był maszynistą lokomobili. W dzień jego maszyna piłowała drzewo lub kręciła spawarkę a w nocy dynamo do prądu. A że dzień był krótki, polarny, trwał tylko cztery godziny lub mniej, więc lokomobila robiła niekiedy i jedno i drugie w tym samym czasie. Wtedy, gdy piła szła przez środek pnia, albo spawacz zamknął łuk, światła żółkły i ciemniały w chałupach, a ludzie kłeli Fiodora za to, że nie trzymał ciśnienia. Jak już powiedziałem Fiodorowi nie wystarczał brak trzech palców, albo chyba ktoś go przyłapał na kłamstwach z tym wojennym inwalidztwem, bo zafundował sobie zegarek. Na całej kopalni złota były może ze trzy zegarki, albo ze cztery, ale te należały do partyjnego naczalstwa, inżynierów i kierownika sklepu. O tak! także i felczer miał zegarek a nawet pożyczął go lekarce. Bo chociaż ona nosiła własny na ręce, ale

cały posiołek wiedział, że to tylko dla „fasonu” gdyż jej nie chodził już od roku. Felczer wyciągał go zawsze na widok chorego, trzeba czy nie trzeba, aby zbadać puls. Odprawiał nawet całą ceremonię tym czasomierzem. Bimbał nim na łańcuchu jak ksiądz kadzielnicą. Mierzył puls z fasonem a ludzie gnili i zdychali na szkorbut. Przykładał tran na czyraki i rany bo niczego więcej nie było, zresztą to było naprawdę najlepszym lekarstwem. Za to od szpitalika jechało tranem na kilometr jak od rybackiego statku. Przywłoką jakiegoś mortusa na wykończeniu białego jak śnieg, upstrzonego sinymi plamami a on majda mu zegarkiem przed oczyma jak jakiś jakucki szaman. Mortus nic, tylko przerażony przewraca gałami za bimbającą tarczą ze wskazówkami. Od samego patrzenia „w te i we w te” można zemdleć. Ale nie o tym chciałem mówić. Nasz maszynista Fiodor Wasylicz kupił sobie zegarek. Nie wiem jak ten zegarek przywędrował do niego na kopalnię, może gdzieś zrabowany, nie wiem i nie chcę rzucać podejrzeń. Wyciulał kilkomiesięczną pensję i miał cykadkę na rączkę, dużą kieszonkową cebulę przerobioną na ręczne „czasy” z paskiem od spodni skróconym do przegubu Wasylicza. Przychodzi do mnie roztkliwiony i mówi: — „Widzisz co mam? Popatrz a nie dotykaj. Możesz posłuchać; ale już mi nie wymyślaj tej historii o palcach” — mówi. — „Wykosztowałem się na zegarek. Będę go teraz wszystkim pokazywał. Ludziom oczy zbieleją, zazdrościć będą”.

Minął tydzień albo dwa i Wasylicz wtykał wszystkim pod nos swój zegarek. Co kto melduje się na dyżur a on, chociaż to do niego nie należało, podsuwa mu cebulę, że niby to się spóźnił, albo przyszedł za wcześnie. Mówi: — „Niepotrzebnie się spieszyłeś. Mogłeś w domu popieścić żonę jeszcze z pięć minut”. — Albo: — „Nie ziewaj tą swoją mordą, dziesięć minut przeziwałeś „strzałki” pokazują”. W końcu więc jednego to wkurzyło i powiada Fiodorowi, że jego „chodzik lipny”, nie na kamieniach tylko na metalowych łożyskach a metal „wiadomo” kurczy się, dlatego spóźnia, albo spieszy zależnie od pogody. Fiodora mało szlag nie trafił. Ugodzone go w sam zegarek. Jeszcze go tak wkurwionego nie widziałem jak wtedy. Złapał za największą oliwiarę, myślałem że posika wszystkich olejem, a on z tą oliwiarą obleciał dwa razy wokoło lokomobile, mało nie wpadł pod transmisję i chlustnął mazią w kieliszki na łożyskach aż zaczęła ściekać po osi i bryzgać na sufit od koła zamachowego. A potem, czerwony na twarzy wyzywając swoją własną matkę i wszystkich nas wokoło, zdjął zegarek z przegubu grubego jak polano i mówi do Wasi Dzygowskiego elektromontera: — „No niech skonam, niech się w szmatę zamienię... Na, próbuj kurza twoja nóżia!”... A Wasia, który jak wszystkim wiadomo ukoń-

czył szkołę elektromonterską w Kemerowie, powinien się znać na zegarkach, nie? Wasia nic, tylko bierze spokojnie cebulę od Wasylicza, nawet nie patrzy która godzina i pcha ją sobie całą w gębę jak pomidora. Zatyka potem uszy palcami i zamyka oczy. „Co on robi?” — pytam. „Cicho” — odzywają się inni. — „Nie widzisz że on go słucha?”. Wyjaśniono mi potem, że Wasia zrobił próżnię w ustach i zegarek trzymał w zębach, aby się przekonać czy chodzi. — „Bo zły tykacz w próżni stanąć musi, taka już jego zegarka natura”. A i poprzez zęby lepiej słyszać czy ton szlachetny czy nie, bo kość przewodzi łatwiej dźwięk. Wasia skoncentrowany jak kapłan czarnej magii zaparł dech i słuchał. Widziałem, że Fiodor Wasylicz wisił mu na ustach jak pies, albo jakiś skazaniec, któremu sędzia ma powiedzieć wyrok.

Stoi przede mną Wasia Dzygowski z zegarkiem w gębie, a ja zamykam oczy jak on. — ... Mijają sekundy i zdaje mi się, że prawie słyszę cykanie mechanizmu w jego ustach. Przez przymrużone powieki patrzę na niego i na Fiodora i nagle uświadamiam sobie, że żyję w społeczeństwie dwuwymiarowych ludzi. Ja sam przestałem już udawać że jestem jednym z nich lecz stałem się jednym z nich. Moja symulacja stała się tak doskonała, iż jest już częścią mojego ja. Pół dnia istnieję jako Sasza Siemionycz, przejmuję się rozmowami o zegarku, potem wracam do baraku i mówię z rodziną po ludzku. Następuje rozdwojenie jaźni, rozdwojenie postępowania, języka, nawet barwy głosu, który wydaję. Schizofrenia podwójnej osobowości stała się cechą mojej osoby. Myślę, że pomiędzy izbą, gdzie moja rodzina zdycha ze szkorbutu i elektrownią jestem jakimś doktorem Jekyll'em i Mister Pfau'em. Jeśli zagadnie mnie ktoś po polsku: — „Panie Olku?” — odpowiem grzecznie: — „Tak jest, słucham; całuję rączki... Jak mnie uczyli w szkole. Trzasnę kopytkami i bąknę: — „Ależ oczywiście, ma się rozumieć...” — A zapyta mnie ktoś znienacka po rosyjsku odpowiem wulgarnie basem: — *Nu niet, Nu da, Ty szto? (nie czto), Paszoł ty kiedryni babuszki!, Dawaj nazad!* — nieładnie. Nawet ze zmianą języka zmienia mi się twarz, chamieje. Nie dlatego, że to język rosyjski. Zdaje mi się, że Tołstoj, Dostojewski i Gogol mówili innym językiem. Aby mnie zrozumieli musiałbym chyba mówić do nich po polsku. Po rosyjsku wyrażam się jak ludzie z którymi pracuję. Przybieram ich wyraz twarzy, noszę czapkę na bakier jak oni i wyciągam lok spod czapki, jak oni. Zamieniam się w prostaka bo inaczej nie przetrwam. Jeśli tego nie uczynię, społeczeństwo dwuwymiarowych stworzeń odrzuci mnie od siebie jako coś sztucznego, odstałego w nienaturalny sposób od płaskiej tablicy, na której może utrzymać się tylko rysunek kredą, lub cień osoby. Wegetuję jako zesłaniec o dwóch twarzach, dwóch językach i dwóch rodzajach

myślenia pomiędzy osobnikami, którzy jednak chcą się wyrwać za wszelką cenę z szarości życia, oderwać od płaskiego ekranu i wypłynąć na widownię. Wegetuję w społeczeństwie, gdzie odciecie od świata, przenikający mróz i niekończące się polarne noce doprowadzają do stanów histerycznych w których utajone, naiwne marzenia maluczkich ludzi rozdmuchują się do rozmiarów niezwykłych, gigantycznych, pantagruelowskich. Drobnostki zamieniają się w rzeczy pierwszej wagi. Nic nie znaczące słowa stają się pożywką teatru ambicji i w rozdrażnionej atmosferze skoguciałych mężczyzn, mikroskopijne konflikty sprawami życia i śmierci, o które należy walczyć nie widząc własnej śmieszności. A nad tym wszystkim dominuje jedna wielka nadrzędna myśl wypieszczona kompleksem szarości: — „W gazietu popaść” — dostać się do gazety, być znanym, być zapraszany, być kimś o kim mówią, za wszelką cenę. Za wszelką cenę odróżnić się od stuosiemdziesięciomilionowej popielatej masy towarzyszy.

Wasia jeszcze nim otworzył oczy pokiwał głową z uznaniem. Wymontował zegarek z gęby i orzekł że dobry. Ale od tego się zaczęło. Inni też chcieli słuchać. Nie tak od razu. Na drugi albo na trzeci dzień przychodzi ktoś do Wasylicza i wprasza się słodko: — „Fiodor Wasylicz po przyjaźni z łaski swojej daj mechanizm pokosztować”. A Fiodor Wasylicz odstawia oliwiarzkę i kręci głowę niby że to mu się naprzykrzają ale już ściąga z ręki swoje „czasy” i wysuwa pasek z uszek donitowanych do cebuli. Mówi: — „Masz, ale zębami proszę nie kłapaj bo szkło rozgryziesz”. Jednego dnia jak gdyby się spostrzegł i zwraca się do mnie: — „A ty co, nie chcesz słuchać mojej maszyny?” — Więc mi nie wypadało, że ja to co „jakiś hrabia”, albo taki dumny, że go nie proszę. No i melduję zegarek w usta; prawie się dławię, ale zatykam uszy palcami i słucham. Język mi chodzi po zegarku to na górę, to na dół, nie może sobie znaleźć miejsca. Zakrztusiłem się śliną i omal nie wypłułem cebuli w lokomobilę. W ostatniej chwili zdołałem jednak odetchnąć przez nos i jakoś mi przeszło. Łzy stanęły mi przy tym w oczach i może nieco przybladłem, bo Fiodor Wasylicz orzekł: — „Ależ ty tym ryjem kręcisz, „znać” żeś nieprzyzwyczajony. Wrażenie co?” — Pokiwałem nawet potem głową potakując resztką sił. Fiodor kontynuował: — „No widzisz że dobry. Takich chyba u was w Polsce nie robili, ha? — Kirowska fabryka”. Potem już regularnie co trzy dni prosiłem Fiodora Wasylicza: — „Daj próbować zegarek”. — A on, zanim mi go wręczy, nakręca go do pełna z dużą ceremonią. I taki raban wy czynia śrubując tym kluczykiem jakby bił z trzaskiem paznokciami kompanię wszy jedną za drugą. — „To nie zegarek”; — mówię — „taż to cała fabryka”. A on uśmiecha się tylko do mnie podając mi cebulę w dwóch palcach kalekiej ręki. — „Na!”

— mówi — „Kosztuj tę moją fabrykę, smakuj”. Biorę i ocieram o zatłuszczone spodnie i o rękaw, bo inni trzymali go przed chwilą w gębie i może zegarek jest zaśliniony. Widzi to Fiodor i przygania mi: — „Coś ty taki higieniczny? Tu nie apteka, tu zarazków żadnych nie ma. Były i wymarły... Zresztą powinni cię byli uczyć w szkole, że bakterie giną od spirytusu, wystarczy chuchnąć. Właśnie wczoraj go „dawali” — dwie beczki. Więc choćbyś chciał nie znajdziesz zarazka na całej kopalni”. — Trzymam „czas” w zębach, „cykam” aby zrobić próżnię, ale teraz jestem już weteranem i więcej się nie krztuszę. Zamykam oczy „z lubością” i kiwam głową z uznaniem. Wszyscy tak czynili przede mną. Nie wiem czy mechanizm ma tak chodzić, czy inaczej: głucho, czy z delikatnym echem jak kowadełko. Nigdy w Polsce nie pakowałem zegarka do gęby. Nikt o tym nie wspomniał na wykładach fizyki, ale nie chcę być teraz inny niż inni. Jak twierdzą, że jest dobry, to na pewno tak jest i tak musi być. Dzwoni mi w uszach od tego cykania i stuka w mózgu: — „Tik-tak” jak gdyby mnie ktoś uderzał młoteczkiem po czaszce... Otwieram oczy i widzę rozanieloną minę Fiodora wpatzonego we mnie. Znowu ocieram cebulę o spodnie. Tak, mówią, czyni dobrze wychowany człowiek i oddaje „czas” właścicielowi. Wyciągam przy tym do góry prawy kciuk i robię lewą ręką gest jakbym go solił. To znaczy: pierwsza klasa „z przysypką”. Podobno jest to chiński gest i mały palec na dół znaczy po chińsku: „do d...”. Pierwsza klasa z przysypką, nie może być już nic lepszego. Fiodor Wasylisz obiecał, że mnie wyksztąci na palacza, a może i na maszynistę. Musiałem więc „ułagodzić” go tym zegarkiem. Zresztą człowiek się przyzwyczaja i dopatruje poniekąd urozmaïcenia. Nawet z braku innych widzi w tym próbowaniu zegarka przyjemność.

Fiodor Wasylisz uczył mnie za to jak układać jednym rzutem drzewa na palenisku, zamykając drzwiczki za każdym razem, aby nie chłodzić ciągu. Uczył mnie także jak przewidywać kiedy manometr „wyskoczy z ciśnieniem”, żeby potem nie trawić niepotrzebnie nadmiaru pary: — „Włożysz teraz o jedno polano za dużo, a ciśnienie przejdzie przez czerwoną kreskę dopiero za pięć minut. Musisz mieć myśl „gumową”, przewidującą. Albo nie dokładaj polana, albo zamknij „cug” na czas, aby zmniejszyć płomień, albo wtryskuj wodę — pompuj. Człowiek bierwionami gra w szachy przeciwko kotłowi. Jak jest za dużo pary, albo za mało, to znaczy, że człowiek przegrał. Jak trzyma go w ryzach w sam raz na tej samej kresce, to znaczy, że palacz opanował kociół, wygrał i maszyna go się boi. Czasami „dla ważności” i aby pokazać władzę nad lokomobila, Fiodor Wasylisz otwierał przepustnice do cylindra i wtedy przerobiona para zamiast uchodzić do komina, gdzie robiła ciąg, wpadała z okropnym hałasem do izby.

„Ciach-ciach-ciach...” i w sekundzie w całej elektrowni było ciemno od gorącej mgły. W tej parze potęgował się tak straszliwy szum, że zdawało się wszystkim iż lokomobila rozwała się na kawałki. Fiodor Wasylicz używał tego aby straszyć Jakutów-przevoźników. Wstępowali niekiedy do elektrowni aby popatrzeć na maszynę, gdyż nigdy w życiu nie widzieli. Wtedy Wasylicz podsuwa się do nich z uśmieszkim niby gościnnie: — „Kapsie, kapsie”. — Co znaczy po jakucku: — „Mów”. Znaczy to także coś więcej: zaproszenie do dialogu, do towarzystwa, pokojowa wymiana wrażeń. „Kapsie” — to prawie ceremonia: — uznanie drugiego człowieka za godnego rozmowy, czyli równego sobie. I wtedy Jakuci także do niego: „kapsie” i on do nich znowu: „kapsie” i tak to kapsiekowanie odchodziło w nieskończoność, gdyż Fiodor nic więcej nie umiał „po ichnemu”. Jakuci i tak cieszyli się tym jak dzieci, bo sam maszynista do nich „kapsie” czyli to znaczy, że im: „paczot i uważenje”. Taka to już jest nasza ludzka natura, że chcemy gadać; a jak się nie możemy wygadać to nam zaczyna źle w głowie kukać. Jakuci też ludzie, u nich to samo tylko jeszcze gorzej, bo samotni, tygodniami w podróży przez tajgę, nie mają gdzie trzymać tych słów i wrażeń, które im się nazbierają i nie posiadają na to garbu jak wielbłąd. Więc Fiodor Wasylicz mówi do Jakutów: — „Kapsie” — rozmawiajmy i pokazuje im zegarek. Niektórym to nawet przykłada cebulę do ucha i niespostrzeżenie podprowadza całą grupę ku lokomobili. Przysuwa ich coraz bliżej z szatańskim uśmieszkim, ustawia „odpowiednio”... A potem znienacka otwiera równocześnie przepustnice od cylindrów i gwizdek alarmowy. Nagle robi się w elektrowni taki raban jak koniec świata. Para syczy i bucha straszliwie pod ciśnieniem na przemian to z jednej, to z drugiej strony cylindra jak od smoka z dwoma głowami. Gwizdek przeraża przy tym okropnym wyciem przeszywając uszy bólem dźwięku nie do zniesienia. Jakuci, objęci w mgnieniu oka nieznanymi przerażającymi głosami i obcą im parzącą mgłą zaciemniającą światło i gubiącą w sobie ludzi, zacierając kłębami resztki znanych konturów, skaczą oślepieni ku światłu i wywalają sobą duże oszklone fabryczne okno w panicznym strachu spłoszonych zwierząt. Na podłodze walają się kawałki szkła i trzeba zabijać tymczasowo deskami dziurę po oknie.

Fiodor „wykiął” taką sztukę dwa razy, aż w końcu naczelny inżynier Podlegajew musiał go zdrowo objechać i grozić karą za sabotaż z konsekwencjami na Kołymie. Podlegajewa było słychać na cały posiołek jak „rugał” Fiodora, bo „naczelny” był chłopem dwumetrowym i wydawał ze siebie głos jak przez tubę od patefonu. Oczywiście zaczął od matki Wasylicza i jej moralności; nie szczędził przy tym szczegółów. A na końcu powiedział: — „Nie

chodzi mi o Jakutów pies z nimi tańczył, ale Władza Sowiecka nie może nastarczyć okien na te twoje zabawy". — I rzeczywiście nie było okien na całej kopalni i trzeba było „zaplanować” a potem przywozić tutaj ramę oraz szkło, kilkaset kilometrów saniami. Fiodor burmuszył się, ale tylko wtedy gdy się skończyły pokrzykiwania Podlegajewa a on sam zniknął za elektrownią aby się gimnastykować na drążku co było jego codziennym zwyczajem.

W obecności „naczelnego” Fiodor nie śmiał odpyskowywać a nawet zmieniać głupiego wyrazu twarzy. Usprawiedliwiał się naiwnie przede mną: — „Słyszałeś jak ten sukinsyn na mnie krzyczał? Jest zazdrosny o zegarek. Stracił „monopolię”. Ale groźby Podlegajewa pomogły i Fiodor Wasylicz dał spokój Jakutom. Jedynie jak ich widział to go tak roznosiła chęć, żeby im wyprawić jakąś nową sztuczkę, że trzęsły mu się ręce od poskramianych nerwów. Wtedy nie mógł zwinąć z gazety, jak zwykle dwoma palcami, machorkowego papierosa, aby nie uронić sieczki. Musiał rolować stożek z papieru, zaginać rożek i sytać siekanekę do takiej fajeczki. Burczał przy tym: — „No widzisz Sasza jaka to ochota mną poniewiera. Puściłbym sobie parę niech mnie szlag trafi, ale szkoda okna i będzie znowu zimno przez dwa miesiące. Och — stękał — człowieka żalność ogarnia. Ciemno, zimno wokoło, bab nie ma i rozrywki wzbraniają. Skuka takaja”. Czasami kurował się z tej rozpaczki czystym spirytusem, często razem z palaczem Pawluszą. Pośpiewali wtedy na głosy i chcieli także mnie wykie rować na Szaliapina. To im się nie udawało, bo ja śpiewałem ostatnim razem bardzo dawno, jeszcze w Polsce i to tylko „drugim głosem” jako aniołek na jasełkach w Jarosławiu. Potem szli grzecznie spać pod warsztat a ja zastawiałem ich polanami „od widoku”. Fiodor zanim schował głowę pod stół, odchyłał nieco kłode i sepleniąc od wypitego alkoholu, klarował mi ostatnie uwagi: — „Ty Sasza zawsze pilnuj czerwonej kreski; bo jeśli się zatnie wentyl bezpieczeństwa i to draństwo pieprznie, to będą nas po kawałku zdejmować z belek i kolekcjonować do wiaderka”. — Wiedziałem, że już dawno nie walcowano rur w kotle naszej lokomobili zrobionej w Tule na początku stulecia, więc „i rzeczywiście” mogło się nam coś „przydarzyć”.

Przychodził wprawdzie kilka razy dziennie kierownik techniczny, zastępca głównego inżyniera i niby sprawdzał czy wszystko w porządku, ale on „nie miał władzy nijakiej” nad „zmęczonym” wentylem, a nowego nie było można dostać z Jakucka, bo nie był „zaplanowany”. Fiodor Wasylicz mówił: — „Ten wentyl musi chyba leżeć w Moskwie na półce i czeka na następną pięciolatkę. Dopiero jak nas tu rozerwie to się ucieszą, że znaleźli powód i kogoś tam wsadzą”. Jak się szamotka wykruszyła w pale nisku, to kierownik techniczny radził wlepić zwykłą glinę, bo nie

było wyboru. — Ognioodporna glina była zaplanowana dopiero na przyszły rok. „Smykałkę” — mówił — „trzeba mieć. Ruski smykałką wszystko potrafi”.

... Albo inżynier Podlegajew, który dostawał pierwszy na kopalni przedawnione od miesiąca gazety z Jakucka. Do Jakucka było ze sześćset kilometrów pieszo przez góry i rzeki — ale nie o to chodziło. Podlegajew chciał „w gazietu popaść”. Wyczytał w *Prawdzie*, że jakaś dojarka z kołchozu: „Imienia 15-go Zjazdu Partii” wyprodukowała 36 i pół świni z jednej maciory. „Zachapała” za to order „Czerwonego Sztandaru” i partia mianuje ją posłanką do „Wierchownego Sowietu”. Więc Podlegajew chciał też. Wysłał ślubowanie do *Jakuckiej Prawdy*, że dla uczczenia święta „Oktjabrskiej Rewolucji” zbuduje mechaniczne sanie, które będą chodziły po śniegu własnym napędem. Ukazał się zaraz artykuł w gazecie pod tytułem: „Znowu Wynalazek Sowieckiego Inżyniera!” Pisali tam, że zasługa za ten wynalazek „spada” na komsomoł, który „wychował inżyniera” i także ile to tych „sań Podlegajewa” zbudujemy w przyszłym planie pięcioletnim. Powiedziano: — „Na saniach Podlegajewa wszyscy kołchoźnicy będą się „katać” i nie będzie więcej wsi odciętych w zimie od świata”. Gazety zawsze pisały jakie to przyjemności czekają na nas w następnym planie pięcioletnim. Nikt i tak w to nie wierzył i ludzie zwykli mówić na to „fikcja naukowa”. Ten artykuł już poźółkły wisiał u nas za drucianą siatką w szafce ogłoszeń zamkniętej na kłódkę, żeby nikt nie gwizdnął wycinka gazety na machorkowego. Tymczasem sań ni słychu ni dychu. Jednak po jakimś czasie Podlegajew jakby się ocknął i zaczął „palić na nas” z tymi saniami „na urra”. Wytargował z innej kopalni mały jednocylindrowy motorek do napędzania radia, wbudował go w zwykłe dziecinne sanki i umieścił z tyłu płaskie zębate koło. Sam wyrąbywałem to koło ze stalowej blachy. Wiedziałem z góry, że z tego nic nie będzie, bo koło przerznie śnieg jak tarczowa piła i nie popchnie sań. Całe obliczenie było jak widać do... duszy.

Po pierwszej nieudanej próbie Podlegajew kazał dorobić drugie koło i wstawić pomiędzy nie poprzeczki. Sanki wyglądały z tyłu jak model rzecznego parostatku, albo pomniejszony wodny młynek. Ale i to nie zdało się na nic, bo słaby motorek nie pociągnął koła. A jak usiłowano się turlać na tych sankach z góry na dół dla rozpędu, to tak się trzęsła dolna szczeka kierowcy, Iwanowi Nikityczowi, od tego podrzucania łopatkami całego wehikułu, że dał spokój po drugiej próbie, a i to mówili, że trzymała go potem czkawka jeszcze dwa dni. W końcu próbował sam Podlegajew, ale ponieważ ważył około dwustu kilo to wbił cały pojazd w śnieg jak tylko na nim usiadł i tak to się skończyło jego ślubowanie. Zostawili sanie tam gdzie stały, aby zardzewiały, i

została tylko wzmianka w gazecie, a to było dla Podlegajewa najważniejszym osiągnięciem: „w gazietu popaść” — z morza szarości.

Biegnę na nocny dyżur w elektrowni po wąskiej ścieżce wytłoczonej w śniegu powyżej kolan. Ścieżka wiję się ostrymi zakrętami wzdłuż doliny. W rękawicy trzymam sznurek z dyndającym na nim słoikiem, w którym pali się świeczka. Lampka dużo nie oświetla, może na dwa trzy kroki, tyle aby było widać ścieżkę. Zresztą jakby światło latarki było silniejsze to i tak nic by nie było widać bo jest mgła. Mgła zawsze podnosi się ze śniegu jak jest poniżej 50-ciu stopni Celsjusza. Jak wychodziłem z chałupy było minus 60, albo zimniej, bo termometr mierzył tylko do 60-ciu a potem cały spirytus wchodził na dół do kulki i nic już więcej nie było widać. Nie mam „walonek” i zwykłe buciki palą stopę gumową podeszwą. W takim mrozie podeszwa twardnieje, zamienia się w dyktę — nie, nie w dyktę, w parzącą blachę. W takim mrozie nie potrafimy odróżnić odczucia zimna i gorąca. Zmysły nas oszukują. W takim mrozie nawet myślenie jest wysiłkiem i tylko instynkt przetrwania kieruje nami jak zwierzęciem. Nie zauważam nagłego zakrętu ścieżki i ponosi mnie prosto w śnieg. Upadam w puch i gubię w nim słoik ze światłem. Wbił się gdzieś w miękką masę i zgaśł. Stoję w kompletnej czerni. Robię powoli krok do tyłu — nie trafiam na ścieżkę. Jeszcze krok, dwa... zagubiłem kierunek? Może ścieżka jest na prawo? Krok w prawo — nie ma ścieżki. Z powrotem. Macam nogą po lewej stronie — puszysty śnieg pod cieniutką warstwą szreni. Nie ma ścieżki. NIE MA ŚCIEŻKI. Liczę ile kroków zrobiłem do tyłu, ile do przodu. Stoję zupełnie ślepy po kolana w śniegu, w mrozie, który zabija powolną torturą. Nikt nie wie co to jest minus 60 stopni. Mózg zamarza. Trzeba wysiłku woli aby myśleć logicznie i działać logicznie. Widzenie świata, rozumowanie, decyzje, to co czyni nas człowiekiem myślącym, to wszystko zawęża się do reakcji nurka ogarniętego paniką na dnie wrogiego oceanu, który poruszając się jak na zwolnionych obrotach walczy o życie i nikt nie wie jak trzepocze się jego serce, aby myśl z mózgu wykałatać. Słyszę gdzieś głosy ludzkie z doliny. W takiej zimnej mgle głos niesie kilometr, dwa, jak w wodzie. Zdaje mi się, że to tuż, tuż, koło mnie rozmawiają ludzie. Mogę krzyczeć. Może mi odpowiedzą... Ale kto mnie tu znajdzie. Jak im opisać gdzie jestem. Głos zwodzi, nie daje określenia kierunku, obejmuje naokoło. Jutro rano. Tak! Jutro rano, a dzień ma tylko 4 godziny światła, znajdą mnie metr od ścieżki, zamarzniętego. Panika ślepego. Głupio jest umierać metr od ścieżki. Jaka różnica czy śmierć jest śmieszna, czy bohaterska. Jeśli nie będę się poruszał, zamarznę za godzinę; jeśli będę się gimnastykował, to może wytrzymam dwie

— trzy godziny, ale i tak odmarzną mi nogi i ręce, będą amputować, widziałem takich. Do rana w polarnej nocy jeszcze 14 godzin. Nie mam szans. Jeszcze raz próbuję moich śladów po śniegu. Nogi, zdrewniałe jak dwie zamrożone kłody, nie czują nawet śniegu. Stąkam trzy kroki do przodu — wracam do punktu wyjścia. Trzy kroki na bok... — ŚNIEG. Wracam. A może nie wracam do tego samego miejsca? Nie wiem. Może zamiast krzyża chodzę w gwiazdę, lub spiralę i oddalam się od ścieżki życia coraz więcej. Grunt jest tu płaski, prawie dno doliny; nie wiem gdzie góra, gdzie dół. Chcę żyć, tak chcę żyć. Stopy już dawno przestały parzyć. Ktoś kiedyś powiedział: — „Jak czujesz, że już nic nie czujesz, to koniec”. Jeszcze raz próbuję chodzenia na krzyż. Jeśli tym razem nie znajdę ścieżki, będę skakał w miejscu, aby żyć jak najdłużej. To nieprawda, że człowiek przed śmiercią widzi film swego życia. Może to tylko w gwałtownych wypadkach. Mróz mnie tak objął, że mój aparat projekcyjny, który miał ten film wyświetlić, zamarzł i widocznie się zaciął. Nie widzę żadnego filmu. Nie przychodzą do mnie żadne wspomnienia. Nie wspominam rodziny, dzieciństwa, nie potrafię. Nie potrafię pomyśleć jak się nazywam, nawet dlaczego chcę żyć. Nie myślę, zamierzam. Coś się we mnie trzepocze jeszcze, jakaś wola czołgającego się zwierzęcia. Cztery kroki — trudno mi liczyć, cztery kroki naprzód. — Wracam pięta w piętę. Przegrałem. Mróz mówi: — „Przegrałeś — poddaj się”. Już nie ma nawet strachu w pustej duszy. Czego się bać, po co się dręczyć. Jestem umarły. Byłem umarły pięć minut temu i piętnaście, kiedy wleciałem w śnieg jak zając, który wpadł w sidła. Patrzyłem dzisiaj rano na zająca jak się szamotał w mojej pętli i wiedziałem, że on jest umarły. Wróciłem po niego po pół godziny aby go zabrać zamrożonego. Cztery kroki na bok... Wysuwam nogę jeszcze trochę, nie... nie ma oporu śniegu. Jest ścieżka. Nie wierzę. Nie. Jest, naprawdę. Chcę zmusić siebie do biegu. Nie mogę podnieść nóg-kłód. Stukam nimi po ścieżce, biegnę, biegnę sztywno jak jakiś Frankenstein. Nie wiem czy biegnę w stronę mojej chałupy, czy elektrowni. Odmrożone stopy nie reagują na teren. Ślizgam się i padam sztywno całym zdrętwiałym ciałem, jak manekin. Byle nie w śnieg. Tylko nie zgubić ścieżki. Dwa zakręty w dół, jakby znajome. To chyba biegnę w stronę elektrowni. Głos lokomobili jest cały czas przy mnie. Głos może zwodzić. Widzę jednak światło we mgle. To elektrownia. Otwieram drzwi łokciem, bo dłonie są martwe. Fiodor Wasylicz przecina mi sznurówki kozikiem i niezgrabnie zrywa z oczu, narośnięte od oddechu sople lodu, razem z rzęsami. Mówi: — Śniegiem ich ty te nogi, śniegiem trzyj, bo gangreny w palcach dostaniesz. — Może posmaruj oliwą z maszyny; dobrze zrobi”. Podwinął się Wasia Dzygowski i się odzywa: — No co, Sybiru nie lubisz co?”

— mówi. — „Gorąco, nie? A teraz biegaj po izbie boszo zanim zaczniesz płakać z bólu. Jutro raniutko melduj się do szpitala, może uratują ci stopy”. Biegam po elektrowni od maszyny do warsztatu. Coraz wyżej unoszę nogi, coraz wyżej, jak wiedeński konik w cyrku...

Dopiero o północy wtacza się do elektrowni Kola Miedwiediew. Kola, mały człowieczek w dziurawym brudnym futrze — „szubie” sięgającej do ziemi, wygląda z daleka jak prymitywny zardzewiały, blaszany dzwon, taki jaki chłopci wieszają krowom na szyi. Fiodor zwykł powtarzać Koli: — „Ty, Nikołaj Pawłowicz, wyglądasz w tej szubie jak jakaś tumba”. — Nikt nie wiedział co to znaczy „tumba”, ale to tak już się przyjęło i inni powtarzali: — „Ten nasz Kola wygląda jak jakaś tumba”. Cały przód dziurawego futra zasłania olbrzymia rozłożysta czarna broda, „tatarska” jak ją nazywa sam Kola. Ciągłe mi się zdaje, że rozmawiam nie z Kolą, ale z tą jego brodą i oczyma schowanymi za maską włosów. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić czym byłby on bez tej brody. Na pewno nie rozpoznałbym go nigdy bez niej. Kola jest dyżurnym elektromonterem; przychodzi zmienić Wasię Dzygowskiego. Po prostu Wasia zabiera swoje futro na którym leżał rozwalony na warsztacie i Kola rozkłada swoje. Mówi do Wasi: — „Znaj dobrego człowieka. Umyślnie przyszedłem dziesięć minut wcześniej, zlitowałem się nad twoją Marusią — czeka rozparzona abyś ją mitygował” — i rechocze. Wasia śmieje się też. „Załapał” naszą polską dziewczynę i zawsze się ze mnie nabija: — „Widzisz” — mówi Wasia — „my Ruskie wiemy jak to z babkami postępować”. — Mówił: „babionki” na dziewczyny. — „Przywalimy grzecznie kułakiem po głowie, bo one „babionki” lubią prawdziwego mężczyznę. Popłaczą, ale pokochają. A wy „Paliaki” nic, tylko ślinicie je po rączkach. No i widzisz kogo dziewczka grzeje — mnie a nie ciebie”. I odchodził w ciepłe łóżko z dziewczyną, wlokąc szubę po podłodze, jak torreador, który zabił byka na arenie. Kola kiwał wtedy bojarską brodą czyniąc przy tym niemoralny gest i stwierdzał: — „Powiozło chłopakowi, nie ma co gadać. Ma podejście, a może przymanił ją na jakiegoś „wabia”? Ludzie nasypią coś do herbaty i dziewczyna twoja, dziewczica czy nie. Nazywa się to to hiszpańska mucha. Jest także wyciąg z krzyża bobra. A Kitajcy, ci to mają taki korzeń Zeń-Szeń; sprzedają go drożej niż złoto. A także sproszkowany róg roga-cza „panty” — ale to może więcej dla mężczyzn co już nie potrafią dokazywać”. I Kola rozmaszcza się na szubie burmusząc resztę uwag do siebie. Na wypadek „awarii” ma ciągnąć zerwaną linię i naprawiać duże spalone wyłączniki na tablicy rozdzielczej a ja mam mu pomagać. Kola czeka na jakąś bohaterką robotkę i zawsze pcha się od tyłu do tablicy pod prądem. Fiodor wtedy

krzyczy: — „Uważaj cholerski Tatarze, twoja broda zaśmierdzi mi całą elektrownię jak się będziesz palić — „zawoniajet” a ja nie lubię smrodu”. „Spali, nie spali, ale człowiek dostanie wyróżnienie”. — mówi Kola i wyciąga zmięty kawałek gazety, który gdzieś chował pod kołnierzem futra. — „Widzisz, tu pisać o palaczu co to żywcem włożył do gorącego kotła aby walcować rury. Zaoszczędził „przestój” całej elektrowni. Docucili go w szpitalu i będzie chorować jeszcze pół roku, ale chłop doczekał się druku w *Jakuckiej Prawdzie*”. Nie wiem Kola żartował, czy naprawdę był przejęty tą wzmianką; Stwierdziłem jednak w końcu, że wszystkie „małe robótki”, któreśmy wykonywali razem z nim „nie wchodziły w uwagę” ponieważ nie były „gazetowego pokroju” i dlatego robiło się je byle jak. — „To wszystko trzyma się na soplach” — mówił Kola, czyli było klejone smarkiem. — Ale i to dobre. Niewaaazne, byle do wiosny. Musieliśmy w nocy wywalać się z ciepłej izby aby drapać się po słupach i wiązać druty zerwane od mrozu. Kola kłął wtedy głośno, ja też. Wisieliśmy w ciemnościach na drewnianych słupach stwardniałych od zimna i mózg zamarzał w polarnej mgle. Słyszałem jego głos wyzywający swoją własną i moją rodzinę, „rugający” Boga i stachanowską produkcję, która wypuściła takie kruche przewody, „judzący” mnie, jeśli nie mogłem się przedrzeć wyżej do szczytu na moich słupolazach, poprzez zawieszony w połowie wysokości, grodzący mi drogę, krzyżak z płataniną przewodów komunikacyjnych. Na słupie jest tak zimno, tak cholersko zimno, że uwaga zawęża się, jak skoncentrowany promień reflektora, tylko do najistotniejszych rzeczy. Zrobić swoje i przetrwać. Słupolazy kute przez miejscowego kowala, mają jedynie trzy tępe zęby zamiast dwunastu. — „*Nie хочysz nie bieri, drugich niet*”. — Tępe zęby nie łapią, nie czepiają się słupa, nie wciskają w drzewo pełne zamarzniętych na kamień soków. Wczoraj słup był jeszcze żywym modrzewiem. Kola, zawieszony gdzieś wysoko w ciemnej mgle, dorzuca: — „Uważaj, górna linia żywa, prądowa”. Wiszę odchyłony na pasie jak zbieracz kokosów na palmie. Widziałem to na jakimś filmie o wyspach Samoa. I nie widzę nawet w tej mgle białego izolatora tuż nad moją głową. Byle by nie spaść sobą drutów. 220, 260 volt. — Prąd nim spali, przyklei mnie do siebie. Boże, czego mnie tak męczysz. Za jakie grzechy. Odchylam się jeszcze więcej i unoszę wysoko słoik ze świeczką. Rękę trzymam od dołu na dnie słoika i macam nim nad sobą delikatnie jak ślepiec, aby nie dotknąć jakiegoś drutu. Jeśli „coś”, może szkło mnie odizoluje. Czy też kiedyś przestanę się bać śmierci jako Kola? Zdrętwięję psychicznie jak on i uświadomię sobie jak on, że nic w życiu mnie już więcej nie czeka? „Odżyłem się dość”. Jak to on mówi. I stanę się nieczuły na wizję tortur — smrodu palonego prądem własnego

ciała. I życie przestanie być cenne dla mnie, tak jak on i inni przestali je cenić w tym piekle. Mam strupy na nosie od ciągłego tarcia wierzchem rękawicy, bo nos przyłapało odmrożenie. Człowiek jest doświadczony. Zna swoje ciało jak fakir i wie kiedy to „już” jest odmrożenie. Wiesz, że nic już nie parzy i „to jest to”. Nie można wiązać miedzianych, czy aluminium przewodów w grubych rękawicach. Trzeba je dotknąć gołymi palcami pokonać piekący ból natychmiastowego odmrożenia. Potem będzie ból ciepła i za kilka dni ściąga się skórę z palców jak strupieszale części starej rękawiczki.

Jednego dnia zerwałem się ze słupolazów, bo słup, przytrzymywany na dole tylko zamrożonym lodem, a nie wkopany, postawiony „na urra” byle prędzej, zaczął walić się razem ze mną zawieszonym u szczytu i nagle zatrzymany na naciągniętych drutach strząśł mnie ze siebie jak wiewiórkę. Leciałem na dół bełtając się na pasie i obijając o drzewo jak zabawka. Usiłowałem „obłapać” słup nogami i ścisnąć, aby przyhamować upadek. Zemdlałem na śniegu, a Kola rechotał ze śmiechu i nie przestał rechotać jak mnie docucili. — „Myślałem” — mówił — „że ty te swoje „generalia” zostawisz na sęczkach jakieś hamował jajami. Dobrze żeś miał watowane spodnie. To ci uratowało męskość, bo byś nie mógł po tym nigdy więcej dzieci rodzić”. — Ty Kolka — mówię — pies ci brodę trącał. Widzisz, że człowiek jest tak „przytrafiony” i jeszcze się z niego nabijasz?!? Niech cię nie znam. — Nie mogę się wydzierać, szepczę: Niech cię nie znam. Takich koleżków nie potrzebuję. Idź — mówię — do swojej takiej siałej mamusi pilnować jej przyrodzenia. I znowu mdleję z bólu.

Kola taska mnie do domu na plecach i na zmianę prowadzi trochę pod ramię. Mówi: — „Nic ci nie będzie, to tylko potłuczenie. Ja sam spadałem trzy razy”. — Mówi: — „Ty Sasza nie złość się na mnie, ja nie śmiałem się ze zła. Taka to już jest człowieka głupia natura, że go trzęsie śmiech, jak ktoś upada. Nic nie można na to poradzić. Człowiek ma w sobie takiego jakiegoś „chichota” i nie ma sposobu aby nim dyrygować. Ty lepiej wy-mocz w szafliku uszkodzone części, albo idź do „bani” potem jak się odleżysz. To jest lepsze niż szpital, bo tam cię wykończą. Bania jest lekarstwem na wszystko, nikomu nie zaszkodzi”.

Jak nie było nic do roboty Kola zbierał słowa. Leżał rozwalony na szubie i sylabizując wodził palcem po starych gazetach i książkach. Nie ważne co, bo jemu nie chodziło o treść. Kola kolekcjonował słowa. Co mu się „przytrafiło” jakieś „fikuśne” słowo to je zapamiętywał. Siedzi Kola na futrze baranim, „ślinia-czy” palcem po gazecie sylabę za sylabą, a Fiodor Wasylicz pod-suwa się do niego z oliwiarką w ręce, co noc ta sama historia. Fiodor zaczyna z przesadną grzecznością: — „Może wam Nikołaj

Pawłowicz naoliwić palec bo skwierczy po tej gazecie, to szybciej było nie było będziecie czytać?” — A Kola na to: — „Zamknij kłapacz ty mózgu nieuczony, pilnuj swojego manometru. Ty mnie krowodoju nie ucz kultury. Ty prymitywie absolutny...” A na to mu Fiodor Wasylisz odpowiada: — „Broda 'u ciebie' bojarska, a duch chłopka. Patrząc na ciebie można by się naciąć. Myślałby człowiek, że to ktoś”. I tak przez pół nocy „odchodziły” te dialogi na zasadzie „dawaj pasporim”. Fiodor mówi: — „Ty 'musi' w 'bani' to chyba zamawiasz dwa szafliki,... jeden dla brody”; albo — „Ty chyba na tej brodzie to tylko czarne wszy hodujesz, przyznaj no się”. — Albo powiada: — „Kolka! Ty przestań ruszać tą brodą bo wiatr robisz nieprzyjemny, pachnie nieładnie”.

Kola dochodzi do słowa: — „ambiwalentny”, albo „enigmatyczny” i mówi jakby sam do siebie: — „Ładne słowo, trzeba zapamiętać”. Albo słowo: „muskatołowy”, albo: „amalgamat”, albo: „kalambur”. Kola uśmiecha się sam do siebie. Ładne słowo „kalambur”. „Wczoraj” — powiada — „złowiłem też ładne słowo: „paradoks”. „Paradoks?” — pytam — „Wiesz co to znaczy?” — „Nie ważne” — odpowiada Kola — „Nie ważne. Po prostu ładne słowo”. — I powtarza je parę razy. Trzyma je w ustach jak gumę do żucia: — „Paradoks, pa-ra-doks”. Zmienia odcienie i zamienia uderzenie na sylabie — skanduje: — „PARADOKS, PA-RADOKS...”.

„Dzisiaj” — mówi — „znalazłem inne piękne słowo: „Analogiczny”. Sylabizuje: — „A-NA-LO-GICZ-NY”...

Kola zbiera słowa jak znaczki pocztowe i notuje je sobie w głowie. Może jest w tym instynkt filatelisty? — Nie wiem. Może. I tak usiłuję to sobie wytłumaczyć, jest w tym jakieś prarosyjskie zamiłowanie do mistycyzmu, albo coś w rodzaju: „a imię jego czterdzieści cztery”, czy kabały lub tłumaczenia przez mędrców poszczególnych słów Talmudu. Ucieczka do mistycyzmu. Jesteśmy na kopalni złota 600 kilometrów pieszo od „wielkiego” miasta Jakucka. Odcięci od świata śniegami nie do przejścia, strzelającym z mrozu lodem na rzekach i łańcuchami gór bez nazw. Nie ma nas na mapie. Jest tylko biała karta: *Terra Incognita*. Jedynie przez trzy miesiące w roku można się do nas dostać, lub stąd wyjechać. Na dnie zmarzniętych dusz kołaczą się marzenia o tym wielkim świecie „tam na dole”, na południu: „w żywuchie” — Jakucku, Moskwie a może i Krymie. Równocześnie jednak tamten świat jest identyfikowany z bezprawiem i gwałtami. Moskiewskie procesy, pukanie do drzwi, tajna policja. W tym świecie tutaj, na północy, trzeba płacić cierpieniem mrozu, wiecznej nocy, samotności i nostalgii za tę ułudę większej swobody. Ale i tak zaaresztowali kogoś w najbliższym osiedlu, bo „przejeździł się” po pijanemu. Kto wokół nas jest donosi-

ciem? — Nikt nie wie. Można grać w rosyjską ruletę jak samobójca z bębenkiem rewolweru. Jest tylko jedna kula w bębnie sześcioprowadzonym naganu. Powiedz dowcip zamiast przykładać lufę do skroni. Będziesz aresztowany albo nie. Rosyjska ruleta — jeden na sześciu musi być szpiclem. Wykończy jak kula w naganie. Kto jest niewypałem, a kto denuncjatorem? Komu tu wierzyć i gdzie uciekać. W *Izwiestiach* na drugiej stronie duży artykuł: — Organa Władzy aresztowały w Moskwie „człowieka”, niejakiego Jewgeniego Aleksandrowicza Pietuchowa, który miał w domu trzy zegarki. Żaden normalny obywatel Związku Sowieckiego nie potrzebuje trzech zegarków. Jewgenij Aleksandrowicz Pietuchow został za to skazany przez „Sąd Specjalny” na pięć lat „odosobnienia” i przymusowe osiedlenie po wykonaniu kary... „I” — pisały *Izwestia* — „niech to będzie ostrzeżeniem dla innych wrogów narodu, którzy spekulują na krwi i uczciwie zarobionych pieniądzach sowieckiego robotnika i chłopca, wykupując towary rynkowe i powodując ich stały brak w sklepach państwowych. To samo za dwa funty herbaty wiezionej w pociągu przez Annę Żemczużenko z Chabarowska. Rok „tury” i zesłanie. W Jakucku, „niedaleko”, rozstrzelują regularnie za byle co. Gdzie uciekać? „Wczora on balszoz naczałnik a siewodnia w turmu”. — Nie znasz dnia ani godziny. Posadzą cię za to żeś nośił krawat, albo za to żeś milczał, bo to podejrżane, za to, że byłeś sąsiadem człowieka, którego już posadzili. Wszystkie „powody” są dobre aby NKWD wykonywało „ponadplanowo kontyngenty wyaresztowania”. Dwa nowe języki wzbogacają kulturę narodu. Język enkawudystów i język więźniów. Ci pierwsi, gdy zadają tortury nazywają to „rozpracowaniem śmieciarza”. Więźniowie polityczni przyswajają sobie język urków-złodziei. Mówią „bałanda” na zupę i „szpajer” na rewolwer. Cała Rosja uczy się na gwałt... języków... A jeśli nie siedzą, to też żyją w niepewności, bo może jutro znowu obwieszczą wymianę pieniędzy i to co masz nie będzie niczym nawet ta odłożona głodowaniem kupka rubli na kupienie butów. Gazety kłamią, wszyscy o tym wiedzą. Powstał nawet zawód „czytacza spomiędzy linii” — człowieka, który potrafi interpretować kręactwa prasy. Bo to jest kolosalna różnica czy piszą: „Marszałek Timoszenko podał prawicę towarzyszowi Czepuszenke (oklaski)”. Albo czy piszą: „Marszałek Timoszenko uściskał serdecznie towarzysza Czepuszenkę” (Długie oklaski i owacje). Albo też: „Marszałek był przywitany przez rejonowego naczelnika A. G. Czepuszenkę”. Bo kiedy rok temu pisali, że marszałek obejmował Czepuszenkę i długie owacje, a teraz tylko, że Czepuszenko go witał i nie wzmiankują owacji, to znaczy, że Czepuszenko jest może na liście do wsadzenia i reporter, albo redaktor gazety, sam enkawudysta, dobrze o tym wie, bo był

uprzedzony przez swoich zwierzchników, aby „tonować” te „ściskania”. Czyli wiadomości gazety należy ewaluować w „doświadczeniu czasu”. Ludzie też kłamią na równi z gazetami. Kłamią ze strachu, lub z powołania, bo muszą kłamać jako dobrzy członkowie partii. Dwadzieścia kilka lat po rewolucji rozjeżdżają po kraju zawodowi agitatorzy, żyjący jak trutnie na koszt społeczeństwa. Tysiące, dziesiątki tysięcy agitatorów, aby przekonać ludzi, że rewolucja i komunizm to dobra rzecz, bo fakty nikogo nie przekonują. Wszyscy kłamią z kamiennymi twarzami i powtarzają chóralnie słowa Stalina: „Teraz jest lepiej żyć. Teraz jest weselej”. Nie ma ucieczki od tej wesołości wymuszanej przez Wielkiego Kłowna. Nie ma już nawet szczerych komunistów, którzy wierzyli w ideę. „Byli tu tacy” — mówią ludzie — „ale oni teraz albo gniją w łagrach, albo się przechrzcili na szmaty. Stalin złamał ich „naukowo”.

Wszyscy za to muszą pływać wśród warstw drętwej zakłamej mowy. Nikt nie jest sobą. Ludzie mówią cytatami z gazet jeśli temat wykracza poza polowanie, czy dupę Maryny. Cynizm stał się filozofią „życia”. Uwierzyłeś partyjnemu, oszukał cię, wsadził cię, dobrze ci tak bo jesteś głupcem. W sowieckim życiu nie ma miejsca dla głupich. Idealistów też wsadzają, bo to są głupcy niebezpieczni. Cytujesz niewinnie Marksa, czy konstytucję, to cię zamkną za „durność”, bo konstytucja jest nie dla ciebie. Tyś na nią nie zasłużył. „I on, prokurator, tylko wie dla kogo jest konstytucja, a dla kogo nie”. Zestrupiejesz w łagrze to się nauczysz „chytrości towarzyskiej” i przestaniesz się powoływać na paragrafy prawa. A jak się nie nauczysz, to siedź tam dalej, bo sowiecki świat nie potrzebuje naiwnych. Tu na kopalni ludzie zwykli mówić:

„Sędzią jest tajga,
Prokuratorem niedźwiedź
Do Moskwy daleko,
Pieszo nie dojdiesz”.

A i tak wszyscy wiedzą, że po sprawiedliwość nie ma po co chodzić do Moskwy. Bo w Moskwie to cię mogą pierwszego zaarrestować bez sprawiedliwości, jeszcze nim wyjdiesz z dworca, „tak dla statystyki”. Spytają: „Po coś tu przyjechał?” — Powiesz: „Szukać prawdy” i ci sami ludzie cię zamkną na nowo. Z ideałów partii nic nie pozostało prócz zsyłek. „To była kiedyś wielka idea” — mówił Kola — „ale się zesrała”. — „Ten cały burdel dawno już nakrył się pizdą” — mówił Fiodor — „ale oni tam na górze nie chcą tego widzieć, palą fajkę na Kremlu i piszą, że wszystko jest w porządku według planu. Papier jest cierpliwy, zniesie wszystkie kłamstwa. Człowiek także, nie tak jak świnia, człowiek

wszystko wytrzyma”. Przypomniatł mi się Genadij z jego harmonią. On śpiewał „Ti”, a harmonia grała „Ta”, zupełnie inną nutę, ale wystarczyło, by przekrzyczał harmonię tym swoim „Ti”, aby opowiadał ludziom wokoło, że jest dobrym grajkiem i nawet myślał, że tak jest. Mówiłem: „Przecież nie umiesz zagrać gamy”. — Krzyczał wtedy do mnie: „Oszczerstwo, wierutne oszczerstwo!” i chciał się bić. Nic nie pozostało z wielkich myśli i wielkich planów Hegla, Marksa, Engelsa oprócz ulic pełnych konwojowanych ludzików, „Krajów NKWD” większych niż Polska i przesiedleń całych narodów. Nie ma w co wierzyć, a Ameryka jest daleko, bardzo daleko. Nikt nie wie jak Ameryka wygląda. Ludzie, którzy widzieli filmy mówią, że tam można łać milicjantów po mordach i jeździć własnym autem do burdelu. Tutaj nic nie należy do człowieka. Dziurawa szuba barania, czy grzebyk, to też tymczasowa własność — nie mówiąc o zegarku. Jak zaaresztują, to odbiorą nawet grzebyk. Mówię do Koli: „Zabierz no ty swoją szubę z warsztatu”. — A on: „To nie moja Sasza, to nie moja. Dali mi ją 'na potrzymanie'. Przyjdzie moja pora, odbiorą”. Więc Kolka zbiera słowa. Słów nie można odebrać. Słowa są jedyną prawdziwą własnością. Można podpisać na milicji, że się je oddało, ale one siedzą wiernie w mózgu i wracają jak pies do właściciela, choćby nie wiem co. Słowa mają swoją własną pieśń, intonację. Nie ważne co one znaczą. Można się nimi bawić, sylabizować, można się dopatrywać jakichś związków z innymi słowami, dziwnych dźwięków, piękna rymu, zgłosek. Można przedstawiać sylaby jak dziecinne klocki. Można je użyć jak mistyczne zaklęcie, wkraçać w nowy świat czarów, własny świat, do którego już nikt się nie włamie. — Słowa, słowa — wymawiamy je, posługujemy się nimi i jesteśmy głusi, gdyż nie słyszymy ich ukrytych wartości, jak ludzie ślepi na piękno natury.

Kola czasami strzelił ni z tego ni z owego takie zapamiętane słowo — „zabije” wszystkich. Chowa wtedy uśmiech w brodzie, zadowolony z efektu. Inżynier Poleżajew mówi potem: „Ten nasz Kola to on nie taki głupi jak wygląda”. Tylko Fiodor jest niezadowolony i zazdrosny, bo komentuje po wyjściu „naczałstwa”: „A ty Kola coś się tak mizdrzył tą swoją brodą do głównego inżyniera — wazeliniarz!” Ale Nikołaj nie reaguje bo jest zadowolony ze siebie. „Zasunął” wyszukane słowo samemu „naczelnemu”. Ludzie znają go już z tego. Do elektrowni przychodzą czasami poszukiwacze złota i mówią: „Nikołaj Pawłowicz proszę powiedz jakieś słowo”. Kola powie słowo i chowa się potem za swoją bojarską brodę iskrząc tylko oczyma jak guzikami na misiu. Nawet nie widać poprzez tę czerń włosów, że chłop się śmieje.

Nikołaj Miedwiediew śpi na warsztacie a ja kuje elektrody. Wyrębuje ucinakiem paski ze stalowych płyt. Biję z rozmachem

młotem w głowicę ucinaka. Na kopalni nie ma elektrod. Zapomnieli przywieźć, albo nie zaplanowali. Nad ranem, ciągle kując, zasypiam na stojąco przy imadle i dopiero jak się walnę młotem w nadgarstek budzę się z bólu. Kola może spać w tym huku z twarzą odwróconą prosto do 300-to świecowej żarówki. Nic mu to nie przeszkadza. We wielu chałupach ludzie nie gaszą lamp na noc. Nie wiem czym to tłumaczyć. Może elektryka jest nowym luksusem, którym się jeszcze nie nacieszono. Całe rodziny śpią w pełnym blasku żarówek. Kola zawsze żartuje gdy go o to pytam. Mówi: „Przyzwyczajam się bracie na wypadek przesłuchań. Jak będą mi świecić w oczy mam jak znalezione”. Od czasu do czasu wprowadza mnie w życie. Nazywa to lekcją katechizmu. Mówi: „Ty Sasza tylko im nie 'podpadnij'. Teraz jesteś jeszcze zesłanym 'spec-peresieleńcem' to może ci ująć na sucho, bo więzień ma prawo być wrogiem narodu. Lepiej jednak nie gadaj za dużo, bo oni sobie to zapiszą i jak zechcą to przyczepią nawet po latach. Ale gdy cię kiedyś zwolnią, może za kilka lat, albo kilkanaście, to wtedy żebyś wiedział, że jest tu taka zasada: Nigdy nie rozmawiaj w trójkę. Bo jak 'trzy' to w środku może być jeden 'stukacz' czyli dzięcioł-donosiciel. Także jak opowiadasz o Polsce to każdemu pojedynczo. Z dwóch jeden zadenuncjuje ze strachu, bo nie wie czy ten drugi nie uczyni tego przed nim, a drugi musi poświadczyć czy chce, czy nie chce. Twój najlepszy przyjaciel poświadczy przeciwko tobie. Oni wszystkich złamią. Posadzą cię za to żeś szerzył propagandę i chrząkał przeciwko władzy sowieckiej. Czekają na takich frajerów jak ty. Ale jak już się do ciebie przyczepią, to od samego początku udawaj idiotę. NKWD nie ma pożytku z głupców, a z inteligentem to dla nich duża zabawa, bo można mu 'przyczepić' wszystkie powiązania i kontakty. Za 'rozpracowanie' durnia żaden oficer NKWD nie dostanie orderu czy promocji. Zdarza się nawet, ale to bardzo rzadko, że wypuszczają 'idiotę' na wolność, bo go nie mogą nauczyć do czego ma się przyznać”.

Zamyśla się i po jakimś czasie jakby nagle zauważył, że kuje, mówi: „Ty Sasza nie pracuj. Robota lubi durni. Będiesz za dużo pracował, zabiejesz się w deskę i guzik za to dostaniesz. Tu trzeba myśleć, ale nie wolno przy tym ruszać głową, aby nie poznali, że kombinujesz — tak:” — i łapie kciuk lewej ręki w pięść prawej, pokazując, że kciuk ledwie się wychyla z garści i nie może kręcić... — „Tak to oni nas trzymają. Więc jak się nie możesz kręcić, to się uchytrzaj. Oni ciebie rolują, to ty ich kantuj i miej czyste sumienie. Tylko się nie wyrywaj na stachanowca, to dla naiwnych. Podpuszczą cię, dasz się nabrać... Stachanowcy popracują pół roku, a potem plują płucami. Płuc nie wyleczysz medalem”. I znowu każe sobie opowiadać jakie było życie w

Polsce. „Tylko mnie to mów”. — powtarza — „Drugim nie wierz”. Ale jak już mu opowiadam, to prosi abym przestał bo się denerwuje: „Jedriona szysz” — mówi — „a nas to tu tak maglują na śmierć 'roboczego klasa', taka to jej sowieckiej władzy mamusia tykana była. Nie opowiadaj łaski proszę choć bym pytał, bo aż mnie się w żołądku wywraca, że naszego brata tak jebią”.

Jak przyszła „moja pora”, Fiodor Wasylicz przypominał wszystkim, że już dawno nie „gadałem” opowiadania. „Ty Sasza, ty się lepiej nie wykręcaj. Już ze trzy tygodnie nie słyszeliśmy od ciebie o tej cysternie”. Musiałem więc recytować moją historię po raz nie wiadomo który, chociaż wszyscy znali ją już na pamięć. Ponieważ jednak życie było nudne, więc nikt nie miał mi za złe, że się powtarzałem. Każdy się powtarzał w sybirskim odosobnieniu; lepsze to, niż milczenie.

Czekali na mnie grzejąc plecy przy kotle. Cylinder fukał parą i pas młaskał monotonnie zszywką po dynamie... Fiodor ostrzegał wszystkich aby mi nie przerywano.

Jak uciekałem na rowerze przed Niemcami, zdrzemnąłem się w południe koło opuszczonej kolejowej stacyjki niedaleko wioski. Widziałem przez sztachetki płotu, że przy pozostawionym jedynym wagonie cysternie kręcą się chłopci z wiadrami na koromysłach i bańkami blaszanymi. Zapytałem przechodzącą babę co się tam dzieje, a ta mówi: „A bo to panie doimy to to z nafty”. Było straszliwie gorąco i powietrze falowało nad rozgrzanym wagonem. Nie patrzyłem już nawet, ale sądziłem z gwaru, że było coraz więcej tłumu. Dochodziły do mnie też odgłosy bójek, bo w końcu zleciało się z wiadrami także bractwo z innych wiosek. Co jakiś czas ktoś przebiegał koło mnie, chlustając naftą z naczyn. Muchy uciekły od tego smrodu, ale zapach nafty nie dawał mi spać. Popatrzyłem na cysternę, a tu jej prawie nie było widać spod chłopstwa. Killkaset ludzi otaczało wagon i obsiadło go od góry z wiadrami i bańkami. Niektórzy przywlekli nawet czerwone gliniane garnki. Szumieli coraz głośniejsze i wyglądali jak rój bąków na olbrzymiej czarnej kielbasie. Zamknąłem oczy na na chwilę, może usnąłem i wydawało mi się, że wrzaski ucichły przez minutę. A potem w tej ciszy jak coś nie fuknie... głucho, bez echa. Jakiś taki straszny dźwięk: FLUUUP... Zerwałem się ze strachu, złapałem za sztachetki i patrzę: A tu chłopstwo — baby z dziećmi i wiadrami i mężczyźni, naprzód po cichu, a potem z krzykiem coraz donośniejszym, biegną od cysterny we wszystkich kierunkach, tratując się nawzajem. Ludzie potykali się, padali w biegu, a reszta w panice dreptała po nich, po dzieciach i po pustych toczących się konwiach. Część szarżowała prosto

w moim kierunku i wyglądało to razem z krzykiem, jaki się niósł, jak atak powstańczego wojska. Przybiegli do płotu w chmurze kurzu i zatrzymali się zdyszani. — „Co się stało?” — pytam. Mówią: „Nie wiemy; chyba wywaliło cysternę”. — Mówię: — „Nie może być żeby ją tak samą wysadziło, Niemców tu jeszcze nie ma...” A jakiś chłopak podchodzi do mnie i mówi: — „Ta panie, też tam weszło do środka dwóch naszych gospodarzy z wiadrami i czerpakiem żeby wybierać resztę nafty na dzień, bo przestała już ciec z kranu”. Ktoś mówi: „Tacy byli pazerni”, a babina dorzuca: „Musieli sobie poświecić zapalkami, bo w środku było ciemno”. — „No to ich pierdykło” — mówi chłopak. „Jak to ich pierdykło?” — pyta jakiś uciekinier z miasta. — „No nie ma ich, — no nie ma, znikli” — powtarza chłopak. Biorę rower i idę do cysterny. Mijam dwie, trzy baby rozwalone na ziemi i ojkające z stratowania. I rzeczywiście: Nie ma chłopów w cysternie. Wagon stoi. Oba dna z obu końców wywalone na oścież i zbiornik zamienił się w rurę na kółkach a gospodarzy nie ma. Jakiś starszy człowiek mówi: „Przynieście no łopatę, może ich ze ściany zeskrobiemy. Ciemno im było psiakrew, no to im poświeciło. Podskoczą no który po dobrodzieja na plebanię. Tymczasem zjechali się nowi ludzie z dalszych wsi z beczkami na furkach. Kurz ciągle unosił się dokoła i wszyscy przekrzykiwali się nawzajem jak na odpuszcie. I tylko od czasu do czasu słyszałem głos chłopca dumnego, że może opowiadać nowoprzybyłym: — „... I wtedy ten wagon jaaak nie pierdyknie...” Nie znaleźliśmy chłopów. Nawet sam ksiądz ich szukał. Nigdy nie dowiem się co się z nimi stało, bo musiałem dalej uciekać na rowerze.

Wszyscy nie mogą mi darować, że nie zostałem na wsi i dalej „sprawy nie prześledziłem”, co stało się z chłopami z cysterny. W wątpliwość tyś nas Aleksandr Siemionycz uderzył” — mówił Trofim Igorycz. „Nie wiem, nikt nie wie” — powtarzam. — „Jako?” — wtrąca się Fiodor — „Nie może być żeby z gospodarzy nic nie zostało. Co ty na to mówisz Paszka?” — Paszka był palaczem lokomobili, cichym i spokojnym. Nigdy się nie odzywał, ani nie przezywał brzydkimi słowami. Dyrygował polanami pod kotłem i otwierał pompę wodną do wtryskacza jak trzeba. Znał swój zawód. Byłby z czasem został nawet maszynistą, ale jego głowa nie obejmowała całego mechanicznego ogromu tulskiej lokomobili. Potykał się na cylindrach i dalej już wyobraźnia szwankowała. Nie mógł sobie wyimaginować jak to pracują przepustnice podające parę. Wszyscy tłumaczyli mu po kolei a on nie widział związku tłoka z polanem. Mówił do mnie: „Gałowa nie rabotajet, nu diełaj szto хочysz”. Fiodor snuł względem Paszki złośliwe przypuszczenia: „Twoja matka to się chyba zapatrzy-

ła w konia, bo ty jeszcze tkwisz mózgiem w konnej epoce, a do lokomobili, cudu techniki, nie dorosłeś”.

Paszka wprowadzie szwankował w sprawach materialnych i ziemskich, był za to specem w dziedzinie życia pozagrobowego. Miał zawsze w zanadrzu kilkanaście opowiadań o duchach na wsi, przewidzeniach, ciałach co znikwały, zemście pozagrobowej, zwidach i mamrotach. Cały chodzący po kopalni „kurier metapsychiczny”.

Paszka mówi: „Być może, wszystko być może”. I na potwierdzenie faktów opowiada swoją historię jak to „u niego” na chutorze zniknął gospodarz przebity widłami. „Było ciało, nie ma ciała”. A potem po nocach „ludziom widokiem zęby szczękał” bo paradował z tymi widłami w piersiach dylem naprzód. „Otwierają się drzwi, ludzie patrzą, a tu dyl pcha się przez szparę wpierw, a potem dopiero na końcu widel płynie trup na stojaka i ledwie, ledwie porusza girami...”

— „Czepucha” — mówi Kola. — „Jerunda” — bzdury. Od tego gorąca w palenisku to ci się rzuciło na głowę i pomykeciłeś fakty. Za dużo patrzysz w żar, to ci się coś mami”. Paszka mówi: „Nie chcecie, nie będę gadać”. — Zawija się w sobie jak kokon obciążając brudną roboczą bluzę i tylko po chwili pakuje polano w piec „z nerwów”. — „Cicho” — mówi Fiodor do Koli. — „Małczy! — Musiałeś przerwać właśnie w samym takim okropnym miejscu, jak ten duch płynął... No Paszka” — mówi — „jedź dalej” — „wałaj”. „... A kobiety jak ujrzały te widły jak nie zaczną ‘wiźdrzeć’, to się im aż mokro robiło na duszy i dostały czkawki ze strachu”. I Paszka wyje: „Iiiii, — iiii, — eeeee”, naśladując przerażone baby, aż nam samym robi się strasznie na duszy.

„U nas na wsi też jeden przebrał się za ducha” — mówi Kola. „Wmontował sobie na głowę wielgachną dynię z dziurami. Błyskał w środku światłem i wydawał ze siebie zwierzęce głosy. No to jego najlepszy przyjaciel razem chowany od dziecka, jak to zobaczył, to ze strachu złapał kłonicę, czy cep i przypalantował go po tej dyni jak należy. Krzyknął przy tym: „Giń duchu marny, mamusia twoja diabelska była taka siaka owaka!” I najlepszego druha zabił na śmierć. Dynia była pełna mózgu”. — „No to go chyba nie bolało” — dorzuca Fiodor. — Bo członki to zwykłe boleć, a głowa to jak u buhaja w rzeźni, nie ma czasu na bolenie. Taka śmierć najlepsza”. — „Pstryk” — mówi Kola — „co to jest śmierć. Pstryk i elektryka wyłącza się w mózgu. To jest śmierć. Bo sam głowotułów człowieka bez tego prądu w mózgu nie jest nic wart. Kontakt się w czapie przekręca i nie ma elektryki. Kondensator rozładował, cewka zamknęła, krótkie

spięcie — ciemność i to jest śmierć. 'Kajuk' — mówią po sybirsku. Z człowieka zostaje tylko nieważny odwłok".

„Jaka tam elektryka” — mówi Fiodor. „Jak tyś taki mądry z tą elektryką to czego mnie od ciebie nie łapie prąd, co? — Ha ha”. I Fiodor spogląda triumfująco na wszystkich, a Paszka patrzy na niego jak na jakiegoś mistrza. „A ty w swoim życiu kiedy telefonowałeś?” — pyta Kola. „Tak” — odpowiada Fiodor z ociąganiem. — „Kilka razy w Jakucku i tutaj kilkanaście razy”. — „A prąd cię tam złapał?” — „Nie” — mówi Kola. — „A wiesz dlaczego? Bo byłeś izolowany. Człowiek jest też odizolowany od drugiego człowieka a prąd chodzi w nim samym tylko i w te i we w te. Jeden człowiek chce połączyć się z drugim ale nie może bo izolacja przeszkadza. Tak jakby wszyscy chodzili w ochronnych rękawicach i kaloszach, a guma wiadomo izoluje. No to każdy lata z tą swoją wtyczką i chce się skontaktować z drugim. Czasami wtyczka pasuje, czasami nie, a czasami wydzwania fałszywy numer. Krzyczysz „Halo, halo!” i nikt ciebie nie słyszy. Inny „ktoś jakiś” też krzyczy do ciebie, a ty nic nie słyszysz i nie rozumiesz bo nie ma kontaktu. Prąd nie idzie — kalosze, izolacja. Zrozumiałeś Fiodorze Wasyliczu?

„Ty” — mówi Fiodor do Kolki — „przestań Nikołaju Pawliczu. Póki podpychasz nam pod uszy te swoje fikuśne słowa to jeszcze, jeszcze cierpimy i możemy znieść. Nie powiem, lubimy posłuchać ładne słowo. Warto, człowiek się uszlachetnia — przyznam. Ale jak nam tu zajeżdżasz całą filozofią to tego już za dużo. Co ty sobie myślisz, chcesz nas zmordować? Za dwie godziny kończymy zmianę, przyłożymy się spać, a wtedy tylko *tielifony* będą się śniły człowiekowi, dzwoniły po czaszce i dryndały numerami. I jak to nieładnie pomyśleć, że człowiek ma tu na górze nie mózg jak przystało a za przeproszeniem *tielifon* z korbką czy cyframi, albo broń Boże tylko samą słuchawkę. „Żuć takaja” — po prostu obrzydliwość i nie mam życzenia słuchać. Jak Paszka mówił o duchach — ścierpię. Człowiek jest przyzwyczajony do duchów. Duchy zawsze były duchami z widłami czy bez. Ale te cewki w głowie tego już za wiele. Wypraszam to sobie”. I Fiodor skręcał machorkowego z gazety trzęsącymi się od złości dwoma palcami kalekiej ręki, krusząc dookoła siekaną samokrutką. Paszka przytakiwał Fiodorowi a także Trofim Igorycz. Paszka mówi: „No niech mnie nazwą kurwą — *bladź budu, czesne komsomolskie słowo* — dobrze mówisz Fiodorze Wasyliczu”.

Stoję na odmrożonych spuchniętych nogach, znowu kupię elektrody i liczę godziny bólu do rana. — „Przestałbyś już *štukać*” — mówi Kola i odwraca się na warsztacie. Rano pójdę do szpitalika aby mi pomogli. Rano przyjdą także „nowi” Jakuci. Dadzą

Fiodorowi trochę surowego mięsa renifera aby im pozwolił popatrzeć na lokomobilę. Zgromadzą się struchlali w kącie blisko okna, na widok nieznanego zwierza. Potem przyjdzie inna grupa Jakutów z drugiego rejonu, czy plemienia, spotkają się przy maszynie i po chwili zapomną o szumiącym parą smoku. Jeden rzuci sakramentalne: „*Kapsie*” — powiedz coś. I drugi odpowie: „*Bababaj tus*” — widziałem niedźwiedzia. Najstarszy z pierwszej grupy zapyta: „*Bababaj tus?*” — widziałeś niedźwiedzia? Wszyscy będą potem gremialnie wyrażać duże zdziwienie: „A-ha-ha-ha, *bababaj tus?*”... I tak będzie chodzić w kółko wielkie chóralne *bababaj tus, bababaj tus...*

Jakut żyje oddalony od drugiego Jakuta 30 czy 100 kilometrów — samotnie w tajdze. Spotykają się tu przy lokomobilu po raz pierwszy od kilku lat. Człowiek cieszy się, że zobaczył człowieka w lesie, gdzie jest więcej zwierząt niż ludzi. Człowiek nie nawidzi siebie nawzajem, gdy warunki życia skuwają go z innym człowiekiem. Człowiek nie może być ani skuty w gromadzie na siłę, ani samotny. I jedno i drugie „nieprzepisane mu jest” i czyni go chorym.

Jak mają się spotkać samotni Jakuci. Najpiękniejszym przywitaniem jest słowo: „mów”, a potem opowiadają sobie nawzajem te swoje obrazkowe historyjki: „Widziałem niedźwiedzia”; „Wielkie drzewo zaważyło drogę”; „Dużo lisów na rzece Ałdan”; „Mało mchu dla renów w dolinie”; „Uważaj na rzece Ałtach, lód strzela od mrozu i zalewa”... Jakut gdy jedzie na saniach zawsze śpiewa do siebie, opisuje co widzi. Śpiewa do zamrożonej rzeki i do lasów: „Widzę drzewo; Widzę górę; Widzę zająca — ślady dwa”... Bo człowiek musi mówić — Jakut, czy nie. Nieważne czy go słuchają. Człowiek musi mówić do świata i do drzew, do renów i do psów w zaprzęgu, do drugih ludzi. Dlatego *kapsie* jest najświętszym słowem, a *kapsie soch* — nie ma rozmowy, *tołkuj złomałsia* — nie mam z tobą o czym mówić, — największą obrazą za którą płaci się krwią. Drobną i nieważną są fakty o których oni mówią, czasami nieważne nawet dla nich samych. Ważna jest potrzeba, funkcja mówienia. *Bababaj tus, jehje tus* — widziałem niedźwiedzia, widziałem „dziadka”. *Min dijeli keren daran muuhun birdach-birdach gamartita* — popatrzył w moją stronę i szczyrzył zęby... A może ten grymas burego zwierza znaczy dla nich coś więcej niż dla nas. Niedźwiedź jest źródłem żywności, jest także duchem tajgi. Rzadko nazywają go po imieniu. Mówią na niego „dziadek” albo „staruszek”. W zimie niedźwiedzie śpią, a tu jeden widział go maszerującego przez tajgę. Coś niezwykłego musiało się stać w kniei, że wystraszyło misia. Jest on duchem tajgi, ale dla nich nie jest trudno go zabić. Jakut podrażni grubasa kamieniami, postawi go na dwie łapy fukają-

cego gniewnie a sam zakryje głowę starą watówką, aby go „dzia-dzio” nie oskałpował. Potem podsunie się pod niego i póki mu rozwścieczone zwierzę drze łapami watówkę nad głową i targa, „myśląc” że to część człowieka, Jakut jak szermierz pruje mu flaki jednym cięciem noża. I cześć, nie ma misia, a zostaje z niego zapas mięsa dla rodziny na miesiąc i więcej. *Babahaj kajuk* — skończył się niedźwiedź.

Jedzą potem często mięso zupełnie surowe, jeszcze ociekające krwią. Wyciągają zza cholew *iczigów* — jakuckich mokasynów z futra, długie wąskie noże, wyglądające jak przecięta wzdłuż połowa bagnetu owinięte starannie paskiem skóry zamiast pochwy i odcinają ściętna tuż przy ustach. Każdy po kolei wgrza się w udo niedźwiedzia, czy renifera, naciąga je lewą ręką, odci-na od dołu ochłap, który zostaje w zębach i podaje resztę następ-nemu.

„Popatrz no na te manieri” — mówi do mnie Fiodor. — „Popatrz no jak oni to ścierwo trzymają w łapskach. — *Pa zapadnojewropejski ani kuszać nie umiejut.* — Mnie zawsze pouczali w mieście” — kontynuuje Fiodor — „że co by to nie było mo-żesz trzymać w palcach jeśli jest to mięso w całości: pulka, udziec, albo łapa niedźwiedzia. Ale trzeba to trzymać delikatnie z obu stron, żeby dwa małe palce zawsze odstawały do góry... I Sasza powiedz prawdę jak naprawdę jedzą w Polsce łapy niedźwiedzie, palcami, czy bez — *kulturno?*”

Jakuci podsuwają mi miskę herbaty przyniesioną ze sobą „na wycieczkę do elektrowni”. Jest to prawie czarna maź, skoncen-trowany odwar ze sproszkowanej herbaty z rozpuszczonymi kil-koma łyżkami zjełczałego masła i garścią soli. Oczy tłuszczu pły-wają jak w rosole. „Jakucka zupa” — nazywa to Fiodor. Jeden z przewoźników widząc moje zainteresowanie chce mnie często-wać tym „czajem” prawie na siłę. Nie wiem jak się wymigać. Znam słowa: *Soch* — nie, *bar* — tak i jeszcze kilkanaście innych, ale to nie wystarcza aby wytłumaczyć, że nie potrafię i nie mogę się zmusić aby pić ten płyn. Nie chcę go obrazić i nagle wykręt-nie jak dziecko mówię do Jakuta: „*Babahaj tus*” — widziałem niedźwiedzia. Ten patrzy na mnie zdziwiony, odstawia miskę z herbatą i pytająco powtarza: „*Babahaj tus?*” — widziałeś? Łapie mnie za ramię i prawie krzyczy: „*Sibilij kapsie*” — opowiadaj szczegółowo. Wrywam mu się i biegnę w stronę drzwi a rozżalo-ny przewoźnik krzyczy za mną: „*Ana barda, ana barda?*” — dokąd, dokąd idziesz? Robi mi się przykro, że kłamałem mu o tym niedźwiedziu. Dla mnie był to tylko głupi wykręt, a dla niego sprawa egzystencji. Będzie powtarzał potem za innymi z jego ple-mienia: „Biały człowiek nic tylko kłamie, sam się o tym przeko-nałem”. Nagle poczułem się dziecinnie osobiście odpowiedzialny

za wszystkie błędy białego człowieka. Jak się usprawiedliwić? Powiedzieć, że kłamstwo jest częścią naszego życia, że my wszyscy biali ludzie okłamujemy siebie nawzajem? Albo powiedzieć, że tylko ja kłamałem, bo nie lubię jakuckiej zupy. To także nie jest argumentem. Jakut nie uwierzy, że nie można nie lubić jego „czaju”. Odwracam się od progu i krzyczę do niego: „*Stołowaja barda*” — idę do stołówki. Tym razem mówię prawdę.

W stołówce cztery stoły stojące na podwyższeniu, odgródzone barierką od reszty, mają kartki z napisem: „W.S.T.” Litery oznaczają w skrócie: „Wyższy Techniczny Sztab” i „jak wynika z obrazka”, stoły są zarezerwowane dla „góry” i różnych „ryb”. Gdy Fiodor Wasylicz zafundował sobie ten zegarek, to następnego dnia „kazał” sobie także fryzjera, jednego takiego naszego garbatego Polaka. Zamówił u niego „specjalne duchy” — perfumy: „Tje-Żje” zrobione w Moskwie w fabryce „Imienia Komuny Paryskiej” — stąd nazywane francuskimi; żeby go nimi „zdrowo” skropić. Zażądał, aby mu „ustawić” lok krochmałem z przodu, a z tyłu na karku przystrzyc w ząbek „po amerykańsku”. „Nie rób mi tylko żadnego cieniowania” — ostrzegał garbusa. — „A *odektonu* chlustaj i nie żałuj. Lej Polaku, płacę za wszystko, dawaj pełną kurację”. Fryzjerowi w to graj. Zaaplikował mu cały *prajskurant*, czyli wszystkie usługi wymalowane w cenniku spółdzielni i za które należało płacić dodatkowo: „Golenie brwi: — 1 rubel 50 kopiejek. Przycinanie włosów w nosie: 50 kop. Pudrowanie karku: 50 kop. Wyrównanie baczków: 1 rub.”. Nie mówiąc już o masażu twarzy, czy „Higienicznym duszeniu wągrów” — (2 rub. 50 kop.) na czym najwięcej bogaciła się Spółdzielnia Usług Obywatelskich Imienia Towarzysza Frunze, ponieważ przeciętny Rosjanin na kopalni zachodził do fryzjera prawie raz na tydzień. I nie chodziło tu tyle o włosy, ale fryzjer był w tym koszarowym zdogmatyzowanym i zbiurokratyzowanym życiu, jedynym osobnikiem, który przejawiał, chociaż za opłatą, nieco więcej personalnej, ludzkiej troski o człowieka. Golił wprawdzie tępą brzytwą, ale przynajmniej pytał klienta: „Czy was to nie drapie?” — „*Nie bespokoit li was?*” i „pacjent” nawet niekiedy porżnięty wybaczał wszystko fryzjerowi za to jedno ciepłe pytanie, przejaw indywidualnej troski o człowieka. Dopiero gdy jest się tylko numerem, cyfrą w statystyce, czy śrubką olbrzymiej maszyny, gdy życie zamieniło wszystkich w nieczułych egoistów, wtedy fryzjer zastępuje przyjaciela, spowiednika, psychiatrę i ciepło domu, który zaginął w wędrówkach. Wreszcie ktoś człowieczym głosem pyta się mnie o coś indywidualnie, osobiście ludzkiego: „czy brzytwa nie drapie” i zajmuje się tylko mną, wyłącznie mną. I słucha co mówię. I nie ma zimnej twarzy urzędnika. I nie zasuwa „drętwej mowy”. Fryzjer jest pamiątką z daw-

nych dobrych czasów, której ani rewolucje, ani eksperymenty marksizmu-leninizmu nie zdołały uszczknąć... Do wydatków Fiodora doszedł jeszcze manicure, przy czym niby żartem, domagał się od prezesa spółdzielni zniżki ceny za ten luksus, bo miał przecież mniej palców na dłoni, a manikurzystką była niedoświadczona w tym zawodzie (wszystkim wiadomo) żona garbusa. Gdy w końcu wstał z krzesła po tych masażach, duszeniach, „modulacjach bokobrodów”, gorących okładach i obsikany najlepszym *odekolonem* na czystym spirytusie, nie można go było poznać. Miał czerwone oczy nabiegnięte krwią od *szamponu* z siekanego mydła i spryskiwania piekącymi chemikaliami i twarz spuchniętą, purpurową jak przed apopleksją. Policzki sine od wyduszonych wągrów i gorących okładów błyszczały się od zjętącego kremu który był przechowany przez fryzjera jeszcze z Polski... A czerwony, przypudrowany kark wyrastał nagle spod włosów odciętych równo jak toporem. Wyglądał jak ugotowana głowa wieprza, na którą nałożono czarną perukę. Na dodatek wyciągał przed siebie ręce z rozczapierzonymi palcami, bo *manikursza* zajęchała mu *zdorowo* pod skórę i palce jeszcze krwawiły. Wbił się potem w białą koszulę i zasupłał krawat w węzeł wielki jak pięść, bo napakował do tego guza pół strony *Prawdy* żeby utrzymać go w fasonie. *Fontaś* nadziewany gazetą głośno szeleścił za każdym razem gdy Wasylicz poruszał głowę. Nabłyszczył oliwą z maszyny nowe buty dopiero fasowane w jesieni, wywinął cholewki jak należało uszami i białą podszewką na zewnątrz i w ostatniej chwili „doprawił” jeszcze własnym *odekolonem* pod pachy, w spodnie i do onucek. Tak trzeszcząc butami i szeleszcząc krawatem „zafugował” do stołówki. Słokawy, cukierkowy zapach perfum „Tje-Zje” unosił się zwarcie dokoła niego w mroźnym powietrzu, wyprzedzał jak dyszel od wozu, dusił i omal nie wywracał nieprzygotowanych. „Bez maski gazowej nie przystąpię” — żartował Kola... A Fiodor wali prosto do tych odgradzonych stołów dla naczalstwa i siada przy jednym. Wysuwa rękę z zegarkiem zapiętym na mankiecie koszuli żeby wszyscy widzieli jego *czasy* i pcha ją na na środek obok kartki z napisem: „WST”. Niech wiedzą kto tu przyszedł. Ale kelnerki, które go znały, bo na kopalni wszyscy znali się nawzajem i które miały obsługiwać tylko te 4-ry stoły, ponieważ reszta zwykłego bractwa sama stawała w ogonku po kaszę ze skwarkami, wcale nie kwapiły się podchodzić do niego. Fiodor czeka, spogląda na zegarek. Mija pięć minut, dziesięć, w końcu „wychodzi z nerw” i woła kierownika stołówki. Mówi „*Zawiedujszczy*, co to u was są za porządki takie siakie, żeby nie obsłużyć jak należy pracującego człowieka!?!” A na to mu kierownik: „A wam to Fiodor Wasylicz damska obsługa jest nieprzepisana. Te stoły są zarezerwowane dla partyj-

nego naczelstwa, sekretarza związków zawodowych i inżynierów". Fiodor obruszył się, że to niby „kto to on jest” i że udowodni swoją ważność kierownikowi stołówki, bo żaden inżynier nie potrafi „pokręcić” lokomobili i że on, Fiodor Wasylicz, jest pierwszą osobą na kopalni bo jak zechce to nie da prądu i kierownik będzie musiał sam paćkać się naftą i strzyc knoty w lampach. Pcha mu przy tym zegarek pod nos, żeby i *zawiedujszczy* widział z kim ma do czynienia. „Nie dasz prądu? — Pies ci mordę lizał, to twoja sprawa; a *hadziajin u siebja ja* i nie dam jeść” — powiedział kierownik — „... i nie pozwolę na żadne odchylenia w mojej stołówce”. Przekomarzali się tak z 10 minut, a może i więcej i na razie prowadzili rozmowę na kulturalnym poziomie ze względu na obecne kelnerki. Dlatego nikt z oponentów nie wdawał się w szczegółową budowę ciała poniżej pasa — prawie jak w boksie — góra natomiast była wolna dla różnych wyszukanych „przepowiedni” w rodzaju: „Po zębach ci wystukam, co drugim, to ci zrobię grabię z mordy”. — Albo: „Jak cię wyrzucę na śnieg, to będziesz hamował na ryju aż do potoku”. Były także poruszane w rozmowie zarzuty pod adresem finansowej uczciwości kierownika i personelu: „Za ten cukier z masłem co sprzedajesz na lewo oszukując *raboczyj kłas* to cię wsadzę — poczekaj”. W końcu, gdy obu panom zabrakło odgórných epitetów wtedy przeprosili *galantliwie* obecne damy i dobrali się nawzajem do swoich rodzin. Zachowywali jednak dalej przepisane formy *savoir-vivre’u* to znaczy, że „przepraszali się z paniami” po każdym głębokim wyrażeniu myśli. Widownia przy stolikach oklaskiwała poszczególne, twórcze określenia, gdy panowie „jak potrzeba” roztawiali po kątach swoje rodziny i przejeżdżali się po nich „naukowo” w genealogicznym porządku.

Zaczęli od babek i wstydliwych chorób u przodków dyskutanta, potem przeszli do szczegółowych opisów anatomii matron-rodziculek i własnego stosunku do ich moralności. Nie wiem dlaczego wołali także mnie ze dwa razy na świadka, czy arbitra i parę dłuższych tyrad „rozobłaczających” oponenta zaczęli od inwokacji: „*Stuszaj Poljak!*”. Czyłem się niezwykle dumny z tego powodu, uświetniając moją osobą, jako krytyk, czy „Przedstawiciel Zachodu”, pojedynek dwóch figur, tak ważnych na kopalni. W końcu zaczęli się nielitościwie denuncjować nawzajem, zarzucając czy to impotencje, czy też przypisując oponentowi wyszukane zboczenia seksualne: „*Armiaszka ty wot czto!*”. Po udanych „wypowiedziach” były oklaski „zebranych” z okrzykami „bis”. Jednak kierownik stołówki miał bardzo nielicznych kibiców; jedynie kucharki i sztab buchalterski — tych co kradli razem z nim. Natomiast za Fiodorem — Fiedką jak go nazywali — obstawała większość proletariatu, gdyż jakby nie było był to „nasz” brat.

Nawet Kola podpowiadał mu „tematy” ze swojego słownika dziwnych wyrazów... Bo skądby przyszło na myśl Fiodorowi, aby przezwąć kierownika stołówki „gonokokiem”...

Zakończyło się to wszystko wynikiem remisowym, bo wyasygnowano Fiodorowi Wasyliczowi stolik z papierowym kwiatkiem za przegrodzeniem, ale nie na podium, za którym odtąd „prezydował” wraz z zegarkiem.

Gdy nad ranem Kolkę gryzło sumienie, wtedy zrywał się ze szuby i brał do spawania. Powtarzała się ta sama scena. Kolka spawał, a Fiodor krzyczał: „Ty, Kolka, popuść nieco, pies swoją stachanowską mamusię drapał — proszę po przyjaźni! Przestań zamykać łuk, bo maszyna zwalnia i pas zleci. Wolnego tym elektrodem jedź, bo przez ciebie wioska popada w ciemność. Ludzie objawiają potem pretensje do mnie, że się nie mogą zebrać do pracy i że to ja niby drocę się z nimi. Wczoraj jeden taki chciał mi dać za to po paszczy. Mówi do mnie: Zabierasz mi kulturę. — Mówi — A gdzie lampeczka Iljicza — mówi — „Lenina” i szarga słowami moją mamusię. Mówi także: Przez te ciemności spowodowane wtrąciłem łokieć w rybną zupę przez pomyłkę. Twoja to zachlustana wino — ... I dobiera się do mojej twarzy tą swoją poparzoną ręką. Ledwo się wybroniłem”. — „Musiał być pijany” — mówi głośno Kola zza maski spawalniczej. — „I to że utknął w zupie, otóż to. Dobrze że wsadził łokieć a nie coś innego. A ty Fiodor nie ucz ojca dzieci rodzić. Przeszedłem kursa spawalnicze w Ust-Ałdanie. Jak ja zamykam elektroda to widocznie tak ma być. Przygotuj lepiej świeczkę; jak pas zleci, założymy z powrotem. Lepiej byś pas posmarował klajstrem i naciągnął dynamo na cybantach to nie będzie awarii. Fiodor znowu pluł ze złością machorkową sieczkę, ale potem „mitygował się w sobie” i zaczynał z innej beczki: „Nu Nikołaj Pawłowicz bądźże człowiekiem i 'ustąp na rękę' jak brat bratu. Już nie chodzi o mnie, ale szkoda pasa. Przecież jest to pas skórzany, wartościowy, przywieźli go pod konwojem na kopalnię i ja sam podpisałem się za niego. Można by z niego wykroić ze dwieście par męskich zelówek, dlatego tutaj każdy czyha na niego. Wystarczy, że kilka razy spadnie i się rozerwie, to wtedy zaraz naczałstwo z magazynierem „spiszą aktem”, że „niegodny” i opylą na podeszwy. Tylko na to czekają. Jak nam go zabiorą i dadzą w zamian parciany przeplatany gumą, to wtedy możemy zamknąć budę, bo co noc trzeba go będzie naciągać i zszywać”. — „Nu ładno” — mówi Kola i przestaje spawać. — „Nie chcę abyś był przeze mnie poszkodowany na pasie i mielił jadaczką aż się bebechy nicują w człowieku”.

Pojednani częstowali się potem machorką w gazecie i już po chwili zaczynali znowu sprzeczać w którym dzienniku papieros

smakuje lepiej: jakuckim, czy też drukowanym po rosyjsku. Kola miał trochę racji, gdy twierdził, że dla propagandy wśród mniejszości narodowych używa się lepszego papieru. Fiodor natomiast był zdania, że machorka smakuje „przyjemniej” w złym papierze gazetowym, to samo mówił mi mój ojciec. „Bo taki jest już jej, machorki, charakter”. Wasylicz wylicza przy tym różne *Izwestie* i *Komsomolskie Prawdy* z ich papierosowymi charakterystykami. Pyta przy tym Kolę: „A czyś ty kiedyś palił *Dalniewostoczną Związkę*? — Nie? — To nie wiesz co dobre”. Wyrażał się także nieprzychylnie o Krótkim Kursie Historii WKP(b): „Nie nadaje się to ani do palenia, ani do ustępu. Papier jest 'przytwardy' i za dużo zajeżdża farbą. A pomyślałby kto, że to dobra książka”.

Fiodor ma do mnie prośbę; a jak mnie o coś prosi, albo mu na mnie zależy, to nie skraca mojego imienia. Nie mówi: „Siemionycz”, ale zmusza się aby wytrajlować całe: „Siemionowicz”. — Tak mnie tu przerobili z ojca Szymona. Fiodor mówi: „Aleksandr Siemionowicz, a wy jak pogonicie do chałupy tak proszę rozglądnijcie się tam na waszym posiołku za jakimś Polakiem, żeby mi wstawił złotego zęba. Dostałem już metal i chodzi mi tylko o dentystę”. — „A na co wam” — mówię — „Fiodor Wasylicz złoty ząb. Zęby macie chwała Bogu piękne jak u krowy i nie koślawe, to co chcecie zrobić?” — „Bo widzisz Sasza, kończy mi się kontrakt i za parę miesięcy pojadę w 'żywuchę’, to będę szczegolił tym zębem u mnie na wsi, a także zegarkiem. Popatrzy jaka dziewczica na ząb i na tą moją cykadkę na ręce i widzi od razu że jestem chłopem zamożnym, maszynistą pierwszej kategorii, a nie byle jakim przybłądą z drugiej wsi i nie natrafię na trudności małżeńskie. Może się jeszcze nawet wybiedzę przed wyjazdem na skórzany płaszcz i białe katanki, to wtedy 'giń babo' nie ma na mnie ratunku. Poderwę najlepszą dziewczicę z mojej wsi. A w ogóle wiadomo: chłop ze złotym zębem przy stojniejszy niż bez”.

Rano pobiegłem do szpitalika. Felczer pobimbał nade mną zegarkiem, zmierzył puls i pomazał nogi jakimś kolorkiem. Walcząc z bólem ledwie włożyłem buciki bez sznurówek. Powiedział mi na odchodnym: „Przyjdź za dwa dni. Jak spuchlizna nie ustąpi, to znaczy, że noga gnije i będziemy odcinać palce żeby nie było gangreny”. Kola czekał na mnie w korytarzyku i pyta: „No, co, pomazał cię rybią szperką czy kaliklorkiem?” Mówię mu: „Ty co, może kierujesz się na doktora?” — A on „Nie” — mówi — „Przez grzeczność się pytam, z koleżeństwa”. — Mówię mu: „Chcą mi odciapać palce”. A on: „Nie padaj duchem, drobnostka. Pamiętasz Iwana Aleksandrowicza? — Temu nie było już co obcinać”. Tydzień temu, główny buchalter kopalni zapił się w mak u naczelników na libacji i wracał do domu w mroźną noc.

Było jak zwykle minus 55 stopni Celsjusza czy coś koło tego. Przywidziało mu się w jakiejś dolince, że już wylądował w swojej izbie, albo może dopadła go mgła — nie wiadomo. Zdjął więc ze siebie nową szubę, rozłożył na śniegu, postawił obok walonki „na baczność” i rozwiesił schludnie onuce na walonkach. Jednym słowem rozebrał się przepisowo tak jak go uczyli w wojsku. Wyłożył nawet na śnieg obok czapki woreczek z machorką i zasnął. Kochanka czekała na niego całą noc w gorącym łóżku. Dziewczyna wywieziona z Polski wmawiała ojcu pobożnemu Żydowi że w nocy robi remanent w magazynie. A ojciec wierzył, bo co trzecią noc przynosiła rano konserwy do domu. Jej ojciec nawet się nią chlubił: „Zdolna jest ta moja córeczka. Naczalstwo ją chwali i wynagradza konfiturami”. Nikt z sąsiadów nie miał serca powiedzieć panu z brodą, że jego córka się puszcza. Rano znaleźli buchaltera w samej koszulinie i galotach z troczkami zupełnie skaczaniatego na śmierć o parę kroków od domu. Dziewczynie skończyły się na razie „remanenty” i konserwy, musiała szukać innego kochanka i nawet zaczęto się zakładać kto ją odziedziczy: kierownik sklepu, czy naczelnik składu z żywnością. Wszyscy górnicy mówili: „Szkoda chłopu tego naszego buchaltera. Porządny był i w porządku skaczania”. Najwięcej jednak wszystkim zaimponował tymi onucami rozwieszonymi przepisowo na walonkach.

Kola powtarza: „A ty się Sasza nie poddawaj. Oni zawsze tak straszą. Jak świat światem łapiduchy są skorzy do cięcia. Do ostatka nie dawaj zabrać „nogów”. Może przyjedzie Olga Iwanowna, rozetnie bąble i przewietrzy, wtedy ropa ścieknie i nie dojdzie do kości”. Wszyscy tu jednak mieli zaufanie do naszej kopalnianej lekarki, ale Partia kazała jej jechać na mityng do Ust-Ałdanu czy Ust-Ałłachu, więc nie było jej już czwarty tydzień. Olga Iwanowna zaczęła kiedyś od siostry szpitalnej, przebrnęła przez całą naukę i wy kierowała się w końcu na doktora. Ludziom na kopalni pruła bebechy i fastrygowwała jak należy. Mówili o niej: „Cierpliwa w rękach”. Jakiś czas temu jedna baba zachorowała na ciążę pozamaciczną. Taki wypadek trafia się podobno jeden „na ileś tam sto tysięcy”. Trzeba było operować natychmiast w ciągu godziny, bo to groziło śmiercią lada moment. Olga Iwanowna nigdy nie przeprowadzała takiej operacji i nawet nie wolno jej było tego robić. Jak mówili: „Jeszcze nie doszła do tego miejsca w nauce”. Była tylko zwykłym lekarzem. Naczalstwo jak się dowiedziało o tym wypadku no to na gwałt zmobilizowało wszystkich, jak gdyby czekano na taką okazję. Bo jak mówił Kola: „Medal można zachapać tylko przy fajerwerkach, a nie za czyszczenie klozetów”. Wydano ze składu aparat radio-telegraficzny, który był pod specjalną ochroną, żeby się nim nie

posłużył jakiś szpieg i nie próbował „tikać” telegramów do imperialistów. Kazali Wasi Dzygowskiemu być telegrafistą. Wasia stuka kluczem do rejonowego szpitala w Ust-Ałdanie i pyta o zezwolenie na operację, ci z kolei posyłają pytanie do Jakucka. Nikt nie chce odpowiadać za to, że dał zezwolenie na własną rękę. A nuż coś obróci się „nie tak”, pacjent krypnie, albo wywiąże się jakaś inna chryja i jeszcze gotowi wsadzić tego co podpisał papier. Wasia w końcu odczytał z tasiemki, że minister w Jakucku dał zezwolenie Iwanownej. Olga Iwanowna razem z felczerem przeglądali na gwałt medyczne książki a tymczasem Wasię przenieśli wraz z aparatem do szpitalika i zawiesili antenę na modrzewiach. Olga operuje, dyktuje Wasi co widzi i śle pytania do szpitalnego naczalstwa „co dalej robić”. Co uczyni cięcie, to Wasia trzeszczy kluczem piku-piku. Dostaje potem odpowiedź na wstążce. Papier ciągnie się z aparatu jak makaron a sekretarz partii razem z felczerem przyganiają Wasię aby szybciej czytał co oni tam nakazują w Ust-Ałdanie. Wasia wyszedł z wprawy i ledwie sylabizuje te fastrygowane na tasiemce kropki-kreski. Zdenerwował się w końcu od tego poganiania i mówi: „Co to ja Lenin jestem, że biegiem czytam z tasiemki?” Wszyscy wiedzieli co on miał na myśli, bo na wielu obrazkach pokazywano Lenina jak to on, świętobliwy, czytał Stalinowi telegramy pisane ścięgiem na pasku „prosto z magla”. Niby, że Lenin to był taki geniusz-uczony, że znał się na wszystkim i obywatel się bez telegrafisty czytając wiadomości z frontu wojny domowej. Wasia więc gmera kluczem a pacjentka kituje pod nożem. Poci się on usilnie nad lekarskimi terminami aby je wystukać kropeczkami i przychodzi to o tyle trudniej, że Bozia nie dała mu za dużo nawet zwykłej „gramoty” cyrylicą... Na szczęście było zimno na dworze, zarazki wyzdychały i nie wywiązało się żadne zakażenie, czy inne komplikacje. Operacja trwała ponad cztery godziny i pacjentka przeżyła. Nasza Olga Iwanowna spisała się dzielnie, ale od tego telegrafowania to się Wasi trzęsły ręce tiku-tiku jeszcze ze dwa tygodnie. Leczył się czystym spirytusem. Teraz tylko żałuję, że Olga Iwanowna nie opatrzy mi nóg, może by je odratowała. Modłę się, aby przyjechała na czas z zebrania. Nikt nie wie dokładnie kiedy ma wrócić, bo mieli jej tam dać medal za tę operację, a nawet przedstawić samemu ministrowi zdrowia Jakuckiej Republiki. To także nie trwałoby tak długo ale podobno musiała tam czekać póki reperowano jej zegarek...

Biegnę do chałupy i co powiem rodzinie: że palców nie będzie? Pan Jabłkowski sąsiad — mieszka nas w izbie 16-cie osób — pan Jabłkowski, który „od niechcenia przez pomyłkę” wy-myśla powiedzenia, pocieszy mnie jakimś przypadkowym kalam-burem. Powie może: „No panie Olku, taki jest już byt albo od-

byt” — i będę się z tego śmiał po cichu aby go nie obrazić, gdyż on chce dobrze, tylko podkładają mu się same słowa „nie te”. Ma jakiś dziwny dar do zmieniania wyrazów. Mówi zupełnie serio: „To pole leży odnogiem” — zamiast: „odłogiem” i jest przekonany, że tak ma być w prawowitej polszczyźnie. Ojciec zapyta mnie co było w pracy tak jak zwykł mnie pytać co było na lekcji w gimnazjum. Powiem mu, że dzisiaj dwaj panowie się posprzecjali i jeden chciał nalać drugiego po ryju. Tatuś zwróci mi uwagę, że się źle wyrażam, a mecenasowa Ryłska gnijąca na narach, odezwie się niby do siebie: „Zupełna degrengolada młodzieży”. Kusztykam do domu w mroźnej mgle i myślę co to ze mną będzie jak mi obetną palce. Bez palców trudno jest złapać równowagę. Może się jednak przyzwyczaję, nie będę mógł tylko biegać. I myślę sobie, że teraz sam dla siebie będę musiał wymyśleć bohaterską legendę o tych palcach, taką, żeby ludziom szczękały zęby ze strachu i włosy stawały dęba jak będę im opowiadał o mojej przygodzie. — Tylko nie łkać z bólu, tylko nie łkać... Bo właściwie co to jest człowiek? Człowiek jest to jego opowiadanie. Nie ma opowiadania, nie ma człowieka. Palce, czy nos to nieważne dodatki. Jedynie jeszcze tylko może liczy się w tym świecie duży cyc kobiety albo zegarek... Inni ludzie wyprztykają się ze swoich opowiadań i z ich figur pozostaną wklęsłości. Ale nie ja, nie ja... Ja zasunę ludziom taką historię o moich odciętych palcach, że w końcu przestanę być jakimś tam Aleksandrem Siemionowiczem „Polaczkiem” — pomocnikiem elektromontera, a zacznę uchodzić za *gieroja* — bohatera. Stanę się „Saszą tym bez palców”... I długo będę powtarzać o mnie historie także na innych kopalniach, jak to straciłem palce. Może dostanę się do gazety i wydrukują o mnie w *Jakuckiej Prawdzie*... I dlatego będę się nawet cieszył, że tak to się stało i że mi je obcięli, bo mam tylko 16-cie lat i całe sławne życie będzie przede mną... I zapomnę o bólu, gdyż ból przechodzi a legenda zostaje, a legenda to jest chyba coś więcej niż zegarek, czy złoty ząb... Muszę tylko wymyśleć teraz opowiadanie, HISTORIĘ JAKIEJ JESZCZE NIE BYŁO, aby wypłynąć z morza szarości.

Aleksander PFAU

Andrzej BUSZA

SZTUKA

*Oto drzewo niedopełnione
czarne widły
z miejscem na księżyc*

*widok ten łaknie
jest niedojrzały
jak waza seledynowa
bez astrów*

*zakochany lunatyk poeta
nagina niebo
w snach podmorskich
do pełni*

*światłoczułymi palcami
wypieszcza z mroku
perłę
księżyc*

PEJZAŻ ZIMOWY

Dymią śniegi

*przez ciemne drzew rosochy
toczą się gęste zwoje mgły*

białe języki
jak widma płomieni
wijąc się
liżą boazerię
ogółoconych koron

ku niebu
gdzie matowa koncha
wchłonęła słońce
gałąź
sinym łukiem
wyciąga rozczapierzoną dłoń

gaj opustoszał
zima wygnała
driady i bóstwa leśne

tak wapno zieleń wyžera
gips mowę gasi
wosk syrenom śpiew odbiera
wśród opalowych skał

na białych wydmach
sterczą bez ruchu wraki drzew
czarne chorałwie
nad skostniałym światem

w ciszy i mrozie zenitu
skrzypi oś polarna
jak w pierwszą noc
epoki lodowcowej

N O C

U szczytu
czarnej kamienicy
mała dziewczynka
walczy ze snami

nad jasnym czołem
ciemność
rozgałęzia swe olbrzymie rogi

*dziobów krakaniem
i piskiem krogulczym*

*znad morza wichura
słona piach z pianą mieszająca
tupkowym dachem potrząsa
jak gdyby wyrwać go miała
z korzeniami*

*wir zodiaku
wsysa powoli
w głąb niebios
oporne kamienie*

*tu jednookie błyszczą mgławice
tu morem kazi
Obłok Magellana*

*skryci w sercu domu
palimy horoskopy
papier kirem się zwija
ręce opadają ku ziemi
pustymi gniazdami*

Andrzej BUSZA

Henryk GRYNBERG

(Fragmenty poematu pod tytułem „Wysokie Milczenie”)

I

WIerność

*Obiecywano im wierność
do ostatniej zelówki
a potem rzucono
w pół drogi
przystanęły
jeszcze czekają*

Bogatszych ani biedniejszych
już pośród nich nie ma
są nawet jednego koloru —
czasu i popiołu
z zapadniętymi nosami powoli
(żeby nikt znów nie powiedział że nie widział
nie zauważył)
na naszych oczach umierają

i z dnia na dzień zwlekają nim pójdą
za znanymi im bosymi śladami —
buty wierniejsze niż nogi

II

POD ŚCIANĄ

Ze ściany za którą odeszły
patrzą oczy chłonna ostatni
kurczowy łyk światła

Nie widzicie jak na nas patrzą
niewidzialne ikony ze ściany
rozstrzelanych?

My nie mamy czasu
bo my j e s t e ś m y
nie mam czasu bo jestem
nie mam czasu więc jestem
nie starcza nam życia
by spojrzeć we wszystkie studnie
pochylić się
zauważyć
własne odbicie w dnie
patrzących na nas twarzy

jesteśmy już od nich daleko
a jutro będziemy dalej
choć przedziela nas tylko
ten jeden krok
któregośmy jeszcze nie wykonali

III

KROPLA KRWI

*Ja nie składam doniosłych raportów
nie wyprzedzam nie uprzedzam wszechświatów
przed niebezpieczną planetą która pragnie zakłócić
dziecinną zabawę galaktyk
(zajętych swoim tańcem do nikąd)*

*zajmuję się iskrą nasieniem
nie trwałością
gasnącym promieniem
i przychodzę w prywatnej sprawie
Pojawił się kiedyś przed laty i zniknął zanim ktokolwiek
zdążył się nim nacieszyć
mój malutki brat
Alter Ego
a właściwie moje prawdziwe Ja
mały liść
kropla zieleni*

*nie nauczył się nawet pór roku
bo nie wszystkie się zdążyły powtórzyć
tylko trochę szczebiotu od ptaków
z którymi najłatwiej się gada
i obiecujących uśmiechów na twarzach*

*kto im dał prawo przypuszczać że dotrzymają obietnic
kto potem takim uśmiechom ich bezecne oszustwo
szukał ich na zimnych twarzach [wybacza
na chwilę przed
Zaskoczeniem —
ładne dziecko powiedział esesman
dał mu w usta
czerwony cukierek*

*Nie galaktyki nie galaktyki bolą
małostkowych z natury poetów
lecz przebity bagnetem promień
zachłyśnięty kroplą krwi mały liść*

IV

T O P O L E

*Jak kominy szeregiem stoją oczadziałe włoskie topole
kierunkowskazy do nieba wysokie
jak tutejsze milczenie
i rosły tak przez cały czas
pomimo i ponad wszystko*

*a powietrze tu gęste
od nieobecności
chmury nieobecności w powietrzu
i pustka która zwie się niepamięć
ulatuje ku niebu jak chmura*

*udeptane milionami stóp wielkie oświęcimskie pole
(oświęcimskie pole Trebłinki
oświęcimskie pole Majdanka
oświęcimskie pole Wszystkiego)
na którym stoimy
porusza się razem z nami
gdziekolwiek próbujemy iść
więc nigdzie nie można stąd dojść
ani odejść*

*więc przystaję w szeregu topoli
i staram się rosnąć wraz z nimi
i jak one
patrzeć tylko do góry
oczami zielonymi*

*nie staram się niczego zrozumieć
ani niczego powiedzieć
co jeszcze można mieć do powiedzenia
przychodzę dorzucić własne
do rosnącego milczenia*

Henryk GRYNBERG

Stanisław WYGODZKI

Z CYKLU „DRZEWO CIEMNOŚCI”

*Przyjechali pożegnać się w grudniu,
mokry śnieg zmieszany z deszczem,
czeluść ulicy — ciemna studnia,
mokry śnieg zmieszany z deszczem.
Przyjechali, siedzieli przy stole,
poptakali. „Kochani, nie trzeba”.
Siwe włosy zlepione na czole
i chmura czarna zamiast nieba.*

*Szeptem mówili w mrocznym domu
między śniegiem i między deszczem,
na drzewi spoglądali nieruchome,
niedomknięte, uchylone.
Za nimi pusto i po kryjomu
śnieg tam wpadał zmieszany z deszczem.*



*Przyjechali... I były drzewa,
dukty w ostępach, ciemność w puszczy.
Ponad jazem mgła się przelewa,
dziko w locie zawoła puszczyk.*

*Wiatrołomy wicherą ścięte,
pochylone. Padną? Runą?
Na ramionach ku niebu wygiętych
pająk srebrzystą rozpiął strunę.*

*Były drzewa... Legły w poszyciu,
jedno po drugim powoli tonie.
I przez strunę, tak jak w życiu,
sennie szły pociągowe konie.*



*Wicher wysoki z Golanu,
wicher upalny z Negewu.
Ołów na niebie rozlany
z chmurą gniewu.*

Bijesz o ściany domu
wicherze szalony w porywie.
O, nie natrzęsiesz igliwia
z ogromu.

Badyl spalony na polu,
dymy rozwiane w zagonie.
W mgle stąpające konie
w sercu zabolą.



Drzewa nieruchome w gęstej mgle,
gałąź sękata, chwasty, głogi,
na polach deszczem nasiąkłe stogi
po wodzie brodzą, jak w złowrogim
zielonym szkłe.

Spojrzyć za siebie jeszcze raz:
ławka przy drodze obcej i pustej
i tylko patrzeć, jak w błocie tłustym
otworzy mchem porośnięte usta
chropawy głąz.

A potem ścieżka. Skąd tu żwir?
Ja wiem skąd poszum, który ziębi —
wypada z puszczy, z samej głębi,
gdzie siedem sznurów czerwonych jarzębin
na drzewie czarnym, jak kir.



Wagon, wąwóz, żółto-biały piach,
jakieś resztki muru ze zmurszałej cegły.
Ciemne szyby, złudne, aż pod czarny dach
podbiegły.

Niepotrzebne okna, niepotrzebny mur,
schody krwią nasiąkły, rozpaczą i zgrozą
chłosty, głodu, moru, suchego powrozu
sinego, jak szczur.



*Drobny i ciemny szelest topoli
wchodzi przez sień.
Wcale, Heleno, wcale nie boli
zamglony dzień.*

*Cudze choroby, nie moja śmierć
i drobny i ciemny szelest w drzewie.
Ile zostało? Godzina? Cwierć?
I więcej nie wiem, nie wiem, nie wiem.*

*Pośpię na ławie, a z komody
daj mi, Heleno, jedną z chust.
Zostaw mi w dzbanie chłodnej wody,
wody studziennej dla zimnych ust.*

*Jeszcze mi zostaw biały krąg
lampy naftowej — lodowaty.
Suche masz oczy? Więc z czyich rąk
te mokre kwiaty?*

Stanisław WYGODZKI

20. V. 1969

Król Ube i Polacy

„Zadowolasz się tym, że komenderujesz na rewii setką łobuzów uzbrojonych w koziki, podczas gdy mógłbyś ustroić swoją łepetę w koronę polską?”. To pytanie, zaraz na początku komedii Jarry *Ubu Król czyli Polacy*, stawia Ubica swemu królewskiemu małżonkowi Ubu. Po odpowiednich zmianach — dotyczących liczby, uzbrojenia i użycia łobuzów — zadawał je sobie przypuszczalnie sam od dość dawna król Ube, generał Moczar. A że odpowiedź była oczywista: „nie zadowolam się”, podjął w zeszłym roku próbę ustrojenia swojej łepety w koronę polską. Z różnych powodów próba skończyła się tymczasem nie zupełnie tak jak powinna, ale w ogniu „rozróby” frakcyjnej i masakry nie frakcyjnej król Ube odniósł na czele swoich armii poważny sukces, który w języku wojennym określa się jako zdobycie lepszych pozycji wyjściowych: udało mu się mianowicie przekształcić do reszty Polskę w Ubekistan. Odtąd jego rywale w walce o władzę (nie mówiąc o jego ewentualnych następcach) muszą się liczyć z wprowadzeniem do gry nowych sił, które nie wrócą już tam skąd je do boju wezwał królewski róg. Wygrana Gomułki na Piątym Zjeździe jest pozorna. Warto, dla dobitniejszego zilustrowania sytuacji, przypomnieć uwagę Stawara o bersekerach z jego przedśmiertnej glossy o *Psychologii władania*: „Normanowie, słynący ongi ze swych wypraw zdobywczych, mieli szczególną elitę wojowników. Nazywano ich bersekerami. Przewyższali dzielnością i brawurą innych, ale łatwość z jaką wpadali w furję bitewną czyniła ich niebezpiecznymi nawet dla towarzyszy broni, toteż podróżowali na oddzielnych łodziach i trzymali się oddzielnie”. W polskim Ubekistanie, jaki wyłonił się z nieudanej chwilowo wyprawy zdobywczej króla Ube, jego bersekerzy przestali podróżować w oddzielnych łodziach i trzymać się oddzielnie. Są wszędzie, stali się żelaznym kręgosłupem ustroju, solą nowej „polskiej drogi do socjalizmu”. Po swoim „zwycięstwie” Gomułka znalazł się na ich czele, czyli w praktyce w ich niewoli. W wielkim

dzienniku włoskim *La Stampa* ukazał się niedawno reportaż z Polski pod znamienным tytułem *Polscy nacjonalkomuniści*. Dowiadujemy się z niego, że w kraju ukuto już bardzo ścisłą definicję obecnego stanu rzeczy: zmoczaryzowany gomułkizm.

Ta nowa „polska droga do socjalizmu”, wzbogacona prócz starych i dobrze znanych o świeże ingrediencje, zdaje się bardziej przypadać do smaku wielu Polakom wrogim dotychczas ustrojowi. Nie, albo nie tylko, z miłości do „socjalizmu” w wydaniu poprawionym nieco przez króla Ube na rzecz „żywszego krążenia elit” i podobnych „kuracji odmładzających”. Z rozrzewnienia na widok triumfu, jaki święci w niej niespodzianie „rdzenna polskość”. Ubekistańska „polskość” ma swoje wyraźne atrybuty: przeprowadzone do końca i na serio „odżydzenie” Polski; „polszczenie” mizernych resztek mniejszości narodowych tam gdzie zdołały przetrwać i zachować swą odrębność; celebrowana po zbawidowsku „chwała oręza polskiego” na wszystkich frontach świata; „oczyszczanie” kultury i nauki polskiej z „rodzimych chwastów” i „obcych naleciałości”; walka z zagrożeniem niemieckim, toczona bohatercko na przedpolach „kontrewolucyjnej” Czechosłowacji ramię w ramię z żołnierzami Ulbrichta; i, *last but not least*, gotowość do pokłoenia się „prawdziwie patriotycznemu” kościołowi. Ponieważ w sprawach „drażliwych” i „delikatnych” kościół woli ostatnio wyczekująco i ostrożnie milczeć, to milczenie brane jest przez niektórych za milczące przyzwolenie. Jest rzeczą kościoła wyprowadzić ich głośno i niedwuznacznie z błędu. Bo nie trzeba chyba tłumaczyć, że za maską tak pojętej „polskości” kryje się mały potworkowaty pomiot faszyzmu.

Zmoczaryzowany gomułkizm znajduje również mniej lub więcej ukrytych admiratorów na emigracji, co jest dowodem że mentalność endekoidalna nie umiera wśród Polaków łatwo. Kiedyś, za czasów stalinizmu, samozwańczy plenipotenci „lewicowi” PRL zagranicą posługiwali się najchętniej argumentem odbudowy i uprzemysłowienia kraju: był to naturalnie argument na krótkich nogach, gdyby bowiem wyłącznie takim metrem mierzono ustroje społeczno-polityczne, należałoby pamiętać o realnych przedwojennych dokonaniach faszyzmu włoskiego i hitleryzmu. Teraz, dla odmiany, potencjalni ugodowcy nacjonalistyczni zagranicą raczą nas opowiadaniem o odnalezionej cudownie przez PRL „polskości”. *Kultura* otrzymuje czasem — na szczęście niezbyt często — listy biorące przed nami w obronę „dobrego imię Polski”, albo sugerujące „korzyści narodowe” jakie wypływają z nowej „polskiej drogi do socjalizmu”. Korespondenci tego pokroju niepotrzebnie tracą czas na czernienie papieru i pieniądze na znaczki pocztowe: w ciągu dwudziestu przeszło lat naszego istnienia i naszej działalności dowiedliśmy jak rozumiemy socjalizm i polskość.

Sojusz

Wiem, że dla większości emigracyjnych Czytelników zabrzmiałoby to jak herezja — niemniej twierdzę, że wolność jest dziś mniej pożądaną i cenioną wartością niż dawniej. Tak jest nie tylko w Polsce, w Rumunii czy na Węgrzech — lecz wszędzie. Motywem przewodnim drugiej połowy bieżącego stulecia jest ekonomia i gospodarczo zorientowana polityka. Wielu socjologów uważa, że ów „trend” stanowi największe zabezpieczenie pokoju gdyż gospodarze czy to bogaci czy na dorobku niechętnie chwytają za broń. Wojna może przynieść wyzwolenie i wolność lecz najczęściej jest to wolność wśród ruin i powszechnej nędzy.

Rozpatrzmy pobieżnie dwa przykłady dotyczące Niemiec zachodnich i Polski.

Koncern Bayera, jeden z gigantów przemysłowych w NRF — uznać można za typową ilustrację. Bayer jest kombinacją potęgi przemysłowej i Welfare State. Robotnicy są nie tylko doskonale płaćni lecz związani ze swoją firmą całym swoim życiem. Kluby sportowe, baseny pływackie, restauracje, bary — to jest ograna klisza. Lecz czymś nowym jest własna orkiestra symfoniczna, której czołowi soliści i dyrygent płaćni są przez firmę. Domy wypoczynkowe w górach czy nad morzem dla robotników również nie są niczym nowym. Lecz Bayer posiada własne przedszkola dla dzieci, szkoły, oraz — co ważniejsze — seminaria na których technolodzy Bayera dyskutują z profesorami politechnik na temat intelektualnych zapotrzebowań firmy. Bez wielkiej przesady można powiedzieć, że inżynierowie i technolodzy Bayera produkowani są „na obstalunek”. Dzięki tej operacji nie tracą czasu i pieniędzy na praktykę i zapoznawanie się z przemysłem tylko „wskakują” w system produkcji bezpośrednio po uzyskaniu dyplomu.

Dodajmy jeszcze że firma zapewnia wielorakie zabezpieczenia na starość. Bayer posiada własne, luksusowe domy dla emerytów gdzie za nominalną opłatą wysłużony pracownik w spokoju i dobrobycie może wspominać dawne czasy.

Jak się jest współpracownikiem Bayera nie potrzeba się niczym martwić od kolebki do grobu.

Jaka filozofia socjalna kryje się za powyższym schematem? Bayer swoich robotników stara się przekształcić w posiadaczy czyli w kapitalistów. Robotnikom ułatwia się nabywanie nie tylko udziałów Bayera — lecz również nabywanie udziałów innych firm przemysłowych. Robotnicy otrzymują bezprocentowe pożyczki na kupno domów. Popiera się każdą formę własności od domu po samochód. W rezultacie, robotnik Bayera ma coś więcej do stracenia niż kajdany. Ma do stracenia również swój własny kapitał.

Powyżej przytoczony schemat nie jest wynalazkiem Bayera lecz zalecany jest przez Federację Przemysłowców NRF i stosują go wszystkie wielkie zachodnioniemieckie koncerny przemysłowe.

Co to wszystko oznacza? Kapitałiści niemieccy — podobnie jak kapitałiści w innych wysoko uprzemysłowionych krajach — doszli do wniosku, że wyzysk ekonomicznie jest nieopłacalny. Wyzysk należy porzucić ponieważ nie powiększa zysku. Robotnik dobrze zapłacony, korzystający z licznych ułatwień i usług finansowanych przez firmę — pracuje wydawniej i sprawniej niż robotnik wyzyskiwany. Wyzysk jest ekonomicznie nieopłacalny nawet tam, gdzie jest uprawiany i usankcjonowany przez państwo jak np. w Związku Sowieckim.

Robotnik sowiecki — z wyłączeniem sektorów uprzywilejowanych jest źle płacony i pracuje niewydajnie — co w konsekwencji powoduje nierentowność, względnie minimalną rentowność przemysłów. Gospodarka nierentowna, względnie wykazująca minimalne zyski — nie może płacić wysokich stawek robotnikom i w ten sposób powstaje błędne koło. Planiści komunistyczni starają się temu zaradzić różnymi metodami między innymi tworząc elitarne zgrupowania przemysłowe. W Polsce Ludowej takim elitarnym zgrupowaniem przemysłowym jest Śląsk.

Na Zachodzie a zwłaszcza w Niemczech zachodnich — kapitałiści zwalczają socjalistów ich własną bronią. Z historycznie zrozumiałych względów walka z wyzyskiem stanowiła centralny punkt programów socjalistycznych. Następnie walczono o prawa robotnicze, związki zawodowe, umowy zbiorowe, ubezpieczenia itp. itd.

Wydaje się że kapitałiści niemieccy niemal w całości zrealizowali powyższy program. Nie ma na świecie państwa socjalistycznego w którym robotnikom powodziłoby się materialnie tak dobrze jak w kapitalistycznym koncernie Bayera. W zakładach Bayera istnieją nawet „rady robotnicze”. Owe rady robotnicze nie mają takich uprawnień jak w Jugosławii lecz mają znacznie większe uprawnienia niż analogiczne instytucje w krajach bloku wschodniego.

Oczywiście można powiedzieć, że zasługą socjalizmu jest zniesienie wyzysku i zmiana społecznego klimatu w stosunku do klasy robotniczej. Lecz czy jedynym celem socjalizmu jest uczłowieczenie systemu kapitalistycznego?

Marcuse twierdzi, że ustrój, który w pełni nie zaspakaja po-

trzeb społeczeństwa powinien być potępiony i obalony. Według niego system zachodni mierzony powyższymi kryteriami nie zdał egzaminu. Środki materialne wyrzucane są w błoto — produkujemy bowiem broń atomową i zaspakajamy fałszywe potrzeby stwarzane przez reklamę i *publicity*. Równocześnie patrzymy obojętnie na olbrzymią nierówność w stopie życiowej zarówno w obrębie systemu zachodniego jak i w krajach „niedorozwiniętych”. Nie ma zasadniczego protestu ponieważ „jednowymiarowy człowiek” żyje w „jednowymiarowym społeczeństwie”. „One-dimensional Man” — przyjmuje za pewnik, że mleko będzie codziennie dostarczane pod drzwi jego domu, bomby atomowe będą produkowane jako konieczny składnik tego samego systemu, biedni będą nadal wykonywali nużącą monotonną pracę, zyski będą nadal wypłacane a kolorowi ludzie będą nadal przymierali głodem.

To wszystko w opinii Marcuse’a nie dotyczy wyłącznie Zachodu, lecz każdego wysoko uprzemysłowionego ustroju czy to na Zachodzie czy na Wschodzie.

Osobiście uważam, że choć Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki są wysoko uprzemysłowionymi mocarstwami — ich problemy społeczne są nieporównywalne. Marcuse’owi nie tylko codziennie dostarczają mleko pod drzwi — lecz w ramach systemu, który dostarcza mu mleko — może również wydać każdą książkę jaką napisze. „One-dimensional Man” ukazał się w roku 1964. W rok później Marcuse ogłosił esej pt. „Repressive Tolerance” — którym sankcjonuje użycie przemocy i poza-legalnych środków jeżeli środki legalne nie przynoszą rezultatów. Jest oczywiście nie do pomyślenia by socjolog rosyjski mógł ogłosić tego typu esej w Związku Sowieckim. W mojej opinii wschodniego Europejczyka — ustrój w którego ramach jest rzeczą możliwą ogłoszenie drukiem „Repressive Tolerance” jest do uzdrowienia i nie ma powodu w całości odpisywać go na straty.

Przyjmijmy ową przysłowiową butelkę mleka dostarczaną pod drzwi za symbol systemu, który nie tylko planuje i obiecuje lecz rzeczywiście „dostarcza towar”. Każdy ustrój społeczny stoi i upada ową butelką mleka. Pragnę przez to powiedzieć, że ustrój, który jest niezdolny do dostarczenia towaru (*to deliver the goods*) — nie ma szans przetrwania. Natomiast system, który dostarcza sprawnie i mnóstwo towarów jest bardzo trudno obalić, choćby ów system wykazywał wielkie wady w innych dziedzinach. Większość w każdym społeczeństwie zainteresowana jest w towarach — w wolności konsumpcji jeżeli wolno się tak wyrazić. Tylko mniejszość zainteresowana jest w niezależnej prasie, niezawisłych sądach, i w tzw. „sprawiedliwości społecznej”.

Jeżeliby przyjąć, że ideał socjalizmu można wcielić w życie tylko za cenę mniej wydajnej gospodarki niż w systemie kapitalistycznym — w konsekwencji uznać by trzeba socjalizm za utopię. Prawdziwy ustrój socjalistyczny musi być gospodarczo równie wydajny jak kapitalizm i górować nad nim sprawiedliwością

społeczną. Tylko na tej drodze można będzie w przyszłości udowodnić wyższość socjalizmu nad kapitalizmem.

Wróćmy jeszcze do przykładowego koncernu Bayera. Jeżeli tego typu gigant przemysłowy produkuje wyroby chemiczne, sztuczne włókna itp. — nie wydaje się by komukolwiek zagrażał. Sytuacja ulega radykalnej zmianie gdy kapitał tego kalibru produkuje dwieście czasopism i kontroluje stację telewizyjną.

Ekonomia jest niezmiernie ważna lecz nowoczesny, demokratyczny socjalizm musi być czymś więcej niż systemem gospodarczym. Socjaliści zachodni mówią niemal wyłącznie o ekonomii — natomiast wolne słowo uważają za prawo naturalne, któremu nic nie może zagrozić.

Mimo, że mieszkam w kraju w którym wolność słowa jest powszechnie szanowana — w rozwoju współczesnego kapitalizmu i technologii dopatruję się wielkiego niebezpieczeństwa dla niezależnej prasy i mediów masowego przekazu.

Studenci czechosłowaccy w liście skierowanym do Pokojowej Fundacji Bertranda Russella (pierwsza dekada maja br.) — stwierdzili, że na skutek ostatnich doświadczeń postanowili „odwrócić” swoje programowe hasło. Oryginalne hasło brzmiało: „Społeczeństwo nie jest wolne ponieważ intelektualiści nie są wolni”. Obecnie przyjęto hasło następujące: „Tylko wówczas gdy robotnicy będą korzystali z pełni praw demokratycznych — intelektualiści będą mieli prawo mówić o ich własnej wolności”. (Przekład powyższych haseł nie jest literacko „zgrabny” lecz jest dosłowny).

Pomińmy historyczny fakt, że intelektualiści odegrali istotną rolę tak w formułowaniu teorii socjalizmu jak i w politycznej walce o prawa robotnicze. Istotny jest fakt, że robotnicy potrzebni są intelektualistom a intelektualiści robotnikom — w znacznie większym stopniu niż skłonni są przyznać tak jedni jak i drudzy.

Symbol sowiecki sierp i młot — podobnie jak hasło PPS „Niech żyje rząd robotniczo-włościański” są przestarzałe. Robotnikom w niepomiarnej większej mierze potrzebni są intelektualiści i inteligenci niż chłopci, którzy na całym świecie stanowią najbardziej konserwatywną warstwę. Ponieważ chłop nie należy do klasy ludzi z białymi kołnierzykami (*white collar*) — ponieważ jest pracownikiem fizycznym a nie „gramotnym” inteligentem — fundatorom socjalizmu w dobie mistyki proletariatu wydawało się, że sojusz robotniczo-chłopski jest równoznaczny ze zwycięstwem postępu i demokracji.

Mamy sierp i młot — mamy sojusz tzw. Stronnictwa Ludowego z PZPR — lecz socjalizmu nie mamy. Fakt, że w wschodniej Europie socjalizm nie umiał przełamać nieufności robotników do intelektualistów i inteligencji — a często ową nieufność podsycał — uważam za jedną z głównych przyczyn klęski. Trzeba było dopiero Bieruta, Novotnego i Gomułki by oswoić robotników i intelektualistów z myślą, że łączy ich coś niezmiernie istotnego.

Nawet w Anglii istnieje pewna tradycyjna nieufność robotników do intelektualistów. W mojej ocenie od przełamania owej

nieufności i przekształcenia jej w rzetelny sojusz zależec będą losy socjalizmu. Tego nie dokona żaden pisarz polityczny czy socjologiczny. Owa przemiana musi się dokonać w praktyce życiowej.

Wbrew opinii studentów czeskich nie waham się twierdzić, że stopień wolności z jakiej w danym kraju korzystają intelektualiści — jest najpewniejszym sprawdzianem demokracji. Jeżeli wolność intelektualistów jest dławiona — oznacza to, że nie ma demokracji. Jeżeli nie ma demokracji związki zawodowe są tylko transmisją rządzącej biurokracji. Jeżeli związki zawodowe są transmisją — robotnicy są bezbronni i wszystkie ich prawa łącznie z płacami, które w danym momencie mogą być wysokie — pisane są na wodzie.

Intelektualiści i inteligenci z jednej strony i robotnicy z drugiej strony są dwoma warstwami społecznymi najbardziej zainteresowanymi w wolności i demokracji. Praca intelektualna i wszelka twórczość poza ramami ustroju demokratycznego nie jest możliwa. Z drugiej strony jedynym gwarantem praw robotniczych są niezależne związki zawodowe, które poza ramami ustroju demokratycznego po prostu nie istnieją.

Trzeba stwierdzić, że z owej zbieżności interesów robotników i intelektualistów — Rosjanie zdają sobie doskonale sprawę. Dlatego pro-reżymowym intelektualistom płacą dobre pensje by stworzyć pozór swobody intelektualnej. Wolność intelektualna jaką przez kilka miesięcy obserwowaliśmy w Czechosłowacji — sowieckich aparaczyków wprowadziła w panikę. Oczywiście Breżniew i jego towarzysze nie boją się kilku literackich tygodników czy grupy dyskutujących intelektualistów. Lecz aparaczczyki wiedzą, że to są pierwsze objawy procesu, którego jeżeli nie zdławi się w zarodku — wcześniej lub później doprowadzić by musiał do demokracji. W ostatecznej analizie aparaczczyki nie boją się intelektualistów, którzy nigdzie nie stanowią samodzielnej siły w sensie klasowym — tylko boją się własnych robotników. Boją się niezależnych związków zawodowych, rad robotniczych, demokracji robotniczej.

Na Zachodzie sytuacja układu się inaczej. W NRF w znacznie większym stopniu rządzą *de facto* wielcy przemysłowcy niż politycy. Może niedaleki od prawdy będzie pogląd, że Niemcy przegrawszy dwie wojny światowe uświadomili sobie, że... nie tędy droga. Imperializm nie musi mieć charakteru militarnego. Potężny przemysł i kapitał twardo-walutowy stanowią również znakomite narzędzie ekspansji. Eksportem można zdziałać więcej niż czołgami. Niemcy upokorzeni bezwarunkową kapitulacją szukali uporczywie sukcesu na innym polu. Podobny mechanizm rekompensacyjny leży w podstaw japońskiego „cudu gospodarczego”.

Niemcy są jedynym państwem w Europie, które przemysłowo doścignęło Amerykę. Federalna Republika otrzymała znaczną pomoc — lecz obiektywnie należy stwierdzić, że owa pomoc trafiła do rąk ludzi pracowitych i uzdolnionych. Niemcy Zachodnie są

oknem wystawowym nowoczesnego kapitalizmu i z tej przyczyny budzą zrozumiałą furję u swych komunistycznych sąsiadów.

Niemcy są groźni. Gdyby kiedyś nastąpiło prawdziwe odprężenie w Europie — Rosja jest tak olbrzymia, że bez obawy mogłaby uchylić drzwi dla niemieckiego kapitału, technologii i ekspansji. Lecz Polska w stosunku do Niemiec będzie zawsze dwu- a może trzykrotnie słabszym partnerem. Próba stosunków polsko-niemieckich nastąpi wówczas gdy Niemcy uznają granicę na Odrze i Nysie i zawrą z nami i z innymi krajami Europy wschodniej serię umów handlowych i finansowych. Wówczas przekonamy się czy Niemcy mają na myśli współpracę czy powolny, systematyczny gospodarczy podbój.

Lecz to jest tylko uwaga na marginesie.

Gęstość zaludnienia na Śląsku jest niemal równa gęstości zaludnienia tzw. „większego Londynu”. Trzyście miast ząbca się jedno o drugie. Powstają nowe miasta, których ludność podwaja się i potraja w obrębie kilku lat. Mimo, że rejon śląski obejmuje tylko 3 % powierzchni kraju i 11 % ludności — z ogólnej cyfry domów zbudowanych po wojnie 40 % przypada na Śląsk. Lecz również ponad 40 % polskiego eksportu produkuje się na Śląsku.

Górnik ze swojej płacy 5.500-6.000 zł płaci 5 % za mieszkanie, światło i opał. Mieszkanie jest jego własnością i spłaca je ratalnie w ramach owych pięciu procent. Przeciętne mieszkanie składa się z trzech małych pokoi z których najmniejszy wyposażony jest w piec kuchenny, lodówkę i wannę. Na przydział mieszkania czeka się kilka tygodni a nie kilka lat jak w Warszawie. Każda kopalnia czy zakład przemysłowy posiada własne boiska sportowe, baseny pływackie, świetlice, kluby itp. itd.

W polskiej współczesnej perspektywie królestwo Gierka to jest „Bayer”. Robotnicy śląscy stanowią elitę i ich stopa życiowa jest niewspółmiernie wyższa od przeciętnej dla całego kraju.

Choć się to może wydać paradoksem filozofia Gierka jest identyczna jak Bayera. Wyzysk jest nieopłacalny ekonomicznie. Jeżeli chce się osiągnąć „cud gospodarczy” trzeba w ramach istniejących możliwości zrezygnować z wyzysku. Nie tylko trzeba zrezygnować z jaskrawego wyzysku — lecz trzeba dla swoich robotników stworzyć sytuację uprzywilejowaną. Kto odszedłby od Bayera — nigdzie w Niemczech lepiej mu nie będzie. Kto odszedłby od Gierka — nigdzie w Polsce lepiej mu nie będzie.

Powyższej analogii nie można oczywiście posuwać zbyt daleko. Niemniej faktem jest, że nowoczesna technologia faworyzuje wielkie kombinaty przemysłowe, które są bazą nie tylko eksportu lecz i władzy. Kapitanowie przemysłu — czy to będzie Gierek czy naczelny dyrektor Bayera — stają się coraz potężniejsi. Nawet tam gdzie istnieją związki zawodowe z prawdziwego zdarzenia jak w Niemczech zachodnich — władza i potęga kapitanów przemysłu rośnie szybciej niż uprawnienia i wolności robotników.

Prasa i media komunikacji są również przemysłem. Należy pamiętać, że wolność słowa i niezależna prasa — to są dwie rzeczy

różne. W danym kraju może istnieć parlamentarna demokracja i wolność słowa lecz jeżeli większość organów prasowych znajduje się w rękach wielkich kapitalistów — trudno oczekiwać by prasa odzwierciedlała interesy robotników.

Wydaje mi się, że na Zachodzie a w przyszłości i na Wschodzie winny powstać spółdzielnie zrzeszające intelektualistów, pisarzy, drukarzy, zecerów, linotypistów itp. Tego typu spółdzielnie służyłyby jako „społeczny warsztat” ścisłej współpracy intelektualistów z robotnikami i wydawały niezależne pisma. Wpływu na opinię społeczną nie zdobywa się ani wielkim nakładem ani poparciem kapitału. Wyznacznikiem pozycji pisma jest tylko jego treść.

Gierek był pierwszym dygnitarzem partyjnym, który potępił „wydarzenia marcowe” w Polsce. Budowa demokratycznego socjalizmu w Europie wschodniej poprzez ewolucję czy rewolucję — zależeć będzie od solidarności intelektualistów i inteligencji z robotnikami. Intelektualiści muszą porzucić arogancką postawę, która wyraża się w stwierdzeniu: „my robimy rewolucję i do tego celu potrzebujemy poparcia robotników”. Tam gdzie panował wyzysk i gdzie demonstracje robotnicze rozpędzała policja — jak w carskiej Rosji — tego rodzaju filozofia rewolucyjna wystarczała. Lecz górników śląskich na tej drodze nikt nie zdobędzie.

Robotników trzeba przekonać, obiektywnymi argumentami, że istnieje funkcjonalny związek pomiędzy prawami robotniczymi a wolnością intelektualną. Trzeba ich przekonać, że nawet tam gdzie są dobrze płaceni — ich pozycja i płace zależą od stopnia demokratyzacji, której nie tylko miernikiem lecz i *istotą* jest wolność intelektualna. Tam gdzie nie ma niezależnej prasy — nie ma i być nie może jakiegokolwiek niezależnej organizacji robotniczej.

Fakt, że profesorowi X zabroniono w Warszawie ogłoszenia rozprawy socjologicznej — robotnikowi w Nowej Hucie może się wydawać szczegółem bez znaczenia. Jeżeli jednak owego robotnika pozbawią pracy na podstawie fałszywego donosu lub arbitralnie podniosą mu normę — stanie się to z tej samej przyczyny dla której profesorowi X odmówiono prawa publikacji jego rozprawy. Demokracja jest systemem naczyń połączonych. Dlatego wolność intelektualna jest niezbędna dla robotnika — mimo, że on sam nie jest intelektualistą.

Socjaliści mówią zawsze o uspołecznieniu środków produkcji — tak jakby określony typ gospodarki wytwarzał samoczynnie określony ustrój społeczny. Wydaje mi się, że socjalizm jest nie tylko ekonomią lecz przede wszystkim socjologią. Wolność i sprawiedliwość społeczna nie stanowią ubocznego produktu systemu gospodarczego choćby najbardziej socjalistycznego. Każda władza czy to socjalistyczna czy jakakolwiek inna — nie lubi krytyki i niezależnej myśli. Jeżeli socjalistyczny przywódca mówi, że uznaje krytykę lecz tylko krytykę konstruktywną — stwierdza tym samym, że nie uznaje ani nie pragnie żadnej krytyki.

Ponieważ ustrój demokratyczno-socjalistyczny jest najtrudniej-

szym z wszystkich ustrojów wymyślonych przez człowieka — ponieważ jest ustrojem zmierzającym do zharmonizowania nieubłaganych praw gospodarczych z ideałem humanizmu — niezależna prasa, niezależna opinia intelektualna, swobodna krytyka stanowią jedyne zabezpieczenie przed katastrofą. Nic nie jest łatwiej sparodiować jak ideał. Nic nie jest łatwiej wypaczyć jak socjalizm. Można dziesiątkami lat budować socjalizm i nie osiągnąć go. To jest ludzkie i nie ma w tym ani hańby ani katastrofy. Katastrofą jest natomiast gdy środki przekreślają cele — gdy parodia socjalizmu uznana zostaje przez biurokrację za socjalizm.

Komuniści nie mają monopolu na wypaczenia. Gdyby do steru doszli kiedyś w Polsce demokratyczni socjaliści zaroiliby się od ich wypaczeń.

Socjalizm to nie jest „rząd robotniczo-włościański”. Socjalizm to jest społeczeństwo socjalistyczne. Sojusz z postępowymi intelektualistami potrzebny będzie robotnikom nawet w społeczeństwie socjalistycznym ponieważ tylko postępowi intelektualiści bronić będą robotników przed ich własną biurokracją.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kapitaliści i dziennikarze

Mam zamiar pisać o wydarzeniu na pozór błahym. Przez trzydzieści dni, co prawda ważnych z punktu widzenia politycznego bo poprzedzających wybór Prezydenta Republiki Francuskiej, jeden z największych dzienników Francji *Le Figaro*, oraz wydawane przez tę samą spółkę *Le Figaro Littéraire* i *Le Figaro agricole* nie ukazywały się w druku. Przestały wychodzić nie dlatego, że zabrakło kapitałów na ich wydawanie ani dlatego, że czytelnicy przestali interesować się tymi pismami, ale dlatego, że dziennikarze wchodzący w skład ich redakcji powzięli jednomyślnie decyzję zaprzestania wszelkiej pracy. Są tacy, którzy nazywają tę decyzję buntem, samowolą, lekkomyślnością. Ale są też inni — i ci stanowią ogromną większość — którzy dziennikarzom przyznają całkowitą rację.

O co jednak chodziło współpracownikom tych pism gdy ogłosili strajk? Sprawę można ująć w jednym zdaniu: domagali się od nowych właścicieli pism zagwarantowania pełnej niezależności intelektualnej i politycznej dla pracy redakcyjnej. Innymi słowy, wyznaczyli granice dla uprawnień osób będących właścicielami

dzienników, zwężali prawo własności kapitalistów sprowadzając ich do roli nieomal tych, którzy poprzestają na inkasowaniu dochodów. Stanowisko ich dzięki temu nabierało od razu innego znaczenia. Stwarzało problem o charakterze ogólnym, nadawało inny ciężar gatunkowy wydarzeniu, które przestawało być błahym. Było próbą szukania nowych dróg dla ustalenia współpracy między kapitałem i pracą, usiłowaniem zdefiniowania osławionej „partycypacji” w dziedzinie dotyczącej swobody prasy.

Rzecz jasna, że pismo różni się nieco od zwykłego przedsiębiorstwa wyrabiającego mydło czy pończochy nylonowe. W ustroju kapitalistycznym, właściciel przedsiębiorstwa gdy chce zmienić gatunek czy zapach produkowanego mydła nie zasięga rady swych pracowników i nie podporządkowuje swej decyzji ich opinii. W piśmie, gdy właściciel chce narzucić swą wolę, problem komplikuje się. Dlatego przede wszystkim, że postawa myślowa czy polityczna wyrażana przez dane pismo jest udziałem tych wszystkich, którzy z nim współpracują. Jest w pewnym sensie ich własnością. Dziennikarze francuscy chcieli po prostu to wspólne prawo własności zatwierdzić.

Oburzające — mówią dogmatyczni wyznawcy zasady „jestem panem u siebie” lub zasady „płacę i wymagam”. Zrozumiałe — mówią zwolennicy ewolucji pojęć i relatywizmu historycznego.

By zdać sobie sprawę z tego kto z nich ma rację, kilka słów dotyczących historii *Le Figaro* w ostatnich latach.

Po krótkiej przerwie podczas okupacji niemieckiej pismo zaczęło wychodzić na nowo 23 sierpnia 1944 roku. W ciągu bardzo krótkiego okresu, bo dwóch lat — od 1944 do 1946 — nakład jego skoczył ze 190 tysięcy egzemplarzy na przeszło 400 tysięcy. Redakcja kierowana przez świetnego dziennikarza Pierre Brisson nadaje pismu wysoki poziom, zapewnia sprawną informację, sprawia, że *Le Figaro* bierze czynny udział w formowaniu opinii publicznej, że z głosem jego liczą się koła rządowe i polityczne. Sukcesy te wywołują skutek łatwy do przewidzenia. Budzą z lewotargu właściciela pisma.

Okazuje się, że jest nim najnieoczekiwanej w świecie Rumunka, pani Cotnareanu, stale zamieszkała w Stanach Zjednoczonych. Po swym pierwszym mężu, słynnym fabrykancie perfum François Coty, odziedziczyła ona akcje towarzystwa *Le Figaro* (posiada ich 57.148 na ogólną liczbę 60 tysięcy). Teraz, by zadokumentować swe prawa, zjeżdża do Paryża, wysuwa żądania, chce powołać do życia nową redakcję, objąć kierownictwo nad całą imprezą. Redakcja broni się. Podstawą jej obrony jest ustawa z 1947 roku, która zapewnia nienaruszalność pewnych praw osobom zajmującym się zarządem, administracją i redagowaniem jakiegos pisma w ciągu co najmniej dwóch lat. Rozpoczyna się więc

proces, niepozbowiony zresztą wydarzeń humorystycznych czy groteskowych, który trwać będzie trzy lata. Pani Cotnareanu, zniechęcona wreszcie przebiegiem walk, sprzedaje w roku 1950 — mówią, że za milion dolarów — połowę swych akcji towarzystwu złożonemu z dwóch osób: Jean Prouvost et Ferdinand Béghin. Kim są ci dwaj panowie? Oczywiście miliarderami (pierwszy z nich jest potentatem w przemyśle włókienniczym, drugi w przemyśle cukrowniczym), lecz łączą ich poza tym dwie wspólne cechy: pasja do wydawania pism i wzajemna nienawiść. Mimo tych wrogich uczuć tworzą oni od lat pozornie nierozzerwalny tandem. Już w 1938 roku kupują zamierające pismo *Paris-Soir*, reorganizują jego redakcję i administrację, tworzą koncern prasowy, który wydaje poza tym tygodniki *Match* i *Pour vous* oraz miesięcznik *Marie-Claire*, i bardzo szybko przekształcają całość w niezrównaną potęgę (nakład *Paris-Soir* przed wojną wynosił 2 miliony egzemplarzy dziennie).

W 1950, wejście na scenę *Le Figaro* Prouvost'a i Béghin'a mogło oznaczać całkowite opanowanie pisma przez tych dwóch olbrzymów. Jeżeli tak się nie stało, to tylko dzięki zdolnościom dyplomatycznym redaktora naczelnego Pierre Brisson. W dziewięć dni po zakupieniu akcji przez obu przemysłowców zostaje utworzone za ich zgodą towarzystwo „*La société fermière*” (w skład jego wchodzi zaledwie dwóch przedstawicieli kapitału na ogólną liczbę siedmiu członków), które obejmuje zarząd, administrację oraz kierownictwo nad redakcją pisma. W ten sposób powstaje wyraźny podział kompetencji między kapitałem i pracą: z jednej strony istnieje towarzystwo „*Le Figaro*” (właściciele), które tylko dwoma głosami uczestniczy w pobieranych decyzjach, a z drugiej towarzystwo „*La société fermière*” (liczące na siedmiu członków pięciu przedstawicieli dziennikarzy), które prowadzi pismo. W tym przedsiębiorstwie kapitał uchylił głowy.

„*La société fermière*” powołana została do życia na 19 lat. W okresie tym zaszły dwa ważne wydarzenia. 31 grudnia 1964 umiera Pierre Brisson, twórca układu z 1950 roku. Miejsce jego zajmuje Louis Gabriel Robinet, który postanawia zachować wierność tradycji wytworzonej przez jego poprzednika. Drugie wydarzenie, to decyzja w 1965 roku córki pani Cotnareanu sprzedaż reszty posiadanych akcji. Panowie Prouvost et Béghin zakupują je za sumę 2 miliardów dawnych franków i stają się w ten sposób właścicielami w 96,96 % ogólnej liczby akcji. Rola ich jednak ogranicza się właściwie w dalszym ciągu do inkasowania dochodów (według umowy z 1950 roku 95 % dochodów otrzymują właściciele, a 5 % „*La société fermière*”).

14 maja br. dobiegło końca istnienie „*La société fermière*”. Właściciele przystąpili natychmiast do ataku. Pragną oni zmienić

skład nowego ewentualnego towarzystwa zarządzającego w sposób następujący: 4 przedstawicieli grupy Prouvost, 4 przedstawicieli grupy Béghin, 4 przedstawicieli dziennikarzy. Inaczej mówiąc, 8 przedstawicieli kapitału, 4 przedstawicieli pracy. Dziennikarze złożyli kontr-propozycję: 4 przedstawicieli spółki właścicieli, 4 przedstawicieli dziennikarzy oraz 4 członków dokooptowanych przez obie strony. Jak dotąd spór nie został rozstrzygnięty. *Le Figaro* wychodzi co prawda, lecz zarząd nad nim sprawuje wyznaczony przez sąd syndyk. Istota konfliktu jest jasna. Nie chodzi tu o rozgrywki personalne, o zwalczanie tej czy innej kandydatury, chodzi o zasady. Panowie Prouvost i Béghin stwierdzają: przyznajecie nam prawo własności lecz odmawiacie możliwości wykonywania tego prawa. Rozgoryczenie ich wydaje się zresztą zrozumiałe. Czyż nie jest rzeczą paradoksalną być właścicielem takiego organu jak *Le Figaro* i nie móc prowadzić kampanii w tej czy innej sprawie? Prouvost daje poza tym do zrozumienia, że na skutek jego światłych decyzji (ma on obecnie 84 lata) nakład dziennika skoczyłby bardzo szybko z pół miliona na milion egzemplarzy. W grę wchodzi więc nie tylko sprawa korzystania z własności, lecz także sprawa jej właściwej eksploatacji (w ciągu 19-tu lat swego istnienia „La société fermière” przyniosła właścicielom *Le Figaro* prawie 83 miliony nowych franków czystego dochodu — Prouvost uważa, że nie jest to wystarczające).

Dziennikarze odpowiadają: pismo jest przedsiębiorstwem, które produkuje nie tylko dobra materialne, lecz także duchowe. Jako współpracownicy dziennika jesteśmy współ-właścicielami dóbr duchowych, a prawa te nabyliśmy w ciągu wielu lat redagowania go i administrowania nim. Chodzi więc o zagwarantowanie nienaruszalności tych dóbr. Ograniczając prawo własności kapitalisty, wprowadzamy podział, który w swoim czasie dzielił w drodze zwyczajowej zakres kompetencji mecenasa sztuki i artysty. A jeżeli chodzi o sprawę właściwej eksploatacji dziennika, to nie można przecież obniżyć, w myśl zasady wydajności kapitału, poziomu pisma.

Spór jest więc sporem światopoglądów. I chyba nie ma wątpliwości, że ci, którzy bronią swobody prasy, mają rację. Mają ją tym bardziej, że w innym wielkim piśmie francuskim *Le Monde* problem właściwego rozgraniczenia uprawnień kapitału i pracy znalazł odpowiednie rozwiązanie. Po zakończeniu wojny *Le Monde* zaczął z niczego. Jego redaktor naczelny uzyskał wówczas drobną pożyczkę z rządu i zabrał się z grupą współpracowników do pracy. Pismo rozwinęło się tak szybko, że w 1951 roku powstała konieczność utworzenia towarzystwa wydawniczego i opracowania jego statutu. Powstała więc spółka akcyjna, która składała się z jednej strony z około 20 osób, przeważnie profesorów

uniwersytetów i uczonych, posiadających 73 % akcji, a z drugiej z dziennikarzy, którzy dysponowali 27 % akcji. W łonie tej spółki, wszelkie zasadnicze decyzje dotyczące mianowania dziennikarzy, zarządu pismem, zajmowania stanowiska w tych czy innych zagadnieniach politycznych musiały zapadać większością 75 % głosów. Dziennikarze więc byli języczkiem u wagi. W kilka lat później, gdy *Le Monde* stał się potężnym przedsiębiorstwem posiadającym własny gmach, własną drukarnię i wydającym szereg publikacji poza dziennikiem, przekształcono statuty spółki akcyjnej. Obecnie 40 % akcji posiadają dziennikarze (nabywali oni akcje po nominalnej sumie 60 franków), 5 % grupa 20 osóbistości, 4 % urzędnicy i robotnicy zatrudnieni w *Le Monde*, 11 % dwaj zarządcy pismem, 40 % osoby spoza pisma dobrane w myśl odpowiedniego klucza i w ten sposób by reprezentowały wszystkie kierunki myśli w równym stopniu (na przykład jest wśród nich ta sama liczba katolików co protestantów).

Taki podział akcji okazał się rozwiązaniem idealnym. Problem tarcia między kapitałem a pracą nie istnieje, problem niezależności pracy zapewnia równowaga między wpływami dziennikarzy a wpływami osób spoza pisma. Można więc, realizując pewne koncepcje, doprowadzić w ustroju kapitalistycznym do zachowania swobody organu prasowego. W ustroju komunistycznym jest to nie do pomyślenia. Ale to z innych względów.

Paweł ZDZIECHOWSKI

Kronika angielska

TEORIA I FAKTY

Pewien znany detektyw Scotland Yardu zwykł był mawiać w czasie śledztwa do przesłuchiwanego: „Istnieje pańska relacja — istnieje moja relacja i istnieją fakty. Trzymajmy się faktów”.

Sprawa kryminalna — nawet skomplikowana — składa się w gruncie rzeczy z niewielkiej ilości faktów, które można poznać i przeanalizować. Lecz w polityce nie jest rzeczą możliwą znać wszystkie fakty. Tych faktów jest zbyt wiele by można je ogarnąć. Kto z nas zna wszystkie fakty które składają się na zjawisko określane potocznie „imperializmem sowieckim”?

Weźmy fenomen znacznie mniejszy tak w skali czasu jak i przestrzeni. Mam na myśli wojnę w Wietnamie. Dzięki setkom dziennikarzy, korespondentów wojennych, fotoreporterów, dziesiątkom książek, studiów i wszelkiego typu opracowań — fakty dotyczące wojny w Wietnamie są dla każdego

dostępne. To jest niewątpliwie najmniej tajemnicza wojna z wszystkich nowoczesnych wojen i przeanalizowano ją wielokrotnie nie tylko w Stanach Zjednoczonych lecz również w Anglii i w innych krajach Europy.

Nakładem „Columbia University Press” ukazała się książka zbiorowa pt. „Theory and Reality in International Relations”. Książka liczy zaledwie 108 stron lecz jest to wielkiej wartości dziełko.

Chciałbym w tym miejscu napisać kilkanaście zdań, które nie wiążą się bezpośrednio z cytowaną książką lecz mogłyby służyć za fragment wstępu — gdyby mnie poproszono o napisanie wstępu — do owej pracy zbiorowej.

Tygrysa można porównać z kotem domowym, psa z wilkiem, wieloryba z delfinem. Lecz z kim można porównać człowieka? Napisałem w jednym z poprzednich moich artykułów, że mózg ludzki pracuje w oparciu o precedensy i analogie. Jedną z cech ludzkiej kondycji jest fakt, że człowiek jest fenomenem bez precedensu.

W „Science Fiction” ludzie z Marsa czy z innych planet lądują na ziemi. Wydaje mi się, że autorzy tych powieści spełniają podświadome, głębokoboko zakorzenione pragnienie każdego socjologa i antropologa. Gdyby ludzie z innej planety pojawili się między nami wszystko uległoby zmianie. Człowiek przestałby być „jedynakiem kosmosu”, przestałby być fenomenem bez precedensu i można by go studiować i przyrównywać do analogicznych istot z innej planety. Wówczas — lecz dopiero wówczas, nauka o człowieku stałaby się konkretną możliwością. Zdobyliśmy bowiem w stosunku do nas samych aparat porównawczy — co ułatwiłoby nam obiektywne spojrzenie na tzw. *homo sapiens*.

Hans Morgentau krytykuje wojnę w Wietnamie — natomiast Walt Rostow broni jej. Spór nie dotyczy faktów. Obaj wybitni autorzy opierają się na tych samych faktach i nie zarzucają sobie przeinaczania czy przemilczania faktów. Lecz Morgentau i Rostow holdują w tej sprawie dwóm różnym teoriom.

Życie międzynarodowe składa się z tak nieprawdopodobnej ilości faktów, że po pierwsze musi się dokonać wyboru — a po drugie wybrane fakty trzeba ułożyć w pewien schematyczny obraz. To jest działalność w pewnej mierze podobna do twórczości malarskiej. Tylko poprzez portret mamy jakąkolwiek szansę zbliżenia się do rzeczywistości, którą portretujemy. Zabici, ranni, spalona dżungla, miasta w ruinach, tłumy uchodźców — to wszystko *per se* nie oznacza. Dla młodego żołnierza Wietkongu powyższy obraz stanowi fragment wojny wyzwoleniczej — dla Amerykanina ten sam obraz stanowi fragment polityki *containment*.

Człowiek o przekonaniach lewicowych będzie skłonny wojnę potępić — człowiek o przekonaniach prawicowych będzie skłonny wojny bronić. Która z tych ocen jest realistyczna? Ludzi nie różnią fakty tylko interpretacja faktów. Interpretacja z kolei determinowana jest postawą czyli poglądem na świat.

Nie ma praktyki bez teorii. Realistą można być tylko w oparciu o prawidłową teorię. Przez prawidłową teorię tak w fizyce jak i w polityce należy rozumieć teorię, którą potwierdzają fakty. Ideologia tym różni się od teorii, że zakłada pewien rozwój niezależnie od faktów. Ideolog uważa, że postawa determinuje fakty a nie odwrotnie. Innymi słowy celem ideologii jest stworzyć rzeczywistość a nie interpretować ją w sposób właściwy.

Bez ideologii człowiek nie byłby w pełni człowiekiem. Nie zadowolimy

się bowiem nigdy tylko interpretowaniem rzeczywistości. Pragniemy mieć bezpośredni wpływ na kształtowanie się rzeczywistości.

Wyznawcy ideologii totalnych zapominają natomiast o tym, że nie tylko my wpływamy na fakty, lecz i fakty wpływają na nas. Socjalista zaangażowany w budowie socjalistycznego społeczeństwa nie jest rzeźbiarzem, który kształtuje bryłę gliny — lecz jest równocześnie rzeźbiarzem i gliną. W danej sytuacji socjalista stanowi część doświadczenia, które przeprowadza. To nie tylko burżuazja ulega przemianom. Socjaliści również ulegają przemianom w procesie rewolucyjnym.

Ideolodzy, którzy nie chcą uznać powyższych faktów tracą kontakt z rzeczywistością. W warunkach ludzkiej kondycji nie ma i być nie może niezmiennalnej dogmatycznej ideologii.

Człowiek chciałby być dobry, szlachetny, lubiany, poważany. Doświadczenie mówi nam, że bardzo niewielu ludzi ów ideał osiąga. W ludzkich warunkach zwycięstwo nad realnym światem, którego stanowimy część składową — nigdy nie jest całkowite. Mądry człowiek godzi się tym.

Ideolodzy totalni i przywódcy religijni nigdy nie biorą pod uwagę tzw. efektów ubocznych. Mieć przemysł w skali amerykańskiej jest rzeczą wspólną. Lecz zatrucie większości jezior i rzek jest katastrofą. Wychowanie religijne może być rzeczą cenną — lecz terroryzowanie dziesięcioletniego dziecka wizją piekła może doprowadzić do neurozy na całe życie. Podobnie jest z inżynierią społeczną. Najbardziej racjonalnie pomyślana reforma ustrojowa może wywołać sumę negatywnych efektów ubocznych, które *de facto* przekreślają sens owej reformy. Socjalista „otwarty” wyciągnie z tego odpowiednie konsekwencje. Ideolog totalny pozostanie przy swych dogmatycznych założeniach.

Teoria w polityce odgrywa podwójną rolę. Interpretuje rzeczywistość, wydobywa jej „sens” i tym samym pozwala na wyciąganie wniosków. Wnioski z kolei umożliwiają sformułowanie programu.

Wszystko podlega prawom ewolucji — nawet komunizm. Lecz ewolucja społeczna w każdym ustroju jeżeli ma podążać w określonym kierunku musi być oparta o pewną teorię. Gdy pisałem mój „Ewolucjonizm” wydany przez *Kulturę* — chciałem w skromnej mierze przyczynić się do skonstruowania teorii prawidłowej ewolucji komunizmu.

Mamy setki naukowców politycznych, setki sowietologów, setki znawców Rosji — lecz nie mamy teorii, która określałaby zjawisko zwane „Związkiem Sowieckim”. W każdym miesiącu ukazują się dziesiątki gruntownych studiów na ten temat. Opracowane mamy wszystko — stosunki narodowościowe w Sowietach, rolnictwo, przemysł, program kosmiczny, literaturę, prasę, system wychowawczy, ideologię, filozofię itp. itd. Ryzykuje pogląd, że na Zachodzie ukazuje się znacznie więcej poważnych książek o Sowietach niż o Ameryce. Mamy mało zawodowych „amerykanologów” mimo, że w Stanach Zjednoczonych dzieją się rzeczy trudne do wyjaśnienia, jak np. rewolucja studencka. Lecz na dnie duszy każdy z nas jest przekonany, że w Ameryce z czasem wszystko się jakoś ułoży prawidłowo — ponieważ Stany Zjednoczone są demokracją — więc choć chwilowo dzieją się tam rzeczy jakie filozofom się nie śniły — nie ma powodu do alarmu.

Opinie wyrażane o Rosji przez znawców przedmiotu bywają często sprzeczne i wskutek tego nie sumują się i nie przyczyniają się do zbudowania generalnej teorii o Związku Sowieckim. Rosja budzi w ludziach Zachodu

silne i różnorakie reakcje emocjonalne. Niemcy hitlerowskie budziły również różnorakie reakcje emocjonalne lecz owe reakcje były w gruncie rzeczy tylko nienawiścią i pogardą. Hitler był neurotykiem, człowiekiem owładniętym kompleksem władzy i wielkości lecz było wiadomo do czego zmierza.

Do czego zmierza Rosja? Na to pytanie istnieje tyle odpowiedzi ilu jest sowietologów. Rosjanie są imperialistami i równocześnie dzierżą „sztan-dard wyzwoleńcy ludów ujarzmionych” — są militarystami i równocześnie „obrońcami i budowniczymi pokoju”, są realistami i równocześnie podtrzymują utopijny mit o skomunizowaniu świata, są pragmatykami i równocześnie gotowi są sens doświadczenia poświęcić dla dogmatu, są supermocarstwem, które prowadzi zaborczą politykę i równocześnie głoszą walkę z „obozem kapitalistów i imperialistów”. Lecz przede wszystkim Rosjanie są narodem, który sparodiował i podeptał socjalizm, lecz nigdy się od niego nie uwolnił. Socjalizm, prawdziwy socjalizm jest istotnym problemem w Rosji. Ów problem dyskutuje się w zamkniętych kołach, omawia się w podziemnej prasie i w podziemnych książkach i w umysłach światłych Rosjan ów problem stanowi treść i nadzieję rosyjskiego odrodzenia.

Teoria polityczna, która zakładała, że Niemcy hitlerowskie były zbrodniczym państwem — przechodziła do porządku nad setkami a może tysiącami Niemców którzy stawiali czynny opór hitleryzmowi. Lecz niewątpliwie większość narodu niemieckiego popierała Hitlera i prawidłowa teoria dotycząca ówczesnych Niemiec musi być oparta na tym fakcie, ponieważ to był fakt decydujący.

Który z faktów w współczesnej Rosji uznać należy za decydujący?

Często wadliwie oceniamy dany naród ponieważ źle i mylnie oceniamy jego sąsiadów. Na Zachodzie skłonni jesteśmy przypuszczać, że Chiny są lądową, statyczną potęgą, której imperialne pretensje do wielkości wyrażają się raczej w słowach niż w czynach.

W maju br. rozmawiałem z kilku Polakami, którzy niedawno odwiedzili Rosję. Według ich relacji Rosjanie są przekonani, że Chińczycy poświęcą ostatni worek ryżu a nie zwolnią tempa zbrojeń atomowych. Rosyjska teoria zakłada, że głód jest głównym czynnikiem mobilizującym i fanatyzującym tłumy i kierownictwo w Pekinie zdecydowane jest głodzić Chińczyków dopóki nie zdobędą Syberii. Partia chińska dysponuje znacznym sztabem fizyków atomowych wykształconych na uniwersytetach amerykańskich, którzy pracują dzień i noc nad realizacją programu atomowego.

W ocenie Rosjan konflikt rosyjsko-chiński jest konfliktem strukturalnym (przekład terminu rosyjskiego), i wskutek tego nie może pozostać nierozegrany. Ktoś musi wygrać, ktoś musi przegrać. W Moskwie sądzą, że Europejczycy z Polakami włącznie nie zdają sobie sprawy z narastającego niebezpieczeństwa chińskiego. Rosjanie mówili moim znajomym: „będziemy przedmurzem waszego kościoła, waszej religii i zachodnioeuropejskiej cywilizacji”.

Nienawiść do Chińczyków w Rosji jest autentyczna i powszechna. Oczywiście w owym sporze gra toczy się nie tylko o Syberię lecz o panowanie nad Azją.

Daleki Wschód nie jest moją specjalnością i nie mam w tej sprawie osobistego poglądu. Natomiast nie ulega dla mnie wątpliwości, że gdyby kiedyś doszło do zbrojnego konfliktu rosyjsko-chińskiego — w Europie powstałaby *nowa sytuacja*. Rosjanie zrobią wszystko by zabezpieczyć się

przed wojną na dwu frontach. Spacyfikowanie Europy oznacza w rzeczywistości spacyfikowanie Niemiec. Owej pacyfikacji można dokonać dwoma metodami. Można Niemcy zająć ryzykując wojnę ze Stanami Zjednoczonymi, lub można Niemcom zaproponować nowe wydanie paktu Ribbentrop-Mołotow. Osobiście nie wątpię, że Rosjanie zdecydowaliby się na drugie rozwiązanie proponując Niemcom korzystne warunki.

Rosjanie mogą Niemcom zaoferować wszystko, podczas gdy Amerykanie nie mogą im zaoferować niczego. Rosjanie mogą Niemcy zrównać z ziemią w obrębie kilkunastu godzin albo mogą im zaoferować zjednoczenie i spory kawał polskich ziem zachodnich na dodatek. Obawiam się, że misja „przedmurza” o której Rosjanie deklamowali moim znajomym krajowcom — w praktyce przybrałaby kształty nakreślone powyżej.

Wszyscy Polacy z Kraju z którymi rozmawiałem w ostatnich miesiącach — wyrażali zgodną opinię, że w razie omawianego konfliktu Ameryka powinna aktywnie poprzeć Chiny. Nawet ci moi rozmówcy, którzy są przekonanymi zwolennikami sojuszu polsko-rosyjskiego byli również tego zdania.

Osobiście jestem zwolennikiem sojuszu Polski z przyszłą Rosją czemu dawałem wyraz w dziesiątkach artykułów.

Nim zbuduje się konkretną teorię polityczną — dobrze jest rozważyć „anty-teorię”. Założmy, że w razie konfliktu Stany Zjednoczone dyskretnie wspomagają Rosję. Chiny zostają pokonane, w Pekinie powstaje rząd pro-sowiecki, neo-stalinowcy w Moskwie triumfują i propaganda przedstawia ich jako super-Jana Sobieskiego, który uratował Zachód przed zalewem barbarzyństwa. W takich warunkach wszelkie nadzieje na liberalizację, demokratyzację czy przewrót w Rosji trzeba by pogrzebać na 50 a może na sto lat. Reżym który osiąga wielkie sukcesy i zwycięstwa jest bardzo trudno obalić czy zreformować. Gdyby carska Rosja była państwem zwycięskim i triumfującym, Lenin nie doczekałby się rewolucji.

Mimo, że odrzucam leninizm jako teorię socjalno-ustrojową i rewolucyjną — akceptuję pogląd Lenina, że w pewnych sytuacjach historycznych klęska lub przegrana jest koniecznym warunkiem odrodzenia. Jeżeli demokracja — ufajmy — zapanuje trwałe korzenie w Niemczech jej matką będzie totalna klęska.

Totalizm w Sowietach nie zostanie obalony bez wstrząsu z zewnątrz, bez przegranej, która nie musi być całkowitą klęską. Ponieważ Rosjanie w razie konfliktu z Chinami szukać będą porozumienia z Niemcami — Stany Zjednoczone winny tym bardziej poprzeć aktywnie Chiny. Przez aktywne poparcie rozumiem dostawę broni i żywności na wielką skalę.

Jaka byłaby alternatywa? Rosjanie podejmą maksymalny wysiłek by wymóc na Waszyngtonie neutralność. Gdyby Amerykanie przyjęli politykę neutralną — Rosja pobiłaby Chiny i rozwiązała kwestię niemiecką według własnych planów. Wówczas staliński na Kremlu panowałiby nad Azją i nad Europą.

Powyższa teoria wypływa oczywiście z mojej postawy wolnościowej lecz nie jest dyktowana nienawiścią do Rosji. Gdybym był rdzennym Rosjaninem i patriotą rosyjskim nie zmieniłbym w powyższym artykule jednego zdania. Tak jak carat został obalony tak i obecny totalizm sowiecki musi być obalony. Wszystko co zmierza ku temu celowi — względnie pośrednio może ułatwić realizację powyższego celu — leży bezpośrednio w interesie narodu rosyjskiego i narodów wchodzących w skład Związku Sowieckiego.

Na Zachodzie nie wypracowaliśmy generalnej teorii politycznej w stosunku do Rosji — ponieważ choć fakty są znane, postawy polityków są różne. Pokój jako wartość stawiamy niepomniernie wyżej niż wolność.

Filozofia pokojowa ma podźwięk niezmiernie wzniósł. Osobiście jestem również za pokojem. Lecz mówiąc czy pisząc o pokoju dobrze jest pamiętać, że chodzi nam zawsze o pokój dla nas, który gotowi jesteśmy kupić niewolą innych. Podobnie dbamy o nasze bogactwo i ekonomię, tolerując głód i nędzę innych.

Nigdzie nie jest powiedziane, że setki milionów ludzi winny tolerować system totalny tylko dlatego, żeby zachować nasz pokój. Nie jest również nigdzie powiedziane, że setki milionów które cierpią głód mają do końca świata godzić się ze swoją nędzą tylko dlatego, żeby nie obniżać naszej stopy życiowej.

Niewola innych jest zagrożeniem tak naszego pokoju jak i naszej wolności. Głód innych jest dziś potencjalnym a jutro aktywnym zagrożeniem dla naszego dobrobytu. Nie tylko ze względów humanitarnych lecz w imię naszych własnych interesów — powinniśmy popierać ruchy wolnościowe wszędzie i wszystkimi dostępnymi środkami. Setki milionów niedożywionych winniśmy żywić — bo dziś proszą lecz jutro będą żądać.

To wszystko może się wydawać romantyczne i utopijne. Dwie wojny światowe mamy do zawdzięczenia „twardym realistom”. Jeżeli wybuchnie kiedyś trzecia wojna światowa — to spowodują ją egoiści, twardzi realisci wspomagani nie przez humanitarne idee tylko przez komputery, roboty w służbie *power politics*.

UDERZ W STÓŁ

Uderz w stół a nożyce się odezwą. Prasa komunistyczna i paxowska, stanęła ławą w obronie księży z reżymowymi paszportami. To jest najlepszy dowód — jeżeli ktoś w tej sprawie dowodu potrzebuje — że władze komunistyczne przywiązują zasadniczą wagę do reżymowych paszportów księży pracujących na emigracji. Do tej pory nigdy nie byliśmy świadkami mobilizacji prasy komunistycznej w obronie kościoła. *Życie Warszawy*, *Słowo Powszechne*, *Prawo i Życie*, *Kierunki* i wiele innych pism bierze w obronę kościoła przed „atakami” paryskiej *Kultury*.

Analiza problemu księży z reżymowymi paszportami przeprowadzona na tych łamach była słuszna co w całości potwierdzone zostało przez komunistów.

Pewne emigracyjne pisma katolickie zajęły w tej sprawie identyczne stanowisko jak krajowa prasa komunistyczna. Nienotowany dotąd przykład „zgody narodowej”.

Ponieważ w tej oszczerczej kampanii podjętej przeciwko *Kulturze* łatwo jest przeoczyć centralne zagadnienie stwierdzam jeszcze raz co następuje: nie walczymy z kościołem, nie walczymy z religią — uważamy natomiast, że tak jak w wojsku ksiądz musi być kapłanem, tak wśród niepodległościowej emigracji ksiądz musi być niepodległościowcem.

Ksiądz Dr W. Okoński na łamach *Gazety Niedzielnej* (Nr 21/1086) wywodzi mój rodowód... z międzynarodowych kół ateistycznych. Gdzie Rzym gdzie Krym — gdzie Londyńczyk a gdzie koła międzynarodowe. Dziwię się,

że ksiądz doktor nie napisał, że jestem masonem wysokiego szczebla, byłoby to idealnie w tonie jego artykułu.

To są niestety powszechnie stosowane chwytły w polemikach emigracyjnych. Sprawa przybiera poważniejszy obrót gdy polemista nie cofa się przed fałszerstwem. W cytowanym artykule czytamy m.in.:

„Warto tylko zaznaczyć, że obaj autorzy (Mieroszewski i J. Mackiewicz — przyp. mój) — posługują się w swej argumentacji faktami mijającymi się z prawdą, jak np. to, że biskup Rubin odmówił odprawienia Mszy św. za ofiary katyńskie co jest nieprawdą”.

To nie ja kłamię, tylko ksiądz dr Okoński mija się z prawdą ponieważ nigdy nie napisałem, że biskup Rubin odmówił odprawienia Mszy św. za ofiary w Katyniu.

Ks. Okoński niech przyjmie ode mnie, starego publicysty, następującą fachową radę: nie dość jest oponenta zmieszać z błotem — trzeba jeszcze uważnie przeczytać jego artykuły.

Jeżeli biedny człowiek ukradnie 2 funty — to jest grzech który kościół potępia. Jeżeli natomiast potężny sąsiad ukradnie ojczyznę trzydziesto-dwu milionowemu narodowi — to nie jest grzech tylko polityka. Kościół od zarania dziejów stosował dwa odrębne systemy etycznej oceny. Jeden dla biednych i bezbronnych a drugi dla potężnych i bogatych.

Kościół w Polsce nie korzysta z wolności i dlatego trzeba być ostrożnym w ocenach i w krytyce jego działalności. Jednak kościół na emigracji korzysta z pełni wolności tak w sensie społecznym jak i politycznym. Ksiądz Okoński zarzuca mi, że koła do których rzekomo przynależę — pragnęłyby realizować ideę niepodległościową poprzez laicyzację. („Robi się wiele by społeczeństwo było polskie, nastawione niepodległościowo ale dla-czego aż tak bardzo katolickie... przecież żyjemy na Zachodzie”).

Właśnie dlatego, że żyjemy na Zachodzie społeczeństwo emigracyjne może być zarówno niepodległościowe jak i katolickie. Jeżeli jednak kościół nie zmieni swej postawy w stosunku do polityki niepodległościowej, do instytucji niepodległościowych a przede wszystkim jeżeli nie rozwiąże problemu księży z paszportami reżymowymi — Polacy na emigracji nie przestaną być katolikami lecz w większej mierze niż dotychczas korzystać będą ze służby kościołów obcych, irlandzkich, francuskich czy angielskich.

Zgodny chór prasy komunistycznej w obronie kościoła jest kompromitujący dla hierarchii na emigracji. Gdyby komuniści tak wielkim głosem bronili *Kultury* — *Kultura* straciłaby prenumeratorów i autorytet. Dzięki prasie komunistycznej Polacy w Kraju zapoznali się z tekstami moich artykułów. Jaki był cel tej operacji? Przecież nie rzetelna obrona kościoła?

Nie jest trudno odgadnąć zamiysł komunistów w tej sprawie. Znakomita większość Polaków w Kraju jest nastawiona równie niepodległościowo jak Polacy na obczyźnie — o czym komuniści doskonale wiedzą. Przedrukując moje wypowiedzi komuniści chcieli wykazać Polakom w Kraju, że nawet na Zachodzie gdzie kościół korzysta z pełnej wolności — nie popiera w pełni emigracyjnej polityki niepodległościowej.

Sytuacja kościoła nie jest łatwa. Problem księży z reżymowymi paszportami jest trudny. Lecz ów problem musi być rozwiązany ponieważ księży popierających politykę reżymową emigracja polska na Zachodzie nigdy nie zaakceptuje.

Litwa współczesna

Skąpe są wiadomości o współczesnej Litwie w polskich wydawnictwach emigracyjnych, a że jeszcze rozproszonych po świecie jest sporo „Wileńczuków”, których losy rodzinnego kraju blisko interesują, więc z braku możliwości podania wyczerpującego, naukowego studium, artykuł ten będzie zawierał jedynie dziennikarską kompilację informacji zaczerpniętych z litewskich wydawnictw: prasy, oraz encyklopedii emigracyjnej i części encyklopedii wydawanej w Wilnie.

Uniwersytet Wileński nie nawiązuje do tradycji Batorowej. Jest on imienia V. Kapsukas, jednego z pierwszych litewskich komunistów, którego prawdziwe nazwisko było Mickievičius, czyli poniekąd jest to uniwersytet upamiętniający Mickiewicza, lecz nie Adama, a Vincasa.

Uczelnia posiada następujące wydziały: 1) Fizyko-matematyczny, 2) Chemiczny, 3) Przyrodniczy, 4) Medyczny, 5) Historyczno-Filologiczny, 6) Ekonomiczny, 7) Prawny. Poza tym istnieją 3 niezależne katedry: 1) Historii partii komunistycznej, 2) Wychowania Fizycznego, 3) Szkolenie estetycznego, oraz ogród botaniczny, muzeum-mieszkanie Adama Mickiewicza, obserwatorium astronomiczne, muzea zoologiczne i geologiczno-mineralogiczne i wreszcie biblioteka zawierająca 1,7 milionów tomów.

Niezależnie od uniwersytetu istnieje w Wilnie Instytut Pedagogiczny z licznymi wydziałami, a wśród nich: lituanistyki, ruscystyki, polonistyki i języków obcych. W Nowej Wilejce jest seminarium nauczycielskie z językiem wykładowym polskim. Uniwersytet jest w zasadzie litewski, ale zdarzają się też wykłady w języku rosyjskim. W Kownie jest politechnika, instytut medyczny, akademii sztuk pięknych itd. Poza tym istnieje ponoć na Litwie setka instytutów naukowych z personelem ponad 3 tys. osób.

Szkoły średnie kończy rocznie ponad 20 tys. młodzieży, z czego mniej więcej połowa studiuje dalej. Jedynie w kilku szkołach jest wykładana łacina.

W roku 1966/67 było 4.000 szkół powszechnych z pół milionem uczniów, a w tym 22.000 dzieci w 200 szkołach z językiem wykładowym polskim. Poza tym było jeszcze 20 szkół dwujęzycznych polsko-litewskich, 34 polsko-rosyjskich i 26 polsko-rosyjsko-litewskich.

Za okres 1959-1967 odsetek dzieci uczących się po polsku spadł z 6 % na 4 %, a w rosyjskim wzrósł z 11 % na 13 %. Naukę w języku litewskim pobierało 83 % dzieci. Jest to ponoć najwyższy odsetek dzieci pobierających naukę w języku ojczystym, a nie rosyjskim, spośród wszystkich republik związkowych.

Wilno jest ośrodkiem badań naukowych głównie związanych z miejscowym przemysłem. I tu zaczynają się niespodzianki. Tyimi specjalnościami są przemysły: elektroniczny, galwanizowania metali, plastyki, sztuczne tworzywa itd. Z dziedzin oderwanych od litewskiej produkcji należy wymienić badania wydziału fizyko-matematycznego spektroskopii i struktury atomowej. Czasem na kongresach międzynarodowych reprezentują Związek Sowiecki profesorowie litewscy, jak np. rektor uniwersytetu, matematyk, J. Kubilus.

W bieżącym roku w Kownie powstał instytut elektroniczny o powierzchni zabudowań 20 tys. metrów kwadratowych, więc zapewne w tej dziedzinie Wilno utraci swój prymat na rzecz Kowna.

Ludność Republiki Litewskiej osiągnęła w roku 1969 — 3 miliony, z czego 47 % mieszka w miastach.

Litwa w ostatnim roku przed wojną, to jest już bez Kłajpedy, a jeszcze bez Wilna, zajmowała drugie po Bułgarii miejsce jako najmniej uprzemysłowiony kraj w Europie (Albania już nie istniała). Uprzemysłowienie Litwy zaczęło się nie od razu po wojnie. Kilka lat zajęła pacyfikacja. O stratach biologicznych mogą świadczyć dane jeszcze z roku 1959 — wówczas mężczyźni stanowili 46 % ludności, a kobiety 54 %.

Uprzemysłowienie przyszło później i przeto objęło działy bardziej nowoczesne, zresztą nie związane zupełnie z miejscową bazą surowcową. Produkcja roku 1968 dała ponad 4 miliony liczników elektrycznych co wynosi — około 90 % zapotrzebowania całego Związku Sowieckiego. W tymże roku wyprodukowano na Litwie 2 i pół miliona motorów małej mocy do odkurzaczy, lodówek itd., sto tysięcy odkurzaczy, 50 tys. telewizorów, 350 tys. rowerów, 200 tys. wanien. 10 mln. par skórzanego obuwia, 300 tys. ton kwasu siarczanego, 800 tys. ton cementu, tyleż mniej więcej nawozów sztucznych, itd. itd.

Natomiast produkcja celulozy spadła z przedwojennych 50 tys. ton na 35 tys. a włókna lnianego spadła do kilku tys. ton. Działy produkcji rolniczej będące podstawą przedwojennego eksportu, jak masło, bekony — podupadły katastrofalnie. Z dziedziny produktów spożywczych rozwinęło się jedynie cukrownictwo i rybactwo. Cyfry powyższe zostały zaczerpnięte z oficjalnych statystyk za pierwsze półrocze 1968 roku, pomnożone przez dwa.

Dlatego dane o rybołówstwie, cukrownictwie i produkcji torfu zostały pominięte, jako podlegające fluktuacjom sezonowym.

Organizacja rolnictwa jest niedostosowana do tradycji i mentalności litewskiej, co daje fatalne skutki. Litwa po przyłączeniu okręgu wileńskiego (9 tys. kilometrów kwadratowych) zwiększyła swój obszar o jedną szóstą, a pomimo tego obszar ziemi wydobywczej spadł z 2,74 mln. ha na 2,43 w roku 1964. Ilość bydła spadła o 10 %, nierogacizny z 1,25 mln. na poniżej miliona, zboże na ziarno zebrano w r. 1938 z półtora mln. ha, a w roku 1964 z 1,1 mln ha. Urodzaje wahają się z roku na rok, ale w jednym z nieurodzajnych lat spadły do połowy zbiorów roku 1938. Zmniejszyła się uprawa pszenicy i do minimum została ograniczona uprawa owsa. Podupadło zupełnie ogrodnictwo. Warzywa importuje się z innych republik. Stosunki w kołchozach są takie, że prawie połowę kosztów robocizny pochłania rozbudowana administracja.

Stopniowo od kilku lat jest przeprowadzane łączenie małych kołchozów w wielkie — typu „Agro-gorodow”, co powoduje rujnowanie starych siedzib i powolne budowanie nowych. Jest to również połączone z wszechstronnym postępem — mechanizacją, elektryfikacją, która obejmuje wieś w coraz większym zakresie. Chłop na Wileńszczyźnie ma przeważnie światło elektryczne, a jako opał służy mu — gaz. Ubocznym skutkiem tej przebudowy rolnictwa i rozbudowy miast jest katastrofalna ciasnota. W planie pięcioletnim przewidziane jest osiągnięcie dopiero w roku 1970 przeciętnej przestrzeni mieszkaniowej 7,7 kw. metra na osobę. (W Australii przeciętna jest trzykrotnie większa). Elektryfikacja na Litwie poczyniła wielkie postępy. Prócz lokalnych elektrowni, częściowo opalanych torfem (około 2 mln. ton rocznie) jest wielka elektrownia na Niemnie pod Kownem, oraz ogromna siłownia o mocy 1,2 mln. Kw w oparciu o gaz ziemny z Daszawy. Między Wilnem, Koszedarami a Trokami zbudowano zapory i trzy jeziora połączono w jedno, i tam powstało miasteczko Elekrenai dające prąd na pół Litwy. Gaz przychodzi z rep. ukraińskiej a siłownia jest połączona z siecią północnej Rosji.

Z sukcesów i ciekawostek można wymienić wynalazek — tym razem w oparciu o surowiec krajowy, jest to hodowla raków w inkubatorach. Może należało się uciec do inkubatorów wobec wielkiego zanieczyszczenia wód, spowodowanego nieostrożnym uprzedyskutowaniem. Wspomniany wyżej rozwój rybołówstwa przypisać należy rozbudowie flotylii trawlerów morskich. Wilno ma „fabrykę ptaków”, to jest rzeźnię drobiu o wydolności miliona kurcząt rocznie. Na Litwie przed wojną było 5 mln. sztuk drobiu, a w latach sześćdziesiątych — dwa i pół mln. Wilno ma też sławną fabrykę mebli. Ponoć turyści zagraniczni w przeznaczonych dla nich hotelach moskiewskich siedzą przeważnie na mebelkach wileńskich.

Większość tych informacji pochodzi z litewskich wydawnictw emigracyjnych, ale w oparciu o statystyki sowieckie, a te nasuwają wiele wątpliwości. Np. podano, że pracowników (poza kołchoznikami) było ponad milion, uczniów w szkołach pół miliona, pobierających emeryturę pół miliona, a więc na dzieci w wieku

pozaszkolnym, kołchoźników z rodzinami (przy 53 % ludności mieszkającej na wsi), żony nie pracujące w miastach itd. — wypadło mniej niż milion, czyli jakieś 30 % ludności. Coś tu nie bardzo się zgadza.

Stopa życiowa jest na ogół bardzo niska. Przed kilku laty przeciętny miesięczny zarobek pracownika na Litwie wynosił 60 rb., a wkrótce potem ustalono dla całego Związku Sowieckiego te same 60 rb., ale jako minimalną płacę. Naoczni świadkowie sprzed kilku lat potwierdzają, że stopa życia w miastach na Litwie była nieco niższa niż np. na Syberii, a na wsi znacznie niższa. Ostatnio sytuacja na wsi nieco się polepszyła, a liczne „ciuchy” od współziomków amerykańskich dają złudzenie większej zamożności. Pijaństwo ponoć przybrało zastraszające rozmiary.

By już nie wracać do spraw gospodarczych, parę ciekawostek: Port w Kłajpedzie rozbudował się i zwiększył obroty, które przed wojną sięgały prawie miliona ton, ale gdy przed wojną drogą morską sprowadzano węgiel, po wojnie przy obrotach zwiększonych sześciokrotnie głównym ładunkiem wywozu był węgiel. (Dane z Encyklopedii „wileńskiej” za rok 1963). Ani na Litwie, ani w żadnej z sąsiednich republik nie ma kopalni węgla, więc może to jest węgiel śląski, kupowany w Polsce za ruble, a sprzedawany za dolary?

Inną ciekawostką bardzo niepokojącą Wilnian jest wielki projekt skierowania części wód Wilii poprzez Świsłocz do Mińska. Ludność stolicy Białorusi przekroczyła już bowiem 800 tys. (Wilno ma 400 tys. a Kowno 300 tys.) i brakuje miastu wody. Wilia może się stać wątłym strumyczkiem, wbrew zapewnieniu, że wystarczy wody obu stolicom.

A więc Litwa będzie związana gospodarką wodną z rep. białoruską, siłownie są włączone do sieci północno-rosyjskiej, gaz przychodzi z b. województwa stanisławowskiego w rep. ukraińskiej, a ropa rurociągami spod Uralu.

Gdy się zważy na astronomiczne cyfry produkcji rozmaitych motorków i sprzętu elektronicznego, i na całą strukturę przemysłu, to widać, że Litwa współczesna jest tak związana gospodarczo z sowieckim zapleczem, że oderwanie się od niego, nawet przy sprzyjającej koniunkturze politycznej, byłoby niezmiernie trudne.

Chociaż statystyki sowieckie są zawodne jednak stanowią pewną podstawę do informacji. Natomiast w dziedzinie politycznej i kulturalnej sprawa jest znacznie trudniejsza. Pozostawiając dziedziny dotyczące całego Związku Sowieckiego, omówmy parę aspektów specyficznych, dotyczących Litwy, jak stosunek do kościoła katolickiego i spraw narodowościowych.

Pojęcie dobry i zły jest bardzo względne i zależy od punktu obserwacji. Na Zachodzie uważa się, że Chruszczow był „dobry”, a Beria „zły”, a według Stalinówny nawet najgorszy. Tymczasem na Litwie panuje przekonanie, że Beria chciał się oprzeć na innych narodowościach, odwołał masę Rosjan z Litwy, i cofnął rusyfikację o parę lat. Natomiast Chruszczow był najzagorzalszym

rusyfikatorem, za jego czasów wzmógł się też ucisk religijny. Jego decentralizacja gospodarcza z podziałem na bardziej niezależne okręgi połączyła Litwę w jedną całość z Prusami Wschodnimi, zaludnionymi przez 800 tys. Rosjan. Wspólne zarządy musiały więc obradować w języku rosyjskim. Prócz nacisków Moskwy i napływowych Rosjan był jeszcze Kaliningradzki koń trojański.

Litwa w obecnych granicach, to jest przedwojennej republiki z Kłajpedą, o obszarze 56 tys. km. kwadr. i Wileńszczyzny 9 tys. km. kwadr. miała w r. 1939 — 3,1 milionów mieszkańców. Obecnie, po 30 latach, ludność Litwy osiągnęła 3 miliony. Straty wyniosły około miliona, w tym ok. 200 tys. Żydów wymordowanych, 200 tys. Polaków repatriowano, 250 tys. osób wyjechało do Niemiec i na Zachód, w tym 60 tys. uchodźców, 30 tys. wywiezionych na roboty, 50 tys. „Volksdeutschow”-repatriantów i ponad sto tysięcy ewakuowanych Kłajpedzian. A około 350 tysięcy deportowano na Syberię, zmarło w więzieniach itd. W trzech kategoriach deportacji było specjalnie dużo Polaków: jesienią 1939 roku z Wilna i okolic wywieziono 25 tys. osób na Wschód, przeważnie Polaków. W czasie deportacji czerwcowej w 1941 roku było dużo Polaków z Wilna i ziemian z Kowieńszczyzny, oraz wśród wywożonych na roboty do Niemiec było bardzo dużo Polaków. A i w późniejszych powojennych, masowych wywózkach na wschód zapewne Polacy nie byli oszczędzani. Obecnie ilość Polaków w rep. litewskiej wynosi według oficjalnego spisu 8,5 % i nie ulega większym zmianom. Dotyczy to głównie Wileńszczyzny, bo wydaje się, że w Kowieńszczyźnie wynarodowienie poczyniło wielkie postępy. W r. 1959 ludność napływowa wynosiła 12 %, (głównie Rosjanie). Do dzisiaj prawdopodobnie znacznie wzrosła.

Paradoksem jest, że najbardziej polskim poprzez dzieje było Wilno w roku 1942, gdy według statystyk przeprowadzonych przez Niemców stanowili oni 71,9 % ludności miasta Wilna i 36,9 % okręgu wiejskiego. Obecnie Polacy w Wilnie stanowią około 20 % ludności i są na trzecim miejscu, co do liczebności.

Prawa językowe Polaków w Wilnie są prawie unikatem w Związku Sowieckim. Wszędzie mają uprawnienia Rosjanie i turylcy, ale nie postronne mniejszości (np. Żydzi). To ustosunkowanie Moskwy do Polaków korci Litwinów, historycznie przeważliwionych pod tym względem. Ale wydaje się, że jest to robione rozmyślnie (żeby drażniło), gdy się zważy, jak jest przedstawiona historia Wilna w XX wieku. Po przegranej Niemiec w 1918 r. Polacy zmusili Tarybę do ucieczki opanowując Wilno, lecz niebawem przyszły wojska sowieckie z Kapsukasem i zapoczątkowały republikę bolszewicką, ale z nazwy litewską. Lecz na Wielkanoc 1919 r. znów Polacy zagarnęli Wilno. W roku 1920 Sowiety wkroczyły do Wilna i oddały je Litwie. Po paru dziesiątkach lat bezskutecznego domagania się odzyskania stolicy, w roku 1939 znów Sowiety zajęły Wilno i oddały Litwinom. Ile razy Wilno było choćby z nazwy litewskie zawsze z łaski Sowietów. A że w Encyklopedii „wileńskiej” okres dwudziestolecia nie jest nazywany inaczej jak „pod polską okupacją”, i sympatii do Polski nie ma ani śladu,

więc wydaje się, że podobnie jak w stosunku do Polski jest stosowany straszak niemiecki, ze względu na Ziemię Odzyskaną, tak w stosunku do Litwy stosuje się straszak polski. Gwoli ścisłości należy dodać, że te uprawnienia dla Polaków dotyczą jedynie Wileńszczyzny. Na dawnej „Litwie Kowieńskiej” nie ma ani jednej szkółki polskiej i dopiero po 20 latach powstały jakieś kursy języka polskiego w Kownie i było parę przedstawień teatru amatorskiego.

Z ustosunkowania się do polskich tradycji i pamiątek można wymienić parę charakterystycznych przykładów. W Encyklopedii „wileńskiej” cytowane są w dziejach miasteczek nawet najdrobniejsze przejawy działalności rewolucyjnej, ale z jednym wyjątkiem: o zamachu dokonanym przez J. Piłsudskiego w Bezdanach, kronika dziejów tego miasteczka milczy. Dowiadujemy się z tegoż źródła, że w Wilnie, w okresie dwudziestolecia, potajemnie wydawano dziesiątek gazet komunistycznych, co dla czytelnika, który coś słyszał o głośnych procesach młodzieży komunizującej, kończących się uniewinnieniem oskarżonych — może być pewną nowością. Lecz większą niespodzianką dla dzisiejszego czytelnika może być to, że w historycznych Trokach (ośrodku turystycznym nieposiadającym do niedawna stacji benzynowej) ukazywała się jakiś czas polska gazeta pod nazwą „Hasło Trakajskie”. Bo nie ma już Trok — miasteczko nazywa się Trakai. (Przyszły historyk nie będzie się mógł obejść bez wielojęzycznego słownika geograficznego by znaleźć na nie bardzo starych mapach Zieloną Górę, Daugavpils itd.).

Od poloników przejdźmy do spraw „republikańskich”, co znaczy prawie tyle co magistrackich, to jest związanych z samorządem republiki w łonie Związku Sowieckiego.

Dla zorientowania się w strukturze rządów należy przypomnieć że, jak zostało stwierdzone w prasie sowieckiej, partie poszczególnych republik związkowych nie są autonomicznymi partiami, lecz pododdziałami partii ogólnozwiązkowej, wyrazem czego jest, że zastępca sekretarza partii republikańskiej jest zawsze mianowany przez centralę w Moskwie. A kto ma większą władzę, czy tytułarny pierwszy — tubylec, czy też jego zastępca, przeważnie Rosjanin — trudno dociec. Ale to nie jest istotne, bo krajem rządzi partia nie autonomiczna, więc sprawa jest jasna.

Tym niemniej ciekawe są dane jaki odsetek w litewskiej partii komunistycznej stanowią rdzenni Litwini: przed wojną 25 %, 1941 — 35 %, 1949 — 59%, 1966 — 73 %. W tymże roku partia liczyła 94 tys. członków, a komsomoł 250 tys. młodzieży. Obecnie w rządzie i centralnym Komitecie znaczną przewagę mają Litwini, w tym sporo względnie młodych technokratów. W administracji i nawet policji jest coraz mniej Rosjan, natomiast różne gałęzie przemysłu, uzależnione bezpośrednio od Moskwy, są opanowane przez Rosjan.

Opór przeciwko russyfikacji jest solidarny, powszechny i skuteczny, na modłę poznańską pod zaborem pruskim, plus litewska zaciętość, poczucie zachodniej wyższości w stosunku do Rosjan

i przysłowiowa „chytrość” litewska — zdolność do podwójnej gry — zewnętrznej lojalności pokrywającej nacjonalizm.

W stosunku do ustroju nie ma już takiej solidarności. Kołchoznik — istny chłop pańszczyźniany, jest przeważnie wrogiem ustroju (ale sterroryzowanym). Natomiast młoda inteligencja walczy z Rosjanami i innymi narodowościami o dostęp do władzy i „korzyta” w istniejącym ustroju. Po kilkuletnich masowych deportacjach nie słychać o ruchach wolnościowych. Z różnych wiadomości nadchodzących stamtąd można by zaryzykować hipotezę, że komunizm litewski jest raczej typu rumuńskiego, to jest ortodoksyjny (może z musu), ale nacjonalistyczny i antyrosyjski.

Długofalowy trend zmierza do dalszego obezwładnienia społeczeństwa i wychowania robotów. Dwa są niepokojące objawy w tej dziedzinie: likwidowanie osobnych sadyb i małych wsi przez spędzanie wieśniaków do „Agro-gorodów”, czy też wielkich scentralizowanych kołchozów, i tworzenie przy szkołach średnich ogromnych internatów. I jedno i drugie bardzo by pochwalił Mao Tse-tung. (W Wilnie buduje się ogromny dom akademicki, gdzie na mieszkańca przypadnie 6 m²; w obecnych norma jest 4 m²).

Państwa bałtyckie są dla sowieciarzy nadal Europą. Plaże łotewskie i litewskie zaludniają się setkami tysięcy rosyjskiej elity. (Po informacji o rozwoju Połagi korespondent wileński jedzie nie nad morze, ale do centralnego zarządu w Moskwie). Dzięki wielkiemu napływowi ciuchów z Ameryki, ludzie na Litwie są lepiej ubrani, a Ryga jest stolicą sowieckiej męskiej mody.

Turyści zagraniczni w ograniczonych ilościach mogą odwiedzać Rygę i Wilno, ale wypad na prowincję jest zakazany. Można przejechać tysiące kilometrów i nie móc odwiedzić pobliskiego grobu ojca, bo krewni których się odwiedza, błagają, aby ich nie narażać. (Turystka z Polski w ciągu trzech dni w Kownie nie widziała ani jednego człowieka z uśmiechem na twarzy). Młodzież studencka w zestawieniu z polską jest bardziej zdyscyplinowana, poważniejsza i bezwyznaniowa. O ucisku kościoła na Litwie podajmy parę faktów: W Wilnie spośród 34 kościołów — czynnych jest 5. W Encyklopedii „wileńskiej” podano, że „Ostra Brama jest zachowana jako zabytek architektoniczny i jest tam też obraz, do którego podobno pozowała Barbara Radziwiłłówna”. Od wojny zbudowano ogółem na Litwie dwa kościoły, przy czym jeden, w Kłajpedzie, po zakończeniu budowy został odebrany, pod zarzutem otrzymywania pomocy finansowej zza granicy. Po wojnie deportowano około jedną trzecią część księży i prawie wszystkich biskupów. Istnieje jedno małe seminarium duchowne w Kownie podlegające stałym szykanom.

Młodzież do lat 18 nie ma prawa wstępu do kościoła. Rodzice też nie mają prawa uczyć katechizmu. Ksiądz może spełniać swe obowiązki kapłańskie jedynie w swoim kościele, nie może kłębować, udawać się do chorych z sakramentami, nie może w kościele organizować zbiórki, a jedynie przyjmować dobrowolne ofiary, nie może w (cenzurowanych) kazaniach występować prze-

ciw ateizmowi (ogólny nakład wydawnictw anty-religijnych na Litwie już przekroczył w br. 2 miliony). Przydziały białej mąki są wydawane przed świętami komunistycznymi, a nigdy przed świętami chrześcijańskimi itd. itd.

Tyle skąpych wiadomości o Litwie Świętej. Ten dawny, a dziś nie aktualny przydomek, nasuwa asocjacje różańcowe. O ilościowym rozwoju szkolnictwa i przemysłu to część chwalebna. O upadku rolnictwa i stosunkach społeczno-politycznych — to część bolesna. A całość dziejów tego okresu to Droga Krzyżowa kraju, który w ciągu 30 lat nie odrobił swych strat ludnościowych.

E. ŻAGIELL

W sowieckiej prasie

Maj w Związku Sowieckim jest miesiącem jubileuszów, rocznic a w związku z tym miesiącem przemówień, wystąpień, artykułów okolicznościowych i referatów. Rzecz jasna, że i w ciągu pozostałych jedenastu miesięcy roku pełno jest w gazetach i miesięcznikach podobnych materiałów. W maju, jednak, oficjalnych mów i oświadczeń jest, bodajże, więcej aniżeli kiedykolwiek.

24 rocznica zwycięstwa nad Niemcami stała się dla wszystkich bez wyjątku przywódców sowieckich sił zbrojnych okazją do wystąpień z oceną minionych wydarzeń i prognozami na przyszłość. Nie było ani jednej, prawdopodobnie, gazety prowincjonalnej, nie mówiąc już o stołecznych, która by nie opublikowała na swoich łamach artykułu jednego z licznych marszałków czy admirałów. Nawiasem mówiąc, podpis pod artykułem miał wyłącznie charakter prestiżowy, bowiem treść wszędzie była analogiczna. Każdy z artykułów składał się w zasadzie z dwóch części: pierwsza zawierała ocenę minionej wojny, w drugiej — zajmowano się wyliczaniem przyszłych przeciwników.

Należy zaznaczyć, przede wszystkim, że wojskowym udało się osiągnąć swoje: nastąpiła pełna i oficjalna rehabilitacja Stalina jako wodza państwa sowieckiego i armii w okresie poprzedzającym wojnę i w czasie wojny. Z żołnierską szczerością pisze zastępca ministra obrony marszałek K. S. Moskalenko: „Gwoli sprawiedliwości należy przyznać: Stalin kierował z pełną znajomością spraw, z głębokim zrozumieniem wielkiej strategii i sytuacji, tak na polach walk, jak i w polityce”.

Kampania, mająca na celu rehabilitację Stalina, rosła jak kula śnieżna, ale prowadzona była do czasu w publikacjach specjalnych, najpierw historycznych, potem partyjnych, w literaturze pamiątkarskiej. W końcu jednakże ukoronowana została pojawieniem się artykułów z wytycznymi w *Prawdzie*, *Izwiestiach* i tygodniku *Ogoniok*.

Wszystkie niepowodzenia pierwszych lat wojny, porażki i straty minister obrony marszałek A. Greczko usprawiedliwia jednym cytatem z Lenina: „Takich wojen, które by rozpoczynały się i kończyły gremialną ofensywą zwycięską nie bywało w historii światowej, a jeśli zdarzały się, to należały do wyjątków”. Cytat z Lenina — teraz, w okresie przygotowań do setnej rocznicy urodzin wodza rewolucji — kładzie ostatecznie kres wszelkim sporom. (Oczywiście, jeśli zajdzie potrzeba, można będzie znaleźć cytaty inny, wprost przeciwny; chociaż na razie potrzeby takiej nie widać).

Jak powiedziałem wyżej, oceny minionej wojny zajmują tylko część pierwszą artykułów jubileuszowych. Druga poświęcona jest przyszłym przeciwnikom. I tu także oficjalna zmiana: obok amerykańskich imperialistów i rewanżystów zachodnoniemieckich pojawił się trzeci wróg — Chiny maoistyczne. Wróg traktowany poważnie i na długą metę.

Ton propagandy sowieckiej wobec Chin zmienia się. Jej środek ciężkości przemieszcza się ze sfery różnic ideologicznych do sfery przeciwieństw o charakterze państwowym. Oczywiście, walce ideologicznej z maoistami udziela się dużo uwagi, ale prowadzona jest ona w pierwszym rzędzie w periodykach partyjnych, w broszurach (ostatnio ukazało się nie mniej niż dziesięć antychińskich broszur: „Krzyżące bataliony”, „Maoizm albo marksizm”, „Marksizm i woluntaryzm”, „Kryzys polityczny w Chinach” itd.). W prasie codziennej podkreśla się przede wszystkim niebezpieczeństwo grożące granicom Związku Sowieckiego ze strony dzikich, pijanych hord. Na łamach gazet i periodyków pojawiają się stale reportaże znad „pałającej granicy”, opisy ciężkiego trudu żołnierzy pogranicza, stojących na straży „nietykalności granicy”. „... Gołym okiem, nawet bez lornetki widać jak maoiści potrzęsają groźnie bronią, słysząc rozbrzmiewające przez głośniki pijane pieśni...” — tak opisuje swe wrażenia W. Czaczin, dziennikarz, który odwiedził „południową granicę”.

Chińczycy, jak twierdzi sowiecka prasa, nie tylko pretendują do ziem sowieckich, ale gnębią bezlitośnie mniejszości narodowe w graniczącym z sowieckimi republikami Sinkiangu.

„Tragedia Sinkiangu” — tak zatytułował A. Mirow swój opublikowany w *Litieraturnoj gazietie* artykuł. Mirow pisze: „Sinkiang położony jest na północnym zachodzie Chin. Ziemię tę od dawien dawna zamieszkiwali Ujgurowie, Kazachowie, Uzbegy, Mongołowie i inne narodowości. Jeszcze niedawno Chińczyków było tu niewielu, teraz, jednakże, stanowią oni ponad połowę ludności. Jest to wynik prowadzonej przez Pekin polityki przymusowej asymilacji w Sinkiangu”. Wszystko to prawda. Warto, jednakże, zwrócić uwagę na dwa fakty. Po pierwsze — wszystkie wymienione wyżej narodowości mieszkają również na terytorium Związku Sowieckiego i — kto wie — nie wykluczona jest możliwość ich połączenia (przed 30-tu laty odbyło się przecież „zjednoczenie” Ukraińców i Białorusinów mieszkających po obydwu stronach polsko-sowieckiej granicy). Po drugie — jeśli w przytoczonym wyżej cytacie zamienić Sinkiang przez Kazachstan, Chiny przez Związek Sowiecki a Chińczyków przez Rosjan — wszystko pozostanie w absolutnie niezmiennym stanie.

Czytając prasę sowiecką można się dowiedzieć wielu ciekawych faktów z życia Chin: o obozach pracy, o wysiedlaniu inteligencji na pustynię, o głodzie, o wybrykach „rewolucyjnej młodzieży”. Sowieckie gazety i czasopisma

korzystają także bez skrupułów z informacji publikowanej w prasie zachodniej cytując z ochotą najbardziej malownicze opisy „chińskich okropieństw” pióra „burżuazyjnych oszczerców”. Można być pewnym, że i w prasie chińskiej publikuje się niemniej odkryć o Związku Sowieckim.

Warto również wspomnieć, że konflikt sowiecko-chiński znalazł po raz pierwszy wyraz w literaturze, jeśli tak rzecz można, pięknej. Miesięcznik *Oktiabr'* opublikował w nrze 5 pierwszą połowę powieści „Swoja nosza”, nieznanego dotychczas pisarza Aleksandra Putko. W sowieckiej literaturze, jak sądzę, tematu, który zainteresował A. Putko — a mianowicie krótkiej sowiecko-chińskiej wojny 1929 roku — nie podejmowano przeszło trzdzieści lat.

Maj — miesiąc jubileuszy... 5 maja świętowano Dzień prasy sowieckiej. I znów — w związku ze świętem — artykuły, określające nowe zadania propagandy sowieckiej. „Nowymi” można zadania te nazwać w tym sensie, że oznaczają one ostateczny powrót do zadań, form i metod starej, stalinowskiej propagandy. Zmieniło się tylko nieznacznie słownictwo: nadmiernie często wykorzystano się z modnego w środowisku inteligencji słowa „informacja”. W prasie sowieckiej „informacja” znaczy dziś „dezinformacja”. Otwarcie pisze o tym w *Prawdzie* M. Kurjanow: „Od agitatorów i politycznych informatorów wymagamy, aby propagując naszą wielką i niezwykłą prawdę, komunistyczne ideały, przejawiali jak najwyższą czujność, umiejętność wykrywania i demaskowania wszelkich krętałów wrogiej propagandy”. A więc, jak z tego wynika, „propagując... prawdę” należy z czujnością ograniczać, wybierać, zniekształcać informację. Podobnie jak i we wszystkich innych wypadkach autor szuka aprobaty u Lenina. I podobnie jak we wszystkich innych wypadkach — aprobatę tę znajduje. Cytat leninowski (niedawno puszczony w obieg) jest niezwykle wielomówny. W związku z opublikowaniem w 1922 roku w jednej z moskiewskich gazet wykładu poglądów mieniszewika Parwusa (który do rewolucji finansowo pomagał bolszewickiej partii i zorganizował w 1917 przerzut Lenina ze Szwajcarii przez Niemcy do Rosji), Lenin zażądał surowej nagany dla redaktora gazety i wypędzenia z pracy autora artykułu, bowiem „tylko skończony głupiec albo białogwardzista mógł zamienić nasze gazety w forum reklamy dla takiego niegodziwca jak Parvus” (Włodzimierz Iljicz lubił dosadne określenia). Wniosek nasuwa się jeden — jeśli sam Lenin zwalniał z pracy za publikację nieodpowiednich poglądów, to dziś...

Czytając prasę sowiecką człowiek ze zdumieniem staje wobec dziwnego zjawiska psychologicznego: niezwykle prymitywizmu i niedołążności propagandy, obliczonej na ludzi organicznie niezdolnych do myślenia. Ze względu na swój prymitywizm propaganda pozostaje na poziomie lat 30-tych, podczas gdy świat — między innymi także obywatele sowieccy — żyje pod koniec lat 60-tych. Przy czym od pozbawionych sensu, prymitywnych chwytów propagandowych roi się nie tylko w artykułach „czysto agitacyjnych”. Fala dezinformacji, pogardy dla czytelnika, który i tak wszystko poŹknie, zalewa nawet krytykę literacką. W *Litieraturnej gazietie* doktor nauk filologicznych J. Zasurskij, w artykule poświęconym ukazaniu się rosyjskiego przekładu powieści Ernesta Hemingwaya „Komu bije dzwon”, uważa za możliwe czynić wyrzuty krytykom amerykańskim, że nieźyczliwie odnieśli się do powieści. J. Zasurskij nie wyjaśnia jednakże dlaczego powieść ta ukazuje się po

rosyjsku po raz pierwszy i to dopiero po 30-tu latach od jej napisania. Jest bowiem pewien, że nawet, gdyby któryś z czytelników zechciał mu zadać podobne pytanie, gazeta i tak go nie opublikuje.

17 maja *Izwestia* opublikowały artykuł zatytułowany „Rycerze podłości”. Mowa w nim była o śmierci (albo zabójstwie, taką bowiem aluzję czynią autorzy artykułu B. Aleksiejew i I. Moskwina) dyplomaty sowieckiego w Bonn Jurija Woroncowa, którego prasa zachodnia nazwała szefem sowieckiej siatki szpiegowskiej w Niemczech Zachodnich. Autorzy artykułu cały swój gniew zwrócili przeciwko hamburskiemu tygodnikowi *Der Spiegel*, który opublikował materiały o Woronowie. Co wywołało gniew B. Aleksiejewa i I. Moskwin? W pierwszym rzędzie to, że publikacja ukazała się w *Spieglu* dopiero po 20 dniach po wypadku. „Czym zajmowali się redaktorzy zachodnioniemieckiego tygodnika w ciągu 20 dni — zapytują autorzy artykułu w *Izwestiach* — być może odbywali narady z federalnymi organami specjalnymi, albo czytali na nowo powieści szpiegowskie, zalewające zachodnie rynki księgarskie?” Pytanie nie bezzasadne. Ale nie mniej bezzasadne jest także inne pytanie: dlaczego tygodnikowi *Der Spiegel* potrzeba było 20 dni na przeprowadzenie wszystkich konsultacji i wydrukowania artykułu, a gazecie *Izwestia* potrzeba było na to, aż trzech miesięcy? Nie ulega wątpliwości, że pytanie takie zadaje każdy czytelnik sowiecki. Nie dostaje jednak na nie odpowiedzi...

Wśród potoku jubileuszowych artykułów, napisanych na zamówienie powieści i esejów, wypełniających łamy prasy sowieckiej, uwagę moją zwróciły materiały, nieśmiało dotyczące problemu niezmiernie ważnego — przestępczości i walki z nią. Już sam fakt ukazania się artykułów na ten temat jest wystarczająco znamienity. Świadczy on, że problem osiągnął takie rozmiary, iż przemilczeć się go nie da. Jak walczyć z przestępczością, która nabrała groźnego rozmachu? Pierwsza — że tak powiem naturalna reakcja — to zwiększenie kar, opublikowanie bardziej surowych przepisów. Nie tędy droga — odpowiada na łamach *Izwestij* pisarz Georgij Miedynskij. „Po pierwsze” — pisze on — „przepisy mamy i, trzeba przyznać, dosyć surowe...” Po drugie, okazuje się, że „w ciągu dwóch i pół roku istnienia przepisów o zwiększeniu odpowiedzialności za chuligaństwo efekt okazał się mniejszy aniżeli się tego spodziewaliśmy”. Mówiąc o przyczynach wzrostu przestępczości, w pierwszym rzędzie wśród młodzieży, G. Miedynskij wylicza m.in. komplikacje rodzinne i brak opieki, beznadziejność i pustkę duchową, trudności wynikające ze złożoności i przeciwieństw problemów życiowych. Można by pomyśleć, że przestępczość w Związku Sowieckim wywołują te same przyczyny co i we wszystkich innych krajach świata, gdyby autor nie uzupełnił pod koniec tej listy „wpływem Zachodu, wpływem psychologii konsumpcyjnej...”.

W artykule mowa jest o przeprowadzonej przez MWD naradzie z pisarzami zajmującymi się problemami walki z przestępczością. Na naradzie szukano innych, poza zwiększeniem kar, dróg walki z przestępczością. Ograniczono się jednak do konstatacji konieczności pomocy jaką społeczeństwo ma okazywać milicji. Jako że milicja nie cieszy się zbyt wielką sympatią obywateli, na naradzie podano do wiadomości, że w MWD szykuje się coś w rodzaju „nakazu grzeczności”, swego rodzaju kodeksu, który ma zaprowadzić w organach milicji dostoyny styl w stosunkach z obywatelami. Narada zakończyła się

akcentem optymistycznym — MWD przygotować ma (kiedy, prawda, nie wiadomo) nakaz grzeczności. Był by to niewątpliwie przyjemny prezent na 52 rocznicę władzy sowieckiej.

O przestępczości wśród młodzieży pisze w *Komsomolskiej prawdzie* A. Dołgowa — pracownik naukowy Wszechzwiązkowego Instytutu Badań przyczyn i opracowania metod zapobiegania przestępczości. A. Dołgowa uważa za jedną z zasadniczych przyczyn wzrostu przestępczości fakt, że młodzież nie zna kodeksu karnego, nie zna przepisów prawnych. Nie wie, na przykład, że karane są zgodnie z prawem (pozbawieniem wolności do lat 10-ciu) osoby winne przestępstwa które ukończyły lat 14-cie. Istnieje jeszcze jedna przyczyna, na którą wskazuje A. Dołgowa. Po przeprowadzeniu wielu ankiet doszła ona do wniosku, że młodzież sowiecka ma „zniekształconą psychologię prawną”. To znaczy, że nie zawsze rozumie co wolno, a czego nie wolno. Dołgowa podaje następujący przykład. Radioamator Wiktor chciał sobie zmajstrować radioodbiornik. A że nie znalazł w sklepie potrzebnych części wziął je sobie na fabryce, gdzie pracował. Czy Wiktor postąpił słusznie? — na to pytanie, które Dołgowa zadała uczniom część odpowiedziała, że Wiktor postąpił słusznie, gdyż „nasz przemysł radiowy powinien produkować więcej części radiowych”.

Tylko wtedy kiedy młodzi będą przekonani o „nieuchronności kary” — uważa Dołgowa, tylko wtedy zahamowany zostanie wzrost przestępczości.

O przestępcach i karach wspomina także A. Pobożij w ciekawym reportażu „Przez północną głusz”, wydrukowanym w dwóch ostatnich numerach miesięcznika *Nowyj mir*. A. Pobożij, który razem z ekspedycją znalazł się w dalekiej tajdze syberyjskiej, spotkał tam „nierobów” — moskwičan wysiedlonych ze stolicy za pijaństwo, za częstą zmianę miejsca pracy. Reportaż A. Pobożija jest jednym z niewielu w prasie sowieckiej świadectw o życiu (jeśli można ich tak nazwać) „nierobów”. Ludzie ci, wysłani pod pretekstem „reedukacji pracą”, mieszkańcy miast, którzy nie popełnili żadnego przestępstwa, okazują się w głuchej tajdzie bez środków egzystencji, bez odzieży. Miejscowi nie chcą ich puszczać do swoich domów twierdząc: „W Moskwie nie mogli ich wychować, a my tu powinniśmy”. Pobożij opowiada, między innymi, historię człowieka, który całą wojnę był na froncie, wrócił do domu w randze kapitana, ale nie znalazł żony, porzuciła go dla innego. Zaczął pić, nie mógł utrzymać się przy pracy i — zamiast leczenia — wysłany został jako nierób na daleką Północ.

„Nieroby”, dziesięcioletnie wymiary kary dla 14-latków, nie mówiąc już o obozach — stalinowskich i dzisiejszych — jak można po tym wszystkim mówić o nie zniekształconej „psychologii prawnej” narodu sowieckiego?

I na zakończenie przeglądu informacja na tematy literackie. Do drugiej tury kandydatów do Nagród Leninowskich w dziedzinie literatury dopuszczono, obok kilku innych książek, powieść S. Babajewskiego „Bieły świat” i powieść W. Koczetowa „Ugoł otrążenia”. Widocznie poczuł się silni stalinowcy, nie tylko bowiem udało im się wysunąć wspomniane utwory, ale i przeprowadzić je do drugiej tury. Można, niemal z pewnością, stwierdzić, że jednej z tych dwóch powieści przyznana zostanie najwyższa nagroda sowiecka. Jeśli chodzi o poziom artystyczny obie powieści można odnieść do

literatury pięknej tylko umownie. Ale za to jaka tematyka. S. Babajewskij (autor niezapomnianego „Kawalera Złotej Gwiazdy”) przedstawił do Nagrody Leninowskiej powieść na tematy współczesne. „Zasadniczą myślą przewodnią powieści” — pisze krytyk S. Nikołajew — „jest walka o leninowskie normy życia partyjnego”. W. Koczetow przedstawił powieść historyczną: o obronie Piotrogradu w 1919 roku i roli w niej Stalina. Krótko mówiąc, Leninowskiej Nagrody godne są oba utwory.

Adam KRUCZEK

Z Czechosłowacji

PROKLAMACJA ARTYSTÓW, UCZONYCH I DZIENNIKARZY CZESKICH*

Wiemy już teraz jasno dlaczego nasza sztuka i praca dziennikarska stały się całkowicie zależne, wiemy co my, uczeni, artyści i dziennikarze chcemy robić i czego chcemy bronić. Należymy do cywilizowanego narodu, z którym wiążą nas nierozzerwalnie wspólna praca, wspólna historia, jak również, w nie mniejszym stopniu, wspólny język. Dlatego też zwracamy się do naszych rodaków by zapewnić ich, iż razem z nimi dzielimy niepokój o wolność oraz o sens i los socjalizmu.

Misja kultury polega na tym, że kształci i dostarcza natchnienia twórcom, że jest pożyteczna i sprawia przyjemność. Obowiązek ten trzeba, według nas, spełniać zarówno w przychylnych jak i nieprzychylnych okolicznościach. Wiemy z doświadczenia, że kultura jest żywą krwią w narodzie i że organizm zamiera gdy bieg tej krwi zostaje zatrzymany. Szukamy prawdy, nie przeciwstawiamy się ustalonej prawdzie, uważamy, iż służba prawdzie wchodzi w skład naszej misji.

Szukanie prawdy, walka o nią, życie zgodne z nią jest dla nas równoznaczne z szukaniem wolności i walką o nią. Prawda i wolność są w naszym przekonaniu nierozzerwalnie związane ze sobą. Nikt nie może przyznawać wolności innym, nie jest ona darem, lecz prawem. Trzeba dążyć do wolności w wysiłku każdego dnia, urzeczywistniać ją w nas i poza nami, zarówno w naszej pracy jak i w naszym życiu publicznym czy prywatnym. Dotyczy to w tym samym stopniu wolności i niepodległości narodu. Nasza misja kulturalna ma więc jednocześnie charakter prawny i polityczny.

Nigdy jeszcze nie zdarzyło się by dążenie do czegokolwiek nie pociągało za sobą kosztów. W nieustannym wysiłku trzeba ciągle walczyć o wolność twórczego wyrazu, wolność badań naukowych, wolność opinii publicznej. Misja nasza polegała zawsze, i polegać będzie, na pokonywaniu przeszkód stawianych na naszej drodze przez sprzedajne interesy i ślepotę ludzką. Im groźniejsze są te przeszkody, tym większe winny być nasze zalety moralne. Dzisiaj

Uchwalona na posiedzeniu centralnego komitetu Czeskich Związków Twórczych, które odbyło się w Pradze w dniu 22 maja.

poddaje się ograniczeniom nasze zasadnicze prawa kulturalne, pozbawia się kulturę tych właściwości, które uważano zawsze za jej bezsporną własność, narzuca się jej siłą fałszywe cele. Na oczach naszych przeinacza się wydarzenia z przeszłości i teraźniejszości. Ludzie, którzy w przeszłości zamiast służyć przykładem wierności i umiejętności gotowi byli do podporządkowania się i odznaczali się brakiem kwalifikacji zawodowych, którzy służyli nie prawdzie lecz władzy, wchodzą ponownie, bez żadnego wstydu, na scenę.

To nie tylko kultura znajduje się obecnie w niebezpieczeństwie. Zakaz wolności słowa wystawia na niebezpieczeństwo każde podstawowe prawo człowieka i wolność obywatelską. Jeżeli ludzie, którzy przez lata nie umieli kierować sprawami politycznymi i gospodarczymi kraju, mają teraz objąć kontrolę nad życiem państwa, to trudno widzieć w tym gwarancję, że zapewnią oni przyszłemu pokoleniu bezpieczną i pełną godności egzystencję. Mówią nam, że nauka, sztuka, dziennikarstwo są własnością państwa i że państwo musi tymi dziedzinami kierować. Jeżeli jednak ziemia jest własnością chłopów, a fabryki własnością robotników, to pisma są własnością czytelników, rozgłośnie radiowe własnością słuchaczy, filmy i telewizja własnością widzów, nauka i sztuka własnością tych wszystkich, którzy nauki i sztuki potrzebują. Kultura nie jest własnością państwa, należy ona do ludu.

Czasy obecne są dla nas czasami próby. Na tę próbę wystawione są nasza odwaga, nasza stanowczość, nasza ostrożność. Egzamin musimy zdać z godnością i tak, byśmy nie musieli wstydić się czegokolwiek ani przed naszymi rodakami ani przed naszymi dziećmi.

Nie zrezygnujemy z naszej misji, nie porzucimy zadań, które wyznaczyliśmy sobie dobrowolnie. Nie wiemy na jakie niebezpieczeństwo naraża nas ta decyzja, lecz podporządkujemy się jej bez względu na niebezpieczeństwa.

Mieszanie się do spraw kultury wzrasta na sile. W miarę naszych możliwości będziemy się temu przeciwstawiać z całą stanowczością. Tak długo jak naszym związkom uczonych, artystów i dziennikarzy przewodzić będą ludzie wybrani w sposób legalny, nie przyłożymy nigdy ręki do niszczenia tych właśnie wartości, które mamy obowiązek chronić. Nie zdradzimy naszych kolegów, ani siebie samych.

Mogą zmusić nas do milczenia. Nigdy jednak nie zmuszą nas do powiedzenia tego czego nie myślimy. Mogą pozbawić nas wolności słowa, nikt jednak nie może odebrać nam wolności ducha, ani czystego sumienia czy poczucia godności. Rozsądek będzie zawsze kryterium czynów, podczas gdy honor i wiara będą kryterium człowieka.

Czeska wspólnota kulturalna jest i pozostanie wierna swym ideałom oraz temu wszystkiemu co zdobyła w prawdzie i świadomości, swemu językowi, swym tradycjom narodowym, swemu ludowi. Pragnie ona kontynuować swą twórczą pracę i dlatego bronić będzie swej misji oraz rozwijać wartości kulturalne w zgodzie z własnym sumieniem i wbrew obecnym trudnościom.



LIST JAROSŁAWA SEIFERTA ODCZYTANY NA POSIEDZENIU (streszczenie)

Po wyrażeniu we wstępie podziękowania za zaproszenie do przewodniczenia obradom, Jarosław Seifert usprawiedliwia swą nieobecność przewlekłą i pogarszającą się chorobą. Tym niemniej pragnie przesłać swym kolegom kilka uwag. Przypomina więc, iż na drugim Kongresie Pisarzy zacytował zdanie z Manifestu literatów czeskich stwierdzające, iż misją pisarzy sprowadza się do tego by być sumieniem narodu. Okoliczności w jakich ten Kongres odbywał

się sprawiały, że stwierdzenie to brzmiało przesadnie. Z drugiej jednak strony fakt, iż pisarzy gnębiono, nie mógł być dla nich wymówką. W owym czasie trzeba było więc wystąpić z obroną praw pisarzy, tak zresztą jak to zrobić, ale znacznie później, Zjazd Pisarzy Polskich.

W obecnych warunkach na pisarzy spadają ciężkie obowiązki. Muszą oni przeciwstawić się kopaniu przepaści między inteligencją a robotnikami, muszą przemawiać w imieniu nie tylko własnym. Wielki naród pozbawiony kultury może — pisze Seifert — uniknąć śmierci. Mały naród jednak, taki jak Czechosłowacja, nie może przetrwać bez uczonych, pisarzy, poetów, kompozytorów. Nie może, gdyż z jednej strony ludność potrzebuje kultury, a z drugiej twórcy nie mogą żyć bez narodu. Podstawowym warunkiem istnienia kultury i wszelkiej twórczej pracy jest wolność. Tam gdzie nie ma wolności sztuka i rozwój nauki zamierają. Pisarz nie może jednak pracować w oderwaniu od rzeczywistości. Dlatego też — stwierdza Seifert — z tym większym niepokojem patrzymy na zrywanie więzów łączących pisarzy z ludnością, na zamykanie pism, które utrzymywały kontakt między twórcami a narodem. Dzisiaj — kończy swój list Seifert — poważne niebezpieczeństwo zagraża nie tylko wolności osobistej pisarzy, ale także całej ich twórczości artystycznej. Niszcząc nas, Ždanow i Łysienko przetrwali własną śmierć.



SPRAWOZDANIE KOMITETU KOORDYNACYJNEGO CZESKICH ZWIĄZKÓW TWÓRCZYCH ZATWIERDZONE NA POSIEDZENIU (streszczenie)

Jedność kulturalnego frontu — stwierdza sprawozdanie — została stworzona za czasów Novotnego, gdy władza i machina polityczna stanowiły stałe niebezpieczeństwo dla wolności poszukiwań naukowych, prasy i twórczości poetyckiej. Dzisiaj, gdy zarządzania antykulturalne boleśnie odbijają się na życiu artystów, uczonych i dziennikarzy, postanowiliśmy wyrazić nasze zdanie o ostatnich wydarzeniach.

Nie mamy zamiaru wypowiadać naszej opinii o działalności polityków. Stwierdzamy jednak, iż nie możemy ponosić odpowiedzialności za wprowadzenie cenzury, zamknięcie takich pism jak *Listy* i *Reporter*, za obsadzanie stanowisk w prasie i agencjach prasowych przez ludzi Novotnego, za wywieranie nacisków różnego rodzaju na pisarzy i twórców.

Powróciły czasy monologu. A przecież sam Marks pisał, że cenzura prasy jest przyczyną demoralizacji, a prasa podlegająca cenzurze będzie zawsze złą prasą. Nasze milczenie będzie równoznaczne ze zgodą na wprowadzane obecnie zarządzenia. Pamiętajmy, że zaatakowanie wolności słowa jest zaatakowaniem całości kultury. Front kulturalny nie posiada władzy politycznej, lecz posiada siłę intelektualną i moralną. Politycy wiedzą o tym i dlatego pragną podporządkować go sobie. Nie wolno więc nam zapominać o naszej misji kulturalnej, winniśmy jej bronić w każdym wypadku, wspólnie i indywidualnie. Wielokrotnie zwracaliśmy się do partii i do władz naczelnych, proponując współpracę przy realizacji Programu Działania. Nigdy jednak nie otrzymaliśmy odpowiedzi na nasze propozycje.

Zamierzamy więc obecnie ujawniać wszystko to co dotyczy naszej pracy, naszych planów, naszych poglądów. Chcemy zwoływać konferencje prasowe i będziemy wysyłać listy otwarte do redaktora *Rudego Prawa*. Będziemy w dalszym ciągu współpracować z robotnikami, młodzieżą i studentami. Będziemy również przychodzić z pomocą wszystkim naszym kolegom, którzy utracili pracę.

Władze polityczne mogą potępić nasze wysiłki i współpracować jedynie z nieliczną grupą intelektualistów, gotowych zawsze do pogodzenia się ze wszystkim. Uważamy jednak, że polityka nie opierająca się na współpracy z prawdziwymi przedstawicielami twórczej inteligencji wywoła tragiczne skutki nie tylko w dziedzinie politycznej, lecz także w dziedzinie kultury narodowej. Skutki tragiczne dla milionów Czechów, którzy żywili tak wielkie nadzieje ubiegłego roku.

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 167 — SERIA „DOKUMENTY”

WYDARZENIA MARCOWE 1968

Wybór dokumentów
z przedmową prof. Zygmunta Baumana

Str. 160.

Cena egz. F. 15 (dol. 3,75)



TOM 172 — SERIA „DOKUMENTY”

POLSKIE PRZEDWIOŚNIE

WYDARZEŃ MARCOWYCH TOM II
CZECHOSŁOWACJA

W przeciwieństwie do pierwszego tomu, w którym przeważały rezolucje i ulotki, tom II zawiera gruntowniejsze i głębsze uzasadnienia rewolty marcowej. Książkę wzbogaca dodatkowo niezmiernie ciekawy wybór czechosłowackich dokumentów studenckich i pokrewnych.

Str. 160.

Cena egz. F. 15 (dol. 3,75)

Cudzoziemcy za granicą a nowy kodeks karny

Uwagi wstępne

W dniu 19 kwietnia br. Sejm uchwalił nowy kodeks karny, kodeks postępowania karnego i kodeks karny wykonawczy z mocą obowiązującą od 1 stycznia 1970 r.

Co może obchodzić, powiedzmy, obywatela amerykańskiego, australijskiego, japońskiego, egipskiego czy francuskiego, mieszkającego w swoim kraju, prawo karne obowiązujące w Polsce?

Tego rodzaju pytania narzucić może wielu czytelnikom intuicyjne poczucie słuszności. Spróbujmy dać na nie odpowiedź na podstawie postanowień nowego polskiego kodeksu karnego o zakresie jego pozaterytorialnej mocy obowiązującej oraz uznanych norm prawa międzynarodowego.

Uprzedzając dalszy tok rozważań należy z góry rozczerować tych, którzy oczekiwali negatywnej bez reszty odpowiedzi na nasuwające się pytania. Istotnie, cudzoziemca za granicą nie obchodzi polski kodeks karny, jak zresztą każdego innego państwa, dopokąd przebywa w swoim kraju ojczystym. Jednakże nowy kodeks może dotyczyć działalności każdego mieszkającego poza Polską cudzoziemca, bez względu na miejsce urodzenia i dawne obywatelstwo, jeżeli znajdzie się na obszarze tego kraju.

Mimo uznania zasady terytorialności, twórcy nowego kodeksu karnego nadali mu w istocie światowy zasięg, bezwarunkowo co do trzech kategorii przestępstw, a warunkowo co do pozostałych postanowień całego kodeksu.

Próba narzucenia zakazów i nakazów całego polskiego kodeksu karnego cudzoziemcom, mieszkającym poza Polską, budzi daleko idące zastrzeżenia i wątpliwości co do zgodności z uznanymi zasadami prawa międzynarodowego.

Cudzoziemcy w Polsce

Jako punkt wyjścia rozważmy sytuację cudzoziemców przebywających w Polsce. Za czyny tam popełnione odpowiadają według polskiego kodeksu karnego na równi z obywatelami polskimi. Art. 3 stanowi:

„Ustawę karną polską stosuje się do sprawcy, który popełnił przestępstwo na terytorium Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, jak również na polskim statku wodnym lub powietrznym”.

Art. 4 § 2 wyjaśnia, że cudzoziemiec popełnia przestępstwo na obszarze Polski, jeżeli tam „działał lub zaniechał działania do którego był zobowiązany”, albo też jeżeli tam „skutek przestępny nastąpił lub miał nastąpić”.

Trudno byłoby lepiej sformułować zasadę, że kodeks karny obowiązuje wszystkich zamieszkałych na obszarze państwa, które prawo to ustanowiło. Nikt nie kwestionuje słuszności tej zasady, która pozostaje w pełnej harmonii zarówno z powszechnie uznanymi normami prawa międzynarodowego, jak kodeksami karnymi państw całej międzynarodowej wspólnoty.

Ekstraterytorialność kodeksu

Harmonia ta rozwiewa się jednak jak mgła, gdy czytamy postanowienia artykułów od 113 do 119 nowego kodeksu o zasięgu jego ekstraterytorialnej mocy obowiązującej. Według tych postanowień polski kodeks karny posiada wszechświatową moc obowiązującą. Swoimi zakazami i nakazami zwraca się o posłuszeństwo nie tylko do obywateli polskich, lecz także do wszystkich cudzoziemców kuli ziemskiej, bez względu na ich obywatelstwo, miejsce urodzenia, stałego zamieszkania lub czasowego pobytu. W wypadkach nieposłuszeństwa nakazuje polskim organom wymiaru sprawiedliwości ich ściganie karne mimo że miejsce popełnienia domniemanego czynu przestępnego znajdowało się za granicą, poza obszarem Polski.

Jedno tylko rozróżnienie czyni nowy polski kodeks karny, podając cudzoziemców tej globalnej odpowiedzialności karnej. Za pewne kategorie czynów, zakazanych przez kodeks, cudzoziemcy całego świata odpowiadają bezwarunkowo: bez względu na swoje przynależności państwowe, zagraniczne (poza obszarem Polski) miejsca popełnienia czynu, zamieszkania czy pobytu, oraz bez względu na to, czy zarzucany czyn przestępny był zakazany przez prawo karne miejsca jego popełnienia. Natomiast za pozostałe czyny zakazane polski kodeks karny nakłada na cudzoziemców odpowiedzialność tylko warunkową. Linia podziału nie jest dostatecznie wyraźna, by z góry można było zaklasyfikować postanowienia nowego kodeksu karnego do jednej z tych dwu kategorii. Niejasność ta trwać będzie dopóki nie usunie jej ustalone orzecznictwo i autorytatywna interpretacja. W konsekwencji polski ko-

deks karny nie precyzuje dostatecznie ściśle zakresu bezwarunkowej odpowiedzialności cudzoziemców za granicą. Nie wymienia poszczególnych artykułów, które mają do nich zastosowanie, jak to czynią, na przykład, kodeksy karne Czechosłowacji czy Jugosławii. Pozostawia to wielki zakres swobodnego uznania sądom, które mają i będą miały nadal dyrektywę interpretowania postanowień kodeksu karnego z punktu widzenia „społecznego niebezpieczeństwa”, to znaczy niebezpieczeństwa dla mas pracujących Polski Ludowej w okresie przejściowym do socjalizmu.

„Prawo karne Polski Ludowej ma za zadanie ochronę państwa ludowego i ustanowionego w nim porządku prawnego, ochronę ustroju demokracji ludowej, tj. władzy mas pracujących z klasą robotniczą na czele, przed zamachami na interesy tych mas pracujących w okresie przejściowym do socjalizmu”. (I. Andrejew, L. Lornell, J. Sawicki — *Prawo karne Polski Ludowej*, Warszawa, 1950, Wydanie Ministerstwa Sprawiedliwości, str. 21).

Niezwykłość tych postanowień polega nie na ustanowieniu zasady wyjątkowej odpowiedzialności cudzoziemców za czyny popełnione za granicą, lecz na zasięgu obejmującym możliwość stosowania sankcji karnych wobec cudzoziemców za wszystkie popełnione za granicą czyny, przewidziane w polskim kodeksie karnym. Kodeksy karne wielu państw wyszły poza zasadę ich terytorialnie ograniczonego zasięgu i to w różnych stopniach. Zawsze jednak traktowały to jako wyjątek od terytorialnej zasady, a nie jako wszechobejmującą zasadę.

Rozważmy dokładniej wchodzące w grę postanowienia nowego kodeksu karnego.

Bezwarunkowe stosowanie nowego kodeksu do cudzoziemców za granicą

Punkt 1 art. 115 kodeksu stanowi:

„Niezależnie od przepisów obowiązujących w miejscu popełnienia przestępstwa ustawę karną polską stosuje się do cudzoziemców w razie popełnienia:

1. przestępstwa przeciwko istotnym interesom politycznym lub gospodarczym Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”.

Jak należy interpretować to ogólne sformułowanie? Jakie działania określone w nowym kodeksie karnym można uznać za skierowane „przeciwko istotnym interesom politycznym i gospodarczym Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”? Które artykuły kodeksu to wyrażenie obejmuje?

Rozdział XIX kodeksu nosi tytuł: „Przestępstwa przeciwko podstawowym interesom politycznym i gospodarczym Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”. Pojęcie „istotnych interesów” art. 115 kodeksu jest obszerniejsze od pojęcia „podstawowych interesów” i je obejmuje. Wskazuje na to analiza sensu znaczeniowego wyrazów „podstawowy” i „istotny” oraz intencja autorów kodeksu.

Oznacza to, że cudzoziemcy całego świata mogą być pociągani do bezwarunkowej odpowiedzialności karnej za wszystkie określone we wspomnianym rozdziale XIX kodeksu przestępstwa, z wyjątkiem zdrady ojczyzny, którą może popełnić tylko obywatel polski (Art. 123 do 135). Między innymi także z art. 131 § 1, który głosi w swojej pierwszej części:

„Kto wprowadza w błąd polski organ państwowy przez udzielenie mu fałszywych wiadomości... podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 5, albo karze 25 lat pozbawienia wolności”.

Oznaczałoby to, że autorzy nowego kodeksu karnego nakładają wszystkim cudzoziemcom świata obowiązek prawdomówności za granicą wobec polskich urzędników i nakazują im udzielanie tylko prawdziwych wiadomości pod sankcją więzienia, która może sięgać 25 lat.

Przestępstwa zdefiniowane we wspomnianym rozdziale nie wyczerpują wcale zakresu bezwarunkowej odpowiedzialności cudzoziemców całego świata według art. 115 punkt 1 kodeksu. Narzuca się zaraz pytanie jakie inne jeszcze artykuły nowego kodeksu mieszczą się we wspomnianej tam kategorii przestępstw „przeciwko istotnym interesom politycznym lub gospodarczym Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”? Jakież inne artykuły kodeksu mogą stosować sądy polskie wobec cudzoziemców całego świata z powodu ich działalności za granicą? Na przykład, czy może mieć zastosowanie do cudzoziemców działających za granicą artykuł 271 nowego kodeksu, który nakazuje karać pozbawieniem wolności do lat 3 każdego „kto rozpowszechnia fałszywe wiadomości, jeżeli to może wyrządzić poważną szkodę interesom Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”? Według ustępu 2 artykułu 278 tego rozdzaju działania za granicą albo przekazywanie takich wiadomości obcemu ośrodkowi prowadzącemu działalność przeciwko interesom politycznym Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, podlega jeszcze surowszej karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 5, jeśli zaś są dokonane z użyciem druku lub innego środka masowej informacji — karze podwojonej.

Wręcz nie można dać odpowiedzi na te pytania na podstawie tekstu ustawy. Zagadnienie można autorytatywnie rozstrzygnąć, ale nie rozwiązać przedtem w sposób przekonujący, wolny od wątpliwości. Cóż więc mogą począć wielojęzyczni cudzoziemcy całego świata, którym przed udaniem się do Polski przyszłoby na myśl dowiedzieć się z jakich artykułów kodeksu karnego może im grozić bezwarunkowa odpowiedzialność karna za działania dokonane w swoich krajach ojczystych, zgodnie z obowiązującymi tam normami prawa? Jak mogą się zapoznać z zakazami i nakazami polskiego kodeksu karnego i ocenić które z nich są podyktowane istotnym interesem politycznym lub gospodarczym Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, rozumianym jako interes mas pracujących w okresie budowy socjalizmu w Polsce i zmieniającym się w miarę tej budowy?

Art. 115 nakazuje bezwarunkowe stosowanie polskiego kodeksu

karnego do cudzoziemców za ich działania za granicą, także w punkcie 2 w razie popełnienia:

2. „przestępstwa ściągane na mocy umów międzynarodowych”.

Postanowienie to odpowiada uznanej praktyce i nie budzi wątpliwości, toteż ograniczam się do jego przytoczenia.

Warunkowe stosowanie całego kodeksu do cudzoziemców za granicą

Na tym się nie kończy tendencja nowego polskiego kodeksu karnego nadania mu światowej mocy obowiązującej co do cudzoziemców za granicą. Mogą oni odpowiadać z nowego kodeksu karnego — także ze wszystkich pozostałych postanowień tego kodeksu, jednak tylko warunkowo. Art. 114 kodeksu stanowi:

„§ 1. Ustawę karną polską stosuje się do cudzoziemców, którzy popełnili przestępstwo za granicą, jednakże warunkiem odpowiedzialności jest uznanie takiego czynu za przestępstwo również przez ustawę obowiązującą w miejscu jego popełnienia.

§ 2. Jeżeli zachodzą różnice między tymi ustawami, stosując ustawę polską można uwzględnić te różnice na korzyść sprawcy”.

Znowu jest bez znaczenia, że zarzucany czyn został popełniony poza terytorium Polski. Obojętne jest, że cudzoziemiec stale mieszka w swoim kraju ojczystym i tylko przygodnie znalazł się na terytorium Polski. Nie ważne jest miejsce urodzenia cudzoziemca oraz fakt, że poprzednio nigdy nie był obywatelem Polski. Jedynym koniecznym i wystarczającym warunkiem jest uznanie zarzucanego czynu za przestępstwo również przez ustawę obowiązującą w miejscu jego popełnienia.

Oczywiście o spełnieniu tego warunku orzekać będą polskie władze wymiaru sprawiedliwości w trybie przepisany przez polski kodeks postępowania karnego, a nie władze wymiaru sprawiedliwości miejsca popełnienia zarzucanego czynu według tam obowiązującej procedury karnej. Stanowi to dużą różnicę, zwłaszcza gdy chodzi o rzeczypospolite socjalistyczne i ludowe, łącznie z Polską Rzeczypospolitą Ludową. Już Jefferson podkreślał, że „wykonywanie ustaw jest ważniejsze od ich treści”. Często się może zdarzyć, że czyn uznany przez polskie władze wymiaru sprawiedliwości za „zabroniony przez ustawę karną miejsca jego popełnienia” nie byłby uznany za zabroniony przez sądy miejsca jego popełnienia na podstawie tam obowiązującego prawa.

Przede wszystkim ważna jest różnica w sposobie interpretowania postanowień kodeksu karnego. Od 1949 roku obowiązuje władze wymiaru sprawiedliwości w Polsce zasada „społecznego niebezpieczeństwa” przy stosowaniu postanowień kodeksu karnego. Jak wiadomo, oznacza to niebezpieczeństwo dla rządzących mas pracujących w okresie budowy socjalizmu. Poza rzeczypospolitymi ludowymi zasada ta jest wręcz nieznana i całkowicie

sprzeczna z uznanymi przez naukę prawa karnego sposobami interpretowania jego przepisów, opartymi o zasadę ideału sprawiedliwości, a nie interes polityczny klasy.

Interpretacja wchodzącego w grę postanowienia kodeksu karnego — to tylko jeden z wielu elementów wymiaru sprawiedliwości. W konkretnym wypadku stosowania przepisu w praktyce równie ważne są także inne elementy.

Kto ma prawo decydować o wniesieniu aktu oskarżenia? Czy prokurator, tj. urzędnik mianowany i odwoływany przez władze administracji państwa? Czy też Wielka Ława Przysięgłych, tj. niezależni całkowicie obywatele na podstawie dowodów przeprowadzonych przed nimi bezpośrednio?

Kto decyduje o winie oskarżonego? Czy Ława Przysięgłych, a więc całkowicie niezależni od władz państwowych współobywatele, wybierani dla każdej sprawy, przy czynnym udziale obrońcy oskarżonego, który ma prawo zadawać im pod przysięgą pytania celem sprawdzenia bezstronności? Czy też sąd złożony z sędziów zawodowych z udziałem lub bez udziału ławników, z niezawisłością nie w całej pełni zagwarantowaną prawnie, i nie w całej pełni popartą tradycją uświęconą długim okresem stosowania? Wystarczy wspomnieć, że Sąd Najwyższy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej składa się z sędziów, „wybieranych” przez Radę Państwa na 5-cio-letnią kadencję z możliwością odwołania w określonych wypadkach nawet przed jej upływem.

Czy procedura karna daje obronie pełne prawo przedstawienia myślnie we wszystkich sprawach, czy też tylko większością głosów, a jednomyślnie tylko przy orzekaniu kary śmierci? Nie ma werdyktu Ławy Przysięgłych bez jednomyślnej decyzji 12-tu przysięgłych. Sąd zawodowy decyduje tylko większością głosów.

Czy obrońca oskarżonego ma nieograniczony obowiązek prawny dbania wyłącznie o powierzone mu interesy oskarżonego, i ma zagwarantowaną prawnie możliwość niezależnego bronięcia, wspartą społecznie uznaną tradycją?

Czy procedura karna daje obronie pełne prawo przedstawienia dowodów obrony, łącznie z przymusowym doprowadzeniem świadków? Czy też tylko ograniczone prawo, uzależnione od krótkich terminów zgłaszania i decyzji sądu procesowego co do ich znaczenia dla rozstrzygnięcia sprawy?

Czy obrona ma prawo poddać krzyżowym pytaniom świadków oskarżenia celem sprawdzenia ich wiarygodności? Czy też prawo to jest ograniczone zasadą „społecznego niebezpieczeństwa”, a więc interesem rządzących mas pracujących w okresie budowy socjalizmu?

Czy procedura karna zawiera szczegółowe przepisy o dowodach, zmierzające do wykluczenia arbitralnego ich interpretowania i zmniejszenia jak najbardziej możliwości błędu w ustaleniach faktycznych? Czy też daje sędziom swobodę w ocenie dowodów?

A wreszcie czy najwyższą zasadą faktycznie kierującą wszystkimi uczestnikami procesu karnego jest ideał sprawiedliwości?

Czy też ten ideał podporządkowany jest interesom rządzącej partii, czy klasy, bez względu na szatę słowną w jakiej ten interes jest wyrażony?

Każdy z tych elementów procesu karnego może stanowić decydującą różnicę dla oskarżonego. Toteż oddanie decyzji o uznaniu zarzucanego czynu za przestępstwo w rozumieniu kodeksu karnego miejsca jego popełnienia nie sądom tam funkcjonującym, lecz sądom polskim, zmniejsza ogromnie różnicę między bezwarunkową odpowiedzialnością cudzoziemców za granicą, a ich odpowiedzialnością, narzuconą im przez nowy polski kodeks karny tylko warunkowo. Łatwo bowiem może być uznany winnym przez sądy polskie cudzoziemiec za czyn popełniony za granicą, chociaż sąd miejsca jego popełnienia nie mógłby wydać wyroku skazującego.

Możliwość zaocznego skazania

Rozszerzenie zasięgu stosowania kodeksu karnego do działań cudzoziemców za granicą pozostaje teorią bez praktycznego znaczenia gdy cudzoziemiec przebywa poza obszarem Polski i innych rzeczypospolitych ludowych i socjalistycznych. Jednak teoria staje się rzeczywistością gdy cudzoziemiec znalazł się z zasięgu ramienia wykonawczej władzy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. W obecnej erze komunikacji lotniczej zdarzyło się to i nadal może zdarzać bez wiedzy i woli zainteresowanego. Wtedy światowa moc obowiązująca polskiego kodeksu karnego nabiera wszystkich rumieńców życia i staje się prawem, stosowanym przez polskie organy wymiaru sprawiedliwości w trybie przepisany przez obowiązujący tam kodeks postępowania karnego.

Więcej jeszcze. W pewnych wypadkach, ściśle wyliczonych, cudzoziemiec może być skazany zaocznie przez polski sąd karny za zgodne z prawem miejscowym działanie, dokonane za granicą, mimo że jego stopa nie stanęła nigdy na obszarze Polski. Na mocy art. 415 nowego kodeksu postępowania karnego polskie władze wymiaru sprawiedliwości mogą wszcząć i przeprowadzić proces karny oraz wydać skazujący wyrok podczas nieobecności oskarżonego przebywającego za granicą. Postępowanie zaoczne można stosować w wypadkach oskarżenia o jedno z czterech przestępstw z polskiego kodeksu karnego, mianowicie: o zdradę Ojczyzny (art. 122 nie mający zastosowania do cudzoziemców), o zamach przeciwko niepodległości, terytorium, ustrojowi lub mocy obronnej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej (art. 123), o szpiegostwo (art. 124), albo o wyrządzenie szkody interesom politycznym lub gospodarczym Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej przez jej pełnomocnika (art. 130).

Postępowanie zaoczne w tych sprawach toczy się według ogólnych zasad, jednak nie stosuje się przepisów, których nie można stosować z powodu nieobecności oskarżonego (art. 416 kodeksu postępowania karnego). W razie ujęcia skazanego lub jego osobis-

tego zgłoszenia się do rozporządzenia sądu doręcza mu się odpis prawomocnego wyroku. Na wniosek oskarżonego, złożony na piśmie w ciągu 14 dni od daty doręczenia, sąd wyznacza rozprawę, a wydany wyrok zaoczny traci moc z chwilą stawienia się oskarżonego na rozprawę (art. 417 kodeksu postępowania).

Pozaterytorialna moc obowiązująca kodeksu karnego z konieczności prowadzi do powstawania konfliktów prawnych z rządami państw, których obywatele są ścigani karnie za działania dokonane na obszarze swych krajów ojczystych. Konflikty mogą stać się szczególnie ostre, gdy działanie było zgodne z prawem miejsca jego dokonania. Jak podkreśliłem wyżej, nowy polski kodeks karny nakłada na cudzoziemców za granicą taką odpowiedzialność za niektóre działania. W praktyce konflikty te nie występują często dlatego, że państwa bardzo oględnie korzystają z możliwości pozaterytorialnego stosowania swojego kodeksu karnego z obawy wywołania różnego rodzaju odwetu. Celem zapewnienia rządowi pełnej bezpośredniej kontroli w tego rodzaju wypadkach art. 116 nowego polskiego kodeksu karnego stanowi:

„Jeżeli czyn popełniony za granicą nie stanowi przestępstwa w miejscu jego popełnienia, ściganie następuje, gdy tak zarządzi Prokurator Generalny Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”.

Czy postanowienia o odpowiedzialności cudzoziemców za popełnione za granicą czyny znajdują wystarczające uzasadnienie w normach prawa międzynarodowego?

Ekstraterytorialną jurysdykcję karną państw co do działań cudzoziemców za granicą i konflikty w związku z tym powstające normuje tak nazywane często międzynarodowe prawo karne. Ubogie w treść i ścisłość jest to unormowanie. Wiele tu różnic poglądów i praktyk, mniej powszechnie uznanych i jednolicie stosowanych norm. A według znanego powiedzenia „Prawo międzynarodowe w pewnym sensie jest tylko syntezą tego, co państwa twierdzą, że jest ich prawem lub uznają jako prawa innych” (Dunn, *The Protection of Nationals*, str. 21).

Niewątpliwie duży wpływ na powstanie istniejących rozbieżności wywarły zmagania XIX wieku między silnymi prądami liberalizmu politycznego, czasem nie przebiegającymi w środkach, i broniącymi się przed nimi konserwatywnymi, jeśli wręcz nie reakcyjnymi rządami. W obecnym stuleciu ustąpiły one miejsca zmaganiom, wywołanym doktryną o światowej rewolucji, która stała się częścią ideologii politycznej republikanów i socjalistycznych. Toteż trwa nadal rozbieżność w praktyce karnej państw co do cudzoziemców zamieszkających i działających za granicą, mimo licznych i różnorodnych wysiłków, aby istniejące konflikty usunąć i rozwiązać w drodze międzynarodowego układu. Ostatni taki wysiłek znalazł wyraz w projekcie konwencji opracowanej w 1935 r. w Stanach Zjednoczonych przez ośrodek

badania prawa międzynarodowego na wydziale prawa Uniwersytetu Harvard w Cambridge. Uwzględnił on, praktycznie biorąc, wszystkie wówczas obowiązujące kodeksy karne i bogatą literaturę świata. Ogromny ten wysiłek poprzedzony był badaniami i rezolucjami licznych międzynarodowych instytucji: Instytutu Prawa Międzynarodowego w 1883 r. i w 1931 r., Międzynarodowego Kongresu Więziennictwa w Brukseli w 1900 r., Międzynarodowej Konferencji dla Ujednolicenia Prawa Karnego w Warszawie w 1927 r., Międzynarodowego Kongresu Prawa Porównawczego w Hadze w 1932 r. oraz rezolucją Międzynarodowego Kongresu Prawa Karnego w Palermo w 1933 r.

Próby rozwiązania zagadnienia znajdowały również wyraz w międzynarodowych porozumieniach, włączonych do traktatów w Limie z 1878 r., w Montevideo z 1889 r. i do Konwencji Hawańskiej, nazywanej Kodeksem Bustamantego.

Nowy polski kodeks karny nie uwzględnił wyników tych wielkich wysiłków międzynarodowych półwiecza, związanych z coraz bardziej i szybciej wzrastającymi możliwościami wymiany osób, idei i dóbr. Przeciwnie istniejące rozbieżności jeszcze zwiększył. Rozszerzył bowiem jurysdykcję karną na cudzoziemców całej kuli ziemskiej, co do wszystkich czynów przestępnych, określonych w nowym kodeksie. W ten sposób ekstraterytorialną jurysdykcję określił jeszcze szerzej niż dotychczasowy kodeks karny z 1932 r., który nie grzeszył umiarem w tym zakresie.

Zapewne autorzy nowego kodeksu karnego zastosowali także co do jego pozaterytorialnej mocy obowiązującej zasadę „społecznego niebezpieczeństwa”, rozumianego jako niebezpieczeństwo dla mas pracujących Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w okresie przejściowym budowy socjalizmu. Stanowiąc normy karne dla własnych obywateli i mieszkańców swojego obszaru, państwo jest ograniczone jedynie własną konstytucją. Inaczej jednak przedstawia się sprawa z jurysdykcją karną państwa co do cudzoziemców zagranicą, poza jego obszarem. Określa ją prawo międzynarodowe, którego normy dla swojego ustanowienia i zmian wymagają zgody całej społeczności międzynarodowej, wszystkich państw. Na forum międzypaństwowym nie stanowi usprawiedliwienia, że postanowienia kodeksu karnego co do cudzoziemców za granicą są zgodne z konstytucją państwa. Winny one pozostawać w zgodzie z prawem międzynarodowym i czerpać swoje uzasadnienie z jego postanowień o odpowiedzialności cudzoziemców za działania za granicą w zasięgu norm prawa międzynarodowego. Nadając kodeksowi światowy zasięg zastosowania i światową moc obowiązującą, autorzy rzucili wyzwanie wyraźnym zakazom prawa międzynarodowego. Powszechnie uznane normy tego prawa zakazują wykonywania aktów suwerenności poza terytorium własnego państwa, na obszarach wyłącznej suwerenności innych państw. Za taki akt właśnie należy uznać rozciągnięcie mocy obowiązującej całego polskiego kodeksu karnego na działalność cudzoziemców za granicą (częściowo warunkowo, a częściowo bezwarunkowo). Każda norma kodeksu karnego bowiem — to nie tylko sankcja,

nakaz wymierzenia kary w określonych granicach, lecz przede wszystkim nakaz, skierowany do wszystkich osób tej normie podporządkowanych, aby powstrzymali się od działań zakazanych, lub podjęli działania nakazane. Podstawowym zamierzeniem kodeksu karnego jest nie karać, lecz osiągnąć określony konformizm zachowania.

Toteż każda norma prawa karnego składa się z dwu członów: zakazu (rzadziej nakazu) i sankcji. A stosunek między tymi dwoma członami jest taki, że nieposłuszeństwo zakazowi (względnie nakazowi) stanowi warunek konieczny możliwości stosowania sankcji. Bez ważnego prawnie obowiązującego zakazu (nakazu) nie może istnieć prawnie wiążąca sankcja prawa karnego. A takich prawnych nakazów czy zakazów, wiążących cudzoziemców za granicą żadne państwo nie może wydawać bez upoważnienia międzynarodowego prawa, które nie istnieje. Istotnie, niesposób znaleźć w tym prawie podstawy dla rozległej treści art. 115 liczba 1 nowego kodeksu, głoszącego że niezależnie od przepisów obowiązujących w miejscu popełnienia przestępstwa, ustawę karną polską stosuje się do cudzoziemców w razie popełnienia przestępstwa przeciw *istotnym interesom politycznym*, lub *gospodarczym* Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Również nie ma w prawie międzynarodowym podstawy dla treści art. 114 stanowiącego, że ustawę karną polską stosuje się do cudzoziemców, którzy popełnili przestępstwo zagranicą, jednakże warunkiem odpowiedzialności jest uznanie takiego czynu za przestępstwo również przez ustawę obowiązującą w miejscu jego popełnienia.

Wydaje się jakoby autorami kodeksu kierowało przeświadczenie, że państwo posiada pełną swobodę określania swojej jurysdykcji karnej nie tylko co do własnych obywateli, lecz także co do działań cudzoziemców stale przebywających zagranicą. Mimo istniejących rozbieżności, powszechnie uznany jest punkt widzenia, że żadnemu państwu takiej swobody działania prawo międzynarodowe nie nadaje.

Założmy na chwilę, że każde państwo wprowadziłoby do swojego kodeksu karnego postanowienia podobne do art. 114 i art. 115 liczbie 1 nowego polskiego kodeksu. Każdy kodeks uzyskałby światową moc obowiązującą, bezwarunkowo co do części swoich postanowień, warunkowo co do reszty. Jakiż to powstałby prawny chaos! Jednostka musiałaby się liczyć ze stu kilkudziesięciu kodeksami karnymi, nie tylko nie znając i nie mogąc poznać ich treści, lecz często nawet nie wiedząc o istnieniu państw, które je ustanowiły. Gdyby w cudownym olśnieniu wszechwiedzy poznała je wszystkie i potrafiła porównać, przekonałaby się, że znalazła się w sytuacji niemożliwej do rozwiązania, jak węzeł gordyjski. Nakazy lub zakazy jednych kodeksów mogłyby pozostawać w wyraźnym konflikcie z nakazami lub zakazami innych. Czyni dozwolone przez niektóre kodeksy, mogłyby być karalne przez pozostałe... Wszyscy mieszkańcy świata mogliby się stać rzeczywistymi lub potencjalnymi przestępcami, stworzonymi przez któryś tam ze stu kilkudziesięciu kodeksów karnych. Nikt

nie mógłby być pewny, że przekroczenie granicy swojego państwa nie stanie się przedmiotem postępowania karnego na mocy obcego mu prawa za nieznanе mu czyny zakazane... Słusznie też stwierdził jeden z najwybitniejszych znawców prawa międzynarodowego:

„...samo pojęcie przestępstwa wymaga niezbędnie, aby czyn był przekroczeniem prawa, któremu oskarżony podlegał; nie do zniesienia jest twierdzenie, że każdy człowiek podlega lub może podlegać prawom każdego państwa, wszędzie i zawsze...”. (Brierly 44. *Law Quarterly Review* (1928) 162).

Cudzoziemcy za granicą a kodeksy innych republik ludowych i socjalistycznych

Dotychczas rozważaliśmy postanowienia nowego polskiego kodeksu karnego o odpowiedzialności cudzoziemców za działania za granicą z punktu widzenia tradycyjnych teorii i praktyk państw, w oparciu o badania o zasięgu światowym, przeprowadzone przed powstaniem republik ludowych i socjalistycznych w wyniku wydarzeń politycznych związanych z drugą wojną światową. W okresie współczesnej rzeczywistości ten punkt widzenia może być nazywany zachodnim. Przyjrzyjmy się rozważanym postanowieniom polskiego kodeksu ze wschodniej strony barykady.

W tej perspektywie postanowienia nowego kodeksu polskiego nie są odosobnione. Czechosłowacja i Węgry, Rumunia i Bułgaria posiadają podobne postanowienia w swoich kodeksach karnych. Choć różne posiadają szaty słowne, rozszerzają stosowanie całych kodeksów bezwarunkowo lub warunkowo na działania cudzoziemców za granicą. Można powiedzieć, że przyświeca im wspólny wzór ogólnego podejścia. Jest jednak rzeczą znamionną, że tym wzorem nie są ani „Ogólne Zasady” Związku Sowieckiego, ani Kodeks Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Rad. I to tym bardziej znamionną, że wpływ sowieckiego prawa karnego na kodeksy republik ludowych i socjalistycznych, łącznie z nowym polskim kodeksem, jest oczywisty i przyznawany z dumą.

W Związku Sowieckim prawo karne przyjęło w całej pełni zasadę terytorialności co do jurysdykcji karnej państwa, podobnie jak w Stanach Zjednoczonych. Znalazła ona wyraz w artykułach 4 i 5 kodeksu karnego Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Rad z 1960 roku. Jak wiadomo, kodeks ten inkorporuje „Podstawowe Zasady” ustawodawstwa karnego Związku Sowieckiego z 1958 r. Wspomniany art. 4 ust. 1 brzmi:

„Podlega odpowiedzialności według niniejszego kodeksu każdy kto popełnia przestępstwo na terytorium Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Rad”.

Wspomniany zaś art. 5 w ustępie ostatnim głosi:

„Za przestępstwa popełnione poza granicami Związku Sowieckiego cudzoziemcy odpowiadają według sowieckich praw karnych w wypadkach przewidzianych w układach międzynarodowych”. (Tłumaczenie moje).

W porównaniu z odpowiednimi postanowieniami kodeksów karnych Bułgarii i Rumunii zasady odpowiedzialności cudzoziemców za działanie za granicą według nowego polskiego kodeksu są nawet stosunkowo umiarkowane. Na mocy art. 5 bułgarskiego kodeksu karnego obowiązującego od 1 maja 1968, ma on zastosowanie do cudzoziemców całego świata, którzy „popełnili za granicą przestępstwa ogólnego charakteru naruszające interesy Rzeczypospolitej Ludowej Bułgarii lub bułgarskiego obywatela” (tłumaczenie moje).

Wyznanie rzucone prawu międzynarodowemu jest tu wręcz całkowite. Brak nawet ograniczeń zawartych w art. 115 liczba 1 polskiego kodeksu, że przestępstwo popełnione przez cudzoziemca za granicą musi być skierowane przeciwko *istotnym* interesom i to posiadającym charakter *polityczny* lub *gospodarczy*. Według kodeksu bułgarskiego wystarczy naruszenie jakiegokolwiek interesu, zarówno co do stopnia jak charakteru. A jeśli obywatel jakiegokolwiek państwa świata styka się we własnym kraju z obywatelem bułgarskim, według art. 5 bułgarskiego kodeksu karnego winien stosować się do nakazów i zakazów tego kodeksu, nawet wbrew prawu miejscowemu!

Równie daleko idą zawiłe w treści postanowienia art. 10 i 11 rumuńskiego kodeksu karnego obowiązującego od 1 grudnia 1960 roku.

Nowy rumuński kodeks, obowiązujący od 1 stycznia 1969 roku, posiada również światowy zasięg. Niektóre jego postanowienia mają bezwarunkowe zastosowanie do działań cudzoziemców za granicą w szerszym zakresie, niż postanowienia polskiego kodeksu. Dotyczą one nie tylko działań skierowanych przeciwko bezpieczeństwu państwa, lecz także działań, skierowanych przeciwko życiu i integralności cielesnej obywateli rumuńskich. Stosowanie pozostałych postanowień kodeksu rumuńskiego do cudzoziemców za granicą uwarunkowane jest od istnienia podobnego zakazu w prawie miejsca popełnienia czynu, podobnie jak w kodeksie polskim.

Postanowienia węgierskiego kodeksu karnego z 1961 roku (art. 5) oraz czesko-słowackiego kodeksu obowiązującego od 1 stycznia 1962 r. (art. 19 i 20), są zbliżone do zasięgu postanowień polskiego kodeksu.

Znacznym umiarem natomiast wyróżnia się kodeks karny jugosłowiański, obowiązujący od 1 lipca 1951 roku.

Józef GIDYŃSKI

Czarna lista

Wojciech Sulewski: „Polonofilscy rewizjoniści niemieccy”, *Kurier Polski* z 8. V. 1969.

Jan Dobraczyński: „Pośrednictwo kulturalne”, *Słowo Powszechne* z 13. V. 69.

Jarosław Iwaszkiewicz: „Kazimierz Wierzyński”, *Twórczość* nr 4 (1969).

Witold Filler: „Teorie i praktyki paryskiej Kultury”. Wyd. MON. Wydanie II.

Marek Dunin Wąsowicz stały korespondent *Życia Warszawy* w Pradze odznacza się w denuncjowaniu elementów postępowych w Czechosłowacji.

Wiesław Górnicki: „Szkic do rachunku sumienia”, *Polityka* z 17. V. 1969.

Autorem wyjątkowo obrzydliwych felietonów w *Prawie i Życiu*, występującym pod charakterystycznym pseudonimem „Rodak ze Szmulek”, jest Kazimierz Kąkol, redaktor nacz. tegoż pisma.

Drugim anonimem w *Prawie i Życiu*, pisującym pod pseudonimem W. Szpada, jest osławiony Ryszard Gontarz.

Kazimierz Kąkol: „Wieczne rozmowy”, *Telewizja Polska*, 7. VI. 1969.

Stefan Lewandowski: „Reportaż z CKD w Pradze”, *Życie Literackie* z 8. VI. 1969.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

O religii bez namaszczenia

Katolicy świeccy kontestują

Kontestacja, która ogarnęła świat w ten czy inny sposób, jest bez najmniejszej wątpliwości pozytywnym objawem naszych czasów. Ludzkość nie chce skostnieć — nie daje się zamknąć w żelazne klamry systemów, czy ideologii, które sama stworzyła w pewnym określonym momencie swych dziejów, dla rozwiązania istniejących wówczas problemów. W umysłach ludzi myślących krytycznie dojrzało przekonanie, że w sprawach dotyczących życia człowieka nie ma rozwiązań raz na zawsze, bo człowiek jest więcej tym czym chciałby być, niż tym czym jest aktualnie. Nie ma więc wśród ludzi takich geniuszów, których teorie i metody mogłyby być zawsze i wszędzie aplikowane do życia z tym samym rygiorem.

Zenuje to i dekoncertuje przede wszystkim systemy totalitarne, które dogmatyzują swe założenia i dlatego nie dopuszczają żadnej krytyki. Gwałt i przemoc fizyczna zastępują u nich pracę umysłu krytycznego. Ale umysłu krytycznego nigdy całkowicie zniewolić nie można. Pierwsza reakcja przychodzi zawsze z tej strony, która jest przyzwyczajona do myślenia krytycznego i osobistego — od inteligencji niezależnej, od pisarzy, poetów, publicystów itd.

Kontestacja — objaw umysłu krytycznego — ogarnęła także religie i kościoły. Nic w tym dziwnego. Religie chcą normować życie ludzkie w sposób radykalny i zahaczają o same jego podstawy, o jego celowość i jego sens. Czynią to jednak często w sposób, który drażni umysł krytyczny i w formie, która nie odpowiada mentalności współczesnego człowieka. Stąd powstaje kontestacja.

Kościół katolicki nie jest wyjęty spod tego prawa. Nie chodzi tu o kontestację z zewnątrz — od tych, którzy albo nigdy nie wierzyli, albo z tych czy innych racji przestali wierzyć — ta bowiem zawsze istniała. Kontestariusze pochodzący z zewnątrz społeczności wyznaniowych, biją młotem krytyki we wszystko „co

podpadnie” — w mitry i pastorały, w dogmaty i prawa, w obrzędy religijne i tendencje polityczne. Jest to kategoryczne „nie”, powiedziane tak staremu jak i nowemu kościołowi. Bezwzględność ich krytyki wywołuje wśród wierzących skutek przeciwny od zamierzonego... Pozytywniejszą w swych skutkach jest kontestacja wewnętrzna, która respektuje istotne założenia danej religii, a kwestionuje albo ich formułację historyczną, albo też praktyczne podejście do wartości ludzkich.

Pismo francuskie *L'Humanisme*, którego nie można posądzać o pro-kościelne nastawienie, zamieściło ostatnio następującą notatkę:

„Kościół katolicki nie przestaje nas zadziwiać. Katolicy nadają dziś ton wielu wydarzeniom społecznym i politycznym różnych krajów. Postawa ich nie jest wcale konserwatywna — przeciwnie, nie ma dziś prawie żadnego zebrania kontestariuszy, by wśród nich nie było katolików świeckich czy nawet duchownych... tak jakby chcieli nadrobić czas stracony przez całe wieki konserwatyizmu. Przyszłym historykom naszych czasów posłużą oni za punkt referencji i termometr wskazujący temperaturę duchową naszej epoki... Klerykalizm znika pod naporem samych księży. Dlatego w trosce o obiektywność sądów musimy i my zmienić niejeden schemat klasyczny, według którego układały się nasze dotychczasowe stosunki...”.

Nas, katolików świeckich, zadziwia jeszcze coś innego. Stosunek władzy kościelnej do kontestariuszy zmienił się radykalnie. Porzucono dawne, wypróbowane metody potępień, ekskomunik i interdyktów — i wybrano metodę dialogu. Zaczęło się, jak zwykle w tych sprawach, od deklaracji o Kościele dialogu, o ekumenizmie, kolegalności, o jednym „Ludzie Bożym”. Podkreślono pozytywny stosunek do religii niechrześcijańskich i wydano orzeczenie o wolności religijnej. Deklaracje te wypłynęły z lepszego zrozumienia dialektyki łaski i wolności oraz z respektu osobistej odpowiedzialności każdego za swój wybór i swe czyny.

Pięknych deklaracji i wzniosłych haseł nigdy w Kościele nie brakowało. Życie jednak układało się inaczej — jeżeli już nie w poprzek, to przynajmniej nie całkiem według nich. Tym razem jednak przez otwarte drzwi do dialogu weszła szara masa wiernych, która dotychczas nie miała wielkiego prawa głosu.

Ale dialog jest sztuką, której trzeba się uczyć. Długie wieki monologu władzy i bierności podwładnych oraz brak rzeczywistych struktur dialogu w Kościele, wywołały pewne zamieszanie i dialog często zmienia się w kontestację. Dezorientuje to przede wszystkim hierarchię kościelną, nieprzyzwyczajoną do tego rodzaju reakcji. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że zwłaszcza ona musi się uczyć prowadzenia prawdziwego dialogu. Wyrosła fundamentalnie z woli Chrystusa, który wybrał Piotra i kolegów apostołskich na rządców Swego Kościoła, przybrała w ciągu wieków zgoła nieprzewidziane przez Ewangelie formy bytowania. Wieki państwa kościelnego, cesaropapizmu, świętego imperium rzymskiego — wieki papieży władców ziemskich, biskupów książąt imperium, elektorów itp., zaciążyły niepomiernie nad sprawowaniem władzy. Potęga duchowa i materialna, religijna i poli-

tyczna, predysponowały rządców Kościoła, jeżeli już nie do nadużywania władzy, to przynajmniej do jej zbytniego akcentowania.

Wielki wstrząs Reformacji i wieku Oświecenia, oraz dalsze оголошение Kościoła z atrybutów potęgi doczesnej, nie zostały nigdy całkowicie strawione przez władzę kościelną. Pozostała zawsze pewna nostalgia „dawnych, dobrych czasów” — pozostał dawny styl rządzenia, świeckie tytuły ekscelencji i eminencji — pozostały „trony” biskupie i potrójna „korona” papieska. Straty doczesne wynagrodzono sobie większą centralizacją władzy duchownej. Punktem kulminacyjnym tego procesu był sobór watykański 1-szy, który odbył się w czasach wielkiego zagrożenia doczesnej władzy papieża i został przerwany w chwili zajęcia papieskiego Rzymu przez wojska Garibaldiego. Sobór watykański 2-gi, był pod tym względem ogromnym i szczerym wysiłkiem powrotu do ewangelicznej prostoty sprawowania władzy. Reforma kurii rzymskiej, synod biskupi, rady diecezjalne, wprowadzenie świeckich katolików do administracji kościelnej itd., są nieśmiałościami wprowadzającymi, ale rzeczywistymi próbami demokratyzacji władzy w Kościele.

W moich rozmowach i dyskusjach z księżmi spotykałem się często z uwagą, że nie można utożsamiać ustroju wewnętrznego Kościoła z ustrojami społeczności politycznych. To są dwie rzeczy całkiem różne — mówiono mi. Jako katolik zgadzam się z tym. Nikt jednak nie może zaprzeczyć, że rządcy Kościoła ulegali w ciągu wieków mirażom monarchizacji władzy. „Zapatrzenie” w cesarstwo rzymskie i inne systemy monarchiczne wpłynęło na to, że Królestwo Boże na ziemi funkcjonowało jak królestwa ziemskie. Można się więc zapytać dlaczego dzisiaj, kiedy demokracja uchodzi za najdoskonalszy sposób rządzenia ludźmi wolnymi i świadomymi, podobne „zapatrzenie” nie jest wskazane, tym bardziej, że jak o tym świadczą ewangelie i historia pierwszych wieków Kościoła, wykonywanie władzy przez Piotra i jego następców, bliższym było naszej demokracji, niż średniowiecznej monarchii...

Z powyższego punktu widzenia wyszła grupa katolików francuskich i mimo, że nie umiała utrzymać na należnym poziomie swej kontestacji, warto się z nią zaznajomić.

L i s t 744

Paryski tygodnik katolicki *Témoignage Chrétien* opublikował kilka miesięcy temu zbiorowy list 744 francuskich katolików świeckich do papieża. List ten, nie bez pretensjonalności, nazwano „encykliką” świeckich. Sam adres świadczy o tym, jak jego autorzy pojmują swą rolę w Kościele: „Do Pawła, Papieża, następcy Piotra, biskupa Rzymu, sługi sług Bożych, naszego brata, którego kochamy w prawdzie”.

List zaczyna się dość banalnie od znanej, żartobliwej frazy inicjałów państwa watykańskiego, wypisanych na samocho-

dach watykańskich „SCV” — Stato della Città del Vaticano — „Se Cristo Vedesse”... tzn. Gdyby to widział Chrystus! Żart ten służy za punkt wyjścia kontestacji stanowiska Rzymu w trzech dziedzinach: W dziedzinie nauczania i stosunku do ludzi nauki — w dziedzinie struktury polityczno-ekonomicznej państwa watykańskiego — i stylu rządzenia.

Kościół rzymski, według autorów listu, nie zawsze szuka chwały Chrystusa, ale swojej własnej i często pragnie raczej panować nad ludźmi, niż im służyć. Ale ilekroć ludzie Kościoła, a zwłaszcza hierarchia, pragną imponować światu swą potęgą naukową, polityczną czy ekonomiczną, tylekroć zacierają przed jego oczyma prawdziwe oblicze Chrystusa.

W dziedzinie nauk Kościół za mało respektuje niezależność poszukiwań. Oto najważniejsze wyjątki tej części memoriału:

„Podczas gdy w dziedzinie nauk ludzkich Duch Święty nie daje nam w Biblii żadnego pouczenia, Rzym przypisuje sobie prawo absolutne, którego mu Chrystus nie udzielił, mówienia w sposób suwerenny o wszystkim: O filozofii, o naukach pozytywnych, o medycynie i ekonomii o naturze itd., a przecież nie ma tu zapewnionej żadnej specjalnej asystencji Chrystusa. Na takie nadużycie władzy człowiek współczesny nie może się zgodzić. Owszem wiara jest światłem dla całego życia ludzkiego, radością duchową chrześcijanina i zaproszeniem do trudnych poszukiwań, ale nie jest żadną gwarancją prawdy w rzeczach, które do niej nie należą. I tak, kiedy nauki się rozwijają, papieże byli zawsze w ciągu wieków przekonani, że do nich należy panowanie nad wiedzą ludzką, chociaż nieraz tutaj popełniali błędy [...] I tak zobowiązywało się chrześcijan XVII wieku do wierzenia, że słońce krąży wkoło ziemi [...] ci XIX wieku musieli odrzucić hipotezę ewolucji świata, jako bezbożną [...] dziś papież mówi o „naturze” ludzkiej, ale kto z ludzi może poznać „naturę”? [...] Ile aktów było dawniej uważane przez ludzi Kościoła za zgodne z „naturą”, a dziś odrzuca się je jako przeciwne „naturze” — np. tortury, którymi posługiwała się dawniej święta inkwizycja [...]

„Ludzie odpowiedzialni za Kościół, ponieważ uważają się za ekspertów w sprawach ludzkich, roszczą sobie pretensje mówienia w sposób kategoryczny o socjologii, ekonomii i polityce [...] Czynią to często w sposób tak bezwzględny, jakby mieli na tym punkcie specjalne objawienie Boże. Ale tak nie jest! Starsi z nas pamiętają dobrze potępienie „Action Française”, przez Piusa XI — potępienie usankcjonowane ciężkimi karami kościelnymi [...] Pius XII kilka miesięcy po wstąpieniu na „tron” papieski, odwołuje wszystkie kary, a wczorajsi potępieni stają się jego wybranymi doradcami.

„W XIX wieku zostaje potępiony socjalizm [...] A co powiedzieć o potępieniu komunizmu?

„Bez wątpienia, trzeba nieustannie przypominać ludziom, że są powołani do życia z Bogiem, ale co wie Rzym o systemach społecznych, które mogą sobie stworzyć w przyszłości ludzie? I na mocy jakiego prawa wiąże się Ewangelię z jednym partykularnym systemem ekonomicznym i odrzuca się w ciemności zewnętrzne, ludy, obce światu, który my nazywamy wolnym, kiedy w rzeczywistości jest on tylko światem pieniądza? [...] Tak, Rzym ma prawo i obowiązek rozmowy z ludźmi o ich problemach życiowych, ale w całkiem innym tonie, który odnalazłby łatwiej, gdyby był naprawdę Kościołem ubogich, którego pragniemy całym sercem [...] Człowiek wie najlepiej, że prawda wyzwala i że sama ma tyle siły w sobie, by go zmusić do jej przyjęcia, dlatego odrzuca jarmoz intelektualne, które poza sakralnym charakterem samej wiary, ludzie Kościoła starają się nań włożyć. By człowiek zechciał

na nowo słuchać Kościoła, trzeba, żeby ten przeprowadził nie tylko jakieś powierzchowne „aggiornamento”, ale by dokonał prawdziwego nawrócenia do ducha pokory — i wtedy będzie mógł głosić Ewangelię”.

Przytoczyłem najważniejsze wyjątki pierwszej części memoriału. Czytelnik sam może się zorientować w ich merytorycznej wartości.

W drugiej części autorzy listu kontestują istnienie i strukturę ekonomiczno-polityczną państwa watykańskiego.

„Fakt, że Watykan jest państwem o pewnej określonej strukturze ekonomiczno-politycznej utrudnia Kościołowi spełnianie jego uniwersalnego posłannictwa, istnieje bowiem wiele innych państw, które taką właśnie strukturę odrzucają. Papież jest równocześnie szefem państwa i jako taki jest przyjmowany. Żołnierze prezentują przed nim broń [...] nuncjusze są w randze ambasadorów, to znaczy reprezentantów obcej potęgi. Papież przedstawia się światu jako monarcha, chociaż z woli Chrystusa jest tylko najwyższym kapłanem. Sytuacja ta stawia Kościół w fałszywym świetle, zwłaszcza wobec państw socjalistycznych, które odrzucają takie reżymy”.

Tu przede wszystkim kontestariusze znajdują ujęcie dla swego temperamentu i zarzucają Watykanowi, że jest „jedną z największych potęg konserwatywnych, która przyczynia się do utwierdzenia panowania tych, którzy posiadają, nad tymi, którzy niczego nie mają” — dalej, że „Kościół nie umie dziś potępiać królestwa pieniądza, tak jak to czynił Chrystus” — że „ofiarami tej niemocy są nie tylko ubodzy krajów niedorozwiniętych, ale i obywatele krajów bogatych, albowiem brakuje światu Kościoła, który by umiał go przestrzegać przed kołowacizną pieniądza i wypływającą stąd alienacją”.

Czytając tę część „encykliki” świeckich, ma się wrażenie że pisali ją utopiści księży, bo trudno wierzyć, by człowiek świecki, aż tak pogardzał pieniądzem... Poza tym autorzy zdradzają zbyt wyraźnie swe sympatie polityczne i społeczne, dlatego ich krytyka nie ma swego źródła w Ewangeliach, chociaż je cytują z podejrzaną obfitością, ale raczej w pismach marksistowskich.

Trzecia część jest surową krytyką dzisiejszego sposobu rządzenia Kościołem. Kontestariusze zaczynają tu od cytaty Bernasosa: „Kościół lubi chować swych wiernych w małych naczyniach z daleka od przeciągów”. Ale chrześcijanie potrzebują dzisiaj szerokiego horyzontu, a Rzym zdaje się tego nie rozumieć, bo cały jego aparat administracyjny jest tak pomyślany by „zamykać” i trzymać w karchach.

„Kuria rzymska trzyma w karchach biskupów — biskupi księży — księży świeckich — a świeccy katolicy mają trzymać resztę świata. Stąd powstała wielka liczba sekretariatów, komisji, struktur, sektorów itd.; każdy ze swym regulaminem i programem. Wszystko to czyni z Kościoła jakiś *building*, w którym oddycha się powietrzem nie mającym nic wspólnego z wolnością dzieci Bożych, ani z miłością braterską. Dzieje Apostolskie mówią nam o zupełnie innej atmosferze w Kościele prymitywnym. [...] Skąd pochodzi ta wielka różnica? Stąd, że „kuria rzymska chce być wszystkim, wszystkiego doglądać, wszystkim kierować, wszystko regulować na sposób bardziej wojsko-

wy niż rodzinny. Rzym ciągle działa tak, jakby tylko on posiadał monopol Ducha Świętego — tak, jakby Duch Św. nie był dany całemu Kościołowi. Dlatego nieustannie usiłuje narzucić wszystkim swój własny punkt widzenia”.

Kontestariusze marzą o „Kościele braterstwa” i „Kościele ubogich”. Dzisiejszy Kościół nie zasługuje, według nich, na nazwę „Kościoła ubogich”, ale stać się nim może pod następującymi warunkami:

„Aby jutro Kościół mógł się stać „Kościołem ubogich”, nie wystarczy by składał się z bogatych, którzy okazują miłosierdzie ubogim — nie wystarczy by był mieszaniną bogatych i ubogich z przyznaniem pewnego pierwszeństwa tym ostatnim, ale trzeba, by składał się istotnie z ubogich — by ubodzy byli w nim panami. Bogaci będą mogli być jego członkami, tylko wtedy, kiedy precyśną się przez „ucho igielne” i zrezygnują z wszelkiej wyższości”.

Czyżby to było marzenie o jakimś kościele proletariackim? Wszystko wskazywałoby na to! W niektórych sferach katolickich francuskich, ta idea jest dzisiaj bardzo modna.

Kończowa apostrofa zaskakuje nas jeszcze bardziej:

„Bazylika św. Piotra w Rzymie, mimo geniuszu Brabanteo i Michała Anioła, jest pomnikiem pychy Kościoła. Przypomina nam bezwstydną handel odpustami i fakt, jak papież myśleli o wznoszeniu pomników w czasie kiedy Kościół znajdował się na krawędzi wielkiej schizmy. Nie wiemy kiedy ta świątynia będzie zburzona, ale mimo jej wspaniałości, nie będziemy płakać nad jej ruinami. Za dużo zła nam przypomina! Wiemy jednak co innego, a mianowicie, że z tryumfalizmu Kościoła, którego ona jest symbolem, nie zostanie kamień na kamieniu. Wiemy także z wypowiedzi samego Chrystusa, którego słowa nie przemina, że Kościół po uświadomieniu sobie z jakiej spaść wysokości wróci do dawniejszych uczynków i stanie się na nowo rodziną dzieci Bożych. Tylko taki Kościół ma obietnicę życia wiecznego”.

Mimo przesady, braku realizmu i zmysłu historycznego, memoriał świeckich do papieża mówi głośno o tym, o czym wielu myśli po cichu. Wypowiedzi te jednak spotkały się z krytyką i protestami z wielu stron. Wysłano w pośpiechu wiele zbiorowych i indywidualnych telegramów do papieża z wyrazami „wierności, przywiązania i posłuszeństwa”. Między nimi należy wyszczególnić list 16-tu wybitnych przedstawicieli katolików francuskich — profesorów uniwersytetu, filozofów, pisarzy i działaczy społecznych. Wyrażają oni swoje ubolewanie nad tym, że „mała grupa agitatorów duchownych i świeckich rości sobie pretensje rządzenia Kościołem i sieje wszędzie zamieszanie i niepokój”.

Kontestacja, która nie zna umiaru wywołuje zawsze sprzeciw, zaćmiewa prawdę i kompromituje szanse swego sukcesu. W ciągu jednego tygodnia list 16-tu podpisało przeszło dziesięć tysięcy katolików, podczas gdy list 744-ech, mimo wielkiej propagandy, nie zdobył nawet tysiąca zwolenników. Nie znaczy to, że wszystko co w nim napisano jest fałszem. I chyba sam papież zdaje sobie sprawę z tego że wiele uwag zasługuje na poważne zastanowienie się i na uczciwą refleksję.

Kardynał Suenens powiedział w wywiadzie udzielonym ICI, że kontestacja wewnątrz Kościoła jest elementem odnowy i postępu — jest apelem do wyzbycia się tego wszystkiego co w strukturze Kościoła nie odpowiada prostocie, wolności i braterstwu ewangelicznemu. Kontestuje się formalistyczny legalizm bez odrzucania konieczności istnienia praw — odrzucamy sklerozę bez odrzucania porządku — krytykuje się autokratyzm, by bronić prawdziwego autorytetu. Nie chodzi o to, by się wypierać chrześcijaństwa, ale by sobie zdać sprawę, że jesteśmy za mało chrześcijanami.

Seweryn KUBALSKI

BIBLIOTEKA « KULTURY » — TOM 171

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

SEN MARA

Ostatnie wiersze

Str. 128.

Cena egz. F. 11 (dol. 2,50)



CZARNY POLONEZ

Poezje

WYDANIE DRUGIE

Str. 40.

Cena egz. F. 7 (dol. 1,75)

Straty Kultury Polskiej

Anna Kowalska (1903-1969)

Anna Kowalska spoczęła na warszawskim cmentarzu powązkowskim. Przybył nam świeży lwowski grób daleko od Lwowa. Gdy czytam zdawkowe notatki w prasie krajowej, widzę z przerażeniem, jak rośnie wysoki mur, który ma nas odciąć od naszej wielowiekowej obecności we Lwowie, od pomników i gmachów wznoszonych polskimi rękami, od polskich ulic i cmentarzy, książek i piosenek. Ten mur, wznoszony z odchodzących i przemilczanych, ma przygnieść swym piramidowym ogromem mózół bibliotekarzy ratujących lwowskie druki, nocny trud historyków spisujących po kryjomu prawdę, rzewną pamięć orkiestr ulicznych dopraszających się o cichą modlitwę za tułaczę lwowskie dzieci.

Czytam te notatki z przerażeniem. Odeszła pisarka wybitna. Nie zwiędły jeszcze kwiaty rzucone na jej mogiłę, a już anonimowi likwidatorzy naszego dorobku chwycili za pióra. Ileż konceptu weszło w lepienie gipsowych plastrów! Jak subtelными metodami posiłkują się grabarze żywego ciała literatury ojczyzny! Wszystko to, by jak najsprawniej dokończyć operacji od lat dokonywanej na pisarstwie Anny Kowalskiej. Zabieg ma ostatecznie zdeprecjonować jej twórczość, odebrać sens jej dziełu. Śmierć to okazja, by raz na zawsze wyrwać żądło kłujące nieczyste sumienia. Pod gładkimi banałami zagrzebie się sprawę najważniejszą, tytuł pisarki do przetrwania. A więc sprowadza się lwowskość jej dzieła do roli nic nie znaczącego faktu biograficznego; jej troskę — graniczącą ze zgrozą — redukuje się do rozmiarów babskiego biadolenia.

Przewertowałem elaboraty krytyki krajowej, które towarzyszyły jej twórczości. Nadziwić się nie można przemyślności tych dumnych piór. Czego tam nie ma! Jest i łaskawa pochwała psychologicznej dociekliwości, są i grzeczne komplementy pod adresem słuchu pisarskiego. Diagnozy okrucieństwa pisarki sąsiadują z dywagacjami o jej optymizmie. Ale ani słowa o tym źródle,

które żywiło jej talent. Ani słowa o tym, co stanowiło jedyną treść jej dzieła — o losie Polaków, o ich wielkiej tułaczce, o porzuconym domu, o nowym życiu zagrożonym od chwili poczęcia.

Wiem, że jeszcze nie czas na oddanie sprawiedliwości jej dokonaniom. Wierzę, że znajdują się ludzie, którzy nie pozwolą, by jej zasługi pisarskie i obywatelskie zasypano piaskiem wielostłownego milczenia. Ale wiem też, że nie wolno zwlekać, by nie rzucano nam w twarz obelgi, którą Norwid dedykował pisarzom polskim: „Podli!... bo niemi, i niemi, bo podli!”

Anna Kowalska urodziła się we Lwowie w roku 1903. Była wnuczką generała Chrzanowskiego, który u boku Bema bił się na Węgrzech. Wyrosła w domu, w którym „cały wiek dziewiętnasty i jeszcze dawniejszy czas kościuszkowski był skrócony, przybliżony, jakiś własny...” Z tego domu wyniosła „śmieszne historie rodzinne, kapliczki rodzinnego kultu”, z którymi miała się rozprawić w młodzieńczych buntach, ale także „śmieszne staroświeckie wychowanie (które) wpoilo na zawsze, że jest cechą pospolitą skarżyć się, utyskiwać, okazywać niezadowolenie... Modne były obowiązki i ich spełnianie. To było bardzo śmieszne — wspominała na kilka lat przed śmiercią — ale jeszcze nie wstydlive”. W roku 1922 Anna Chrzanowska zaczęła studiować filologię klasyczną na Uniwersytecie Jana Kazimierza. W dwa lata później wyszła za mąż za profesora Jerzego Kowalskiego i przeniosła się na romanistykę. Pomagała Jerzemu Kowalskiemu przygotować edycję *Wykładów Łozańskich* Mickiewicza. Państwo Kowalscy podróżowali wiele i razem pisali książki. Do wojny ukazały się cztery tomy ich prozy. Okupację sowiecką i pierwsze lata okupacji niemieckiej spędzili we Lwowie. W roku 1943 przenieśli się do Warszawy, by stamtąd, po zakończeniu wojny ruszyć do Wrocławia w ślad za lwowskimi wygnańcami i wyrzuconym Uniwersytetem. Do śmierci w roku 1948 Jerzy Kowalski piastował katedrę na Uniwersytecie Wrocławskim. Anna zajęła się pracą pisarską i redagowaniem znakomitych „Zeszytów Wrocławskich”, które ukazywały się w latach 1947-1952. W roku 1954 wróciła z córeczką do Warszawy. Zmarła 7 marca 1969 roku. Na jej powojenny dorobek złożyło się kilkanaście tomów prozy.

Pisała Anna Kowalska: „Dopiero kiedy ktoś umrze, wtedy całe jego życie uzyskuje wyrazistszy kontur”. Nie zastrzegała się, że jest to prawda warunkowana sytuacją historyczną. W kraju takie zastrzeżenie było zbyteczne. Tam nawet śmierć nie pozwala dociekać prawdy o życiu. Ocenom doraźnym podlega tylko jedna dziedzina, w której jednoznaczności wykroczeń nie mogą pomniejszyć najlepsze nawet intencje. Tą dziedziną jest twórczość pisarska. Przeraza lekkomyślność parających się pisaniem, gdy zapominają, że każde ich słowo może być słowem ostatnim. Potomność odpuści pisarzowi order, lecz nie wybaczy kłamstwa. Wymaże ludzkie słabości z pamięci, lecz nigdy nie ogłosi amenstii za nadużycie polskiego słowa. Powojenna literatura w kraju prze-

żyła klęski swych najgłośniejszych przedstawicieli. Dla wielu z nich los okazał się łaskawy, pozwalając odrobić „błędy i wypaczenia”. Co obrotniejsi, potrafili nawet o nich zapomnieć. Ale ani ci pamiętający, ani ci, których pamięć zawodzi, nie wybaczyli Annie Kowalskiej dystansu, który umiała zachować. Odpłacili jej chłodnym lekceważeniem jej talentu.

Inność Kowalskiej drażniła bardziej niż wieże, w których zamknęli się najrzetelniejsi, bardziej niż otwarta wrogość skazanych na milczenie. Samotność i rozgoryczenie tych nielicznych „emigrantów wewnętrznych” umacniały łowców sukcesu w przekonaniu o właściwym wyborze drogi. Obecność Anny Kowalskiej, która, jak się zdawało, tę samą drogę obrała nie zapłaciwszy rogatek w fałszywej monecie deklaracji i kompromisów, była kłopotliwa. Przypuszczam, że wielu kolegów rozmawiając z Kowską, spuszczało oczy. W tym samym czasie, gdy zaczęły pojawiać się na zimno skalkulowane kłamstwa chwalców „bezkrwawej rewolucji”, Kowska pisała swe *Opowiadania Wrocławskie*, w których myląc cenzorskie psy gończe, przemyciała część prawdy. Tajemnica była prosta: Kowska traktowała swe piarstwo jako wypełnianie obowiązku.

Tragedią większości ówczesnych sław literackich była próżność. Bystra przecież analiza Miłosza, ten właśnie grzech główny zamyślała. To próżność nakazywała wierzyć, że można otrzymać rząd dusz z rąk rządców kraju. Próżność pozwalała zamykać oczy na uzurpatorski charakter tej władzy, tak oczywisty dla całego narodu. Próżność umożliwiała branie na serio dyplomów na inżynierów dusz ludzkich, aprobowała służenie „najlepszym synom klasy robotniczej” powitym nie na Woli lub Ochocie lecz w moskiewskich pepinierach wielkorządców. Skromność i nieomylnie poczucie przynależności do narodu zjednoczonego w cierpieniu uchroniły Annę Kowską od skoku w przepaść kolaboracji.

Cierpiącym była wierna w sposób rozumny. Dla nich pisała swe „optymistyczne” opowieści o mieście ruin, które miało wygnańcom zastąpić porzucone domy. Ale pisząc prawdę, naruszała konwencję, na którą inni przystali. Nie musiała zmyślać, bo nie szukała azylu w socjalistycznej tysiącletniej rzeszy. Jej bohaterowie nie byli dziwolągami zrodzonymi z kolejnych pouczeń partyjnych mędrców, lecz należeli do „niepokonanego gatunku ludzi trywialnych”. Nie musiała dorabiać swym bohaterom nieprawdziwych historii; nie trzeba ich było wodzić za nos marchewką okruchów władzy nad bliźnimi. Można było i trzeba było mówić im prawdę gorzką, by uzbroić ich na przeciwności polskiego losu. W roku 1947 pisała: „Przechodzimy wąską kładkę dnia dzisiejszego, dnia odbudowy, między brzegiem okrutnego wczoraj i tajemniczego jutra. Może wiedza Kasandry nazwie radość z odbudowy lekkomyślną naiwnością, trudno, zaryzykowaliśmy tyle, możemy zaryzykować jeszcze i tę małą radość”. Ale już zaczęto stawiać mur. „W pierwszych wrocławskich czasach... przy każdej okazji, kiedy się przemawiało, wspominało się Piastów. Można było pomyśleć, że setki, tysiące osób, porwane szaloną tęsknotą

za Piastami, porzuciło swe domy, przebyło paręset kilometrów, aby móc spojrzeć na niebo Piastów. Przyczyny tej wędrówki były świeższej daty. Ale cokolwiek się na ten temat mówiło wypadało źle, chromało..."

Mała radość wrocławska trwała krótko. Przerwały ją dotkliwe ciosy, z których najboleśniejszym bodaj było zamknięcie „Zeszytów Wrocławskich”. Pisała o tym po latach: „O 'Zeszytach' bardzo nie lubię myśleć. Stały się czasopismem polonistycznym nie tylko dlatego, że Mikulski (współredaktor) był polonistą, przestały się ukazywać nie dlatego, że były niepotrzebne... Już wiedziałam, że prócz przyjemności budowania istnieje rozkosz niszczenia i że dziwnie łatwo jest coś zniszczyć”. Odtąd zniszczenie stało się głównym tematem Kowalskiej. Spustoszenie dokonywane w duszach ludzkich; trwonienie energii narodu; tłamszenie jego siły żywotnej. To kasandryczne widzenie rzeczywistości jeszcze bardziej pogłębi rozdzźwięk z kodyfikatorami kultury. Ośmieszało bowiem bunt obrażonych, lamente naprawiaczy i dufność nowych sępów. Bohaterowie powieści i opowiadań Kowalskiej pisanych po roku 1956 nie obnosili swych żalów i rozczarowań po knajpach i salonach, nie targowali się o wyższe pachty. Językiem prostym, którego autentyczności nie trzeba było podpieierać obsceniami, mówili, że żyją po końcu świata. I dla tych bohaterów przeznaczyła ostatnią swą pracę, nową wersję napisanej przed przeszło trzydziestu laty z Jerzym Kowalskim powieści „Gruce”.

Wieloraki sens tego wznowienia objawia się stopniowo. Intencję najoczywistszą dostrzeżono nawet w kraju. Znowu bowiem „u szczytów państw oddycha się ozonem własnego wyrobu; chemie państwowe uzyskują go z przekleństw ludzkich. Ludzie, którzy oddychają tym ozonem tracą wzrok i słuch. Za to śmieją się: nie tak pożytecznie, jak Almanzor, bo nie konają w tym śmiechu, owszem, piją, polują, reprezentują. Wątpliwe te postacie zasłania opar strachu przed biciem policji”.

Za przestrogą krył się jednak sens głębszy — przypomnienie straconych, bo zaniechanych, możliwości. Jedyna to bodaj powieść w kraju powracająca do bolesnych spraw polsko-ukraińskich, nawołująca do ostrożnego obchodzenia się z tymi niezablężnionymi ranami. I wreszcie sens najgłębszy: nostalgia. „Można było myśleć, że przywiązanie do miast... zniknie. Tymczasem nawet u najmłodszych... дума z rodzinnego miasta wybucha przy lada okazji... że w parku nad Prosną najpiękniej śpiewają słowiki, jest oczywiste dla małej kaliszanki. Czy to więc dziwne, że mi czasem gorzko? Moich słowików nie słysząc”.

Nie wiem, czy Anna Kowalska marzyła o powrocie do Lwowa. Jej słowa o świeżej dacie przyczyn wędrówki ludów pozwalają przypuszczać, że nazbyt dobrze przyczyny te rozumiała, by poddawać się złudzeniom. Korektury granic dokonywane przez historię, stają się po upływie lat krzywdą, której naprawienie rodzi jeszcze większe krzywdy. Ale milczenie, które usiłowała przełamać Kowalska, jest przedłużeniem stanu tymczasowego, który

nie służy ani Polakom ani Ukraińcom. Lwów jest miastem Polaków i Ukraińców. Nie jest pomnikiem niesnasek, lecz zgodnego współżycia dwóch narodów, zakłóconego przez intrygi wspólnych wrogów. Lwów nie może być miastem zbastardyzowanym. Muszą wrócić tam polskie pomniki, musi zostać przywrócony spokój Polakom spoczywającym na lwowskich cmentarzach. Anna Kowalska musi tam mieć swoją ulicę.

Mikołaj SAWULAK

Stanisław Pigoń (1885-1968)

„Życie miałem wesołe, szczęśliwe, walczyłem, pracowałem, uczyłem, służyłem Ojczyźnie. Obawiam się tylko, że kiedyś może przyszły historyk literatury, poświęcając mi w grubym tomie linijkę, powie: idealista burżuazyjny. Ja zaś jestem spirytualistą. Po raz pierwszy w życiu miasteczko zobaczyłem dopiero mając lat dziesięć”.

W te słowa ujął Pigoń bilans swego życia na warszawskim zjeździe naukowym polonistów 1958 r. Zbliżało się pięćdziesięciolecie jego pracy naukowej i zjazd stał się samorzutnie okazją do obchodu tego jubileuszu. Stąd i taka osobista wypowiedź.

„Życie... wesołe, szczęśliwe”. Na pewno nie każdy z obecnych spodziewał się takiego podsumowania. Wiadomo przecież z jego pamiętników, z jakim trudem i w jakim niedostatku przyszło mu przebijać się przez szkołę średnią i uniwersytet. Były potem w tym życiu cztery lata służby frontowej w austriackiej artylerii. I był w z górą dwadzieścia lat później rozdział zatytułowany: piekło Sachsenhausen. Jeśli po tym wszystkim mógł życie swoje określić jako szczęśliwe, zdecydowała obok imponującej ciężżyny duchowej świadomość, że było ono wypełnione umiłowaną pracą naukową, i to pracą wspaniale twórczą i produktywną. Tyle mamy w naszej historii zmarnowanych geniuszów, ludzi, którzy roztrwonili swój talent. W osobie Pigionia spotykamy się z człowiekiem, który w zdolnościach swoich rozgospodarował się szczególnie rozsądnie i wydajnie. Uprawiał je żarliwą, nieustępliwą pracą. Po chłopsku.

W tym, jak się formował, w jego dzieciństwie i młodości, jesteśmy wcale dobrze zorientowani dzięki jego pamiętnikom

Z Komborni w świat. Najpopularniejsza to jego książka: wydana po raz pierwszy w r. 1946, doczekała się już czterech wydań, I najlepsza literacko, taka która już weszła do żelaznego repertuaru pamiętnikarstwa polskiego.

Pamiętnik ten, doprowadzony do r. 1914, nie jest po prostu historią młodych lat autora. Jest to książka z pewną myślą przewodnią. Ma ona zilustrować proces przechodzenia młodzieży chłopskiej w inteligencję, zobrazować trudności i niebezpieczeństwa tego procesu. Podobnie jak starszy o dziesięć lat Franciszek Bujak, czy jego rówieśnik Stanisław Kot, Pigoń wybił się z chaty chłopskiej na pozycję jednego z luminarzy nauki polskiej. Były to podówczas dla synów chłopskich nowe pozycje. I nie jest rzeczą przypadku, że wszyscy trzej oni opisali młodość swoją w pamiętnikach. Proces przechodzenia młodzieży chłopskiej w inteligencję stał się w Galicji w ostatnich dziesięcioleciach ub.w. już procesem masowym. Ale ciągle jeszcze nie pozbawiony był elementów sagi bohaterskiej, dramatycznego napięcia. Co dopiero, gdy dotyczył, jak w wypadku Pigionia, syna małorolnego chłopca.

Urodził się Pigoń w r. 1885 na Podgórzu Karpackim, w kurnej chacie wsi Komborni. Grunt rodziców obejmował wszystkie pięć i pół morgi. Uprawa tego gruntu spoczywała głównie na barkach matki, bo ojciec dorabiał ślusarką i stolarką. Podstawowym pożywieniem w domu były placki owsiane. W takich warunkach decyzja wysłania do gimnazjum pojętnego i palącego się do nauki chłopca była ze strony rodziców decyzją bohaterską. I mimo największych wysiłków dom rodzicielski mógł mu zapewnić tylko absolutne minimum utrzymania o głodzie i chłdzie. Poszedł też do tego gimnazjum w Jaśle późno, bo w wieku lat trzynastu.

O wszystkim tym mówi Pigoń w swoich pamiętnikach spokojnie, rzeczowo, bez łezki. Natomiast z goryczą opowiada o procesie oskrobywania synów chłopskich w gimnazjum z ich chłopskości w manierach, poglądach, języku. Proces był bolesny. Rej wodzili tu synowie chłopscy ze starszych klas, którzy na nowicjuszach odkuwali się za upokorzenia, przez jakie sami musieli przejść. I pozostawiał dotkliwe skazy charakteru, kompleks niższości, poczucie wstydu za chłopskie pochodzenie. Pigoń, przeciwnie, shardział w swojej chłopskości. Z czasem przyszedł do przekonania, że właśnie kultywując w sobie tradycję chłopską, wniesie w kulturę polską wartości obce wstydzącej się pracy Polsce szlacheckiej, przede wszystkim tradycję rzetelnej kultury pracy. Wlicza raz w pamiętnikach tych uczonych humanistów polskich, którzy odznaczyli się monumentalnymi osiągnięciami naukowymi: Linde, Lelewel, Estreicher, Brückner. Same nazwiska niemieckie (a mógłby dodać jeszcze Kolberga). Sam był najzarliwszym po

Brzozowskim apostołem pracy w literaturze polskiej. W jego fanatycznej pracowitości było sporo chyba atawizmu, na pewno dużo systematycznej dyscypliny charakteru. I była też szczypta klasowej przekory: taki to już ze mnie chłop! Kontakty z rodzimą Kornbornią przez całe życie troskliwie kultywował. W realiach życia wiejskiego orientował się znakomicie i był z tej orientacji wyraźnie dumny. Jeden z jego późniejszych szkiców, „Pułapki na realistów”, poświęcony jest analizie różnych potknięć powieściopisarzy, zwłaszcza Żeromskiego i Reymonta, w przedstawieniu warunków życia wiejskiego. Píše o tych myłkach z humorem, ale omawia je rzeczowo, gruntownie, z imponującą kompetencją. I dużo miejsca w jego twórczości naukowej zajmuje specyficznie chłopska tematyka.

Przez Uniwersytet Jagielloński, na który wstąpił w r. 1906, musiał się już przebić o własnych siłach. Do trudności materialnych przyłączyły się inne, natury bardziej zasadniczej. Był trochę zgubiony w tym nowym dla siebie świecie. Nie pociągał go Tarnowski, gładki retor, żaden pedagog, trzymający młodzież na dystans swej chłodnej uprzejmości. Windakiewicz odstraszył go swoim kostycznym dowcipem, na którym się sparzył. Onieśmielali erudycją i bardzo specjalną tematyką wykładów gre cysta Sternbach i germanista Creizenach. Był taki moment, że chciał przejść na teologię. Odradził mu to biskup Bandurski. Po dwóch latach takiego szamotania się i klepania biedy zgłosił się do wojska, mimo że przysługiwał mu jeszcze urlop.

Po roku służby w artylerii austriackiej stosunki ułożyły się lepiej. Dzięki wstawiennictwu Lutosławskiego znalazł mieszkanie i wikt u pijarów w zamian za naukę polskiego przysłanych tam ojców Hiszpanów. Ponieważ nie znał hiszpańskiego, początkowo porozumiewał się z nimi po łacinie. Pasje etyczno-religijne i działalności społecznej znajdowały wyżycie w założonym przez Lutosławskiego, ale rychło odeń uniezależnionym kole Eleusis (tym samym, które w *Słówkach* wydrwił Boy). Od r. 1910 był redaktorem *Iskry*, stworzonego w tym środowisku dla robotników polskich na Śląsku „miesięcznika poświęconego sprawom wstrzeмиęźliwości i wychowania narodowego”. „Przez półpięta roku (1910-1914) — czytamy w pamiętniku — byłem redaktorem, korektorem, administratorem, chłopcem do posyłek i przemysłnikiem pisma, a w znacznym stopniu także jego autorem”. Pisywał tam pod różnymi pseudonimami. Zazwyczaj podpisywał się pseudonimem rodem z Bohdana Zaleskiego, Lach Serdeczny.

Pod auspicjami Lutosławskiego zaczęły się też jego studia historyczno-literackie. Był to patronat, co tu dużo mówić, mocno niebezpieczny. Lutosławski propagował kult wieszczów jako przewodników życiowych. I wartości moralne pozostaną dla Pigo-

nia na zawsze naczelnymi, centralnymi wartościami utworu literackiego. Nic w tym zdrożnego. Ale Lutosławski zajmował stanowisko wyznawcze wobec tego, co w twórczości wielkich poetów romantycznych jest już dzisiaj tylko pozycją historyczną, i to pozycją, której zrozumienie wymaga od nas dużego wysiłku wyobraźni, wobec ich ideologii mistyczno-mesjanistycznej. W szczególności dopatrywał się wielkich rewelacji filozoficznych w twórczości mistycznej Słowackiego. Pigoń początkowo siedł tu za nim. Jego pierwociny historyczno-literackie to takie studia jak ogłaszane w rocznikach *Eleusis* „Słowacki w epoce przełomu” czy „Trud Słowackiego. Szkic syntezy”. Ten „Trud” przedrukował w r. 1922, w pierwszym tomie swych studiów, *Z epoki romantyzmu*. Osobliwe to studium, sympatyczne przez swój żar entuzjazmu, mimo rozwichrzenia zdradzające już urodę Pigońniowego stylu, młodzieńczo pryncypialne, szczodre w uogólnienia i z wyniosłą pogardą traktujące naukowe rygory. Pisał je w koszarach austriackiej artylerii. Niedostępne mu tam były listy Słowackiego. Żałuje, że wskutek tego braku „praca tym trudniejsza i niedoskonalsza będzie”, ale przed wykonaniem jej się nie cofa. Cytaty z poety na poparcie wywodów? Nie przytacza ich „z umysłu”, by „nie obciążać szkicu niepotrzebnym balastem”. Nie chce zresztą „wywijać argumentami”. Wysunął natomiast inne hasło metodologiczne: „zarzucać musimy mosty intuicji między szczytami dzieł”. Ryzykancka to inżynieria!

Do Lutosławskiego z czasem się rozczarował. Czuje się jak w pamiątnikach stara się być w sądach o swym byłym mistrzu powściągliwym, umiarkowanym w zarzutach. Dużo ostrzej obeszł się z nim w późniejszym studium „Niesamowite spotkanie literackie”, śledzącym dzieje przyjaźni, a potem kompleksu Lutosławskiego u innego zawiedzionego wyznawcy, u Tadeusza Mićńskiego. Fascynująco ciekawe to studium. Jest ono, jak zawsze u Pigionia, solidnie podbudowane faktami i napisane spokojnie. Ale pod spokojem tym wyczuwa się pasję demaskatorską. I sąd o Lutosławskim wypada tu surowo.

Dla Lutosławskiego mesjanistyczna literatura wieszca to był nade wszystko Słowacki. Był on pod tym względem bardzo młodopolski. Dla Pigionia Słowacki nie okazał się na dalszą metę poetą bliskim. Szkiców o Słowackim naliczyć się można w jego dorobku kilkanaście. Mimo to stanowią one tam marginalną tylko pozycję. Czołowe miejsce dzięki wadze tematu zajmuje wśród nich „Własny dramat Słowackiego” (ogłoszony po raz pierwszy w roku 1950). Cenne to i oryginalne studium, ale trochę prokuratorские. Wytacza w nim Pigoń proces przedmistycznemu Słowackiemu za brak wiary w naród. Krańcowość egzaltowanej idealizacji Polski przez Słowackiego mistyka była, dowodzi, „przeciwważni-

kiem krańcowości przemożonego nie tak dawno zwątpienia”.

Rychło przyszedł do przekonania, że dużo bliższego sobie przewodnika znajdzie w Mickiewiczu. Tonację nastrojał tu *Monsalwat* Artura Górskiego. Szło tu więc zrazu nie tyle o Mickiewicza poetę, co o Mickiewicza z *Ksiąg*, artykułów *Pielgrzyma*, *Prelekcji*, przemówień towianistycznych. To był pierwszy krok na drodze do uniezależnienia się od Lutosławskiego.

Przyszły dalsze. Lutosławski, apostoł mesjanizmu wieszczów, nie pamiętał o mądrym przykazaniu Marka Twaina: najpierw musisz ustalić fakty, a potem dopiero możesz je naginać. Swoje konstrukcje zaczynał od efektownych zwieńczeń, od kopuł. Dlatego dzisiaj zostały z nich rumowiska. Z Pigońmi rzecz miała się inaczej. Okres zamaszystych „szkiców syntezy” szybko się u niego skończył. Jego wrodzona dociekliwość badawcza, zmysł konkretności, ostrożność intelektualna kazały mu najpierw starannie dochodzić tego *wie es eigentlich gewesen*. Dzięki takim predyspozycjom wyznawca przekształcił się w znakomitego znawcę Mickiewicza i gruntownego filologa.

Przekształcił się trochę niespodziewanie dla samego Pigoń. Pierwotnie zamierzał swoje studia naukowe poprowadzić innym torem. Interesowała go etyka społeczna polskich antytrynitarian. Studium jej chciał zacząć od dysertacji o etyce społecznej Frycza Modrzewskiego. Od tego Frycza, nad którym wtedy właśnie pracował we Lwowie Kot, z czasem też i autor książki o ideologii społecznej polskich antytrynitarian. U obu pomysł tematyki takiej wytyczyła ich świadomość chłopska. Ale kierunkiem pracy naukowej Pigoń losy potoczyły inaczej. Podjął się przygotowania w ramach wydawnictw dla kursów robotniczych popularnego wydania *Ksiąg pielgrzymstwa*. Wydanie przyszło skomentować, poprzedzić wstępem. Miał też ambicję dania wzorowo poprawnego tekstu. W trakcie pracy nad tym wydaniem przyszedł do przekonania, że *Księgi* są w nauce źle interpretowane. Postanowił zająć się nimi bliżej.

Zdawałoby się, sądząc z jego pozycji wyjściowych, że takie lepsze rozumienie *Ksiąg* oznaczać będzie jakieś studium egzegetyczno-uwspółcześniające. Ale u Pigoń już wtedy historyk literatury brał górę nad apostołem ideologii. Lepiej zrozumieć *Księgi* to znaczyło dla niego przede wszystkim osadzić je w kontekście historycznym, odpowiedzieć na pytanie, jakiej to konkretnej sytuacji ideowej emigracji *anno* 1832 wychodziły one naprzeciw, pokazać je na tle ówczesnej publicystyki emigracyjnej.

Tak powstało jego pierwsze studium mickiewiczowskie. Dziś jest ono zdystansowane przez świetną *Historię i profecję* Zofii Stefanowskiej, ale dojrzałe, gruntowne, bogate w nowe ujęcia,

było ono poważnym osiągnięciem naukowym i legitymowało autora jako dobrego znawcę poety.

W r. 1910 zjechał do Krakowa Chrzanowski. Kiedy Pigoń zjawił się u niego z początkiem r. 1911 ze swoją rozprawą o *Księgach*, Chrzanowski nie tylko że przyjął mu ją jako doktorską, ale też i szybko studium to wydrukował, inaugurując nim serię *Prac Historyczno-Literackich* jego uczniów. Zetknął się więc Pigoń z Chrzanowskim już jako sformowana indywidualność badawcza i jako autor gotowej dysertacji doktorskiej. Ale Chrzanowski pierwszy poznał się na jego wielkim potencjale badawczym i otoczył go ciepłą, troskliwą opieką. Wydał też własnym sumptem nie tylko rozprawę o *Księgach*, ale i potem, w r. 1917, jego tomik szkiców publicystycznych, *Do podstaw wychowania narodowego*.

Cztery lata wyrwała mu z pracy pierwsza wojna światowa. Bił się też w wojnie polsko-rosyjskiej 1919-20 r. Ale potem jego kariera naukowa potoczyła się szybko. Zaczął wykładać w Uniwersytecie Poznańskim w r. 1919. Zaczął od Mickiewicza. W roku 1921 wyhabilitował się w Krakowie i zaraz potem dostał nominację na katedrę w Uniwersytecie Stefana Batorego. Lata spędzone na tej katedrze wspominał z dużym sentymentem. „Ze wszystkich miast najmilsze sercu miasto” napisał z czasem o Wilnie. Musiał tam sobie szybko zdobyć mir, skoro mimo względnie młodego wieku przez dwa lata był rektorem. W r. 1931 powołany został na katedrę w swojej Alma Mater. Na tej krakowskiej katedrze pozostał do emerytury w r. 1960.

W r. 1922 ukazał się pierwszy tom jego rozpraw, *Z epoki Mickiewicza*. Centralne miejsce w tym okazałym tomie zajmują prace na temat Towiańskiego i towianizmu. Badacz nie kryje się tu ze swoim wysoce pozytywnym stosunkiem do tego ruchu. Ale egzaltację lat studenckich i skłonność do szerokich uogólnień pozostawił już daleko poza sobą. Są to wszystko ostrożne, cierpliwe, z reguły rzetelnie udokumentowane badania poszczególnych aspektów towianizmu. Przeniknięte są one świadomością, że teren, po którym przychodzi się poruszać, jest trudny, a dokumentacja, jaką rozporządzamy, mocno niepełna.

Studia nad Towiańskim, a w szczególności towianizmem pisarzy — nie tylko Mickiewicza, ale także Słowackiego, Goszczyńskiego, Żmichowskiej — będzie Pigoń kontynuował i nadal. Choć krytyczne wobec pewnych objawów ruchu i nigdy nie uchylające się przed dyskusją tematów drażliwych, nie wolne są one od pierwiastka apologetycznego. Szczególnie znamienna jest tu ogłoszona po raz pierwszy w r. 1926 „Adoracja Towiańskiego”. Zanalizował tam Pigoń zjawisko szczególnie jaskrawe i przykre, eksztatyczny kult Mistra, wyrosły na gruncie przekonania, że jest on nowo zjawionym Chrystusem. Byli i tacy, co widzieli w nim

wcielenie Ducha św. Trudno chyba iść dalej w adoracji i aberracji: dwie osoby Trójcy św. w osobie jednego wileńskiego asesora. Fenomen, tłumaczy Pigoń, i słusznie, jest fascynujący, bo pozwala nam prześledzić na materiale nowym, z dziewiętnastego wieku, formowanie się mitu religijnego. Raz po raz pada też tu określenie „osobliwy”. Ale w ostatecznym rozrachunku stara się autor kult ten usprawiedliwić. Tłumaczy go nam nietyle dającą po temu podniety doktryną Towiańskiego z jego bardziej ezoterycznych pism, *Biesiady* i *Wielkiego Periodu*, ile żywym przykładem żarliwości religijnej, wysokiej kultury moralnej, mocy ducha Towiańskiego. Przytacza jego wskazanie do braci: „Bóg po was nie będzie wymagał nic ponad to, czego ja wam dam przykład. Bodaj byście więcej zrobili! Ale tyle zrobić będzie waszym obowiązkiem”. Czytelnik mniej życzliwie nastawiony dla ruchu gotów jest widzieć w tym pouczeniu przejaw diabolicznej pychy tego świętego, który sam się kanonizował.

Dopiero w studiach z ostatnich lat przyjdzie do głosu, gdy mowa o towianizmie, inna nuta. Pisząc w r. 1958 o chorobie umysłowej Celiny Mickiewiczowej, twardo stwierdzi: „Na dobitkę nie brakło ludzi bez sumienia, jak Towiański i jego otoczenie, jak jakiś tam mizerny Niewiarowicz, którzy nie cofali się przed tym, żeby dla własnych małych pożytków targać za te schorowane nerwy starzejącej się kobiety”. Ale i wtedy nie będzie skory do ryczałtowych potępień. Apelować będzie do wyrozumiałości czytelnika, do jego wczucia się w mentalność romantyczną, zrozumienia tragicznych dylematów emigranckiego bytu.

Tom z 1922 r. zawierał też i trzy studia o Mickiewiczu. Najcenniejsze z nich przynosiło analizę świata pojęć wiersza „Do Joachima Lelewela”. Mickiewicz miał już do końca życia pozostać jego wielkim umiłowaniem naukowym. I wcześniej, bo już w latach dwudziestych, wybił się na czoło znawców Mickiewicza w trzech zwłaszcza dziedzinach: w zagadnieniach ideologii poety, w znajomości biografii, zwłaszcza biografii młodego Mickiewicza sprzed zesłania, i w problemach filologicznych, w niezrównanej orientacji w puściźnie rękopiśmiennej poety. O tym, jak gruntownie się przez te rękopisy przeorał, świadczy już wczesny, bo ogłoszony w *Przeglądzie Warszawskim* z 1922 r., szkic „Jakiego Mickiewicza znamy?” Szkic ten wywołał poruszenie wśród polonistów. Wynikało z niego, że teksty poezji Mickiewicza, nie mówiąc już o zaniedbanej prozie, znaliśmy często skażone, że systematyczne studium rękopisów i pierwodruków miało tu jeszcze dużo do roboty. Szkic unaoczniał palącą potrzebę nowego krytycznego wydania. Dawał też świadectwo szczególnym kwalifikacjom Pigonia do pracy nad takim wydaniem.

Zanim do tego wydania doszło wspinały talent edytorski

Pigonia zdołał ujawnić się już w jego opracowaniu *Pana Tadeusza* dla krakowskiej Biblioteki Narodowej. O randze tego wydania zadecydowały nade wszystko niezwykle staranne i obfite przypisy. Pierwszy to raz tak precyzyjnie objaśniono język poematu, a nade wszystko tak gruntownie i przy użyciu tak obfitego materiału dowodowego skomentowano jego realia. Komentarz ten świetnie osadzał poemat w tradycji obyczajowej i literackiej. Był on wzorem pieczołowitości i imponującym popisem orientacji w epoce. Ogłoszone po raz pierwszy w r. 1925, kilkakrotnie przedrukowywane w masowych nakładach po ostatniej wojnie, jest to po dziś dzień najlepsze i najpopularniejsze użytkowe wydanie arcydzieła Mickiewicza.

Największe jednak osiągnięcia Pigonia wydawcy wiążą się z Wydaniem Sejmowym Mickiewicza. Wydanie to, dokonane na mocy uchwały Sejmu Ustawodawczego z r. 1920, miało po raz pierwszy przynieść w bogatej oprawie krytycznej całość i poezji, i prozy, i korespondencji Mickiewicza. Było ono bardzo starannie opracowane typograficznie i tomy jego należą do najpiękniejszych okazów druków polskich dwudziestolecia międzywojennego. Nie zostało doprowadzone do końca. Trochę zaważyły tu spory w łonie komitetu redakcyjnego (głośny był zwłaszcza spór o to, jak należy wydawać wykłady lozańskie), trochę opieszałość poszczególnych wydawców.

Nie Pigonia. Był on duszą całego wydawnictwa i wziął na swoje barki największe zestawy tekstów. Z prozy, która poszła na pierwszy ogień, podjął się opracowania znacznej ilości tekstów dwóch tomów pism prozaicznych polskich, tomu przemówień i tomu ostatniego, szesnastego, który przyniósł „Rozmowy z Mickiewiczem”. Wszystkie one ukazały się w r. 1933.

Tom przemówień w czterech piątych wypełniony jest alokucjami Mickiewicza do braci w Kole z lat 1842-1847. Znaczna ich część znana już była z publikacji Władysława Mickiewicza, z jego *Współudziału* oraz z ostatnich tomów *Żywotu A. Mickiewicza*. Teraz zostały one nie tylko pomnożone, ale i doczekały się porządnej oprawy wydawniczej. Podnosi wartość tomu obszerny — sto dwadzieścia stron — wstęp, omówienie działalności Mickiewicza towiańczyka. I jest ten tom po dziś dzień niezastąpiony. Przemówień tych nie włączono bowiem ani do wydania tzw. Narodowego, ani do zaraz po nim ogłoszonego Jubileuszowego, jako że przynoszą one nie autentyczny tekst Mickiewicza, ale tylko cudze notaty. Uwzględniono w obu tych wydaniach jedynie „Słowo brata Adama udzielone na piśmie”, a więc tylko drobne fragmenty. Stwierdzając z czasem, w *Zawsze o Nim*, że jeśli idzie o przemówienia z r. 1847, Mickiewicz „zapiski Wrotnowskiego sam czytał, poprawiał i uzupełniał”. Pigoń upomni się o te teksty:

„eliminacji [...] dokonano z racji, które trudno uznać za całkowicie uzasadnione”.

Tom szesnasty, „Rozmowy z Adamem Mickiewiczem”, najbardziej ze wszystkich „nowości potrzasał kwiatem”. Głośno też było o nim w prasie. Dzięki mrówczej pracy Pigoń otrzymaliśmy w tym tomie coś w rodzaju syntetycznego Eckermanna, arcybogatego w treść i znakomicie przybliżającego czytelnikowi Mickiewicza.

Praca wymagała nie tylko świetnej orientacji w dziewiętnastowiecznym pamiętnikarstwie i epistolografii. Zebranie materiału to była dopiero połowa zadania. *On prête aux riches*. Ludzie, którzy się stykali z Mickiewiczem, chcieli się z czasem publicznie pochwalić tą znajomością. Gdy spotkanie było zdawkowe, albo gdy pamięć im nie dopisywała, dopisywali z fantazji. Nie brakło prób wkładania w usta Wieszcza własnych poglądów. Trzeba było dużo rozważnego krytycyzmu i nie byle jakiej wiedzy o czasach i ludziach, żeby móc ustalić stopień wiarygodności każdego zapisu, oddzielić ziarno od plew. Pigoń znakomicie się z tego zadania wywiązał. Do pełnej satysfakcji naukowej czytelnikowi brakło tylko dodatku krytycznego, w którym wyliczone byłyby relacje pominięte i przytoczone racje pominięcia.

W *Rozmowach* zapisy podane były w porządku chronologicznym. W innym ujęciu, bo według zagadnień i rozrywając poszczególne relacje, przedrukował Pigoń materiał *Rozmów* w wydanym w r. 1958 tomie *Adama Mickiewicza wspomnienia i myśli*. Dla informacji, co Mickiewicz sądził na taki czy inny temat, ten nowy układ jest poręczniejszy. Ale dla ciągłej lektury, bliższego obcowania z książką, przydatniejszy jest układ dawny. W tym układzie z r. 1933 tekst gra tym żywiej, że zarysowują się w nim i indywidualności poszczególnych rozmówców.

Listy Mickiewicza miał dla Wydania Sejmowego opracować Czubek, przygotowany do tego zadania przez swoją edycję *Korespondencji filomatów*. Po śmierci w r. 1932 Czubka, który zabrał pracę nad wydaniem niedokończoną, Pigoń i to zadanie wziął na siebie. Z chwilą wybuchu wojny złożony był już tom drugi listów (pierwszy czekał jeszcze na wstępną rozprawę Kołaczковского). Tom ten nie doczekał się nigdy druku. Ale praca Pigoń nie poszła tu na marne. Wyzyskały ją wydania powojenne.

Redakcja Wydania Sejmowego postanowiła zacząć od prozy, wychodząc z założenia, że była ona zaniedbana i dużo trudniej od poezji dostępna. Podejrzewam, że *magna pars* tej decyzji *fuit* Pigoń, którego zdaniem w recepcji Mickiewicza proza była niedoceniona. Było w takiej decyzji dużo poważnych względów rzeczowych, ale sprawiła też ona, że z chwilą wybuchu wojny z czterech planowanych tomów poezji gotów był tylko jeden, ten właśnie,

którego opracowania podjął się Pigoń, *Pan Tadeusz*. Po raz pierwszy w wydaniu tym uwzględniono wszystkie warianty, jakie przynosi autograf poematu (poprzednie wydanie krytyczne, opracowane przez Tow. Literackie im. A. Mickiewicza we Lwowie i urwane na tomie szóstym, uwzględniło te warianty tylko w odniesieniu do pierwszych pięciu ksiąg). Nie doczekał się już odbicia tom drugi, z poematami. Opracowywał go Ujejski, po którego śmierci w r. 1937 ostatecznego przygotowania tomu do druku podjął się znowu Pigoń. Ponieważ przyłożył on rękę i do tomu siódmego, przynoszącego francuską prozę poety, jedynym tomem wydania, jaki zdążył się ukazać bez jego współudziału, był tom dziewiąty, przynoszący drugi kurs prelekcji paryskich w opracowaniu Płoszewskiego. Monumentalne Wydanie Sejmowe to w przeważającej mierze dzieło pracy Pigionia.

Jego własne studia z tych lat dotyczyły także głównie Mickiewicza. Młodości Mickiewicza i Mickiewiczowskiemu Wilnu poświęcone były dwa tomy drobnych studiów i przyczynków. Wcześniejszy z nich, *Głosy sprzed wieku* (1924), dotyczył przede wszystkim procesu filareckiego. W pięć lat potem przyszedł analogiczny tomik, *Z dawnego Wilna*. Na setną rocznicę poematu przygotował Pigoń monografię, *Pan Tadeusz. Powstanie, wzrost, sława* (1934). Jest to tryptyk, którego dwa skrzydła są znakomitymi osiągnięciami naukowymi. Nie można tego powiedzieć o partii środkowej, w założeniu zwichniętej.

Część pierwsza studium, traktująca o „wzroście” poematu, jest majstersztykiem filologicznym. Wśród wielostronnych uzdolnień naukowych Pigionia za jego *faculté maîtresse*, wyróżniającą go spośród innych uczonych, trzeba uznać jego talent dywinacji filologicznej, umiejętność wyczytywania ze wskazówek rękopisu i różnych, z reguły drobnych, nieskładności ostatecznego tekstu dziejów powstania dzieła literackiego.

W latach poprzedzających pierwszą wojnę światową badania genetyczne były *de rigueur*. Nie obyła się bez nich żadna szanująca się monografia dzieła literackiego, a nieraz stanowiły one partię centralną takiej monografii. Punktem wyjścia były dane biograficzne, wzięte z korespondencji czy innych źródeł. W oparciu o te dane snuto spekulacje psychologiczne: w ile miesięcy po zgonie Urszulki żał mógł pozwolić Kochanowskiemu na przystąpienie do pracy nad *Trenami*? Jakie to doświadczenia erotyczne pchnęły Słowackiego do napisania *W Szwajcarii*? Co z romansu z Delfiną weszło do *Przedświtu*? Dzisiaj badania tego typu są zdyskredytowane. Za dużo było w nich dowolności, za mało mówiły nam o samym dziele.

Badania genetyczne Pigionia są innego charakteru. Przede wszystkim są one z natury swej filologiczne, to znaczy że pod-

stawowego budulca do nich dostarczają same teksty: rękopisy i pierwodruki. Sumienna, systematyczna analiza tekstu dostarcza tu danych, najczęściej drobnych danych, zazwyczaj przeoczonych przez mniej bystrych i mniej starannych w odczytywaniu tekstu poprzedników. Wydobycie tych danych to dopiero połowa dzieła. Pigoń buduje z nich konstrukcje na temat pierwotnego kształtu dzieła, kolejnych przekształceń się jego koncepcji, które często w precyzji wywodów i nieuchronności wniosków mają coś z elegancji dobrze rozwiązanych zadań matematycznych.

Jeszcze przed książką o *Panu Tadeuszu*, w r. 1930, w studium *Do źródeł „Dziadów” kowieńsko-wileńskich* Pigoń pokazał, jakim majstrem potrafi być w takiej analizie. Cierpliwe przebadanie rękopisu wcześniejszej wersji części drugiej, tzw. kopii Czczota, pozwoliło odtworzyć pierwotny kształt tej części. Drobne ale znamienne różnice, bystro wychwytywane przez badacza, świadczą, że w tej pierwotnej redakcji stosunek poety do samego obrzędu *Dziadów* i do świata nadprzyrodzonego był inny niż w tekście ostatecznym, nie tak zaangażowany, mający w sobie coś z elementu gry. Rozprawa pozwala nam obserwować *in statu nascendi* proces formowania się romantycznego stosunku Mickiewicza do ludowości. Co więcej, tłumaczy pewne wewnętrzne sprzeczności w ujęciu obrzędu przez poetę: w wersji ostatecznej ostały się ślady wcześniejszej koncepcji. Rozprawę tę przedrukował Pigoń w roku 1951, w tomie *Studia literackie*, a ostatnio raz jeszcze z gruntu przeredagował. Wraz z fotostatami i transliteracjami rękopisów złożyła się ona na wydaną z górą rok temu książkę, *Formowanie „Dziadów” części drugiej. Rekonstrukcja genetyczna* (1967).

O stadiach formowania się *Pana Tadeusza* wiedzieliśmy na podstawie korespondencji z grubsza i przed Pigiem: najpierw sielanka szlachecka w rodzaju *Hermana i Doroty*, potem rozrastająca się powieść typu Waltera Scotta i wreszcie, w ostatecznej redakcji, epea. Ale dopiero Pigoń potrafił ten schemat oblec w żywą tkankę szczegółów, unaocznić proces tych przemian w nagłych, jak pisze, „poderwaniach” i wysledzić ślady dawnych wersji w ostatecznym tekście. Wszystko to, raz jeszcze trzeba powtórzyć, pierwszorzędna robota filologiczna.

Bardzo cenna jest też i część końcowa książki, dzieje recepcji *Pana Tadeusza*, wcale nie tak proste i samo przez się zrozumiałe, jakby to się z dzisiejszej perspektywy mogło wydawać. Doskonałe, wycucie hierarchii zjawisk uchroniło Pigionia przed niebezpieczeństwem popadnięcia w rejestr, kronikę opinii literackich, jakie często grozi tego typu pracom w mniej doświadczonych rękach. Studium Pigionia wydobywa pewne zasadnicze tendencje różnorodnych reakcyj czytelniczych na *Pana Tadeusza* i mocno osadza je w zapleczu kulturalnym.

Natomiast nieporozumieniem jest część centralna książki, studium tego, co, zdaniem Pigonia, stanowi naczelną ideę *Pana Tadeusza*, weszło w konstrukcję „kopuły wzniosłości” poematu. Nieporozumieniem jest już założenie, że wielkie dzieło literackie musi się legitymować taką „ideą” i nieporozumieniem jest to, co Pigoń za taką ideę *Pana Tadeusza* uważa. Miał rzekomo Mickiewicz przekazać nam poprzez poemat myśl, że główną ostoję polskości i nadzieję na przyszłość widzi on w szlachcie zagrodowej.

Gdyby naprawdę takie miały być intencje Mickiewicza, to trzeba by powiedzieć, że *Pan Tadeusz* jest utworem z gruntu nieudanym. Jakże bowiem inaczej usprawiedliwić by przyszło, że ta rzekomo naczelną idea poematu w założeniu prostego („te książki proste”), poczytnego jak żaden inny polski utwór poetycki w ciągu całego stulecia nie została dostrzeżona przez milionowe rzesze jego czytelników? Że poeta nie potrafił narzucić tej idei ich uwadze? Zaciążyło na takim odczytaniu *Pana Tadeusza* chłopskie nastawienie Pigonia: Dobrzyn jest bliższy opłotkom chłopskim niż dwór w Soplicowie. Ale główna przyczyna nieporozumienia tkwi głębiej. Zemściły się tu pozostałości moralizmu wobec literatury, niedocenywanie autonomii utworu literackiego, tego że *Pan Tadeusz* jest „książką budującą” (jak to sformułował, może i nie bez intencji polemicznych, Kleiner w odczycie, wygłoszonym na stulecie poematu) po prostu dlatego, że jest arcydziełem.

W późniejszych latach stosunek Pigonia do tego jego pomysłu będzie podlegał wahaniom. Z przedmowy do trzeciego wydania *Pana Tadeusza* w Bibliotece Narodowej (1958) można by wnioskować, że go zarzucił. Ale w wydaniu czwartym (1962) pojawi się rozdziałek, zatytułowany „W centrum polszczyzny”, który ostatecznie się też i w ostatnim, piątym (1968). Nie o dworze w Soplicowie tu mowa, ale o zaściankach. Samej książki po wojnie Pigoń nie przedrukował.

W r. 1936 pojawił się czwarty z kolei jego zbiór szkiców historyczno-literackich, *Na wyżynach romantyzmu*. Na kilka zaś miesięcy przed wojną ukazał się nowy tom studiów, którego zakres treści wyznacza tytuł: *Na drogach i manowcach kultury ludowej*. Są to eseje o *Chamie* Orzeszkowej, Tetmajerze, Rejmoncie, entuzjaście teatru ludowego J. Cierniaku, o Witosie jako pisarzu, o *Pisarzach ludowych* K. L. Konińskiego. Jest też trochę polemik. Najwięcej jednak uwagi poświęcił tam Orkanowi.

Już w latach gimnazjalnych Orkan był jego ulubionym pisarzem. Łatwo zrozumieć dlaczego. Orkan był przecież epikiem doli i niedoli chłopskiej. Akcja jego powieści osadzona była w bliższej ojczyźnie Pigonia, na Podgórzu Karpackim. Bliskie były Pigoniowi marzenia i porywy Franka Rakoczego i bliskie musiało mu

być przywiązanie Orkana do świata tradycji chłopskich, tak wyraźnie zadokumentowane w *Listach ze wsi*. Toteż wkrótce po śmierci Orkana Pigoń wziął na siebie wydanie zbiorowe jego dzieł. Zaczęte w r. 1932 u Meiselsa w Krakowie, przejęte potem przez Gebethnera, wydanie to nie zostało doprowadzone do końca. Po wojnie uparty Pigoń dwukrotnie jeszcze będzie wznawiał nowe wydania swego umiłowanego pisarza. I napisze o nim podstawową monografię. Ale to już inna epoka jego życia.

Narazie, żeby choć najpobieżniej podsumować jego przedwojenny naukowy dorobek, trzeba odnotować dwa tomiki norwidianów, głównie listów, wydane w latach 1935 i 1937, i dwa pokaźne tomy korespondencji, jeden Goszczyńskiego, a drugi Trentowskiego. Oba wydała Polska Akademia Umiejętności w r. 1937.

Zdawałoby się, że uczony tak płodny i przy tym tak solidny w swej pracy nie będzie miał czasu na lżejszy kaliber naukowy i na publicystykę. Nic podobnego. Był w owych latach chętnym recenzentem. W *Przeglądzie Warszawskim* systematycznie omawiał mickiewicziana, w *Roczniku Literackim* — wznowienia. Uciekał się z Boyem w szkicu „O Mickiewiczu i Towiańskim, tudzież o brązownikach i brązoburcy” (1930). Dziś polemika ta się zdezaktualizowała i z perspektywy bez mała czterdziestu lat wyglądała trochę na relikw przedpotopowy. Sensacje Boya nie wytrzymały próby czasu: hipoteza o otruciu Mickiewicza okazała się plotką na kurzych nogach, a jeśli o Ksawerę Deybel idzie, to może i było co między nimi, „moja pani, moja pani”, ale jeśli i było, mało co z tego wynika i przejmować się nie ma czym. Stosunek zaś Pigionia do towianizmu uległ w ostatnich latach radykalnej rewizji, choć była to rewizja bardzo różna od tej, jaką przeprowadzał Boy. Należeli do dwóch różnych światów duchowych i pozostał w Pigioniu osad niechęci do Boya. Kilka lat temu ostro zaatakował Boya za ośmieszanie Rydla.

Był bliski endecji i pisywał przeważnie do dzienników i tygodników tego stronnictwa. Ale zachowywał w polityce dużo niezależności. W starym roczniku *Marchołta* znaleźć można tekst jego hołdowniczego przemówienia, jakie wygłosił w Uniwersytecie Jagiellońskim po śmierci Piłsudskiego. Czcił w Piłsudskim przede wszystkim romantyka politycznego. Na Międzynarodowym Zjeździe Slawistów 1934 r. wygłosił odczyt „Dramat dziejowy polskorosyjski w ujęciu Mickiewicza”. W oparciu o prelekcje paryskie, bo o nich tu mowa, można opracować tak prorosyjski, jak i antyrosyjski odczyt. Pigionowy był prorosyjski: hasło wspólnoty słowiańskiej wywoływało w nim pozytywny odzew. Odczyt dostał się do zbioru z 1936 r.; na przedruk czekał długo, bo aż do roku 1960.

W roku 1945, kiedy wojna nareszcie przewalała się przez Polskę, Pigoń dobiegał sześćdziesiątki. Następstwem obozu w Sachsenhausen była groźna choroba, angina serca. Od ideologii nowego reżimu, jaki zapanował w Polsce, stał bardzo daleko. Zdawałoby się więc, że to, co przyjdzie teraz, będzie już tylko epilogiem bardzo pracowitego i płodnego życia. Nic podobnego. Dwadzieścia trzy lata, jakie mu danym było jeszcze przeżyć, okazały się okresem wspaniale płodnym, jeszcze płodniejszym od przedwojennego. I teraz dopiero dał pełną miarę swoich możliwości. Zagarniał nowe dziedziny, brał się za tematy, których przed wojną nie poruszał. Jego nowe prace były, tak jak i dawniejsze, zawsze mocno osadzone w faktach, imponujące ładunkiem wiedzy, gruntownie przemyślane i klarownie napisane. Ale miały teraz szerszy rozmach. I emanowała z nich teraz mądrość życiowa, pobłażliwa, niejednokrotnie prześwietlona humorem, a przy tym twarda w osądzie, gdy szło o zasadnicze sprawy moralne.

W ostatnich latach życia przygłuchł. Skarżył się, nieraz z goryczą, na dolegliwości starości, na to że przychodzi mu pracować wolniej niż dawniej. Może nie powtórzyłby już wtedy słów z roku 1958, że życie miał „wesołe, szczęśliwe”. Ale do końca życia nie opuściły go pasja badawcza, jasność myśli, usłużność pojemnej pamięci, sprawność pióra. I do końca nie ustawał w pracy. Umarł w trakcie pisania nowej rozprawy o *Dziadów* części trzeciej.

Był człowiekiem imponująco niezależnym duchowo. Nie było u niego mowy o kompromisach ideowych. Jego książka o Orkanie zapowiedziana była już w r. 1951. Kiedy się okazało, że nie może wyjść drukiem, bo kłóci się z oficjalnym „ustawianiem” pisarza, schował ją do szuflady. Ukazała się w siedem lat później, w r. 1958. Kiedy już po Październiku okazało się, że cenzura nie puści publicystyki Żeromskiego z akcentami antykomunistycznymi, a więc takich rzeczy jak „Na plebanii w Wyszku”, postanowił z wydaniem tej publicystyki poczekać na lepsze czasy. Nie zgodził się na żyrowanie swoim nazwiskiem okrojonego wydania. Wiosną 1964 r. był jednym z 34 sygnatariuszy listu do Cyrankiewicza, protestującego przeciwko praktykom cenzury i nadużywaniu polityki przydziałów papieru dla celów ograniczania wolności literatury. Należał też do tych spośród sygnatariuszy listu, którzy podpisu swego nie wycofali. A oto świadectwo Artura Górskiego, pochodzące z r. 1959, ale teraz dopiero udostępnione w druku: „w pełnej auli Uniwersytetu Jagiellońskiego dyskusja zapalała na temat klasowych upośledzeń i głos prof. Pigionia, który twardo przeczy, aby z powodu swego chłopskiego pochodzenia doznał kiedykolwiek jako student i jako pracownik czynny jakichkolwiek ukrzywdzeń i upośledzeń”. Utrzymywał wcale rozle-

głe kontakty listowe z emigracją. Jednym z pism, w których ogłaszał swe artykuły, były londyńskie *Wiadomości*.

Równocześnie zaś szybko docenił nowe możliwości planowania wydań tekstów literackich, które by nie musiały się liczyć z kalkulacją finansową wydawcy i koniunkturą gospodarczą, jak i możliwości na szeroką skalę zakrojonej pracy zbiorowej. Wspañiale uspołeczniony, wolny od drobnych ambicji, dotrzymujący terminów w tę pracę zbiorową chętnie się wciągnął i umiał doskonale nią kierować. Wychował sobie tu współpracowników, gorąco mu oddanych.

W pierwszych latach powojennych była to nade wszystko działalność użytkowo-popularyzacyjna. Wobec ogromu zniszczeń wojennych i sześćioletniego hiatusu ruchu wydawniczego za najpilniejsze swe zadanie uważał pracę nad popularnymi wydaniem klasyków dla szkoły i szerokich mas czytelnich. Podjął się redakcji Biblioteki Arcydzieł Poezji i Prozy, wydawanej przez księgarnię M. Kota w Krakowie. Do likwidacji wydawnictw prywatnych w r. 1951 Biblioteka ta zdążyła wypuścić sto jeden tomików. Musiała zaspakajać palącą potrzebę społeczną, skoro w ciągu tych pięciu lat niektóre jej tomiki doczekały się czterech wydań. Sam Pigoń opracowywał tam Mickiewicza, Słowackiego i Marię Malczewskiego. Świadom ogromu potrzeb w tej dziedzinie, zaprzął do pracy wydawniczej swoje seminarium. Pierwszym owocem takiej zbiorowej pracy było wydanie powieści Sieroszewskiego *Na kresach lasów*, które ukazało się nakładem Czytelnika w roku 1947.

Przymusowe *otia* lat wojennych wypełniał sobie m.in. pracą nad przygotowaniem do druku nowego wydania *Historii literatury niepodległej Polski* Chrzanowskiego. Chrzanowski kolejne wydania swojej książki rewidował, w staraniu aby dotrzymywały kroku nowszym badaniom naukowym. Ostatnie takie wydanie, dziesiąte, wyszło w roku 1930. Po jego śmierci Pigoń wziął tę pracę rewizji tekstu na siebie. Aliści po wojnie okazało się, że książka nie może ukazać się drukiem: za reakcyjna.

Zaistniała natomiast po wojnie doskonała koniunktura na Lelewela, który w zarządzie brukselskiej Association Démocratique zasiadał w towarzystwie Karola Marxa, a w puściźnie rękopiśmiennej po Chrzanowskim zachowała się niewielka popularna monografia Lelewela; rozrosła się ona z rozdziału nie ukończonej *Historii literatury Polski porozbiorowej*. Tego to *Joachima Lelewela* wydał Pigoń drukiem w r. 1946. W przedmowie starał się uczynić Chrzanowskiego strawniejszym dla nowej rzeczywistości. Dowodził jego powinowactwa duchowego z Lelewalem. Przypominał, iż Chrzanowski odmówił współpracy w konserwatywnym *Czasie*, a że natomiast jeden jego szkic, o nietolerancji Skargi,

przedrukował socjalistyczny *Naprzód*. Całe to wzruszająco naiwne politykowanie nie na wiele co się przydało: Chrzanowskiego *Historia literatury niepodległej Polski* nie otrzymała placet cenzury.

Wywody swojej monografii Chrzanowski przeplatał wypisami z tekstów Lelewela. Pigoń uzupełnił je o jeden jeszcze tekst, mianowicie o *Stracone obywatelstwo stanu chłopskiego w Polsce*.

Popularny również w założeniu charakter miała dwutomowa antologia, *Wybór pisarzy ludowych*. Tom pierwszy (1947) przyniósł pamiętnikarzy i publicystów, drugi (1948) — poetów i gawędziarzy, których poczet otwierał Sabała Krzeptowski. O tym, z jakim trudem przyszło zbierać te teksty, barwnie opowiedział z czasem w krótkim szkicu „Przygody w poszukiwaniu spuścizny po poetach ludowych”.

Rychło począł podejmować się i większych prac edytorskich. W roku 1947 po raz drugi rozpoczął wydawanie pism Orkana. I temu wydaniu nie było pisanym dobiec do końca. W dusznych latach „błędów i wypaczeń” nie można było wydać tych dzieł pisarza, które miały świadczyć, jak to się w ówczesnym parlansie krytycznym formułowało, o jego „regresie ideowym”. W roku 1955 przyszło Pigionowi zainaugurować pracę nad trzecim, szesnastotomowym i tym razem krytycznym wydaniem. Opracował też dla Biblioteki Narodowej wydanie *W roztokach* Orkana z obszernym i pięknym wstępem (1965).

Najwięcej trudu kosztowało wydanie *Pism* Żeromskiego, również pisarza, który był mu bliski jeszcze z ławy szkolnej. Pigoń przygotował je, zmobilizowawszy swoje seminarium, i to w jakim tempie: w r. 1947 ukazały się dwa tomy, w roku następnym — już jedenaście. Wydanie to zakończone zostało w r. 1956 i w tymże roku Czytelnik zaczął wydawać w innym nieco układzie wydanie *Dzieł* Żeromskiego pod redakcją Pigionia. Oba wydania mają charakter nawpół krytyczny. Obliczone na masowego czytelnika, nie zawierają pełnego aparatu krytycznego, ale okazynie drukują fragmenty brulionów, a w notach na końcu każdego tomu informują o pracy nad ustaleniem poprawnego tekstu.

Nie było to łatwe zadanie. Żeromski bowiem, mimo że tyle trudu wkładał w szlif stylistyczny, o dalsze losy swych tekstów mniej się troszczył i korektorem był niestarannym. Błędy druku powielano z wydania do wydania. Komplikowały jeszcze sprawę cięcia, jakie przyszło robić w wydaniach, ogłoszonych w zaborze rosyjskim. Do Pigionia o naprawdę poprawny tekst, sprawdzony, gdzie się da, z rękopisem, nikt się nie troszczył, jeśli nie liczyć starannie wydanego przez Borowego pt. *Elegie* tomu drobnych utworów Żeromskiego.

Inne jego imprezy wydawnicze miały charakter wyraźnie naukowy czy naukowo-popularny. W Wydaniu Narodowym Mickie-

wicza opracował w r. 1949 utwory dramatyczne. Przejęło to opracowanie przy nieco innym układzie fragmentów części pierwszej *Dziadów* Wydanie Jubileuszowe. Wkład Pigoń w oba wydania to jednak nade wszystko trzy okazałe tomy listów Mickiewicza, uzupełnione w r. 1964 tomikiem *Listów, dedykacji, notat, nie objętych wydaniem książkowym*.

Te trzy tomy listów to najpoważniejsza naukowo pozycja obu powojennych wydań Mickiewicza. Nie tylko dlatego, że ujawniły sporo nowych tekstów — w sumie przyniosły one bez mała 1.200 listów — i sprostowały błędne datowania poprzednich wydań. Główny walor tego wydania tkwi w dokładnych a nigdy nie natrętnych komentarzach, wyjaśniających biograficzne i literackie aluzje listów. Komentarze te doskonale wytrzymały ogniową próbę rzetelności w dotychczas wydanych tomach zbiorowo opracowywanej pod redakcją Pigoń *Kroniki życia i twórczości Mickiewicza*.

Wielkim osiągnięciem naukowym jest też wydanie Fredry. Rozpoczęte w r. 1955, przyniosło ono dotychczas w dwunastu tomach komedie i poezje. Lada dzień spodziewać się należy anonowanego w ub.r. tomu trzynastego, mającego objąć w dwóch woluminach prozę Fredry. Zapowiada się on na sensację. Okazało się mianowicie, że *Trzy po trzy* znaleźmy dotychczas w wersji niepełnej. Syn poety, wydając te pamiętniki po raz pierwszy w roku 1877, zdecydował się opuścić ustępy, dotyczące czasów jego zdaniem zbyt świeżych na to, aby relacja o nich mogła się dostać do druku. Dostaniemy też tam niedokończoną nowelę, pisaną w stylu Sterne'a (o której Pigoń ogłosił też piękne studium), oraz pełniejszy tekst aforyzmów *Zapisek starucha*. Pełniejszy, ale jeszcze nie pełny. I to nie z winy Pigoń. Wydawca bowiem pierwodruku z r. 1880 poopuszczał co zgryźliwsze i co drażliwsze politycznie uwagi, a potem sam rękopis starannie zasmarował atramentem. Uparty Pigoń, korzystając z tego, że część tekstu zamazana została atramentem innego koloru niż sam rękopis, starał się część tę odczytać z fotografii, zrobionych poprzez odpowiednio dobrane filtry świetlne. I w ten sposób coś nie coś tekstu udało mu się ocalić.

Przygotowując edycję Fredry, miał Pigoń drogę częściowo przetartą wydaniem krytycznym Eugeniusza Kucharskiego z lat 1926-27. Kucharski był doskonale zżyty z twórczością Fredry i wydanie jego należy do lepszych osiągnięć edytorskich lat międzywojennych. Nie jest jednak kompletne. Objęło tylko komedie. Dwóch zapowiadzianych tomów z drobnymi poezjami oraz z prozą Kucharski nigdy nie ogłosił. Brak to tym dotkliwszy, że tom ostatni miał też przynieść aparat krytyczny całego wydania, a z nim uzasadnienie przyjętych przez Kucharskiego lekcji. Ustalenie bo-

wiem poprawnego tekstu komedyj Fredry nie jest sprawą prostą. Między rękopisami a wersją drukowaną zachodzą tu nieraz wcale istotne różnice. Czasem tłumaczą się one po prostu tym, że poeta zmieniał tekst w korekcie. Ale czasem zmiany czy skreślenia spowodowane zostały względami cenzuralnymi. I wtedy należy przywrócić brzmienie rękopisu. Pigionowi więc przyszło raz jeszcze wgryźć się w mało czytelne rękopisy Fredry i pozostawiać je z drukami. W rezultacie dostaliśmy tekst i pełniejszy, i poprawniejszy od tego, jaki przynosi wydanie Kucharskiego (a uzupełniony w każdym tomie obszernymi „dodatkami krytycznymi”). Jeśli zaś o wiersze idzie, to wydanie Pigionia po raz pierwszy przynosi pełny ich zestaw, albo raczej niemal że pełny, bo nie włącza wierszy pornograficznych.

Szczególnie cenne są w tym wydaniu obszerne komentarze. Trochę jest tu objaśnień dla maluczkich, których w wydaniu krytycznym można by sobie oszczędzić. Wydawca tłumaczy czytelnikowi, co znaczą takie wyrazy jak „apopleksja”, „aura”, „fatum”, „Mars”. Ale nie te uwagi decydują o charakterze komentarza. W r. 1830 pisał w Warszawie anonimowy recenzent, jak się zdaje, Mochnacki: „Kiedyś dziejopisarze narodu naszego, chcąc trafnie epokę współczesną malować [...] w dwudziestym lub późniejszym jeszcze wieku będą mieli nieobojętną pomoc z komedyj Fredry, bowiem obyczaje, tok spostrzeżeń, zdań i myśli są przez niego zachwycone bardzo szczęśliwie”. Otóż dla czytelnika z dwudziestego wieku kłopot polega tu na tym, że dziś, po dwóch potopach wiele realiów obyczajowych Fredry to bajka o żelaznym wilku, nie mówiąc już o tym, że o szczegółach tej obyczajowości w dialogach komedyj mówi się często aluzyjnie. Pigoń znakomicie skomentował te realia. Komentarze jego tutaj są nie tylko obfite i bogate w szczegóły, ale i udokumentowane, a więc sprawdzalne.

Oto dwa z wielu możliwych przykładów z komentarza do *Zemsty*. Papkin swat zaleca Podstolinie Cześnika jako majątną partię. Papkin jest blagierem, ale tym razem, komentator nam ręczy, możemy mu wierzyć. Cześnik musiał być majątny. Był przecież opiekunem zamożnej Klary, a według dawnego prawa polskiego — tu Pigoń powołuje się na podręcznik Dąbkowskiego — opiekun musiał posiadać majątek nieruchomy, dorównujący wartością majątkowi pupila.

A oto inny i jakże smakowity komentarz. Cześnik daje kuchmistrzowi Perełce takie instrukcje:

Masz do ryby szafran świeży

I bakalii po dostatku.

Skąd u Cześnika takie amerykańskie gusta kulinarne? Komentarz Pigionia nam to wyjaśni:

„Przepisy kuchni staropolskiej bardzo często łączą w przyrządzaniu potraw przyprawy ostre ze słodkimi. Według wydanego w r. 1692 *Compendium ferculorum albo Zebrania potraw* St. Czerwieckiego — takiego np. „karpia morawskiego” winno się przyrządzać z tartym miodownikiem, sokiem wiśniowym, octem piwnym, słodkościami, pieprzem, imbirem, cynamonem i goździkami”.

Główne problemy edytorskie przedyskutował Pigoń w dołączonej do pierwszego tomu obszernej rozprawie, która wydrukowana też została jako osobna książka, *Spuścizna literacka Aleksandra Fredry* (1954).

Rok 1963 przyniósł niespodziankę, tom listów Krasińskiego do ojca. Korespondencja ta uchodziła za zaginioną, oryginały bowiem listów spłonęły wraz z pałacem Krasińskich w r. 1939. Niespodziewanie w Krakowie wypłynął na światło dzienne odpis, niestety nie całości, ale tylko najwcześniejszych z nich, z lat 1828-1832. W komentarzach raz jeszcze można było podziwiać wspańiałą Pigionową orientację w epoce. W dodatkach przedrukował wstrząsający historiozoficzny list poety do ojca z 1836 r., arcydzieło epistolografii Krasińskiego, przejęte z książki Kallenbacha, do której rzadko dziś kto sięga. Przynosi też ten tom kalendarium Krasińskiego za czterolecie objęte korespondencją.

Był też Pigoń inicjatorem i współredaktorem wartościowego wydawnictwa, *Archiwum Literackiego*. Zadaniem *Archiwum* jest zapobieżenie rozproszaniu i dorywczości, jak to miało miejsce przed wojną, w publikacji ineditów literackich. Miało wprowadzić tu pewną planowość. Każdy tom, a wyszło ich dotychczas dwanaście, obejmuje zestaw tekstów z pewnego okresu. Z reguły każdy tekst nie tylko jest krytycznie wydany i skomentowany, ale i poprzedzony wstępem wydawcy. Inaugurowały serię dwa tomy, zredagowane przez Pigionia. W pierwszym z nich, *Miscellanea z okresu romantyzmu* (1956), Pigoń ogłosił z obszernym omówieniem francuski memoriał polityczny Fredry z r. 1844 i trzy inedita Norwida, w tym jeden wiersz. Tom następny, *Miscellanea literackie, 1864-1910* (1957), w lwiej części wypełniony jest korespondencją Maciejowskiego (Sewera), opracowaną głównie przez Pigionia. Pod redakcją Pigionia wyszedł też i tom ósmy, *Miscellanea z pogranicza XIX i XX w.* (1964). Wkład Pigionia w ten tom to nade wszystko próba ekshumacji literackiej młodopolskiej poetki i krytyka, Marii Komornickiej, której świetnym zapowiedziom literackim położyła kres choroba umysłowa, gdy dobiegała trzydziestki. Opracował również dla tego tomu osobliwy epizod z dziejów kultu Słowackiego, mianowicie korespondencję w sprawie inicjatywy z jubileuszowego roku 1909 wzniesienia Słowackiemu grobowca w Tatrach.

Redagował też zaraz po wojnie, dopóki tolerowano wydaw-

nictwa prywatne, serię Literatura — Sztuka — Krytyka, przynoszącą tak nowe prace z historii literatury, jak i wznowienia. W tej to serii ukazały się pierwsze dwa powojenne zbiory jego studiów. Plan wznowień kreślony był z rozmachem, ale przed zlikwidowaniem wydawnictwa udało się zrealizować z niego tylko dwie pozycje: tom studiów Porębowicza i nowe wydanie książki Adamczewskiego o Żeromskim. W przygotowaniu było dużo więcej, bo tomy studiów Miriama, Windakiewicza, Chrzanowskiego, Kołaczковского, Konińskiego, Elzenberga, Zawodzińskiego. Większość tych wznowień ukazała się po Październiku innymi już siłami. Fakt, że zostały one podjęte, świadczy, z jak dobrym wyczuciem potrzeb kulturalnych plan ten był układany. Obszerny dwutomowy wybór prac krytycznych Kołaczковского ukazał się pod koniec ubiegłego roku w opracowaniu samego Pigionia.

Dla pełni obrazu trzeba jeszcze dodać, że wydawał też drobne teksty Mickiewicza wraz z facsimiliami rękopisów jako materiały dla ćwiczeń seminaryjnych i że raz zrobił wypad edytorski w staropolszczyznę. W r. 1949 opracował dla akademickiej Biblioteki Pisarzów Polskich Jurkowskiego wydanie *Tragedii o polskim Scylurusie*, wywodzącej się z początku XVII w. Wybór utworu nie był przypadkowy: Jurkowski piętnował ucisk chłopów. Wydanie jego moralitetu było zadaniem szczególnie trudnym ze względu na fantazyjny, nie cofający się przed groteską językową styl intermediiów. Pigionowi nie ze wszystkimi trudnościami udało się tu fortunnie uporać i późniejsze wydanie *Tragedii* w opracowaniu Krzyżanowskiego — Rosponda trzeba uznać za lepsze. Jedynie to z długiej listy wydań Pigionia, które trzeba określić jako nie ze wszystkim udane.

Wszystkie inne należą do najlepszych osiągnięć polskiej sztuki edytorskiej. Powyliczało się je tu z grubsza, aby czytelnikowi uprzytomnić rozległość działalności wydawniczej Pigionia. Żeby jednak należycie ocenić ogrom pracy, jaką włożył w tę działalność, trzeba jeszcze pamiętać, że był to jeden z najstaranniejszych, najsystematyczniejszych i najgruntowniejszych w opracowaniu szczegółów polskich wydawców tekstów literackich. Uparta, zawzięta pracowitość to jednak dopiero fundamenty wielkości Pigionia-filologa. O jego klasie tutaj decyduje dopiero wnikliwość, z jaką umiał czytać teksty, finezyjność, z jaką z drobnych poszlak wyprowadzał daleko nieraz idące, a zazwyczaj solidne w konstrukcji wywody i pomysłowość, z jaką rozwiązywał trudności.

Wnikliwość, finezyjność wywodów cechowała też wśród jego współczesnych i Kleiner-filologa. Kleinerowskie wydanie *Beniowskiego* to swego rodzaju poemat filologiczny. Trzeba było i wspaniałego opanowania pamięciowego tekstu, i subtelnego rozeznania się w nim, żeby w ten chaos brulionów różnych redak-

cyj, jakie stanowiły rękopisy niewydanych za życia poety dalszych pieśni poematu, wprowadzić ład, ciągłość tekstu, ustalić następstwo redakcyj. Kleiner jednak, przy całym swoim polocie filologicznym, bo trudno to inaczej określić, dawał się czasem ponieść swoim konstrukcjom. Zmysł rzeczywistości nie był jego mocną stroną. Pigionia charakteryzowała tu większa rozważność i ostrożność. Widać to szczególnie wyraźnie tam, gdzie się ich obie koncepcje wydawnicze zderzały, jak np. w porównaniu ich dwóch różnych prób układu tych fragmentów brulionu, które znamy jako „Epilog” *Pana Tadeusza*, albo w omówieniu przez Pigionia Kleinerowego wydania jednego z najtrudniejszych tekstów Słowackiego z epoki mistycznej, dramatu o Zawiszy Czarnym.

Bilans działalności wydawniczej Pigionia nie jest jeszcze zamknięty. W r. 1958 *Biuletyn Polonistyczny* przyniósł wiadomość, że przygotowuje on wydania korespondencji Orkana i Żeromskiego i że praca nad tymi wydaniem daleko jest już posunięta.

Jego prace oryginalne były ściśle związane z tą działalnością wydawniczą. Albo oczyszczają grunt pod wydanie, albo szły jego tropem. Wprowadzeniem do przygotowywanej dwutomowej antologii była najwcześniejsza z jego przedwojennych książek, niewielki *Zarys nowszej literatury ludowej*, ogłoszony w r. 1946. Uderza w tej książce brak jakiegokolwiek nuty apologetycznej. Twórczość takich pisarzy jak Bojko, Jantek z Bugaja, Kuraś, P. Borowy, nie jest dla niego nigdy literaturą niższego piętra. Jest inna od literatury inteligentów z miasta czy ziemian, ale przez to wcale dlań nie gorsza. Przeciwnie, dowodzi, wnosi do ogólnego dorobku piśmiennictwa cenne wartości, które w tamtej literaturze, miejskiej, nie zdołały dojść do głosu. I jest ona samorodniejsza od literatury ziemiańskiej. Wróży też autor tej literaturze ludowej bogatą przyszłość: „Literatura ta stawać się więc będzie coraz pełniejszym wyrazem wzrastającego w siłę i godność, oraz godność tę uświadamiającego sobie, ludu rolnego w Polsce”.

Wzięte *à la lettre* brzmi to wszystko trochę utopijnie i trochę naiwnie. Ale nie omylimy się chyba, jeśli potraktujemy książkę jako swego rodzaju manifest ideowy, zaadresowany do czytelnika chłopskiego pochodzenia. To co autor podawał jako stwierdzenia, trzeba odczytywać jako apele. Książka chciała uczyć szacunku dla tradycji pisarstwa ludowego i nawoływała do kontynuowania tej tradycji. Z czasem w szkicu „Przypadki w poszukiwaniu spuścizny po poetach ludowych” stwierdzi z melancholią: „przecież wiadomo, że ten typ nowszych pisarzy ludowych, o których tu była mowa, należy już dziś do zjawisk, szybko się zasuwasujących w przeszłość”.

Władysław Orkan (1957) wywodzi się w znacznej mierze z tego samego kręgu ideowego. Jedyna to w bogatym dorobku

Pigonia monografia twórczości pisarza. Cenna to książka. Impo-
nuje świetnym zżyciem się krytyka z twórczością autora *W rozto-
kach*. Pewną ręką i wyraziście kreśli dzieje rozwoju ideowego
pisarza. Dla niejednego zaś z jej czytelników na pewno niespo-
dzianką było stwierdzić, jak świetnie Pigoń, „mickiewiczolog”,
zorientowany był tak w ideowej, jak i artystycznej problematyce
Młodej Polski, jak mocno osadzić potrafi Orkana w jego epoce.

Nie jest to książka bynajmniej bezkrytyczna w zachwytach.
Niejedno w dorobku Orkana, zwłaszcza utwory pisane w duchu
poetyki symbolizmu, Pigoń krytykuje, i to surowo: „Zapłacił po-
kutne za swą przynależność do pokolenia”. Naprawdę cenny jest
dlań tylko Orkan realista.

Na resztę jego powojennego dorobku naukowego składają się
rozprawy i szkice. Był to jego ulubiony genre. Rzecz ciekawa,
przy całej pasji do udostępniania i upowszechniania literatury mało
w Pigoni pisarzu było popularyzatora. Jeżeli chwycił za pióro,
to przede wszystkim dlatego, żeby się podzielić z czytelnikiem
swoim odkryciem naukowym. Odkrycia te bywały nieraz drobne,
ale zawsze odwojowywały niewiedzy jakiś odcinek rzeczywistości.
Jeśli jego prace dają się czytać tak dobrze, zasługa to nie tylko
jego świeżego i jędrnego stylu. Czytelnikowi udziela się przy lek-
turze podniecenie myśli badawczej, rozwiązującej, nieraz w sposób
mocno pomysłowy, jakiś dotychczas nierozwiązany problem, usta-
lającej jakieś nowe związki, stwierdzającej fakty przedtem nieza-
ważone.

Regularnie też, w odstępach dwu lub trzyletnich, pojawiały
się kolejne tomy studiów Pigonia. Trochę było w nich przedruków
z rzeczy przedwojennych, przeważnie jednak przynosiły prace
nowe, zazwyczaj, ale nie zawsze, uprzednio ogłaszane po czasopis-
mach i często dla wydania książkowego przeredagowywane. Pro-
porcje prac nowych i przedwojennych inaczej z natury rzeczy
przedstawiają się tylko w pierwszych dwóch z tych tomów, w
Wśród twórców (1947) i w *Studiach literackich* (1951). W roku
1956 pojawił się tom *Z pracowni Aleksandra Fredry*, w r. 1960
tom mickiewiczianów — *Zawsze o Nim*. Trzy następne tomy to
Z ogniw życia i literatury (1961), *Miłe życia drobiazgi* (1964),
Drzewiej i wczoraj (1966). W r. 1967 ogłosił monografię *Formo-
wanie „Dziadów” części drugiej*. Na krótko przed śmiercią oddał
do druku jeszcze jeden tom szkiców, *Wiązanek historycznolite-
racką*.

Książka *W pracowni Aleksandra Fredry* to zespół studiów, po-
wstałych na marginesie pracy nad wydaniem krytycznym. Tema-
tyka ich jest typowo pigoniowska. Dla niektórych z komedyj
Fredry dochowały się nie tylko rękopisy tekstu ostatecznego, ale
i wersje wcześniejsze oraz scenariusze. Mieli już te rękopisy w

ręku dawniejsi badacze, najpierw Biegeleisen, a potem Kucharski. Ale Pigoń potrafił wyczytać z nich dużo więcej niż jego poprzednicy. Tak powstały rozprawy o poszczególnych redakcjach *Pana Jowialskiego*, *Słubów panięskich*, *Zemsty* (tu uporał się też autor z zastarzającymi nieporozumieniami literatury krytycznej), *Dożywocia*. Studia to tym ciekawsze, że Pigoń z reguły pyta się o motywację poświadczonych w różnych wersjach zmian koncepcji artystycznej i poprzez te zmiany odczytuje intencje autora, utwór w jego ostatecznej redakcji.

Studium znów nad stosunkiem Fredry do historii wyrosło na gruncie pracy nad komentarzem. Wyszło na jaw w czasie tej pracy, że Fredro nasycający swoje komedie bystro obserwowaną żywą treścią obyczajową, równocześnie bardzo bezceremonialnie postępował sobie z historią, z chronologią. Pigoń przekonywująco dowodzi, że był w tej nonszalancji świadomy zamiar artystyczny, że historia komedij Fredry wywodzi się, jak pisze, „z Królestwa Fikcji”.

Wywody to i trafne, i cenne dla zrozumienia poetyki komedij Fredry. Ale kłóć się one z uwagami innego studium tomu, o przemianach *Zemsty*. Starał się Pigoń, nie on pierwszy zresztą, określić ściśle czas akcji *Zemsty*. Za punkt wyjścia posłużyła mu sławna tyrada Cześnika o „pani barskiej”, jego szabli. Dowodzi, że jeśli stary Cześnik był w młodości konfederatem barskim, to akcja *Zemsty* musi się dziać gdzieś po r. 1815. Otóż o całym tym wywodzie powiedzieć trzeba, że rozwiązuje on problem fikcyjny, wyimaginowany. Nie opuściliśmy przecież w *Zemście* Królestwa Fikcji. Tyle tylko że przenieśliśmy się do Prowincji Obyczaju Staropolskiego. I to wszystko, co o czasie komedii powiedzieć możemy i co powiedzieć trzeba.

Poruszyło się tu tę sprawę, bo jest ona pod jednym względem dla Pigionia charakterystyczna. Rzecz ciekawa, ten badacz romantyków i Młodej Polski artystycznie najżywiej, najbardziej spontanicznie reagował na realizm. I nie tylko artystycznie. Realizm oznaczał dla niego także i pewne walory moralne, rzetelność wobec przedstawianej rzeczywistości. *Zemsta* jest arcydziełem Fredry i Pigionowi, właśnie ze względu na wysoką klasę komedii, szczególnie zależało na tym, aby jak najsilniej osadzić ją w rzeczywistości, także i chronologicznie.

Tom przynosi też studia o ideologii społeczno-politycznej Fredry, zanalizowanej tu przede wszystkim na jego memoriałach politycznych, i ciekawie pomyślaną rzecz o najbardziej kontrowersyjnej postaci fredrowskiej, o Jowialskim. W finezyjnym wywodzie stara się Pigoń wziąć kurs środkowy między apologetami i potępiicielami dziedzica Pustakówki, pokazać pod naciskiem ja-

kiej to sytuacji historycznej taka postawa wobec życia mogła się rozwinąć. *Pan Jowialski* w jego ujęciu staje się antenatem *Ferdydurke*.

I w późniejszych latach będzie Pigoń chodził w tropy twórczości Fredry. Gdyby tom *W pracowni Aleksandra Fredry* przyszło dzisiaj wydać, trzeba by go wcale znacznie rozszerzyć.

Studia, jakie się wywodzą z pracy nad tekstami Żeromskiego, są mniej liczne od rozpraw o Fredrze. Ale ich ciężar gatunkowy jest bodaj że większy. Dwa z nich zwłaszcza są niepospolitej wartości.

Jak każdemu tekstologowi, tak i Pigionowi nieraz przyszło zastanawiać się nad stylistyczną motywacją różnych redakcyj tekstu. I w pracach jego nie brak ciekawych uwag w tej materii. Ale były to z reguły dorywcze uwagi. „Rzeźba wyrazu u Żeromskiego” jest jedynym jego obszerniejszym studium stylistycznym. Na przykładzie analizy różnych redakcyj rękopiśmiennych dwóch nasyconych liryzmem fragmentów postanowił Pigoń unaocznic czytelnikowi pracę Żeromskiego nad stylem. Jeden z nich to analiza opisu Atlantyku, widzianego oczyma Cedry, drugi to sławna „ballada o policjancie”, która, jak wykazał, była pierwotnie zamierzona jako samodzielny utwór, przeznaczony najprawdopodobniej dla *Gazety Administracji i Policji Państwowej*. Analiza jego jest tu mocno osadzona w tekście, wcale szczegółowa, a równocześnie nigdy nie gubiąca się w szczegółach, jak to się nieraz analizom stylistycznym przytrafia, przeciwnie, otwierająca wcale rozległe perspektywy na zagadnienia artyzmu Żeromskiego i nie wolna od ciekawych akcentów krytycznych. Rozprawa Pigionia ukazała się po raz pierwszy drukiem w *Języku Polskim* w r. 1960. Autor jej liczył sobie wtedy lat siedemdziesiąt pięć. Rzadko się w historii nauki zdarza, aby uczony w takim wieku puszczał się na nową, nie uprawianą dotychczas dziedzinę, jeszcze rzadziej, aby wypad taki uwieńczony był tak świetnymi rezultatami.

Druga taka cenna rozprawa to „Zygzaki przyjaźni”, rzecz o Żeromskim i Janie Wacławie Machajskim. Ów Machajski to niepowszednia postać w międzynarodowym ruchu komunistycznym, stojący tam na skrajnej lewicy autor doktryny, że proletariatus powinien widzieć swego wroga klasowego nie tylko w kapitalistach, ale i w inteligencji. Z szczególną nieufnością patrzył na inteligencję partyjną. Obawiał się, że po zwycięstwie rewolucji przejmie ona po kapitalistach dziedzictwo ucisku klasy robotniczej. Żeromski kolegował z nim w gimnazjum kieleckim. Zadzierżgnięta tam przyjaźń zacieśniła się jeszcze w warszawskich latach studenckich. Później drogi ich się rozeszły: Machajski był skrajnym internacjonalistą, wrogiem wszelkim aspiracjom narodowym. Ale i wtedy

wiecznie będący w opałach Machajski raz po raz zwracał się do Żeromskiego o pomoc i nigdy się na tej pomocy nie zawiódł.

Ponieważ tak się dziwnie złożyło, że polscy badacze dziejów komunizmu jakoś o Machajskim na śmierć zapomnieli, Pigońowi przyszło dzieje jego życia rekonstruować samemu. Na szczęście przyszedł tu mu z pomocą z Ameryki swoimi książkami i wspomnieniami Max Nomad, niegdyś uczeń i adlatus Machajskiego. Portret wypadł też wyraziście. I nakreślony jest z sympatią. Stwierdzał przecież Pigoń gdzie indziej: „zawsze miałem słabość do śmiazków i buntowników”. Spodobała mu się w tym fanatyku „jakiegoś osobliwego — jak pisze — bosiakowładztwa” jego prostolinijność, ideowość, gotowość płacenia całym życiem za wierność wyznawanym ideałom. Pokazał też, jak Machajski fascynował Żeromskiego, jak postać Machajskiego odcisnęła się na jego twórczości, jak jest on pierwowzorem nie tyle — co już dawniej przypuszczano — Andrzeja Radka, co przede wszystkim Zagrody z *Róży* i Żłowskiego z *Nawracania Judasza*.

Studium o Machajskim i Żeromskim w znacznej mierze oparte jest na szczęśliwie zachowanej korespondencji ich obu. Daje ono przedsmak tego, jakim wydarzeniem będzie wydanie listów Żeromskiego w opracowaniu Pigoń.

Niesposób wyliczać tu innych jego prac. Studia o Goszczyńskim, który mu był bliskim, gdyby je razem zebrać, złożyłyby się na spory tomik. Na krótko przed wojną zainteresował go dawny teatr szkolny. Owocem tych po wojnie zarzuconych studiów było kilka rozpraw. Są też w jego dorobku rzeczy o Malczewskim, Kraśńskim, Norwidzie, Polu, Wyspiańskim. Dorywczo pisał też i o powieści, jeśli zahaczała ona o chłopską tematykę. Po wojnie, gdy Polska Akademia Umiejętności przystąpiła do wydawania serii monografii, poświęconych dziejom poszczególnych dziedzin nauki w Polsce, Pigoń podjął się opracować dla serii historię polonistyki. Zlikwidowanie P.A.U. w r. 1951 położyło kres tym projektom. Bodaj że pamiątką po nich jest niewielkie studium „Początki pracy badawczej nad dziejami literatury polskiej”.

Mickiewiczowi pozostał do końca życia wierny. Był redaktorem monumentalnego, wielotomowego kalendarium, opracowywanej zbiorowo *Kroniki życia i twórczości Mickiewicza*. Jak do tychczas ukazały się trzy jej tomy, obejmujące młodość poety do zesłania, okres eksplozji twórczości z lat 1832-34 i lata prelekcyj paryskich. Rok bieżący powinien nam przynieść jeszcze tom czwarty, poświęcony gorącym miesiącom Legionu włoskiego i *Trybuny Ludów*. Pozostałe tomy wyjdą już bez jego opieki redaktorskiej. Ponieważ jednak wykształcił sobie zespół wykwalifikowanych i oddanych współpracownic, wolno mieć nadzieję, że i to dzieło,

przynoszące imponująco bogate repertorium krytycznie przesianych i z wzorową precyzją podanych materiałów biograficznych, doprowadzone zostanie do końca.

Tylko jeden z jego powojennych zbiorów studiów, *Z ogniu życia i literatury*, nie zawiera żadnych mickiewiczianów. A nie zawiera ich dlatego, bo niemal że równocześnie ogłosił specjalny tom prac o Mickiewiczu, *Zawsze o Nim*.

Najbardziej to osobista z książek naukowych Pigionia. Złożyły się na nią studia o Mickiewiczu różnej proveniencji i różnego charakteru: wstępy czy fragmenty wstępów z Wydania Sejmowego, specjalne studia filologiczne, dotyczące zagadek autorstwa, właściwego odczytania rękopisów, genezy. Najwięcej miejsca zajmują tam prace o różnych ideowych aspektach twórczości i działalności Mickiewicza. Zamykają zaś tom dwa szkice syntetyczne, „Wiek klęski” i „Jak Mickiewicz tworzył”. Pigionioве ujęcie Mickiewicza, które wyrosło nie tylko z upartej, dociekliwej pracy badawczej, ale było też i zaspokojeniem pewnego głodu ideowego, ma swoje wysoce indywidualne piętno. Nie ze wszystkim w nim można się zgodzić. W *Zawsze o Nim* takie sprzeczności wywołują zwłaszcza założenia odczytu „Sąd nad Polską w Panu Tadeuszu” i odpowiedź na pytanie, dlaczego Mickiewicz przestał pisać. Ale czytelnik nawet wtedy, kiedy z autorem się nie zgadza, musi przyznać, że wszystkie te studia nie tylko że są podbudowane fundamentem olbrzymiej wiedzy, to się rozumie samo przez się, i nie tylko raz po raz zaskakują bystrością krytyczną, ale też wszystkie mają swój bardzo szlachetny styl kultu, ujętego w karby rygorystycznej metody naukowej.

Oba końcowe studia tomu to arcydzieła essayistyki Pigionia. Zwłaszcza „Wiek klęski”. Jest to wstrząsający w swej wymowie bilans zawodów, klęsk życiowych Mickiewicza. Szkic mówi więc o sprawach, które się aż do uprzykrzenia otrząsały czy to w czytankach szkolnych, czy okolicznościowych artykułach. Ale jak mówi! W kilku zdaniach potrafi przywrócić tym sprawom „ich wygłos pierwszy”, dobrać elementy ich tak, że ukazują się nam one w nieoczekiwanej perspektywie. Ileż tu nowych naświetleń, niespodziewanych przewartościowań! I wszystko to powiedziane w słowach oszczędnych, prostych, a jakże celnych i mocnych. Nie raz już pisano o małżeństwie poety. Hagiograficzną legendę dał nam w *Mojej matce* Władysław Mickiewicz. Wnikliwie ale trochę plotkarsko podchodził do tych spraw Boy. Pigoń poświęcił temu potwornemu małżeństwu trzy stroniczki o wstrząsającej wymowie. Wystarczyłoby „Wieku klęski”, aby uznać w Pigioniu jednego z mistrzów prozy polskiej.

Mickiewiczianami też były przede wszystkim ostatnie prace,

te nad którymi pracował pod sam koniec życia i które nie dostały się jeszcze do żadnego tomu studiów. Wyróżnić wśród nich trzeba krótkie ale pełne polotu „Spojrzenie ku *Dziadów* części III”, które ukazało się w r. 1967 jako posłowie do fotoofsetowej edycji pierwodruku dramatu.

I oto rzecz ciekawa. Dzisiaj, kiedy dorobek pisarski Pigonia jest już zamknięty i kiedy człowiek zastanawia się nad tym, co by szerszemu ogółowi sprezentowało najlepiej Pigonia jako pisarza, co by zalecić się mogło tak urodą słowa, jak i szerokością horyzontów oraz głębią ujęcia, na myśl przychodzą przede wszystkim rzeczy z ostatnich dziesięciu, piętnastu lat, takie jak dwa wyżej wymienione studia o Mickiewiczu. Ten duchowo imponująco krzepki starzec dał pełną miarę siebie pod koniec swego życia.

Był świetnym pisarzem. Pisał językiem o tak wyrazistym indywidualnym piętnie, że kilku zdań wystarczyło, aby czytelnik, nie pytając o podpis, wiedział na pewno z pod czyjego musiały wyjść pióra. We wcześniejszych jego pracach styl ten, chętnie przechodzący w patos, ma jeszcze w sobie coś sztywności i ociera się o manieryzm językowy. Z czasem stał się on naturalniejszy, elastyczniejszy, bogatszy w swych rejestrach emocjonalnych.

Pełno w jego obrazowaniu „zrębów”, „przyciesi”, „nowizn”, „plenności”, „zaciosów”, „wieźb”. Wywodziło się takie słownictwo i z zamiłowania do konkretności, i z programowo podkreślanej chłopskości. Pisał przecież w *Zarysie nowszej literatury ludowej*: „Zwłaszcza wyobrażenia chłopska, obcująca z przejawami życia przyrody, gromadzi bogaty zasób spostrzeżeń, które następnie może uruchomić w potrzebie obrazowania. Stąd zdobnictwo stylistyczne, cała metaforyka pisarza, którego wrażliwość kształtowała się na wsi, który nie zerwał związku bezpośredniego z ziemią i karmi się wciąż wrażeniami z życia wiejskiego, z natury rzeczy wykaże znamiona osobne, od utartych, ogólnoliterackich wcale wyrażnie odbiegające”. Podnosił w tym pisarstwie ludowym „jędrność, świeżość w barwie i plastyce, zmysłową jakby ziarnistość, wyrazistość stylu”. Stwierdzenia takie są w większej bodaj mierze niż ustaleniami historyka literatury sformułowaniem programu literackiego, realizowanego we własnym pisarstwie.

Trafi się, że co rzadsze słowo gwarowe będzie i zawadą w lekturze. Niejeden czytelnik mieszcuch gotów się zacukać, kiedy w *Drzewiej i wczoraj* mieszaninę języka ogólnoliterackiego z regionalnym u Mickiewicza przyrówna mu Pigoń do „sumieszki”. Ze słowników, czy to Słownika Warszawskiego, czy gwarowego Karłowicza, dowiedzieć się wprawdzie można, że „sumieszka” (nb. i tu, i tam podana z inną wokalizacją jako „sumiszka”) to mieszanina kaszy gryczanej z mąką, ale nie każdy ma przecież pod ręką te ciężkie maszyny słownikowe.

Czasami zarywał staropolszczyzną. I to nie tylko w słownictwie. Kto ze współczesnych pisarzy polskich uciekał się, tak jak Pigoń, do czasu zaprzeszłego? W polemikach sięgał do zapasu doświadczeń z lat służby w artylerii. Pisał bodaj że w ostatniej z takich utarczek: „Niesposób nie widzieć, że autor do pogńębienia oponenta zaciągnął ciężkie działa. Nastawił przeciw niemu *Słownik staropolski* i *Słownik* Lindego. Sroga to działobitnia, cóż kiedy niezupełnie stosowna. Dyрекcję nadano dobrą, ale elewacja zawodzi. Nie dziwi więc, że pociski z niej wyrzucane przenoszą, chybiają celu i idą w pustkę”. Siegał też do zwrotów z najnowszej polszczyzny, ale zazwyczaj posługiwał się nimi na prawach cudzysłowu. Nawiązując do słów Cześnika o jego szabli „Nie jednego ona posła wykrzesać z kandydata”, stwierdzi, że Cześnik „wszedł — jak byśmy dziś powiedzieli — do aktywu którejś z przemagających się partyj magnackich”.

Ileż u niego zaskakujących świeżością i obrazowością sformułowań! Zwłaszcza gdy pisał o Mickiewiczu, szczególnie silnie angażującym go uczuciowo. O jakiejś pokreślonej karcie rękopisu: „Naoczny obraz orgiażmu twórczego”. O *Odzie do młodości*: „ten sztandar, który od zarania naszego romantyzmu trzepoce polotnie na przednim maszcie statku”. O miłości poety do Nowogródzczyzny: „Mickiewiczowska miłość ojczyzny przylgnęła ustami, wtuliła się cała w ten jeden wąski zakątek ziemi”. A i na inne tematy potrafił pisać barwnie i dosadnie. Emigracja była rozbita „na stronnictwa czy raczej na wyznania polityczne”. Mochnecki idee niemieckiej filozofii idealistycznej „ssał łapczywie jak Romulus wymiona wilczycy”. Nałkowski atakuje studentów pochodzenia chłopskiego „z nadpróchniałego szlacheckiego szczebla”.

Miał spontaniczny dar świeżego sformułowania. Mogłem to stwierdzić i w swoim prywatnym niejako zakresie. Spodobał mu się artykuł, jaki w *Wiadomościach* poświęciłem pierwszemu wydaniu jego pamiętników, i odtąd przysyłał mi swoje książki. Kiedy przeglądał je teraz, przy pisaniu tego szkicu, uderzyło mnie, że żadna z jego dedykacyj, a jest ich koło dziesięciu, nie powtarza się. Żadna z nich nie jest zdawkowa. Książka szła do adresata to jako „gościniec z Polski”, to „kolenda noworoczna”, to — *Orkan* — „Piotrowin, wskrzeszony z grobu”. Kiedy dwa lata temu nie dostałem wizy do Polski, kolejna książka Pigonia przysłała zaadresowana „ex urbe occlusa”.

Nie miałem okazji do obserwowania jego działalności pedagogicznej na katedrze. O tym jak troskliwie opiekował się dorobkiem swoich uczniów, świadczą redagowane przezeń serie prac doktorskich, jakie wyszły z jego seminarium. Pierwszą taką serię, Bibliotekę Prac Polonistycznych, zainaugurował w Wilnie. W Krakowie redagował serię Prac z Historii Literatury Polskiej. Pojęta

ona była jako kontynuacja Prac Historyczno-Literackich jego mistrza Chrzanowskiego. Redagowaną przez Chrzanowskiego serię otwiera w r. 1911 praca doktorska Pigionia. W ćwierć wieku później Pigoń zainaugurował swoją krakowską serię okazałą księgą zbiorową ku czci Chrzanowskiego. Nazwiska Pigionia nie dopatrzyć na okładce serii. I tę tradycję przejęły Prace z Historii Literatury Polskiej z tamtej, wcześniejszej serii. Do wojny zdołał wydać sześć tomików Prac, po wojnie już tylko jeden.

Świadectwem uznania, jakim się cieszył wśród kolegów i uczniów, są poświęcone mu księgi pamiątkowe. Pierwsza z nich, *Studia i szkice*, która miała upamiętnić czterdziestolecie jego pracy naukowej, wystukana została na maszynie w jednym egzemplarzu. Był to rok 1951. Pigionia wtedy na katedrze ledwie że tolerowano i o wydaniu drukiem poświęconej mu księgi i mowy być nie mogło.

Na *Księgę pamiątkową ku czci Stanisława Pigionia* jako publiczny, w drukarni już wytłoczony wyraz hołdu przyszedł czas dopiero w pięćdziesięciolecie jego pracy naukowej w r. 1961. Na zbiorowe księgi ku czci jubilatów w świecie naukowym w ogóle, a w świecie polonistycznym w szczególności, jest teraz wielki urodzaj. Księga ku czci Pigionia jest z pośród nich wszystkich z wieku i z urzędu najokazalsza. Wartość jej podnosi doskonała bibliografia, opracowana przez Z. J. Nowaka. Doprowadzona do r. 1959, zamyka się ona pozycją nr 1239. Gdyby ją uzupełnić o ostatnie dziesięciolecie, liczbę tych pozycji trzeba by powiększyć o jakie dwieście numerów. Wolno żywić nadzieję, że taka pełna bibliografia pojawi się w nieodległej przyszłości. Jego koledzy z krakowskiej polonistyki planują bowiem wydanie zbiorowej książki, poświęconej jemu i jego dorobkowi naukowemu.

O tym znów, co Pigoń sądził o swoich kolegach, dowiedzieć się będą mogli ci, co tego dożyją, kiedy ukaże się pełny tekst dalszego ciągu jego pamiętników. Na razie dostaliśmy niewielki tom szkiców autobiograficznych, *Z przedziwa pamięci*, wydany na jaki miesiąc przed śmiercią autora. Ściśle mówiąc, nie jest to kontynuacja ogłoszonego przed ćwierćwieczem tomu wspomnień. Pierwsza grupa szkiców nawraca do spraw, poruszonych już w książce *Z Komborni w świat*, wycieniowując je czy ilustrując z innej nieco perspektywy. Są to szkice o przemianach społecznych wsi galicyjskiej w XIX wieku, zilustrowanych na przykładzie Komborni, o zaniku ustroju rodowego na wsi, o debiucie teatralnym Jaracza w Jaśle. Zamyka ten dział ekskurs historyczno-literacki o Fredrze i ziemi krośnieńskiej. O Fredrze? Tak, poprzez położone w krośnieńskim majątki żony Fredro był współpowietnikiem Pigionia.

Następny z kolei dział otwierają „Kartki z pamiętnika (1914)”, świetne w swej plastyce i bogactwie obserwacji na gorąco zanotowane wrażenia z pierwszych dni na froncie belgijskim i francuskim austriackiego artylerzysty. Potem idą szkice, które narodziły się z impulsu zachowania przed niepamięcią ludzi czy wydarzeń: wspomnienia o Augustynie Suskim, o Stefanie Kołaczkowskim, koledze i przyjacielu z polonistyki krakowskiej, i relacja z audiencji na Zamku w marcu 1939 r. grupy głównie profesorów, domagających się od prezydenta Mościckiego wobec grozy sytuacji politycznej zaprzestania prześladowań partii opozycyjnych i podjęcia akcji dla zjednoczenia całego narodu. Audiencję tę opisał już Kot we swoich wspomnieniach o Stanisławie Estreicherze (ogłoszonych w *Stratach kultury polskiej*), ale opisał ją z drugiej ręki. Sprawozdanie Pigoń jest jedyną relacją uczestnika. Pokrywając się we wnioskach z tym, co pisał Kot, jest od tamtych wspomnień dużo mocniejsze w wyrazie i przez to twardsze w osądzie Mościckiego.

„Wspominki z obozu w Sachsenhausen” znaleźmy już z osobnej publikacji 1966 r. O Sachsenhausen mamy już szereg relacji, i to dobrych piór. „Wspominki” zajmują wśród nich osobne miejsce. Pigoń nie przemilcza okropności obozowych. Pisze o nich z prosta i dobitnie, tak że relacja jego o tych potwornościach wpina się w pamięć raz na zawsze. Ale nie to jest w centrum jego zainteresowań. Interesuje go nade wszystko pytanie, jak ludzie zepchnięci na dno poniżenia, bierne ofiary bestialstwa hitlerowskich siepaczy, mogli w takich warunkach zachować godność ludzką i wiarę w człowieczeństwo. Poprzez fakty, które relacjonuje, daje świadectwo nieugiętej postawie swoich kolegów; sposób, w jaki je relacjonuje, pośrednio jest świadectwem takiejże postawy i jego samego. I jeszcze jedno. W tych „wspominkach” jest też rozdział o dobrym — bez cudzysłowów — Niemcu, blokowym w obozie. Piętnując co piętnować należy, Pigoń wyszedł z tej kaźni zupełnie wolny od jakiegokolwiek ryczałowego niemcozństwa (które np. tak potwornie zaciążyło na ostatnich stronicach *Kwiatów polskich* Tuwima). Nie lada próby trzeba było być człowiekiem, żeby w takiej formie wyjść z takiej oberczy.

Należy to bowiem na zakończenie jak najmocniej podkreślić. Pigoń był znakomitym uczonym o imponująco bogatym dorobku. Bywał też i świetnym pisarzem. Ale z jego książek i studiów nie tylko że można się dużo nauczyć i wynieść rzetelną satysfakcję artystyczną. Nie najmniejszym ich walorem jest to, że poprzez ich lekturę obcujemy z indywidualnością szczególnie bogatą, harmonijną i szlachetną.

Umarł nad ranem osiemnastego grudnia 1968 r. Nad grobem

nie było przemówień. Nie życzył ich sobie. Nie chciał, aby ci, co bili na niego pięścią w stół, chwalili go na cmentarzu. Tylko na nabożeństwie w kościele św. Anny krótko przemówił kardynał Wojtyła. Ponieważ pogrzeb był religijny, zwłok nie można było złożyć w kwaterze dla zasłużonych. Taka to dzisiaj w Polsce etykieta, *savoir mourir*.

Wiktor WEINTRAUB

Śmierć Marka Hłaski

Wiadomość o nagłej śmierci Marka Hłaski przyszła w momencie oddawania numeru *Kultury* do druku, dlatego nie zdążyliśmy ani omówić jego twórczości literackiej ani opracować wspomnień o nim jako człowieka. Jego strata jest szczególnie dla nas dotkliwa. Hłasko był jednym z pierwszych pisarzy krajowych, który nawiązał z nami kontakt i współpracował jeszcze przed październikiem 1956 i u nas ogłaszał swe prace po znalezieniu się w styczniu 1958 r. na emigracji. Zmarł młodo nie zdążąc dać z siebie wszystkiego co obiecywał jego wyjątkowy talent. Jest to duża strata dla współczesnej literatury nie tylko polskiej gdyż jego twórczość miała duży oddźwięk światowy.

Dorobek literacki Marka Hłaski:

Pierwszy krok w chmurach, Czytelnik, Warszawa, 1957, dwa wydania.
Cmentarze. Następny do raju. Instytut Literacki, Paryż, 1958, 3 wydania.
Hrbítovy („Cmentarze” w języku czeskim), Instytut Literacki, Paryż, 1959.
Opowiadania. Instytut Literacki, Paryż, 1963.
Wszyscy byli odwrócení. Instytut Literacki, Paryż, 1966.
Piękni, dwudziestoletni. Instytut Literacki, Paryż, 1966.
Nawrócony w Jaffie. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1966.
Sowa córka piekarza. Księgarnia Polska, Paryż, 1968.

Większość książek Hłaski była tłumaczona na francuski, angielski, niemiecki, włoski, hiszpański, serbo-kroacki i czeski.

ZESZYTY HISTORYCZNE

Na początku br. zwróciliśmy się do czytelników z apelem o zaprenumerowanie *Zeszytów Historycznych* i zdobywanie nowych prenumeratorów, co jest niezbędnym warunkiem utrzymania tego wydawnictwa. Rola i znaczenie *Zeszytów* *wydają* się nam bezsporne. Nasz apel spotkał się z życzliwym przyjęciem ale ciągle nowa ilość abonentów jest niewystarczająca. Zgodnie z zapowiedzią poinformujemy Czytelników w nrze wrześniowym *Kultury* czy będziemy mogli kontynuować wydawanie *Zeszytów*. Zostało więc niewiele czasu, liczymy jednak że wystarczająco dużo, by nasi Czytelnicy mogli nam dopomóc.

Przypominamy że cena Zeszytu pojedynczego wynosi F. 17,50 (dol. 4), prenumerata roczna *dla prenumeratorów „Kultury”* F. 25,00 (dol. 5). Prenumerata roczna samych tylko *Zeszytów* wynosi F. 35,00 lub dol. 7,50.



Jest jeszcze do nabycia pewna ilość kompletów *Zeszytów Historycznych* (z wyjątkiem Zeszytu 2-go).



Numer 16-ty *Zeszytów Historycznych* ukaże się na początku września rb.

Muzyka w Europie Wschodniej

TRADYCJE PRZESZŁOŚCI

Przywykliśmy uważać za rzecz zupełnie zrozumiałą i rzecz można naturalną traktowanie zagadnień kultury jako swoistej funkcji rzeczywistości politycznej, jako uzupełnienie wiedzy czy też rodzaj klucza do zrozumienia istoty interesującego nas społeczeństwa.

Trudno oczywiście zaprzeczyć, że poznawanie zjawisk kultury dostarcza poza wartościami artystycznymi także poważnego zasobu wiedzy, przydatnego w sposób wielostronny. Przykładem mogą być choćby filmy Buñuela czy Antonioniego, mimo swej metaforycznej konwencji stylistycznej dostarczające więcej wiedzy o konkretach niż niejedno studium socjologiczne.

Rzecz staje się jednak niebezpieczna wtedy gdy następuje pomieszanie kryteriów poznania z kryteriami wartościowania, gdy w ocenie zjawisk kulturalnych posługujemy się z góry powziętą hierarchią opartą na przesłankach zewnętrznych. Już samo określenie tematu szeregu studiów w rodzaju „Muzyka Rosji i Europy Wschodniej”, czy np. „USA i Ameryki Północnej”, „Chin i Południowo-Wschodniej Azji” stawia sprawy na fałszywej płaszczyźnie nie pozwalając mimo najlepszej woli uniknąć błędu uprzedzenia.

Hegemonia polityczna jest faktem sprawdzalnym i o perspektywach w ogólnym chociaż zarysie możliwych do przewidzenia. Stawianie jednak znaku równania między nią a hegemonią kulturalną (częste niestety w praktyce publicystycznej a nawet naukowej) jest zjawiskiem równie niebezpiecznym co szkodliwym. W prostej konsekwencji tworzy ono uporczywe stereotypy szerokiej opinii.

Z ich siły i znaczenia zdaje sobie znakomicie sprawę teoria i praktyka kultury ZSSR oparta na zasadzie „Rosjanina-starszego brata”, podobna też interpretacja zjawisk kultury europejskiej była jednym z fundamentów niemieckiego ekspansjonizmu ery bismarckowsko-hitlerowskiej 1870-1945 (krótki epizod Republiki Weimarskiej nie przyniósł tu żadnej istotnej reorientacji)...

Najlepszym chyba przykładem owego aprioryzmu jest traktowanie malarstwa ikon w podręcznikach historii sztuki wydawanych w Europie Zachodniej, a zwłaszcza obu Amerykach. Wbrew oczywistej logice historii, autorów niemal wyłącznie interesuje ikona ruska, w pierwszym rządzie moskiewska, wyrwana niemal całkowicie z kontekstu twórczości ogromnego obszaru Kościoła Wschodniego.

Nic więc dziwnego, że zorganizowana przed dwoma laty przez paryskie „Muzeum Sztuki Dekoracyjnej” kapitalna wystawa ikon macedońskich stała się zaskoczeniem dla wielu znawców przedmiotu.

Oczywiście najdalszy jestem od chęci pomniejszania walorów malarstwa Teofana Greka, Andrzeja Rublowa czy nieznanych z imienia autorów wspaniałych ikon soborów Kremla czy Galerii Tretiakowskiej, przypisywanie im jednak naturalnej hegemonii w stosunku do malarstwa Serbii, Macedonii, Atosu czy Cypru jest z pewnością szkodliwym uproszczeniem. W kulturze, bardziej niż gdziekolwiek indziej, nic nie jest dane „raz na zawsze” a rytm przemian jest z pewnością szybszy i trudniejszy do przewidzenia niż w jakiegokolwiek innej dziedzinie życia społeczeństw.

Rozwój zjawisk stylistycznych, powstawanie impulsów w jednych środowiskach a następnie podejmowanie ich i rozwijanie w innych najdalsze jest od wszelkiej uproszczonej „logiki wydażeń”...

Stąd też tematem obecnych rozważań nie będzie współczesna „Muzyka Rosji i Europy Wschodniej”, ale „Muzyka Europy Wschodniej” z oczywistego powodu, że muzyka rosyjska stanowi niezależnie od tych czy innych wahań jej integralną część. Przypisywanie jej *ipso facto* „roli wiodącej” musiałoby automatycznie prowadzić do ustalenia jakiegoś rodzaju hierarchii między kompozytorami, opartej na ich przynależności narodowej, a to byłoby w końcu oczywistym nonsensem.

Przez współczesną muzykę Europy wschodniej rozumiem tu przede wszystkim muzykę tworzoną po roku 1945 w krajach stanowiących blok ideologiczny i w mniejszej mierze polityczny, gdzie mimo, nieraz bardzo istotnych, różnic interpretacji założeń doktrynalnych (np. Jugosławia — ZSSR) podobne rozwiązania społeczne tworzą w sumie wspólną tradycję, w oparciu o którą należy też rozpatrywać wszelkie zjawiska kulturalne. Rzecz oczywista historia krajów tego regionu nie zaczyna się w roku 1945, kultura ich świadomie lub mechanicznie czerpie obficie z bliższych i dalszych tradycji, w poszczególnych krajach niekiedy w oczywisty sposób wzajemnie konfliktowych.

Tym bardziej więc należy unikać częstego (zwłaszcza u ame-

rykańskich autorów) interpretowania historii omawianego regionu patrząc nań przez pryzmat Rosji, i to nawet wówczas gdy — jak w okresie późnego średniowiecza — nie odgrywała ona decydującej roli politycznej, a główne ośrodki ruskiej kultury znajdowały się bądź na Litwie, bądź w miejskich północnych „republikach”...

W określeniu zatem tradycji kształtujących obecną rzeczywistość muzyczną brać należy w rachubę to co stanowi dziedzictwo poszczególnych krajów i środowisk, a co często wskutek dyfuzji ułatwionej przez nowe okoliczności zyskało szerszy niż poprzednio krąg oddziaływania.

Oczywiście ogólny obraz, szczególnie po roku 1956 odznacza się ogromnym zróżnicowaniem — od twórczości ZSSR czy Bułgarii, wciąż tkwiących (przynajmniej w swym „oficjalnym” nurcie) w estetycznych formułach będących pochodnymi „sorealizmu”, aż po twórczość kompozytorów polskich czy węgierskich, reprezentujących w wielu wypadkach krańcowy nurt międzynarodowej awangardy, często o wiele bardziej radykalny w doborze środków niż twórczość wielu krajów Zachodniej Europy.



Obecny układ omawianego środowiska kulturalnego włącza w jeden organizm (jeśli przyjmujemy jego istnienie jako fakt historycznie dokonany) regiony posiadające poprzednio między sobą słabą dyfuzję kulturalną, pozostawiając jednocześnie poza jego zasięgiem inne, tworzące w ciągu stuleci region intensywnej wymiany i należące tym samym do tego samego układu kulturalnego.

Tak np. Bułgaria, Rumunia i większa część obecnej Jugosławii aż do końca XIX wieku posiadały nikły kontakt z innymi krajami rejonu obecnie omawianego, podczas gdy Skandynawia, a szczególnie Szwecja (w jej ówczesnych granicach), należała do tego samego kręgu kulturowego co państwo polsko-litewskie, Brandenburgia, Węgry i Czechy.

Fakty te determinował szereg istotnych zjawisk historycznych wśród których podział regionu wschodnioeuropejskiego między strefy Wschodniego i Zachodniego Kościoła, a następnie długotrwała okupacja turecka jego południowej części, miały jak najbardziej zasadnicze znaczenie.

Wprawdzie mimo wszelkich przeciwności kontakty w sferze kościelnej między krajami kultury ruskiej a Bałkanami nie uległy nigdy całkowitemu przerwaniu, musimy jednak podkreślić, że zjawiskiem które nas tu zasadniczo interesuje jest muzyka wielo głosowa, której ośrodkiem Rosja stała się dopiero w wieku XVII i XVIII, wraz ze stopniową okcydentalizacją jej kultury.

Pozostałe kraje prawosławne uzyskały kontakt z nią znacznie później, po wyzwoleniu z tureckiej okupacji w końcu XIX wieku. Z punktu widzenia rozwoju twórczości i kultury muzycznej w ogólności fakty te mają kapitalne znaczenie określając i wyjaśniając w wielu wypadkach jej rozwój i cechy stylistyczne.

Tak więc w rejonie środkowo-wschodniej Europy mamy do czynienia z następującymi typami tradycji kultury muzycznej:

1) Kraje o samodzielnej tradycji zachodniej* (Czechy, Węgry, Polska, Słowacja).

2) Słowiańskie ośrodki kultury zachodniej rozwijające się w obrębie środowisk ościennych i w bezpośrednim z nimi powiązaniu (Chorwacja i Słowenia).

3) Kraje kultury wschodniej asymilujące elementy zachodnie w okresie XVI-XVIII w. (Ukraina, Białoruś, Rosja).

4) Kraje kultury wschodniej włączone w obręb nowoczesnej kultury europejskiej w końcu XIX wieku (Rumunia, Serbia, Macedonia, Bułgaria).

5) Kraje peryferyjne, włączone w obręb kultury europejskiej w późnym średniowieczu; — kraje bałtyckie.

Już więc pobieżna systematyzacja ukazuje heterogeniczność i złożoność procesów historycznych mających istotny wpływ na dzisiejszy kształt kultury muzycznej omawianych krajów.

Jeśli do tego dodamy niewątpliwy fakt historyczny, że twórczość muzyczna jest w większej mierze niż jakakolwiek inna wynikiem tradycji i jej ciągłości, jest oczywiste, że w omawianym środowisku muszą ją cechować większe niż gdzie indziej dysproporcje i różnorodność.

Do podanej powyżej ogólnej klasyfikacji dodać jeszcze należy istotną poprawkę, wynikającą z większej niż w innych częściach Europy zmienności granic i tym samym różnego oddziaływania poszczególnych tradycji w różnych okresach historii.

Oczywiście już sama różnica kształtowania tradycji muzycznej w scharakteryzowanych poprzednio środowiskach, kształtowania na zasadzie ciągłości, lub też na zasadzie gatunkowych przemian, — przechodzenia nagłego często od jednej tradycji do drugiej, nadaje przeszłości muzyki różne oblicza stylistyczne. Musimy poza tym uwzględnić tu jeszcze jedną bardzo istotną poprawkę w postaci bardziej fragmentarycznego niż w innych częściach Europy zachowania zabytków. To z kolei pozwala w sposób jedynie przybliżony określić tak szczególne cechy tradycji muzycznej poszczególnych krajów, jak wartość i poziom owej historycznej twórczości.

Ponieważ zainteresowania ograniczamy tu do problemów muzyki wielogłosowej, a więc tej która stała się najistotniejszym czynnikiem w kształtowaniu form i środków wypowiedzi kompozytorów epoki nowożytnej, pozostaniemy zasadniczo w obrębie tradycji kultury zachodniej. Być zresztą może założenie to z punktu widzenia historycznej metodyki nie jest w pełni poprawne. Jest wprawdzie bezsporne, że muzyka wielogłosowa będąca przedmiotem harmonijnej ewolucji w ciągu przeszło tysiąclecia, jest tworem kultury zachodniej, jest jednak także dla każdego badacza

* Terminy „wschodni” i „zachodni” należy tu rozumieć w pierwszym rzędzie w sensie przynależności do tradycji kościelnej rzymskiej lub bizantyjsko-słowiańskiej.

oczywiste, że nie jest ona bynajmniej jedyną formą wysoko rozwiniętej kultury muzycznej: na terenie zachodniej kultury europejskiej, praktycznie aż po koniec XVI wieku, współistniała ona z monodią liturgiczną, tzw. chorałem gregoriańskim, będącym inną, ale bynajmniej nie mniej wyrafinowaną postacią muzyki, co więcej w ciągu tych stuleci symbiozy wywierają ogromny wpływ tak na postać monodyczną jak na wyraz muzyki wielogłosowej, i to (podkreślić trzeba) tak religijnej jak świeckiej.

Jest zatem oczywiste, że środowiska przyswajające sobie stonkowo późno muzykę wielogłosową, ale przeszczepiając ją na grunt wysoko rozwiniętej i od stuleci kultywowanej muzyki monodycznej, dokonywały jej głębokiego przetworzenia, adaptacji, tak do swych potrzeb jak i kanonów estetycznych, tworząc z tego zjawiska w dalszym ciągu historii element swej własnej tradycji.

Jako przykład można przytoczyć tu cerkiewną muzykę wielogłosową, w jej dzisiejszych formach powszechnie uważaną za jeden z najbardziej autentycznych i rdzennych elementów kultury prawosławia w jego słowiańskiej, przede wszystkim rosyjskiej postaci.

A przecież, historycznie biorąc, owa muzyka należy do stosunkowo niedawnej tradycji, zapoczątkowanej u schyłku XVI, skrytalizowanej w XVII wieku, a mającej swe źródło w asymilacji polskiej muzyki polifonicznej przez liturgię wschodnią — zwłaszcza po Unii Brzeskiej — i stopniowym przenoszeniu jej na teren cerkwi moskiewskiej.

Problem ten służący tu jedynie jako ogólny przykład, zasługuje bez wątpienia na bardziej szczegółowe omówienie.

Wszelkie podane tu określenia czy konstatacje historyczne nie mają żadnych pretensji do wartościowania, czy tworzenia jakichkolwiek „hierarchii” w sferze twórczości; analiza historyczna może wyjaśnić powstawanie lub trwałość tych czy innych konwencji stylistycznych, ale nie wartość dzieł realizujących ich zasady...

Jak już wspomnieliśmy, do krajów Europy Wschodniej (rozumianej w dzisiejszym sensie politycznym a nie geograficznym — Praga leży dalej na Zachód niż Sztokholm, Wiedeń czy Berlin), posiadających jednolitą i trwałą tradycję muzyczną należą w pierwszym rzędzie Czechosłowacja, Polska i Węgry.

Oczywiście i w odniesieniu do tych krajów nie możemy mówić o stałym i harmonijnym rozwoju. Miały w nich miejsce, spowodowane różnymi czynnikami zewnętrznymi i wewnętrznymi, okresy „wyzów” i „depresji”, okresy poszukiwania własnego oblicza lub też czerpania impulsów z zewnątrz, zasadniczym jednak elementem była niezmienność typowo zachodniej konwencji stylistycznej, w której muzyka ta się wypowiadała.

W dodatku tok wydarzeń politycznych w radykalny sposób zmieniał orientacje i strukturę tych społeczeństw — w większej niewątpliwie mierze niż w jakimkolwiek innym rejonie Zachodniej Europy.

Dotyczy to w szczególnej mierze Węgier oraz Czech. W pierw-

szym wypadku kres harmonijnemu rozwojowi narodowej kultury przyniosła presja turecka zakończona rozbiem i okupacją większości terytorium kraju przez blisko dwa stulecia, w drugim także trwający przez dwa stulecia kryzys religijny, zakończony w XVII stuleciu zniszczeniem narodowych tradycji i podporządkowaniem kultury habsburskiemu absolutyzmowi.

Odrodzenie kulturalne obu krajów nastąpiło dopiero w wieku XIX jako wynik świadomego nawiązania do tradycji przeszłości, w pierwszym rzędzie poprzez odrodzenie kultury i języka, będącego w wypadku Czech w zupełnym zaniku, a w wypadku Węgier pozbawionego przez długi okres żywotniejszych funkcji literackich.

Tak więc, aż do końca wieku XVIII, jedynie kultura polska posiadała ciągłość. Jej wzloty i depresje wynikały raczej z przesłanek wewnętrznych, wydarzenia polityczne miały tu wpływ drugorzędny.

Odbudowywanie jednak tradycji dokonywać się musi poprzez dotarcie do zabytków przeszłości, a te, jak wiemy, zachowały się w stopniu bardzo nierównomiernym.

O ile zabytki sztuk plastycznych przetrwały, zwłaszcza w Czechach, w znacznej ilości, zabytki kultury literackiej, a wraz z nimi muzycznej, zachowały się w stopniu nieskończenie mniej kompletnym.

Przyczyny tego stanu rzeczy są bardzo złożone — z jednej strony były one niejednokrotnie niszczone z przesłanek „ideologicznych”, w innych wypadkach ginęły jako artystycznie zdeaktualizowane. Niewątpliwie fakt, że w Polsce pozostało ich stosunkowo więcej przypisać należy brakowi walk religijnych w XVI wieku i spokojnemu przebiegowi kontrreformacji.

Z tego też powodu mimo późniejszych spustoszeń w odniesieniu do średniowiecza i renesansu, znajdujemy tu więcej źródeł bezpośrednich, podczas gdy przeszłość muzyczna Czech i Węgier (wraz ze Słowacją stanowiącą aż po rok 1918 ich integralną część) odcytujemy dziś przeważnie ze źródeł pośrednich.

Są nimi tak dokumenty i relacje historyczne, jak rozsiane w dawnych księgach liturgicznych polifonizacje niektórych śpiewów, będące świadectwem rozpowszechnienia twórczości polifonicznej i w wielu wypadkach dające możność wysnucia wniosków na temat jej cech stylistycznych.

Paradoksalnie więc znamy dziś w dużej mierze muzykę która bezpośrednio towarzyszyła burzliwym wydarzeniom tamtej epoki — pieśni zachowane w husyckich kancjonalach i religijną lirykę reformacyjną, natomiast znane dzieła czeskiej polifonii renesansowej pochodzą z okresu stosunkowo późnego. Podobnie też jedynie fragmenty przetrwały z niewątpliwie kwitnącej tam polifonii średniowiecznej.

Okres baroku natomiast, chociaż katastrofalny w sensie politycznym, stawiający pod znakiem zapytania możność przetrwania narodowej odrębności, stworzył muzyce czeskiej bogate możliwości. Ograniczając, wręcz niwelując, jej odrębności dał jej środki uniwersalnego stylu, będącego w dużej mierze syntezą tradycji

południowego baroku i elementów lokalnych, co nadało twórczości kompozytorów czeskich nieznany w wielu poprzedzających epokach uniwersalizm, kładąc jednocześnie podwaliny procesowi, który już w XVIII wieku uczynił z Czech „konserwatorium muzyczne Europy”.

Jak wiemy proces ten dotyczył całej kultury, a nie wyłącznie muzyki; dzisiaj obszar Czech i Moraw posiada jeden z najbogatszych w Europie zbiór zabytków sztuki baroku.

Historiografia XIX wieku dość swoiście oceniała ową inwazję baroku, dokonującą się pod wpływem cesarskiego mecenatu. Dopatrywano się tu niejednokrotnie tendencji germanizacyjnych, podobnych niemal do praktyk bismarkowskich, ale są to chyba w sumie fałszywe analogie. W istocie bowiem habsburska monarchia była klasycznym i krańcowym w ówczesnej Europie przykładem XVII-wiecznego „neofeodalizmu”, państwa tryumfującej kontrreformacji, państwa katolickiego nade wszystko, w którym sprzężenie autorytetów monarchii i Kościoła miało tworzyć fundament społeczeństwa.

Habsburgowie, tytularni „protektorzy i pomnożyciele Rzeszy Niemieckiej”, w istocie bardziej starali się izolować swych bezpośrednich poddanych od „heretyckiej zarazy” panującej w większości państw niemieckich niż „dalekowzrocznie” myśleć o ich „germanizacji”... Wszak łacinę w roli języka oficjalnego zastąpił niemieckim dopiero u schyłku XVIII wieku, gdy używanie jej stało się już całkowitym anachronizmem, ale i ta innowacja nie trwała długo, znaleziono ostatecznie bardziej skuteczne rozwiązanie federacyjne.

A przecież fakt szczególnie „ofensywy kulturalnej” na Czechy był w owej epoce faktem. W żadnym innym kraju habsburskiej monarchii nie powstało wówczas tyle wspaniałych kościołów i klasztorów, czy w dziedzinie muzyki kapel katedralnych czy magnackich... Oczywiście nie bez znaczenia było tu osobiste przywiązanie szeregu cesarzy do ich praskiego dominium, istotą jednak były zapewne głębsze przesłanki — zdobycie kraju dla katolicyzmu, usunięcie resztek husytyzmu poprzez nasycenie i przesycenie go nową substancją kulturalną.

To wszystko narzucało twórcom zdeterminowane oblicze, ale stwarzało też wyjątkowo korzystne możliwości ich rozwoju. Barok zresztą, wówczas w pełni swej wielkości, nie musiał być narzucany siłą. Dla ludzi tamtej epoki był on środkiem pełnej wypowiedzi i torował sobie drogę nawet tam gdzie sprzeciwiała mu się panująca doktryna religijna. Barok — artystyczny wyraz kontrreformacji — stał się już w pierwszej połowie XVII stulecia dominantą sztuki środowisk nie tylko luterańskich, ale i kalwińskich — jeszcze silniej stojących wobec niego w opozycji.

Kompozytorzy czescy XVII i XVIII wieku weszli zatem do głównego nurtu twórczości europejskiej i choć nie znajdujemy wśród nich w tym okresie talentów najwyższej miary, ich w dużej mierze dziełem była awangardowa wynalazczość prowadząca stopniowo do powstania stylu klasycznego.

Zdaje się też, że powstała wówczas tradycja trwa w pewnym sensie do chwili obecnej — tradycja w przeciwieństwie do polskiej czy węgierskiej w XIX i XX wieku oparta nie na braku ciągłości, przerywanej ukazywaniem się nie znajdujących kontynuacji kompozytorów-meteorów, ale na rzeczywistym istnieniu „szkoły” choć reprezentowanej przeważnie przez kompozytorów drugorzędnych.

Nie sugerujemy się jednak nazwą — drugorzędnych w skali najwyższych wartości...

W tym samym czasie sytuacja muzyki polskiej czy węgierskiej była zasadniczo różna. Z bogatej twórczości węgierskiej późnego średniowiecza i wczesnego renesansu pozostało bardzo niewiele, a z epoki nieco późniejszej posiadamy wielkiego wprawdzie, ale jedyne go kompozytora — Walentina Bekwarka, jednego z najświetniejszych kompozytorów muzyki lutniowej w połowie XVI stulecia.

Działalność jego bardziej niż do rodzinnego Siedmiogrodu należy do krajów w których rozwijał swą działalność, w pierwszym rzędzie do muzyki polskiej w kręgu której działał w trwającym blisko dwadzieścia lat, najważniejszym okresie swej twórczości.

Jak wiemy, emigracje artystyczne w przeszłości miawały różne podłoża, wyrastały jednak przede wszystkim z nadmiaru lub też odwrotnie, z braku sił twórczych środowiska.

W pierwszym wypadku decydowały szczególne korzyści, oferowane przez mecenat zagraniczny, w drugim lokalne możliwości stały w jawnej dysproporcji w stosunku do aspiracji wybitnych jednostek...

W wypadku Bekwarka mamy do czynienia z tym drugim zjawiskiem, dlatego też pozostał on wyjątkiem na tle żywotnego wprawdzie ale typowo szczątkowego ośrodka jakim był Siedmiogród, choć jemu właśnie przypadła rola głównego kustosa węgierskiej kultury w XVI stuleciu. Odbudowa tradycji węgierskiej muzyki zaczęła się więc dokonywać dopiero w drugiej połowie XVIII wieku i to na zupełnie innych niż poprzednio podstawach, od „kosmopolitycznego” klasycyzmu. Dopiero schyłek tego stulecia przyniósł zarysowywanie się pewnych elementów lokalnych, które w wieku XIX miały przekształcić się w niezwykle bogatą i świadomą swych wartości tradycję, niewątpliwie jedną z najbogatszych w Europie.

Tak więc z typowo „zachodnich” krajów, wchodzących dziś w skład Wschodniej Europy, jedynie Polska posiadała tradycję której ciągłości nie zakłócały poważniej żadne wydarzenia zewnętrzne. Dzięki temu też aż po wiek XVIII była ona zdolna utrzymywać nieprzerwanie wysoki poziom, niejednokrotnie będąc też terenem awangardowych kierunków stylistycznych.

Wprawdzie z muzyki polskiej średniowiecza i renesansu przetrwały stosunkowo niezbyt liczne zabytki, dają one jednak dosyć kompletny obraz jej poziomu, oraz odbicie przekształceń stylistycznych którym podlegała.

Istotną wreszcie cechą muzyki staropolskiej była jej powszechność w ówczesnym społeczeństwie — tak twórczość jak uprawia-

nie muzyki nie ograniczało się bynajmniej od stolic czy ważnych ośrodków. Klasycznym dowodem może służyć powstała u schyłku pierwszej połowy XIV wieku, w Kraśniku koło Lublina, największa znana dziś w Europie antologia muzyki tego okresu — tabulatura organowa spisana przez Jana z Lublina, organistę tamtejszego klasztoru kanoników regularnych.

A w niespełna sto lat później w również prowincjonalnym Pelplinie koło Gdańska powstał inny unikat tego rodzaju — monumentalna sześciotomowa tabulatura, dzieło pelplińskiego cystersa, Feliksa Trzcińskiego.

Ale nawet polska muzyka epoki saskiej, która po świetnym okresie baroku zdecydowanie zeszała z forum europejskiego, jest dziś przedmiotem bardzo interesujących studiów dla historyka muzyki.

Wykazuje ona niezbiecie, że depresja kulturalna nie musi się bynajmniej wyrażać konserwatyzmem czy stylistycznym regresem. W istocie muzyka polska XVIII wieku zachowała wiele swych poprzednich wartości, jak powszechność jej kultury czy pełną aktualność stylistyczną, a mimo to jednak stała się zjawiskiem „prowincjonalnym”.

Twórczość kompozytorów „polskiego klasycyzmu” nie wznosi się ponad poziom potrzeb lokalnych ośrodków dworskich czy kościelnych i choć nie brakło jej oryginalności i własnego, niekiedy świadomie folkloryzującego oblicza, nie wydała ona twórców drugorzędnych, ale niewątpliwie dużego formatu, dominujących równocześnie w muzyce czeskiej.

Obok swych własnych wartości polska muzyka XVI i XVII wieku spełniła też niezwykle historycznie istotną rolę kulturotwórczą — jako źródło inspirujące nowe oblicze muzyki rosyjskiej, jedynej spośród kręgu prawosławia, która przyswoiła sobie i rozwinęła w oryginalny sposób kulturę polifonii, kulturę która przeniesiona następnie z cerkwi do folkloru stała się jednym z najbardziej charakterystycznych elementów rosyjskiej i białoruskiej muzyki ludowej.

Powszechne przypisywanie przez historiografię okcydentalizacji rosyjskiej kultury „administracyjnie” przeprowadzonym reformom Piotra I jest w ogromnej mierze uproszczeniem. W istocie dokonał on siłą zerwania ciągłości tej kultury zastępując własną twórczość importem rzeczowym i osobowym, głównie z Włoch i Niemiec. To też skazało rosyjską kulturę na blisko stuletni okres epigonizmu i powolnej asymilacji obcych wzorów. W muzyce w pełni miała się ona wypowiedzieć dopiero w drugiej połowie XIX stulecia, w postaci i formach pełnej „europejskości”, zapewniających jej tym razem światowy krąg oddziaływania.

Głównym elementem piotrowej reformy było niewątpliwie pozbawienie cerkwi jej pierwotnej roli kulturalnej, zapchnięcie jej na margines życia społecznego i tym samym przez wywrócenie tradycyjnych proporcji spowodowanie długotrwałego kryzysu kulturalnego. Była to niewątpliwie cena dominacji celów imperialno-państwowych nad wszelkimi innymi elementami życia narodu.

Podobny efekt, choć kierowany w przeciwną „antyeuropejską” stronę, miał przynieść w przeszło dwa stulecia później stalinowski „socrealizm”.

Przemiany zachodzące w muzyce „prawosławnej Rusi”, tak na terenach polsko-litewskich jak moskiewskich, są od lat przedmiotem żywego zainteresowania historyków, zwłaszcza rosyjskich. Wydaje się że pierwszym impulsem były szeroko przenikające w postaci ulotnych druków wielogłosowe pieśni renesansowe, opracowania muzyczne polskiej liryki świeckiej i religijnej, a w nieco późniejszym okresie monumentalna polifonia „polichoralna” z przełomu renesansu i baroku.

W ruskich rękopisach tamtej epoki znajdujemy wiele owych „kantów” często z polskimi tekstami w cyrylickiej transliteracji oraz już oryginalne, trzygłosowe opracowania polifoniczne polskich kołęd.

Okres bezpośredniej recepcji trwał w muzyce religijnej krótko. W pierwszej połowie XVII wieku dokonano świadomej i harmonijnej adaptacji polifonii do tradycji prawosławnej liturgii, odrzucając zdecydowanie użycie instrumentów i „nakładając ją” na tonalny system tradycyjnych śpiewów monodycznych.

Kapitałną rolę w tym procesie odegrały przeżywające swój renesans akademie teologiczne, szczególnie rejonu kijowskiego, które zmieniając w połowie stulecia przynależność państwową i tym samym zrywając z unią zachowywały reformatorską orientację propagując ją szeroko na Wschód. Cały okres „ukraińskiego baroku” był najlepszym świadectwem syntezy elementów czerpanych z polskiej kultury i ich adaptacji do zadań prawosławnego odrodzenia.

W odniesieniu do spraw muzycznych kapitałnym dokumentem tego procesu jest traktat Mikołaja Dyleckiego, dzieło polemiczne propagujące nie tylko zasady nowej „Gramatyki Muzycznej”, ale wyjaśniające szeroko jej teoretyczne podstawy. Traktat ten, znany dziś z szeregu kopii i różnych redakcji, jest podobnie jak jego autor wynikiem typowego dla owych czasów krzyżowania kultur. Dylecki, pochodzący z Kijowa, kształcił się w Warszawie, znał znakomicie twórczość kompozytorów polskich tego okresu, z których też głównie czerpał przykłady przytoczone w „Muzycznej Gramatyce”. Zresztą zaginiony oryginał pierwszej wersji tego traktatu napisany był po polsku i wraz z retorycznym, barokowym tytułem dedykowany magistratowi Wilna.

Innym niezwyklej wagi źródłem potwierdzającym szerokie promieniowanie polskiej muzyki w jej bardziej popularnym nurcie jest rękopis z pierwszej połowy XVII stulecia, odnaleziony w oprawie unickiego mszału z Połocka należącego dziś do zbiorów Biblioteki Jagiellońskiej...

Celem obecnego studium nie jest kreślenie jeszcze jednej historii muzyki. Zainteresowany czytelnik szczegółowe informacje może znaleźć w specjalistycznych publikacjach, w pierwszym rzędzie w obszernym tomie *Musica Antiqua Europae Orientalis — Acta Congressus Scientificus*, wydanym w roku 1966 przez PWN —

jego przedmiotem jest syntetyczny obraz tradycji poprzedzających i w bezpośredni sposób warunkujących rozwój twórczości naszej epoki.

Z tego też względu pozostawiam na uboczu zagadnienia folkloru, choć w XIX i XX wieku stał się on dla wielu kompozytorów bardzo istotnym twórczym własnego stylu. Ponieważ jednak o ostatecznym efekcie ich twórczości decyduje nie materiał ale umiejętność jego przetworzenia i użytkowania, problem tradycji wydaje się problemem podstawowym. Zaś jej brak jest główną, długotrwałą słabością nowoczesnej muzyki Bułgarii i Rumunii, nacechowanej do niedawna eklektyzmem środków i brakiem awangardowości.

To samo zjawisko zdaje się wyjaśniać poważne różnice uwidaczniające się w twórczości różnych części Jugosławii, gdzie Chorwacja i Słowenia odgrywają decydującą rolę.

W publicystyce politycznej nie rzadko spotkać można pogląd że Jugosławia tak pod względem politycznym jak kulturalnym należy do zupełnie innego świata niż np. Czechosłowacja czy Polska. Jest on jednak przynajmniej w odniesieniu do kultury zbyt pospiesznym uproszczeniem, wynikającym być może z automatycznego przenoszenia na całość tego kraju zdeaktualizowanej dziś zupełnie oceny, że jest on w gruncie rzeczy „przedłużeniem” Serbii, mającej tu najsilniejszą tradycję państwowości. Teza ta, słuszna może w odniesieniu do okresu międzywojennego, w stosunku do aktualnej rzeczywistości byłaby ryzykowna nawet w płaszczyźnie politycznej, a już staje się zupełnie bezpodstawna w odniesieniu do tradycji kulturalnych.

W istocie Słowenia wraz z Chorwacją i Dalmacją, mimo braku w ciągu stuleci samodzielnej państwowości, stworzyły centra kulturalne o dużej żywotności i indywidualnym obliczu.

Oczywiście były one zbyt słabe i położone zbyt blisko ośrodków silnego promieniowania, aby osiągnąć wyższy stopień samoistności stylistycznej, ale w czasach uniwersalizmu nie to było najistotniejsze.

Punktem ciężenia dla Dalmacji i Chorwacji była w okresie renesansu i wcześniejszej fazy baroku przede wszystkim Wenecja — dla Słowenii Praga i Wiedeń. Jednakże twórczość kompozytorów pochodzących z tych właśnie regionów cechował wysoki poziom inwencji i doskonałość warsztatu. Ze Słowenii wyszedł Jakub Gallus-Petelin, jeden z najznakomitszych kompozytorów europejskich późnego renesansu, o niezwyklej w swej epoce popularności międzynarodowej.

Niewątpliwie więc twórczość zachodnich (w sensie kulturalnej przynależności) krajów Jugosławii, dodajmy odgrywających dziś istotną rolę w życiu całości federacji, należy w swej tradycji do tego samego kręgu co muzyka czeska czy polska i w silniejszej mierze niż dawna muzyka węgierska...

Paradoksalnie zaś Litwa i pozostałe kraje bałtyckie, które między XIII a XV stuleciem weszły bezpośrednio w krąg zachodniej kultury, aż do XX stulecia nie stały się ośrodkami żywszej twór-

czości muzycznej, i to wtedy nawet gdy w okresach pomyślności ekonomicznej były żywotnymi centrami życia kulturalnego.

Całkowita aż po drugą połowę wieku XIX polonizacja kultury litewskiej tworzy niemożliwość wyodrębnienia jej; sytuacja pozostałych krajów bałtyckich była natomiast bardziej złożona. Z pewnością na brak tworzenia tradycji kulturalnej złożyły się: wyjątkowo niejednolita struktura etniczna, konflikty religijne i wreszcie częste zmiany przynależności państwowej między Polską, Szwecją i Rosją. Ponadto trwałe wiązanie się elity tych krajów z narodowością i kulturą kolejnych suwerenów nie sprzyjało w oczywisty sposób ich kulturalnej stabilizacji.

Na tym tak szczególnym i niezwykle zróżnicowanym tle wyrasta dziś kultura muzyczna i twórczość krajów Środkowej i Wschodniej Europy, twórczość zdeterminowana zarówno tradycjami jak i wywodzącymi się z nich orientacjami współczesnymi.

Czy kraje te stworzą w efekcie zachodzących procesów wspólny choć pluralistyczny krąg kulturalny, czy też nastąpi polaryzacja orientacji, jest dziś zagadnieniem jak najbardziej otwartym. Wszystko zależy w dużej mierze od rozwoju sytuacji politycznej, faworyzującej lub hamującej szeroką dyfuzję kulturalną.

Adam SUTKOWSKI

Kontrowersyjne koncepcje nowoczesności

(WYSTAWA POLSKIEJ SZTUKI NOWOCZESNEJ W PARYŻU)

Równolegle z wystawą „Tysiąc lat sztuki w Polsce” w salach muzeum „Galliera” miała miejsce wystawa nowoczesnej plastyki polskiej pod tytułem „Nowoczesne malarstwo polskie: źródła i poszukiwania”. Pomijając nie najświetniejszą tradycję gmachu „Galliera”, wystawa ta znalazła się w konfrontacji z najciekawszymi wydarzeniami „sezonu” paryskiego — z wielką wystawą „Bauhaus'u”, salonem majowym i serią wystaw galerii paryskich, których nasilenie przypada właśnie na miesiąc maj.

Podział wielkiego maratonu wizualnego, jakim jest przedstawienie tysiącletniego dorobku sztuki polskiej w Paryżu, na dwie

1. *Peinture Moderne Polonaise: sources et recherches*, musée Galliera, Paryż, maj 1969, komisarz wystawy Ryszard Stanisławski (dyrektor muzeum w Łodzi).

części wydaje się jak najbardziej słusznym podejściem do spraw sztuki współczesnej, gdyż, jak to dobitnie pokazały poprzednie wystawy — węgierska, rosyjska czy izraelska — zestawienie do robku plastyki dwudziestowiecznej ze sztuką dawną nie zawsze wpływa korzystnie na profil całej wystawy. Dzisiaj wydaje się nam bardzo trudnym wyczynem intelektualnym (i nie tylko estetycznym) spojrzenie z jednej perspektywy — której nam wciąż brak — na całokształt plastyki danej tradycji narodowej, historia wydaje się zdecydowanie „łamać” w pewnym momencie dwudziestego wieku. I co ciekawsze, moment ten jest różny dla różnych krajów. Podejście to jest nawet bardziej wyraźne w wypadku Polski, kraju który ulegał kolejnym falom estetycznym tak ze Wschodu jak z Zachodu do tego stopnia, że dwudziesty wiek jest prawdziwą hybrydą, w której nie można rozróżnić elementów mistyki malewiczowskiej od naskórkowości malarskiej Zachodu („kapiści”). Ten podział na dwie samodzielne wystawy, różniące się tak koncepcją jak i wykonaniem (oprawą muzeograficzną, katalogiem) sięga jeszcze dalej, w samą głębię problematyki dzisiejszej sytuacji krytyki artystycznej i jej odejścia od historii sztuki, która nie potrafi dać zadawalającej odpowiedzi na pytania, stawiane przez dzieła powojennego pokolenia — jak abstrakcja czysto geometryczna, tak *minimal art*, *art brut* czy neofiguracja choćby w najbardziej prostej postaci *pop art*’u. Nie należy też zapominać, że na gruncie krajowym ten stan rzeczy odzwierciedla jeszcze inną specyfikę polskiego środowiska, gdzie jak dotychczas nie udało się przełamać długoletniej hegemonii rzeczników oportunistu estetycznego²; „nowa fala” krytyki wyodrębniła się nie tyle, w drodze opozycji do starych „mandarynów” — jest ona zresztą instytucjonalnie niemożliwa w kraju totalitarnym — ile poprzez pewne oddalenie intelektualne od panującego historycyzmu niskiego lotu.

Przeciw chorobie historycyzmu

Od lat europejska krytyka³ sztuk pięknych przeżywa poważny „kryzys sumienia”. Jak ustosunkować się do sztuki współczesnej? — oto jest pytanie na które mało który historyk sztuki potrafi

2. W tej definicji górują elementy natury estetycznej, a nie tylko politycznej jak można by wnioskować z przykładów znanych rzeczników socrealizmu, a później tak samo „szczerych” miłośników abstrakcji.

3. Termin ten używamy w sensie włoskiego określenia *critica d'arte*, który jest odmienny od francuskiego *critique d'art* (nie trzeba chyba tłumaczyć inflacji tego ostatniego). W tym wypadku przyjmujemy, że obejmuje on też formę *critica d'arte*, którą zwykliśmy nazywać „historią sztuki”. W świetle naszej perspektywy metodologicznej historia sztuki jest tylko pewnym momentem w nieustającej permutacji *mitu* estetycznego. Oparty na teoriach historycyzmu dziewiętnastowiecznego stara się on (mit historii sztuki) stworzyć pozory teorii absolutnej — niezaangażowanej, gdyż *historycznej* — co jest jednym więcej dowodem jego istoty *mitu*, w sensie w jakim używa tego terminu dzisiejsza antropologia strukturalna.

dać zdecydowaną i solidnie podbudowaną odpowiedź. Już dawno minęły czasy gdy *historia sztuki* była teorią problemową, teorią zdolną do zmian perspektywy intelektualnej, systemem otwartym na nowe interpretacje globalne, na nowe teorie, zdolne do zmiany tak zwanego „spojrzenia na epokę”. Z końcem XIX i początkiem XX wieku historykom sztuki łatwiej było przyjmować do systemu własnej estetyki zmiany sztuki współczesnej. Zmiany perspektywy historycznej w stosunku do sztuki dawnej były jeszcze wtedy możliwe, mogły one ciągle obejmować sztukę w system *otwartej estetyki formalnej*. Taki jest przykład teoretyka abstrakcji Worringera, który potrafił łączyć interpretację sztuki gotyckiej z nietzscheańskim pojęciem „Einfühlung” (w słynnej książce „Abstraktion und Einfühlung”, która jest też bazą dla teorii abstrakcji — *Über das Geistige in der Kunst* — Kandinskiego). Do tej grupy nowatorskich i szeroko otwartych na problemy współczesnego świata umysłów należy dołączyć twórcę wręcz rewolucyjnej teorii ikonologicznej, Aby Warburga. Przykład tego uczonego i kierunek jaki jego prace nadały interpretacji sztuki dawnej górowały na przestrzeni dwóch pokoleń historyków sztuki. Dlatego też należy z naciskiem przypomnieć, że Aby Warburg był nie tylko gorącym zwolennikiem kubizmu, ekspresjonizmu i futuryzmu, lecz kolekcjonował takie dzieła artystów tych kierunków, pisał krytyki o ich wystawach i pomagał im nawet w organizacji, a działał się to w roku 1911! Należy przypuszczać, że gdyby nie przedwczesna śmierć Warburga, byłby on z pewnością zwolennikiem dadaizmu i surrealizmu w wydaniu Maxa Ernsta czy Kurta Schwittersa. Można nawet wywnioskować, że mechanizm intelektualny metody ikonologicznej jest po części odbiciem — na innej płaszczyźnie i w innej materii *logosu* ludzkiego — systemu analizy kubistycznej.

Dzisiaj jedynie semiologia bierze na swoje barki niełatwe zadanie tworzenia nowej teorii integracji sztuki, która obejmowałaby tak samo przeszłość jak i teraźniejszość. Niestety, z ubolewaniem należy stwierdzić, że daleko dzisiejszym strukturalistom do systemów przekonujących w argumentacji logicznej (czy estetycznej — co dzisiaj utożsamia się) choćby na płaszczyźnie interpretacji koloru czy perspektywy.

Epoka krytyków pierwszej abstrakcji, wierzących w wszechmoc Historii (Grohmann, Read) też minęła. Dzisiaj sztuka współczesna tworzy samodzielny archipelag, który stara się oddalić coraz bardziej od macierzystego kontynentu tradycji, powierchownie utożsamianej z pewną *wizją historyczną* i — *nolens volens* — z wadami instytucjonalnej historii sztuki. Sytuacja ta wydaje się niemałym paradoksem, gdyż najbardziej elementarna logika przeczy negowaniu na dłuższy okres istnienia sztuki współczesnej („dobrej” czy „złej”). Świadomość ta utorowała sobie drogę w Stanach Zjednoczonych, gdzie panuje wręcz przeciwne podejście do spraw sztuki współczesnej. Stała się ona poniekąd bazą jeśli nie całościowej interpretacji sztuki dawnej to co najmniej jej asymilacji wizualnej i estetycznej na nowej płaszczyź-

nie, która nie uznaje podziału na sztukę dawną (historia sztuki) i sztukę nowoczesną (krytykę). Ten stan rzeczy jest naturalną konsekwencją żywotności środowiska amerykańskiego i nieustannego optymizmu muzeologów amerykańskich. W Europie daleko nam do tak odważnych perspektyw estetycznych. Nie odpowiadałyby też one rzeczywistości naszego otoczenia „wizualnego”: obecność sztuki współczesnej w Europie i w USA jest niewspółmierna. Dlatego też rozbrat między sztuką dawną a nową istnieje siłą rozpędu tradycyjalnej wizji *historycznej*; ilość dzieł sztuki dawnej i ich stała obecność w naszym codziennym otoczeniu przyniata sztukę nowoczesną ciężarem *mitu estetycznego*.

Na tle panoramy europejskiej sytuacja polska nie jest więc wyjątkiem. Różnica daje się jeszcze mocniej zauważyć w rozgraniczeniu środowisk historyków sztuki od krytyków. Biorąc pod uwagę fiasko wystawy „historycznej” w Petit Palais należy tylko cieszyć się, że wystawa sztuki współczesnej nie została powierzona tym samym organizatorom, którzy gubią się już w kryteriach zastosowanych do malarstwa dziewiętnastego wieku — sztuki, wydawałoby się, nie tak bardzo problematycznej w głównych liniach.



Ten podział ról nie uchronił organizatorów od innych błędów, są one jednak bardziej „wybacalne” niż te, które ponosi wystawa w Petit Palais, gdyż ciężar gatunkowy i zaplecze dokumentacyjne wystawy w pałacu „Galliera” nie dają się porównać z tym co oglądamy w ramach wielkiego pokazu *historycznego*. Są one bardziej „grzechami młodości”, aniżeli prawdziwymi, rażącymi specjalistę pomyłkami.

Jeszcze na wstępie należy podkreślić, że wystawa sztuki współczesnej robi przyjemne wrażenie, zachęca widza odwagą młodości. Pozwala sobie na pewne ryzyko, starając się być szeroko otwartą na problemy dzisiejszej plastyki i nie tylko polskiej.

Różnice koncepcji widoczne są choćby na podstawie katalogu wystawy nowoczesnej. Katalog ten jest dziełem świetnego grafika, Romana Cieślewicza, któremu od paru lat czytelnicy znanego tygodnika „Elle” zawdzięczają ciekawą oprawę graficzną. Jego nowoczesna koncepcja i świetna typografia są tak samo zachęcające do lektury jak przejrzyste przedstawienie historii ruchów awangardy polskiej plastyki XX wieku. Wielka szkoda, że nie wyciągnięto do końca konsekwencji z tej prezentacji. W katalogu pokazano ciekawe dokumenty z lat międzywojennych, lecz jedynie na małych fotografiach, w skrócie. Brak natomiast tych dokumentów na samej wystawie, która ograniczyła się jedynie do dzieł sztuki. Nie można poprzestać na optymistycznej wierze, że każdy widz wykosztuje się na stosunkowo drogi katalog, lub nawet że przeczyta go „od deski do deski”. Każda wystawa plastyczna jest całością *wizualną* i powinna zawsze pamiętać o „ignorantach”, którzy nie posiadają nawet minimalnego zasobu informacji. (Co w wypadku wystawy polskiej sztuki nowoczesnej w

Paryżu jest z pewnością wybaczone). Pokazanie paru egzemplarzy awangardowych pism w rodzaju „Bloku” czy „Praezens'u”, których typografia jest sama w sobie dziełem sztuki i ciekawym dokumentem epoki (niezależnie od treści artykułów) dodałoby wystawie pewnej wagi. Tak samo kilka stron z artykułów Malewicz, drukowanych w latach dwudziestych w Polsce, wywołałoby z pewnością małą sensację wobec niedawnego „odkrycia” awangardy rosyjskiej przez francuskich krytyków i historyków sztuki. Nie pomyślano też o uzupełnieniu wspaniałego pokazu dużej ilości dzieł Władysława Strzemińskiego choćby jednym egzemplarzem „Teorii widzenia”, która dzisiaj ma szansę stać się nie małą gratką dla zainteresowań semiologów. To samo można powiedzieć o Witkiewiczu. Jego „Nowe formy w malarstwie” i parę stron „Teatru” dodałoby perspektywy kulturalnej obrazom, które w dzisiejszym układzie estetycznym nie mogą liczyć na największe powodzenie. Ta barwna i tak charakterystyczna dla Polski międzywojennej postać jest praktycznie nieobecna na wystawie w pałacu „Galliera”. Jak wiadomo widza należy zawsze kształcić, pomagać mu wejść w skomplikowany świat artysty, szczególnie nasza wystawa w Paryżu powinna być niejako wprowadzeniem w problematykę kulturalną Polski. Niestety tak w Petit Palais jak i w Galliera zapomniano o tym tak ważnym zadaniu wystaw.

Zrehabilitowana szkoła łódzka

Sama koncepcja wystawy wydaje się pomysłem ciekawym i ambitnym, gdyż organizatorom zależało na pokazaniu polskiego dorobku plastycznego od strony bardziej atrakcyjnej, problemowej. Pozwoliło to też na dokonanie niezbędnego wyboru dzieł, które siłą rzeczy nie mogą obejmować całokształtu plastyki polskiej.

Wspaniałe obrazy Władysława Strzemińskiego i dzieła jego najbliższego otoczenia — jego przyjaciół, Stażewskiego i Hillera i jego żony Katarzyny Kobro-Strzemińskiej są z pewnością najciekawszym momentem wystawy. Dają one paryskiemu widzowi dobre pojęcie o bogatym dorobku awangardy międzywojennej, opartej na przykładzie Malewicz i na szerszym tle rewolucji artystów rosyjskich w latach 1910-1920. Niestety krytyka paryska, której daleko do doskonałości lub nawet do uczciwego opanowania przedmiotu, nie umiała wyciągnąć konsekwentnych wniosków z tego tak ciekawego pokazu, nie potrafiła zrozumieć, że poprzez dzieła plastyków grupy łódzkiej miała okazję dotrzeć do sedna wizji i do ewentualnego dalszego rozwoju tak fascynującej awangardy plastycznej Rewolucji Październikowej, którą już z początkiem lat 1919-1920 stłumił terror stalinowskich dyktatorów kultury.

Jedynym „zgrzytem” (dla krytyka) w pierwszej części — „źródło” — są obrazy Wróblewskiego, — realista, co prawda odbiega-

jący od sztywnych schematów „Pantheon'u” lat pięćdziesiątych, niemniej... trudno ująć jego twórczość w perspektywie jakichkolwiek „źródeł”. Obecność obrazów Wróblewskiego na tej wystawie można wytłumaczyć jedynie chęcią organizatorów pokazania przykładu dobrego realizmu, z wycuciem koloru i pomysłą tematyką — „para-kontestacyjną” — do której utarte drogi socrealizmu nie mogłyby nigdy doprowadzić Wróblewskiego, gdyby nie doświadczenie abstrakcji... O tym sfinks milczy...

Jeśli już zgadzamy się na obecność Wróblewskiego, to trudno pominąć milczeniem tak zaskakującą nieobecność dzieła Henryka Berlewiego. Wyeliminowania Berlewiego z selekcji paryskiej nie da się wytłumaczyć inaczej jak argumentami natury *polityki kulturalnej*⁴. Jako że polityka jest wrogiem każdej, choćby najbardziej elementarnie pojętej, uczciwości w stosunku do historii (sztuki — w tym wypadku)... Wspomniany zaledwie półstówkiem w przedmowie do katalogu Berlewi został „w pamięci”, tej wstydliwej „pamięci”, która do dziś dnia zabrania polskim krytykom mówić o książkach Gombrowicza. Jakby nie była dyskusyjną realna wartość teorii „mechano-faktur” Berlewiego i całokształtu jego dzieła, trudno pominąć je w pokazie „źródeł” polskiej sztuki nowoczesnej, z początkami której jego nazwisko jest nierozłączne. Kto inny jeśli nie Berlewi był pierwszym polskim konstruktywistą, który wystawiał w Berlinie w latach dwudziestych razem z El Lissitzkim i Malewiczem? Kto był łącznikiem ze środowiskiem niemieckim (między innymi z Kurtem Schwitterssem, którego koncepcje kompozycyjne poprzez Berlewiego odezwały się u Hillera) i przywiózł do Polski bagaż idei konstruktywizmu „technologicznego” w perspektywie nowych idei Bauhaus'u? Z nieustanną energią pisał on i działał aby zdobyć uznanie dla zapomnianej awangardy szkoły łódzkiej i dalej moskiewskiej. Temu zapałowi zawdzięczamy jedyną wartościową — z punktu widzenia dzisiejszego — wystawę polskiej awangardy abstrakcyjnej, która miała miejsce w Paryżu w roku 1957 w galerii „Denise René”. Wystawie pod tytułem „Précurseurs de l'art abstrait en Pologne”, na której po raz pierwszy po wojnie pokazano za granicami Kraju obrazy Stażewskiego, Strzebińskiego, Kobra, Malewicza i Berlewiego, patronował ówczesny ambasador PRL w Paryżu, był to jednak rok 1957. Jak dawno...

Poszukiwania awangardy

Druga część wystawy w pałacu „Galliera” bardziej nadaje się do dyskusji, gdyż z małymi wyjątkami — prezentuje jedynie artystów ostatnich kilku lat. Wrażenie całości nie jest pozbawione

4. Można wysunąć przypuszczenie, że w tym wypadku wzięto pod uwagę udział Berlewiego w dyskusjach berlińskich w latach sześćdziesiątych. Z tych samych powodów oszkalowano zresztą Gombrowicza, który w swoim „Dzienniku” relacjonuje te dyskusje publicznie. Należy przypomnieć przekonanie, z jakim Berlewi bronił swych pozycji — jedynie *estetycznych*.

pewnej nuty dynamizmu. Czasami pokaz ten wręcz zaskakuje odwagą młodych twórców. W pewnych wypadkach wydaje się jednak, że kryterium *nec plus ultra* nie zawsze opłaca się a specjalnie w wypadku tak odpowiedzialnej selekcji, która ma ambicje odzwierciedlać tendencje dzisiejszej szkoły polskiej. Przyzwyczajeni do dobrze znanych przykładów ekspresyjnej abstrakcji (Tchórzewski, Potworowski), nie możemy uwierzyć w tak radykalną zmianę tendencji estetycznych dzisiejszej plastyki nad Wisłą. Początkowy pomysł pokazania paryskim krytykom młodych, ambitnych twórców — inicjatywa z pewnością godna uznania — przetwarza się w „my też potrafimy”. Niemniej, na obronę organizatorów należy zaznaczyć, że na tle poprzednich polskich wystaw za granicą⁵ dzisiejsza odwaga dyrektora Stanisławskiego jest posunięciem, które wyłamuje się ze skostniałych przyzwyczaję i pozwala rokować ciekawsze inicjatywy na przyszłość.

Dzieła Jaremiarki i Makowskiego zostały wtopione w kalejdoskop sztuki współczesnej; kalejdoskop, który nie potrafił uniknąć wartości chwiejnych lub po prostu nie pozyskujących zaufania krytyka. Trudno zgodzić się z kredytem, jaki organizatorzy wystawy ofiarowali surrealizmowi niskiego lotu, jakim tchną obrazy Linkego. Artysta ten cieszy się w Polsce niemałym uznaniem, ugruntowanym wieloletnią działalnością i tematyką, związaną z bolesnymi przeżyciami wojennymi, lecz elementy te — po części natury sentymentalnej — nie mogą wpłynąć na odbiór jego dzieł w Paryżu. To samo można powiedzieć o obrazach Jerzego Nowosielskiego, który jest jedną z tych dziwnie „polskich” wartości malarskich. Jego nie pozbawiona pewnego manieryzmu stylizacja jest z pewnością rażącym anachronizmem lat pięćdziesiątych. Jeśli w dodatku pomyśleć o dużej liczbie twórców, których zignorowano lub nawet celowo pominięto, to przedstawienie całej ściany obrazów Nowosielskiego zakrawa na sarkastyczny żart.

Ciekawym i odważnym krokiem jest wystawienie dzieł artystów najmłodszego pokolenia. Że czasami są one za bardzo „zachodnie”... Nie należy zapominać, że malarstwo z lat popaździernikowych, które dzisiaj ustaliło się prawie że instytucjonalnie w kategorii muzealnej, grzeszyło tą samą przesadą „inspiracji”. Dzieła Krasińskiego i Gostomskiego pokazują, że nasza młodzież artystyczna nie tylko potrafi kopiować, lecz też szczerze wczuć się w problematykę nowoczesnej plastyki. Nie darmo Krasiński uczestniczył w roku 1957 w wielkiej wystawie rzeźby, organizowanej przez muzeum Guggenheima w Nowym Jorku. Krasiński jest twórcą wrażliwym na problemy dzisiejszej cywilizacji „prefabrykatów”. Jego elementy plastyczne mówią o dziwnych, prawie że surrealistycznych (w pojęciu abstrakcyjnym tego słowa) kontaktach, które powstają między światem białej, wysterylizowanej materii (naszych uczuć) i niebieskim prefabrykatem

5. Przypomnijmy że nie tak dawno, gdyż w roku 1961, na wystawie polskiego malarstwa nowoczesnego w Musée d'Art Moderne pokazywano obrazy Cybisa, Eibischa...

„technologicznym”. Są one szczególnym rodzajem poetyki, która mimo pozorów okrucieństwa logicznego, jest odpowiedzią na odizolowanie człowieka od swojej własnej materii psychologicznej w obliczu niszczącego okrucieństwa technologii abstrakcyjnej, dehumanizującej.

Może najbardziej „polskim” twórcą na tej wystawie jest zakopiański plastyk Hasior, któremu wydzielono całą salę. Jego agresywny *pop art* podkolorowany jest jednak typowo polskim romantyzmem. Tematyka dużych dekoracyjnych kompozycji odzwierciedla mitologię współczesnej młodzieży polskiej: tęsknota do mitów świata zachodniego (które w ten sposób stają się w Polsce mitami do drugiej potęgi) — poprzez portret Ursuli Andress — łączy się z samozaparciem mitu osoby bohatera (portret własny Hasiora, oprawiony w symbole teatralnego okrucieństwa...).

Geometryczna „perwersja” Zbigniewa Makowskiego zacieka wi z pewnością paryskiego widza solidną kompozycją i ciekawą tematyką „labiryntową”, niemniej prezentacja tych małych i „cienkich” w fakturze plastycznej rysunków w dużej sali, naprzeciw obrazów Jaremiarki, nie wydaje się udanym pomysłem wystawowym; giną one „w tłoku” innych dzieł o odmiennym — mocniejszym — natężeniu i wymowie plastycznej.

Nieobecni

Jak już wspominaliśmy na wstępie, tytułu wystawy w pałacu „Galliera” nie należy brać dosłownie, natomiast zadanie tej wystawy jest jak najbardziej przejrzyste. Postawiona obok dużej panoramy historycznej w Petit Palais, ma ona za zadanie pokazać polski dorobek plastyczny XX wieku ze szczególnym naciskiem na plastykę współczesną. Z wyjątkiem Berlewiego część *historyczna* spełnia godnie to zadanie, mimo że nie odpowiada całkowicie wymaganiom współczesnej muzeografii. Natomiast wobec, części współczesnej można by wysunąć sporo zasadniczych zastrzeżeń. Czy pokazane dzieła odzwierciedlają naprawdę „poszukiwania” polskich artystów powojennych? Broniącym tezy, że chciano pokazać poczynania ostatniej awangardy, należy odpowiedzieć pytaniem dlaczego w takim razie wystawiono dzieła Nowosielskiego, Wróblewskiego czy Linkego.

Pierwszym spostrzeżeniem, jakie nasuwa się po obejrzeniu wystawy w pałacu „Galliera” jest fakt, że pominięto na tym pokazie twórców uznanych i wartościowych — takich jak Wostan, Lebenstein, Fangor... Mamy nadzieję, że żaden z polskich organizatorów wystawy nie zapomniiał o nagrodzie, uzyskanej przez Lebensteina na paryskim Biennale, ani o jego późniejszych sukcesach, o dziele które w cyklu „Bestiaire fantastique” dorównuje „materiologiom” Dubuffet’a, stawiając jednocześnie problem nowoczesnego ekspresjonizmu. A cóż powiedzieć o Wostanie, którego wielka retrospektywa w Warszawie nie mogła dojść do skutku

z powodów, których trudno szukać gdzie indziej, jak nie w tak zwanej koniunkturze *polityki kulturalnej*; nie wolno ignorować twórcy, którego dzieła od lat znajdują się w salach paryskiego Musée d'Art Moderne. Po tych przykładach trudno dziwić się, że tacy ciekawi malarze jak Proweller czy Józef Jarema nie znaleźli się w salach pałacu „Galliera”. Co prawda, podobnie jak Lebenstein Proweller mieszka stale w Paryżu...

Mniej łatwym do wytłumaczenia faktem jest nieobecność na tej wystawie polskich tkanin i grafiki użytkowej — plakatu. Jak powszechnie wiadomo, są to jedyne dziedziny, w których współczesna plastyka polska może pochwalić się prawdziwymi sukcesami międzynarodowymi. Wielka szkoda, że nie dało się wygospodarować choćby jednej sali dla ciekawych tkanin Magdaleny Abakanowicz, lub dla produkcji atelier Tomaszewskiego, do którego młodzi francuscy graficy jeżdżą aby nauczyć się sztuki plakatu.



W porównaniu z dużą panoramą w Petit Palais wystawa w muzeum „Galliera” pokazała „lewicową chorobę” dzisiejszej krytyki. Chcąc zdecydowanie przeciwstawić się historii (sztuki), uległa ona pokusie „biennializmu”. Brak solidnej konstrukcji części „źródeł” i stanowczo za duża rozbieżność kryteriów, zastosowanych przy wyborze dzieł dzisiejszego pokolenia powoduje, że krytyk wychodzi z tej wystawy z dziwnym uczuciem niedosytu, niezrozumienia. Pytanie, na które chciałby otrzymać odpowiedź — „czym jest polska sztuka współczesna” — pozostaje częściowo w zawieszeniu.

Na zakończenie należałoby spytać czy mit „awangardy” jest wciąż aktualnym kryterium estetycznym? Otóż w ostatnich latach wydaje się że pozostaje on w tyle za bardziej beznamiętnymi i solidniej zbudowanymi spojrzeniami na przeszłość i współczesność. Zmęczeni nieustannym szantażem „awangardy”, stajemy dzisiaj w obliczu jej całkowitego braku, gdyż w praktyce artystom „wszystko wolno” z braku jakiegokolwiek dominującej doktryny estetycznej. Z powodu tego braku „kodu” wartości artystycznych zaczynamy powoli powracać ku sformułowaniom mniej spekulatywnym w swojej akrobatycznej semantyce (Marcel Duchamp, *minimal art*, neo-dadaizm czy *pop*), ku kryteriom łatwiej uchwytnym w praktyce artystycznej. Tak samo jak prosty — „goły” — kolor szkoły nowojorskiej (Stella, Kelly, Noland), — wartości neofiguracji zdają się przechodzić przez zasadniczy egzamin kryteriów czysto formalnych.

Andrzej NAKOV

Komunikaty

TORONTOŃSKIE TOWARZYSTWO PRZYJACIOŁ PARYSKIEJ KULTURY

W kwietniu br. powstało w Toronto Towarzystwo Przyjaciół Paryskiej Kultury. (Chochlik drukarski w komunikacie który ukazał się w czerwcowym numerze *Kultury* zmienił nazwę „Towarzystwo” na „Koło”). Australijskie i kanadyjskie Towarzystwa Przyjaciół Paryskiej Kultury zapoczątkują chyba organizację takich towarzystw we wszystkich krajach, do których *Kultura* dociera. Należy też sądzić, że rozsiane po całym świecie Towarzystwa Przyjaciół Paryskiej Kultury będą się z czasem kontaktować ze sobą, wymieniać doświadczenia i poglądy.

Torontońskie Towarzystwo postawiło sobie za cel, poza propagowaniem Kultury, ożywienie polonijnego życia kulturalnego. Spotkania członków i zaproszonych gości odbywać się będą w ostatnie czwartki każdego miesiąca i będą nosiły nazwę: „Czwartkowe Wieczory Towarzystwa Przyjaciół Paryskiej Kultury”. Pierwszy taki wieczór poświęcony był aktualnej problematyce młodzieżowej. Dyskusja, którą zapoczątkował krótką prelekcją dr Zbigniew Grabowski była bardzo ożywiona, gdyż — jak było do przewidzenia — dyskutanci podzielili się na dwa obozy. W obozie broniącym młodzież, obok młodych studentów obecnych na zebraniu, znaleźli się dojrzałym wiekiem dyskutanci, którzy nie zapomnieli jeszcze jak to sami mieli za złe swoim „starym”. Dyskusja ta na pewno skruszyła, w pewnej choćby mierze, argumenty tych, którzy atakowali młodzież i doprowadziła do wspólnego wniosku, że trzeba chcieć zrozumieć postawę młodzieży, z którą należy bardzo dużo rozmawiać. W przeciwnym razie rozdział między pokoleniami będzie się stale pogłębiać.

Drugi czwartkowy Wieczór będzie poświęcony krajowym sprawom teatralnym. Rozmowę, przy kawie, zapoczątkują impresje teatromana, który niedawno przyjechał z Polski do Kanady. Impresje te będą ilustrowane urywkami nagrań Wielkich Mistrzów Sceny Polskiej oraz czytanyymi, przez artystów Polonii Kanadyjskiej, scenami z kilku ważniejszych sztuk wystawionych w Polsce.

Dalsze Wieczory poświęcone będą dyskusjom nad materiałami drukowanymi w *Kulturze*, polskiej nowoczesnej muzyce, architekturze krajowej, prozie ostatnich lat.

W czasie jednego z Wieczorów odbędzie się aukcja dzieł torontońskich malarzy, rzeźbiarzy i innych artystów polskiego pochodzenia.

Na początku jesieni br. otworzy swoją scenkę zorganizowany przez Towarzystwo kabaret literacki z wieczorem piosenki i poezji. W nieco dalszej przyszłości zorganizowany zostanie teatr, w którego repertuarze 1969/1970 znajdzie się m.in. *Kram z Piosenkami* Schillera, jedna ze sztuk Mrożka, *Listy Chopina do Delfiny Potockiej*. W przedstawieniach tych wystąpią m.in. następujący artyści torontońscy: Jan Czarnecki, Irena Habrowska-Jellaczyc, Michał Olbryski, Wanda Olbryska, Danuta Samolewicz oraz polscy aktorzy mieszkający w USA.

Towarzystwo nawiązuje także kontakty z ludźmi pióra oraz innymi twórcami zapraszając ich na prelekcje lub Wieczory Jednego Aktora.

O życzliwości z jaką działalność, choć krótka, Towarzystwa spotkała się wśród Polonii Kanadyjskiej świadczą stale napływające zgłoszenia nowych członków i ożywiona korespondencja która m.in. przyniosła projekt założenia podobnego Towarzystwa w Montrealu.

KONGRES NAUKI I KULTURY POLSKIEJ

Na dzień 9-12 września 1970 r. został wyznaczony w Londynie Kongres Współczesnej Nauki i Kultury Polskiej na obczyźnie. Jednocześnie odbędzie się taki sam kongres w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Kongres Londyński organizują polskie instytucje naukowe, kulturalne i zawodowe w celu omówienia udziału wolnych Polaków w rozwoju nauki i kultury, utrzymania więzi pomiędzy polskimi uczonymi w wolnym świecie i omówienia położenia nauki i kultury w Kraju. Prace Kongresu obejmują następujące działy: I. Humanistyki i Kultury; II. Nauk Społecznych; III. Przyrodniczych; IV. Ścisłych; V. Technologicznych. Każdy dział będzie składał się z Komisji Naukowych, w których skoncentrują się prace w sesjach Kongresu.

Komitet Organizacyjny Kongresu, którego siedziba jest: 9, *Princes Gardens, London, S.W.7.* prosi wszystkie zainteresowane osoby o nadesłanie swego adresu w celu przesłania Komunikatu Informacyjnego Nr 1 zawierającego szczegółowe dane odnośnie organizacji Kongresu.

Uczestnictwo w Kongresie Współczesnej Nauki i Kultury Polskiej na obczyźnie może być trojakiego rodzaju:

- 1) Tylko osobiste uczestnictwo bez nadesłania referatu;
- 2) Uczestnictwo osobiste i nadesłanie referatu;
- 3) Tylko nadesłanie referatu bez osobistego udziału (przyjazdu) w posiedzeniach Komisji Naukowych.

Zgłoszenie uczestnictwa w Kongresie należy nadsyłać na adres Komitetu Organizacyjnego. Uczestnicy zamierzający nadesłać referat proszeni są o dotrzymanie terminu 30 września 1969, aby umożliwić druk referatów w zaplanowanym terminie. Jednakże termin zgłoszenia referatów z ich dwu stronicowym streszczeniem upłynął 30 czerwca 1969.

Zgłaszane mogą być tylko prace oryginalne niepublikowane uprzednio: w językach polskim, angielskim, lub francuskim. Nie powinny przekraczać 5.000 słów (20 stron maszynopisu *in quarto* z interlinią).

Będą one stanowić I tom materiałów Kongresu i zostaną rozesłane do uczestników co najmniej na dwa tygodnie przed Kongresem.

Przebieg prac Kongresu i dyskusja, dodatkowe referaty i inne materiały wydane będą w II tomie materiałów Kongresu w ciągu 1971 roku.

Kongres Londyński odbędzie się w budynkach „Imperial College” Uniwersytetu Londyńskiego, South Kensington, London, S.W.7.

Najnowsza historia Polski

w wersji sowieckiej

Chryzantemy

Tak, pamiętam, że poczynając od Szepietówki jechaliśmy w całkowitej ciemności. Otrzymaliśmy rozkaz — wszystkie światła mają być zgaszone, zbliżać się do granicy w niezauważalny sposób. Byliśmy młodzi, nieostrzelani, zaabsorbowani myślą o zbliżającym się marszu, więc ściśle przestrzegaliśmy rozkazu. Eszelon zatrzymywał się od czasu do czasu, wyskakiwaliśmy z wagonów, żeby rozprostować nogi, ale nikomu nawet do głowy nie przyszło, by potrzebować zapalkę, zapalić. Tylko między roletami wagonu, gdzie znajdował się sztab, ledwie przebijało się niepokojące, niebieskie światło.

Nikt z nas dotychczas nigdy nie powąchał prochu, ale, rozumie się, zachowywaliśmy się tak, jak gdybyśmy byli co najmniej weteranami z bitwy pod Borodino. Nie, nie chełpiliśmy się, naturalnie, zachowywaliśmy się jak zazwyczaj, niczym nie zdradzając naszego podniecenia. Ale wszyscy byli podnieceni. Moim zdaniem, żaden nie tchórzył, nasz niepokój był zupełnie innego rodzaju, wynikał z osobliwego znaczenia marszu, w którym mieliśmy wziąć udział.

Leżeliśmy na górnych półkach wagonu i cichutko śpiewali. Właściwie, śpiewał jedynie nasz solista, Akimow, a myśmy mu wtórowali, a potem milkli. Leżeliśmy, słuchali pieśni i łoskotu kół.

Mnie samemu wydaje się to bardzo dziwne, ale gotów jestem przysiąc, że pamiętam, jaką mianowicie piosenkę Gienka Akimow wtedy zaintonował. Słowo honoru! Tyle lat przeminęło, tyle różnych pieśni odśpiewaliśmy od owego czasu, a jednak wyobrażacie sobie — słyszę jakby to było dziś! Gienka zaintonował wtedy starodawną furmańską piosenkę. Zaczyna się tak:

*Jakoś trudno,
jakoś nudno,
dni się wloką bylejakie —*

*a zdarzało się,
a śpiewało się
z czapeczką na bakier.*

Zdawało się, że zarówno rozlewna melodia, jak i słowa tej piosenki całkiem nie odpowiadały naszym nastrojom. Wprawdzie woźnica tęsknił za swoją Lubką, którą stracił, a myśmy także odjeżdżali coraz dalej, coraz dalej od naszych ukochanych... Może właśnie dlatego tak w sam raz dopasowała się ta stara pieśń? Nie, nie dlatego. To się zdarza jedynie bohaterom kiepskich filmów. Zazwyczaj ludzie szukają w śpiewie czegoś zupełnie innego. Nie ilustracji do swoich uczuć, lecz samej ich istoty, ich ducha, czy czegoś takiego... Nie wiem jak to wyrazić.

Gienka — to już nie tylko to, że gardziel miał niezmordowaną — świetnie wyczuwał sens pieśni. Na postoju, na przykład, albo jak teraz w wagonie, nigdy nie śpiewał tak samo jak w marszu.

Jechaliśmy, za oknami wagonu przebiegały mroczne gaje. A nad nimi myszkowały w niebie długie, zadziwiająco proste promienie reflektorów. Były mglisto-błękitne i tylko ich końce, wparte w zachmurzone niebo, przechodziły w białość. Promienie długo obszukiwały jedną chmurkę, aby potem nagle i szybko przeciąć strop nieba na pół. Jeden promień uderzył po naszym eszelonie, oślepiające światło oblało nas na jedną chwilę, a potem stało się jeszcze ciemniej niż poprzednio. Kiedy oczy znowu przyzwyczyły się do mroku, spostrzegliśmy, że zbliżamy się do jakiejś stacji. Obok peronu stały nieruchome topole, podobne do sztandarów zwiniętych w pokrowcach.

Jaka to była stacja? Zdaje się, że nawet wtedy tego nie wiedziałem: maszynista zatrzymał pociąg daleko za stacją i nie zdążyłem przeczytać nazwy. Włożyliśmy hełmy, schowaliśmy furażerki do plecaków i z karabinami w rękach stanęliśmy w szeregu na szosie idącej wzdłuż toru kolejowego.

Początkowo maszerowaliśmy nieskładnie, zdrętwiałe nogi odmawiały posłuszeństwa. Ziębiło, to znaczy że wkrótce zacznie się świt, wrześniowe poranki są chłodne. A po zaduchu, panującym w wagonach, ten chłodek przed świtaniem specjalnie dawał się we znaki. Ale maszerowaliśmy dość szybko, wkrótce rozgrzaliśmy się i zrobiło się nam wesoło.

Z szosy zeszliśmy na błotnistą polną drogę. Solidny most na jakiejś rzeczulce. Znowu polna droga. Dowódca coraz to uprzedzał: „Patrzeć pod nogi!”. Jeden po drugim przeskakiwaliśmy przez wyboje, wypełnione wodą. Ale tych wybojów było tyle, że wkrótce przestaliśmy zwracać na nie uwagę. Maszerowaliśmy przez kałuże, aż wpadliśmy na pomysł, żeby zejść na pole. Marsz

połem okazał się o wiele łatwiejszy, tym bardziej że rzeczywiście zaczęło już świtać.

Zaraz na pierwszym postoju lejtenant Niedola, dowódca naszego plutonu, położył na kolanach mapnik, rozłożył polową mapę i powiedział:

— A więc tak, towarzysze, przed kilkoma minutami przekroczyliśmy była granicę.

Nikt z nas nie przypuszczał, że stanie się to w tak zwyczajny sposób. Gdy poprzedniego dnia odczytano nam rozkaz wymarszu, wyobrażaliśmy sobie przejście granicy zupełnie inaczej. Wprawdzie była to granica niedorzeczna, sztuczna, ale przecież istniała przez dwadzieścia lat. Szykowaliśmy się do boju, czyściliśmy karabiny i na wszelki wypadek podawaliśmy sobie nawzajem adresy naszych krewnych. Wydawało się nam, że słyszymy strzały, wybuchy i nasze własne głosy, łączące się we wspólnym „hurra”, w chwili gdy... I właśnie ta chwila przyszła, przeminęła, a myśmy jej nawet nie zauważyli.

Lejtenant pozwolił mnie, Akimowowi i Korfowi pobiec i obejrzeć granicę. Byliśmy razem w tym samym oddziale dopiero od tygodnia, ale już zdążyłem zaprzyjaźnić się z Gienkiem Akimowym i Romkiem Korfem; nazywano nas „akimowską trójką”. Była granica znajdowała się niedaleko od miejsca gdzie szosa przechodziła w polną drogę. Malutka rzeczulka, nie rzeczulka nawet lecz strumień. Na obydwu brzegach czarnoziemne pola, ta sama, oczywiście, zupełnie jednakowa ziemia ukraińska.

Podchodziliśmy trochę po brzegu i nawet odnaleźliśmy słup graniczny, który leżał na ziemi. Końcem buta Romek zeszkrobał błoto, zobaczyliśmy pomalowany w pasy słup, rozłupany przez dziesiątki pancernych gąsiennic. Nieco bardziej ku północy zaczynał się las. Ciągnął się po obu stronach strumienia taki sam żółknący już las, z wybijającymi się ciemnozielonymi plamami sosen.

Kiedyś wrócili, już podano komendę zbiórki w szeregach. Akimow pobiegł do przodu, ponieważ jako solista powinien maszerować w pierwszym szeregu. Wyrównaliśmy szeregi i ruszyli dalej.



— Czemuś się zamyślił? — zapytał Roman Michajłowicz.

Grigorij Iljicz podniósł głowę, uśmiechnął się, postawił filiżankę na stole.

— Przypomniałem sobie pierwszy dzień naszego pochodu. Właściwie — pierwszy poranek. We wrześniu tysiąc dziewięćsetnego trzydziestego dziewiątego roku.

Przez te całe długie lata nie spotkali się ze sobą ani razu.

I nagle — dzwonek przy drzwiach, na progu — wysoki, szczupły pułkownik.

— Przepraszam, chciałbym zobaczyć się z towarzyszem Grigorjem Iljiczem Gruszewskim.

— Bardzo proszę.

Pułkownik wszedł i przystanął, patrząc prosto w oczy gospodarza. Stali tak przez krótką chwilę, aż wreszcie Grigorij Iljicz zawołał:

— Romka!

— Tak, Grisza, to ja.

Przez parę minut trwali w objęciach, poklepując się nawzajem po plecach. I przez cały czas Grigorij Iljicz wykrzykiwał imię przyjaciela:

— Romka, słowo honoru, Romka! Faktycznie Romka! Popatrz-no — pułkownik-inżynier! Zuch z ciebie. Romka!

— Poznałeś jednak, łobuzie! — mówił w tym samym czasie pułkownik. — Prawie od razu poznał, nawet zaintrygować go nie mogłem. To znaczy, żeś nie zapomniał?

Już w gabinecie pułkownik rozsiadł się w wygodnym fotelu i zapytał:

— Jesteś sam, Grisza?

— Sam. Żona z synem na letnisku.

— Dużego masz syna?

— Jedenaście lat. Przeszedł do piątej klasy.

— A ja, bracie, mam córkę. Studentka. Tu u was się uczy, na moskiewskim uniwersytecie.

— A ty gdzie masz przydział?

— Daleko, Grisza. Na Dalekim Wschodzie. Ale stołeczne dzienniki docierają i do nas. Jak tylko zobaczę podpis Grigorij Gruszewskij, obowiązkowo muszę przeczytać. Każdy twój artykuł to dla mnie jakby pozdrowienie od starego przyjaciela.

— Dlaczego nie dałeś znaku życia? Córka przecież także mogłaby zajrzeć, a i ty na pewno nie raz przez tyle lat byłeś w Moskwie.

— No, wiesz, moja córka do takich zleceń nie nadaje się. Zbyt wstydliva. Kiedyś jej zaproponowałem, żeby do ciebie zajrzała, a ona tylko ramionkami wzruszyła. Czymże — powiada — mogłabym go zainteresować? Na pewno — powiada — ciebie także nie pamięta.

— Z tego wynika — roześmiał się Grigorij Iljicz — że raczej dumna, niż wstydliva.

— Być może. A najprawdopodobniej i jedno i drugie. Osobiście, rzadko kiedy przyjeżdżam do Moskwy. Byłem kiedyś, za-telefonowałem do redakcji. Nie ma — powiadają — Grigorija Iljicza, wyjechał służbowo zagranicę.

— To było zeszłego lata?

— A właśnie.

— No tak, akurat poleciałem na Kubę.

— Widzisz więc sam, że nie tak łatwo ciebie zastać. Przyjechałem teraz na konferencję. Zdarzył się wolny wieczór, do wiedziałem się w informacyjnym biurze twojego adresu i postanowiłem złożyć wizytę. Na szczęście okazało się, że mieszkasz niedaleko od naszego hotelu. A nuż, pomyślałem, nie wyrzuci. Powiedz mi uczciwie, czy ciebie nie oderwałem od jakichś pilnych spraw. A może wybierałeś się do żony?

— Nie, żona z synem daleko, jeżdżę do nich raz na tydzień, w niedzielę. A co do pilnych spraw... Kubańscy, Romka, mówią w takich wypadkach, że „jak przyjaciel się zdarzy, to czas zawsze się znajdzie”.

— Jeżeli tak, to pięknie dziękuję — powiedział Roman Michajłowicz. Widząc, że Grigorij Iljicz podszedł do kontaktu, dodał: — Póki co, światła nie zapalaj. Jeszcze widno i oczu nie będzie razić.

— Dobra. No to przyjacielu, przenocujesz u mnie. Wypada, że musimy o tym i owym pogadać... Wiesz, my to tak załatwimy. Wyskoczę teraz na jakieś dziesięć minut, nie więcej. Posiedzisz sobie, masz tu ostatnie numery czasopism. Zaraz wrócę.

— Pewnie do sklepu? Po koniak?

— A właśnie.

— Niepotrzebnie. Nie pijam. Skończyło się.

— Lekarze?

— Nie, na razie lekarze nie czepiają się. Po prostu Grisza, straciłem w tym kierunku wszelkie zainteresowanie. Serca do tego już nie mam.

— No to przynajmniej kupię buteleczkę wytrawnego wina. Przecież trzeba jakoś uczcić spotkanie.

— Po wino wystarczy pójść do przedpokoju: mam w teczce butelkę „Cynandali”. Możesz naparzyć mocnej herbaty? No to świetnie. Nigdzie włączyć się nie musisz.

Tak też zrobili. Siedzieli, pili gorącą, mocną herbatę o kolorze dukatowego złota, pociągali chłodne, koloru jasnego złota wino i prowadzili szczerą, powolną rozmowę. Grigorij Iljicz trochę dziwił się, że tak dobrze czuje się w towarzystwie tego człowieka, dużo lepiej niż w towarzystwie wielu obecnych przyjaciół. Od czasu do czasu zasypywali się nawzajem nie kończącymi się w takich wypadkach pytaniami: „A pamiętasz?” Kiedy indziej milkli, całkowicie we władzy wspomnień. Jeden drugiego rozumiał z półsłowa, wystarczała jedna żartobliwa uwaga, pozornie sprzeczna z intencją zawartej w niej treści. A przecież ich przyjaźń trwała zaledwie dwa tygodnie i działo się to przed

ćwierćwieczem! Jakaż to twarda kora obrasta nas w wieku lat pięćdziesięciu, że już nie potrafimy tak zbliżyć się do ludzi, nie umiemy trafiać na takich dobrych przyjaciół, jakich zwyczajnie i bez trudu znajdowaliśmy w młodości?



— Tak, Grisza, wrześniowy pochód zapamiętałem na zawsze. Nigdy go nie zapomnę, chociażbym żył jak najdłużej, mimo że wzięłem w nim zaledwie kilkudniowy udział. Przecież wtedy zostałem ranny pod Andrzejówką... — Romka Michajłowicz, odruchowo dotknął ramienia, które było ranne. — Wyście poszli dalej, a mnie zabrali do szpitala, najpierw do Zbaraża, potem do Szeptówki. Wałkoniłem się tam prawie przez całą zimę... A w czasie Wojny Ojczyźnianej gdzie byłeś?

— Ba, gdzie nie byłem! Najpierw w Pospolitym Ruszeniu pod Leningradem, potem za Kołem Podbiegunowym, potem na Drugim Białoruskim Froncie, potem w Polsce... A ty?

— Na Pierwszym Froncie Ukraińskim.

— Wojowałeś może pod Gdynią?

— A tak. I Gdynia i Gdańsk.

— Pomyśl tylko! Akurat tam mogliśmy się byli ze sobą spotkać. Na wiosnę czterdziestego piątego wojowaliśmy w tych samych miejscach.

— Zgadza się! Myśmy wtedy współdziałali z oddziałami Drugiego Białoruskiego Frontu. Dobrze mówisz! Wiesz, Grisza, co ci chciałem powiedzieć? Gdyby mnie, na przykład, zapytano (wiesz, niektóre czasopisma teraz różne pytania zadają): „Jakie wydarzenie w życiu naszego kraju utrwaliło się najbardziej w waszej pamięci?” — to bym odpowiedział: „Wyzwolenie pochód Armii Czerwonej we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku”.

— Najbardziej dla ciebie pamiętny? A wojna Ojczyźniana?

— Może niezbyt ściśle to wyraziłem. Powiedzmy, że to było wspomnienie najbardziej bliskie sercu, najbardziej wzruszające...

— A jednak...

— Nie, Grisza, nie zbijaj mnie z pantałyku. Wiedziałem, że mi to powiesz. Pewnie, że dla naszego pokolenia nie było i — tak myślę — nie będzie wydarzenia bardziej pamiętnego, bardziej tragicznego, a zarazem bohaterskiego, jak Wojna Ojczyźniana. Tu nie ma o co się spierać. Tylko że o czym ja mówię? Mówię nie w imieniu całego pokolenia, lecz osobiście od siebie. A to, bratku, nie zawsze się pokrywa, choćbyś nawet był najbardziej typowym przedstawicielem tego pokolenia. Rozumiesz mnie? Inna sprawa dziejowe znaczenie wydarzenia, a inna — jego odbicie w duszy poszczególnego człowieka. Zdobycie Berlina — to wyda-

rzenie pierwszorzędnej wagi, tak? Ale założmy, że ty Berlina nie zdobywałeś i osobiście bardziej ci się wraziło w pamięć wyzwoleń Gdyni. Zostawiło mocniejszy ślad w twojej duszy. Czy nie może tak być?

— Naturalnie. Ale przecież ty...

— Zaczekaj. Być może, dlatego że byłem wtedy młodszy, a wrażenia młodości zawsze są najsilniejsze... Może dlatego, że to była pierwsza bitwa w moim życiu, pierwsza rana i pierwsze odznaczenie bojowe. To przecież wszystko ma swoją wagę, wszystko znaczy. I pomyśl, Grisza, czy to rzeczywiście było tylko subiektywne? Podczas Wojny Ojczyźnianej zazналиśmy zarówno gorzkiej klęski jak radości zwycięstwa. Ogromnej radości! Ale zanim ta radość przyszła, najedliśmy się tylu nieszczęść, takeśmy się zacięli w okrucieństwie, takeśmy się zahartowali, że wszystko się w naszych duszach wypaliło... A wtedy chłonęliśmy jedynie radość! Pamiętasz, Grisza, jak nas witano na Zachodniej Ukrainie?

Grigorij Iljicz milcząco skinął głową.

... Na przodzie, pokonując nieznaczny opór przeciwnika, szły oddziały pancerne i Kozacy kubańscy. Posuwali się wzdłuż głównych linii komunikacyjnych, zdobywali większe miasta, tak że nasza dywizja przychodziła pierwsza do wielu wsi, osiedli i miasteczek, a tych na zachodnioukraińskich ziemiach nie zliczyć. Jakież to były spotkania!

Gdyśmy się zbliżali, cała ludność wylegała za opłotki — kobiety, starzy dziadkowie, młodzi chłopcy; wielu z nich ledwie w przeddzień uciekło z armii pańskiej Polski i nawet jeszcze nie zrzuciło żołnierskich mundurów. To zrozumiałe: czym mieli zastąpić mundury? Cała reszta przecież w parciankach, w łapciach... Bose dzieciaki to o całą wiorstę wybiegały ze wsi na spotkanie naszej kolumnie.

Jakiś dziadek wycierał ciemną pięścią jakże niezwyczajne łzy i mówił:

— Dwadzieścia років... Dwadzieścia długich років my na was czekały, bratowie nasi rodzeni!

Lejtenant Niedola, który nadawał się temu dziadkowi raczej na wnuka niż na brata, z pewnym zakłopotaniem tłumaczył dla tych żołnierzy, którzy nie rozumieli po ukraińsku:

— Powiadają, że czekali na nas od dwudziestu lat.

Ale już następnego dnia i te słowa i wiele innych nie wymagały tłumaczenia; wszyscy je rozumieli.

Obdarowywano nas jabłkami, a nie brać znaczyło obrazić tych ludzi, którzy chcieli jakoś wyrazić swoją wdzięczność. Na pewno przez całe życie nie zjedliśmy takiej ilości jabłek, jak owej jesieni.

Całymi dniami maszerowaliśmy na zachód, tylko na noc zatrzymywaliśmy się we wsiach. Ale sypialiśmy niewiele: nawet u najuboższego gospodarza domu na stole zjawiała się butelka gorzałki, i pamiętam — Romka nie zachowywał się tak wstrzemięźliwie, jak obecnie.

Ale, wprawdzie na krótko, zatrzymywaliśmy się również i za dnia; prawie wszędzie, gdzieśmy się zjawiali, organizowały się żywiołowe wiece. Radość wyzwolenia, wzbierająca w ludzkich sercach, domagała się ujścia, sama wylewała się na zewnątrz. Niemal każdy chciał się wypowiedzieć, zaś słuchaczy entuzjazmowało już to, że mogli swobodnie słuchać z trybuny dźwięków ojczystej mowy ukraińskiej. Wśród mówców prawie zawsze byli zachodnioukraińscy komuniści, których po latach więziennej udręki ledwie w przeddzień uwolniły nasze czołowe oddziały. Każdy wiec kończył się „Międzynarodówką”:

Słysz — surmy grają...

Nie mieliśmy orkiestry (na pewno była, ale gdzieś daleko od naszej kompanii — przy sztabie pułku). Ale słowo honoru: słyszeliśmy te surmy, grające wówczas nad całą Zachodnią Ukrainą! „Zdobędziem ludzkie prawa” — śpiewali ludzie w nędznych, połatanych ubraniach, z czerwonymi opaskami na rękawach, ludzie o wynędzniałych twarzach i oczach płonących nadzieją.

W pewnym miasteczku... Zdaje się, był to Zbaraż... A może Kowel? Oddział Czerwonej Gwardii powitał nas salwą z dziesięciu karabinów, to byli miejscowi robotnicy i rzemieślnicy, którzy jeszcze na dzień przed naszym przybyciem pochwycili władzę w swoje ręce. Na noc rozłożyliśmy się w opuszczonych koszarach, nad których bramą widniał napis: „Trzeci pułk strzelców konnych imienia hetmana polskiego królestwa, Stefana Czarnieckiego”. Tam po raz pierwszy zobaczyliśmy karne cele, długi korytarz takich karnych cel. Zrozumieliśmy wtedy lepiej niż uprzednio opowiadania o carskiej armii.

Zajęliśmy jedno skrzydło koszar, zaś w drugim nocowali więźci do niewoli polscy oficerowie. Z jednym z nich doszło do rozmowy. Był to niemłody już jegomość, mówił po rosyjsku dość swobodnie, chociaż z widocznym akcentem.

— Przeciw wam — powiedział — walczą jedynie ostatni idioci. Tych nigdzie nie brakuje, jest ich dosyć także w polskiej armii, ale skoro jest ich tak wielu, po cóż mam zwiększać ich ilość? Podałem się wam przy pierwszej okazji. Ale nie sądzicie, panowie, że ja w ogóle nie pragnę walczyć. Raczej odwrotnie: podałem się teraz dlatego, że chcę walczyć z naszymi prawdziwymi wrogami. A ci wrogowie nie tu, lecz tam na zachodzie. Ich

czołgi miazdzą nie ukraińską, lecz polską ziemię. Już zajęli Kraków i Bydgoszcz... Być może, już krzyczą swoje *Heil* na ulicach Warszawy.

Jasne, mądre oczy Polaka spojrzały przez okno, ponad dachy, za którymi ledwie zaszło słońce. Dodał cichym głosem: — To są także wasi wrogowie. Teraz potrzebna im Warszawa, a potem będzie im potrzebna Moskwa.

Mówiąc szczerze, myśleliśmy mniej więcej to samo co ów jeniec wojenny. Tyle tylko że do głowy nam nie przyszło, że jego przepowiednia urzeczywistni się po niespełna dwóch latach.

Wczesnym rankiem jeńcy polscy stanęli w dwuszeregu i pod konwojem, który był raczej symboliczny, odeszli ku wschodowi. A na podwórzu natychmiast wjechały sanitarne samochody i w opróżnionym skrzydle koszar umieszczono szpital.

Ci z rannych, którzy mogli chodzić wyleźli z samochodów i wałęsali się po podwórzu. Jeden z nich, kawalerzysta, którego natychmiast otoczyli nasi żołnierze, opowiedział że gdzieś pod Tarnopolem na spotkanie naszego konnego patrolu wyszły wystrojone panienki z olbrzymimi bukietami kwiatów, a potem spod tych bukietów wyciągnęły rewolwery i rozpoczęły strzelaninę. „Takie żmije! — zakończył kawalerzysta swoje opowiadanie. — Strzelały z najbliższego dystansu”.

— Zupełne idiotki — powiedział Gienka Akimow, przypominawszy sobie, widać, słowa wziętego do niewoli Polaka. — Nieszczęsne fanatyczki...

A nam nic takiego się nie wydarzyło. Jeśli nie liczyć powitalnej salwy, tośmy do owej chwili nie słyszeli ani jednego wystrzału.

Trzeciego czy też czwartego dnia naszego marszu w dywizyjnej gazetce został wydrukowany mój wiersz. Dotychczas moje wiersze lądowały jedynie w ściennej gazecie szkoły budowlanej, a także w albumach znajomych dziewcząt. A tym razem wprawdzie niewielka, ale prawdziwa, drukowana gazeta. A także podpis: „Czerwonogwardzista, Grigorij Gruszewskij”.

W wierszu była mowa o żołnierzach, „którzy na swych stalowych hełmach przynoszą szczęście sowieckiej gwiazdy”, i o uśmiechach, jakimi „wszędzie nas wita, jak braci, lud co już o uśmiechach zapomniał”. Gdy wydawano obiad, podszedł do mnie Romka. W rękawie szynela sterczała złożona gazeta. Byłem prawie pewny, że usłyszę słowa zachwyty. No, przynajmniej umiarkowanego zachwyty. W najgorszym razie — żeby mnie nie wprawiać w zakłopotanie — zachwyty na poły zamaskowanego żartem.

Najpierw Romka długo wyskrobywał z menażki resztki „blondynki” (tak u nas nazywano jagłąną kaszę; kaszę gryczaną nazywano konsekwentnie „brunetką”). Potem starannie wycierał menażkę pęczkiem trawy. Wreszcie powiedział:

— Pisziesz o tych uśmiechach... I tak dalej. A czy czasem ci się nie wydaje, że te uśmiechy są skierowane pod niewłaściwym adresem? Że dotyczą wcale nie nas? Mam wrażenie, że znacznie większe prawa mają do nich ci, co idą na przodzie. Bo ja, wiem — iść w drugim rzucie i zbierać te wszystkie objawy wdzięczności...

Roman Michajłowicz jak gdyby czytał w myślach Grigorija Iljicza.

— A ja po dziś zachowałem tamtą gazetkę z twoimi wierszami — powiedział. — Niezniszczona. Myśmy wtedy liczyli bez pudła, że zostaniesz poetą.

— Proszę! Oto spóźnione uznanie! — roześmiał się Grigorij Iljicz. — Tak bardzo chciałem wtedy usłyszeć od ciebie choćby jedno słowo pochwały! Ale gdzie tam...

— Chciałeś! Tyś, braciszku, nie tylko chciał, lecz po prostu żądał. Jakiście na mnie — ty i Akimow — wsiedli, toście przez dwa dni zleźć nie chcieli. Że niby niczego nie rozumiem ani w poezji, ani w wojskowych sprawach, ani w polityce. Że niby zawadiactwa we mnie za wiele, a za to panowania nas sobą — ani za grosz. A już zwłaszcza Gienka Akimow aż wychodził z siebie. W ogóle chłopak był z wielkim temperamentem.

— Tak. Jak to dzisiaj się mówi, w byle kałuży potrafił wodę wzburzyć. A jak widzisz, poetą nie zostałem, tyle żem się stał dziennikarzem.

— Zwyczajne sprawy. Ja, na przykład, marzyłem o tym, żeby zająć się astronomią, kosmogonią, a zostałem zawodowym oficerem. Nie ja — inni na księżyc polecą. No cóż, każdy zostaje przy swoim. Może właśnie ten wrześnieowy pochód był dla nas księżycowym lotem? Co? A tym, którzy polecą... — Roman Michajłowicz zamilkł na chwilę, rozlał resztkę wina po równi do kieliszków. — Myśliwym życzy się, by jednego piórka na polowaniu nie uronili; marynarzom — tyle a tyle stóp głębokości w żegludze. Zaś astronautom? Żeby mieli powodzenie i ani jednego meteorytu po drodze. Czy nie tak?

Przyjaciele przepili do siebie.



...Pozornie nic się nie zmieniło. Chłodny ale rozświetlony wrześnieowy dzień, z obu stron drogi te same spokojne pola jakie oglądaliśmy z rana, takie same zagajniki na łagodnych wzgórzach. Okazało się jednak, że w wyniku stopniowego rozwijania frontu nasz oddział wysunął się na pierwszą linię. Nie było przed nami ani czołgów ani kawalerii. Jeszcze rankiem maszerowaliśmy na-

przód bez przeszkód. Teraz każdy nasz krok oznaczał posuwanie się frontu.

Gdy zapadł dzień, batalion otrzymał rozkaz opanowania wzgórza, zwanego „Stary Zamek”, i wsi Andrzejewka, położonej nieco dalej, gdzie znajdował się nowy zamek księcia Sława-Sawarowskiego.

Z daleka widzieliśmy wzgórze, panujące nad drogą. Powiadano, że przez lornetkę można było obejrzeć zamkowe baszty wśród olbrzymich stuletnich dębów. Według informacji naszego wywiadu, znajdowały się tam resztki pułku ułanów, rozbitego jeszcze pod Dubnem, oraz liczna grupa oficerska, a w jej składzie porucznik Sława-Sawarowski, młodszy syn obszarnika. Stary park i ruiny średniowiecznego zamku stanowiły świetną pozycję, całkowicie panującą nad szosą. Dlatego też przeciwnik postanowił właśnie tam stawić opór. Ułani zajęli pozycję na wschodnim stoku wzgórza, wśród ruin i potężnych drzew, żeby razić nas z góry, z bezpiecznych stanowisk.

Dowódca batalionu polecił naszemu plutonowi obejść wzgórze od zachodniej strony. Atakować nie było można, zbocze było zbyt strome, miejscami nawet urwiste, mieliśmy jedynie pozorować atak na tyłach, posiać, jeśli to było możliwe, panikę, zwrócić na siebie uwagę w chwili, gdy batalion zaatakuje wschodnie zbocze. Po czym mieliśmy zalec i uniemożliwić odwrót ułanów do Andrzejewki, żeby nie wypadło nam później ostrzeliwać wsi.

Żeby dojść do wzgórza od zachodu bez zwrócenia na siebie uwagi nałożyliśmy jakieś dwanaście kilometrów drogi. Wkrótce zaczęło zmierzchać. Wspinaliśmy się ostrożnie do góry, przedzierając się przez zwartą gęstwę jakichś krzewów. Kiedy od ruin dzieliło nas jakieś dziesięć metrów, lejtenant Niedola wystrzelił zieloną rakietę — sygnał ogólnego ataku. Podnieśliśmy niesamowity hałas, strzelaliśmy, rzucali ręczne granaty, krzyczeli hurra.

Ledwie ułani odpowiedzieli nam bezładną strzelaniną, nasi runęli do ataku na wschodnim zboczu. „Hurra” dobiegało do nas z dołu, nabierało siły, wzbierało jak fala za falą, nie mogły go zagłuszyć ani wybuchy granatów, ani karabinowe wystrzały, ani trajkotanie karabinów maszynowych.

Tuż koło nas, gdzieś z lewej strony, gdzie, jak się okazało, była ścieżka, przeleciało pędem trzech ułanów, leżąc na końskich szyjach. Przegapiliśmy ich, ale dwóch następnych, którzy rzucili po ręcznym granacie i próbowali uciec, rąbnęliśmy na miejscu. A tam w dole, od wschodu, nasi naciskali coraz mocniej i ułani rzucili się tłumnie do ucieczki. Rzucali karabiny i skakali z urwiska, na które gramoliliśmy się uprzednio. Ale w gęstwinie trafiali na chłopaków z naszego plutonu i od razu podnosili ręce do góry.

Walka nie trwała nawet pół godziny. Był to, naturalnie, drob-

ny epizod w historii wrześnieowego pochodu, ale myśmy czuli się tak, jak gdyby chodziło o wygranie decydującej bitwy. Mnie i jeszcze dwóch żołnierzy Niedola wysłał do sztabu — odprowadzić jeńców.

Kiedy wróciliśmy, wszyscy chłopcy już zeszli na drogę. Gdy padła komenda „do szeregu”, stanąłem pierwszy na prawym skrzydle, gdyż Romki nie było. Dowiedziałem się, że został ranny i zabrali go, kiedyśmy szukali sztabu.

Zdarzyło się to dwudziestego albo dwudziestego pierwszego września. Wynika więc, że nie widziałem Romki od owej daty. Chłopcy mi opowiedzieli, że podczas bitwy Roman dojrzał konie uwiązane gdzieś w ruinach, za metrowej wysokości ścianą zamku, dostał się tam, poprzecinał uździenice i, zanim go zraniono, zdążył spłoszyć prawie wszystkie konie. Zmusił ułanów do walki pieszej. Niektórzy jeńcy mówili, że właśnie ta okoliczność spowodowała, że się poddali. „Gdybyśmy mieli konie, to byśmy, być może, odskoczyli. A jak nie masz konia, to już nie jesteś ułanem”.



— To znaczy — zorientował się nagle Grigorij Iljicz — że nie wiesz nic, co się stało później, po akcji koło starego zamku, już w Andrzejewce?

— A skądże mam wiedzieć — wzruszył ramionami Roman Michajłowicz. — Przecież zmieniłem mój kierunek o sto osiemdziesiąt stopni. Mnie już wtedy wieźli w sanitarce.

— W takim razie to, co się stało, może ci się wydać ciekawe... Zaczekaj, pozwól, że sobie przypomnę... No więc pomaszerowaliśmy dalej. Według mapy od Starego Zamku do Andrzejewki raptem półtora kilometra. To znaczy, do obszarniczego majątku, do tak zwanego Nowego Zamku, a wieś znacznie bliżej. Dzieciaki wybiegają nam na przeciw, jak zawsze. Idziemy, nosy zadzieramy do góry, przybijamy krok — zupełnie jak na defiladzie. Zanim weszliśmy w opłotki, Akimow intonuje piosenkę, podchwyciliśmy — po naszymu, chwacko, z gwizdem. Akimow chytry chłopak, jeśli pamiętasz, zawsze starał się tak obliczyć, żeby pieśni starczyło co najmniej do środka wsi. A tu słyszymy przed nami wystrzały. Piosenka urwała się. Niedola krzyczy: „Za mną!”. Szeregi złamały się, biegniemy do przodu, karabiny ściągamy w biegu z pleców. Okazało się, rozumiesz, że ci trzej ułańscy oficerowie, którzy drapnęli ze wzgórze, postanowili rozstrzelać kobietę, miejscową nauczycielkę, która u nich siedziała w piwnicy Nowego Zamku. Znaczy się, cwałowali ze wzgórze, widzą — chłopci próbują otworzyć piwnicę. Przepędzili chłopów, zaczęli

strzelać do piwnicy przez dębowe drzwi: śpieszno było oficerom. A my już tu, w opłotkach...

— I co?

— Ano, jakeśmy podbiegli do zamku, te gadziny już cwałowały ku wylotowi wiejskiej ulicy. A było już ciemno, prawie zupełny mrok. Mimo wszystko któremuś z nas udało się postrzelić jednego konia. Jeździec usiłował uciec, ale chłopci go złapali.

— A co z nauczycielką?

— Rozbiliśmy kolbami zasuwy, otworzyliśmy drzwi, wyszła z piwnicy. Kobieta jeszcze młoda, nie była ranna, ale bardzo umęczona. Zrobiła kilka kroków i upadła twarzą ku ziemi. Chcieliśmy ją podnieść, a tu chłopci nas zatrzymują. „Nie ruszajcie — powiadają. — Książę karmił ją wyłącznie śledziami, zaś wody nie pozwalał dawać. Nie ruszajcie, niech się napije”. Ujrzelśmy, że przylgnęła wargami do kałuży. Naturalnie podnieśliśmy ją, daliśmy napić się z manierki. Zaraz też dowiedzieliśmy się, że to miejscowa nauczycielka. Osiemnastego września wtrącili ją do piwnicy. Rozumiesz, nasze samoloty zrzucały ulotki, dzieciaki pozbierały w drodze do szkoły. A jej przyszło do głowy, żeby jedną ulotkę przeczytać podczas lekcji... Chłopci zaprowadzili nas przez ogród do głównego wejścia do książęcego zamku. Duży ganek z kolumnami, marmurowe stopnie, ściany zarośnięte bluszczem, w ogrodzie różne greckie boginie bieleją między drzewami. Fontanna była, co prawda, nieczynna, a obok niewielkie ognisko — suche gałęzie palili... Na schodach leżały zgaszone wodą główne, kolumny okopcone, okienne ramy na pierwszym piętrze i węzłowate konary bluszczu były na pół zwęglone...

— A ty byś, Grisza, bez opisów krajobrazu. Dobra? Opowiadaj co było dalej.

— To słuchaj. Niedola i Akimow usiedli na skraju fontanny, nauczycielkę posadzili po środku, herbatnikami ją częstują. Ta śmieje się i płacze na przemian, herbatniki je, a rękami przytrzymuje Niedolę i Akimowa, jak gdyby nie wierzyła, że są przy niej. A ja stoję obok, gałęzie dorzucam do ogniska. Ten i ów z chłopaków wylaź na schody, wybierają się zamek zwiedzać. I nagle... Czy aby słuchasz!

— No, jakżeby! Oczywiście!

— Nagle otwierają się ciężkie zamkowe drzwi i na ganku zjawia się całe stadko młodych wystrojonych pańienek. Wystroiły się, jak gdyby wybierały się na bal! Długie suknie — tu ci i połyskliwe jedwabie, i cieniutkie koronki i drogie aksamity. I każda ma w rękach olbrzymi bukiet chryzantem. Wyobrażasz sobie widowisko? I czy wierzysz czy nie, każda z nich piękność jak malowanie! Po prostu jedna piękniejsza od drugiej! Ty się, Romka, nie śmiej, prawdę mówię... No, załóżmy, że światło księżycy

oszukało — akurat wtedy księżyc się pokazał, no więc romantyczne odblaski ogniska, no wszystko jedno. Ostatecznie, przyznaję, że wszystkim nie zdołałem dobrze się przypatrzeć, ale z jedną z nich zderzyłem się spojrzeniem i nie mogę od niej wzroku oderwać. A ta zbiega ze stopni i wyciąga ku mnie chryzantemy.

Grigorij Iljicz zamilkł, zaś Roman Michajłowicz, gdy na niego spoznał, połapał się że go wzruszyły te wspomnienia. Grigorij Iljicz uśmiechnął się — nie wiadomo czy do swego gościa, czy do tych wspomnień — i mówił dalej:

— Nie wiem, jak ty byś się zachował na moim miejscu; ja, uczciwie mówiąc, całkowicie się zagubiłem. Stoję — zamieniłem się w posąg, brwi nachmurzyłem, twarzą wyrażam kamienną surowość. „Nie — tak sobie myślę — nie przyjmę waszych kwiatów. I nikt z nas nie przyjmie. Jak już kule waszych ułanów nas nie zatrzymały, to wasza uroda też nas nie zatrzyma. Choćbyś była najurodziwszą z księżących córek...” Stoję, rozmyślam jakby to wszystko jej wypowiedzieć. Że niby z powodu tych waszych jedwabów-aksamitów andrzejewscy chłopcy paradują w parciankach. Że niby, czy to nie twój ukochany narzeczony Romkę poranił? Czy to nie twój wysoko urodzony braciszek do nauczycielki strzelał? Staram się nie patrzeć w jej czarodziejskie oczy, a na wszelki wypadek wzrokiem ten bukiet obmacuję: czy między łodygami nie trzyma rewolweru, albo też, możebne, ręcznego granatu. Jednym słowem, czujność przejawiam. To wszystko trwało, być może, jedną minutę, ale ona już ze dwa razy bukiet chciała wręczyć i bezskutecznie. Rozumiem, że i dziwi się i oburza... W owej chwili po raz pierwszy spojrzałem na jej ręce i od razu wszystko zrozumiałem. To były zgrubiałe ręce chłopskiej dziewczyny, o krótkich, obdartych paznokciach. Dopiero teraz zauważyłem, że jedwabna suknia wyraźnie nie pasuje do jej figury, że spod sukni wyglądają opalone, bosc nogi. I tak mi się, Romku, wstyd zrobiło, że ją dręczył bez powodu! Padłem przed nią — nie gorzej niż jakiś książę — na kolana i zacząłem całować jej ręce. Kwiaty jej wypadły, pochyliła się, objęła moją ostrzyżoną głowę, całuje, zanosz się śmiechem. Patrę — każdy z naszych chłopaków stoi z bukietem. Lejtenant, Gienka Akimow i inni. Zaczęliśmy we dwoje zbierać te chryzantemy.

Grigorij Iljicz siorbnał wystygłej herbaty.

— Tej samej nocy chłopcy, u których zatrzymaliśmy się nocować, opowiedzieli nam jak to wszystko się stało. Książę z całą rodziną, oprócz młodszego syna, trzy dni wcześniej wypłynął do Rumunii. Kiedy ułani zajęli wzgórze, biedota z Andrzejewki wdarta się do zamku, zaczęła rozbijać, podpaliła nienawistne książęce gniazdo. Ale wkrótce połapali się, że to nie ma sensu, że książę już nigdy tu nie powróci. Widocznie znaleźli się wśród nich

tacy, co mieli lepiej we łbach od innych. Pożar zgasili, nawet zorganizowali straż dla ochrony zamku. Jedyne co postanowili podzielić między sobą, to książecą garderobę. Dziewczęta się uparły. Zachciało się im wyjść na spotkanie Czerwonej Armii w drogich, strojnych sukniach i z takimi kwiatami z książęcego ogrodu, jakich nigdy przedtem w rękach nie miały.

Grigorij Iljicz zamilkł. W pokoju zrobiło się zupełnie już ciemno. Na ścianie naprzeciw okna miotał się świetlisty prostokąt: widocznie wiatr kołysał uliczną latarnię.

— Chyba zapalę światło — powiedział, wstając, Grigorij Iljicz.

— Acha — odezwał się Roman Michajłowicz.

— Być może — ciągnął dalej Grigorij Iljicz, po zapaleniu światła — z twego trzeźwego, technicznego stanowiska, wyda ci się to nieco sentymentalne, ale trzy płatki z jednej z tych chryzantem nosiłem ze sobą nawet podczas Ojczyźnianej Wojny. Miałem w tornistrze podręczny atlas powszechny, a w nim zasuszone płatki. Tak długo aż pocisk je rozniósł razem z całą ziemianką. Na szczęście, właśnie wtedy poszliśmy brać obiad z kotła...

— Grisza, nalej mi jeszcze jedną filiżankę.

— Czekał, podgrzeję. Herbata całkiem ostygła.

— Nie szkodzi, byle była mocna... O tak, dziękuję. Opowiadaj o sentymentalizmie. Inżynierowie, Grisza, także potrafią odczuwać. Jeszcze towarzyszył Karamzin zauważał coś niecoś na ten temat. Uczucia nie są obce nawet wojskowym inżynierom. A pamięć wrześniowego pochodów to, bracie, nie żadne sentymenty. Jakby to powiedzieć... Wiesz, mnie nawet trochę żal tych, którym nie było dane wziąć w nim udziału.

— Nie martw się o nich, Romka. Przecież powiedziałeś: każdemu co innego sądzone.

Aleksander SMOLAN

„Newa”, Leningrad. Nr 4 z 1969 r.

(Przełożył z rosyjskiego Józef Łobodowski)

PRZEDPŁATA
na książkę
FRANCISZKA KALINOWSKIEGO

pt.

LOTNICTWO POLSKIE W WIELKIEJ BRYTANII

będzie nieodwołalnie zamknięta 1 września rb.

Książka jest obszernym zarysem historii Lotnictwa Polskiego z lat 1940-1945, opracowanym na materiałach źródłowych polskich i angielskich. Obok kroniki działań bojowych wszystkich dywizjonów, opisów walk powietrznych, wypraw bombowych i poszukiwań okrętów podwodnych, autor naświetla szereg zagadnień ogólnych i wewnętrznych Lotnictwa Polskiego, rozpatruje krytycznie umowy lotnicze, stosunki polsko-angielskie, uzupełnienia dla lotnictwa, udział Lotnictwa Polskiego w transporcie powietrznym, w lotach szczególnego przeznaczenia i w wywiadzie, pomoc lotniczą dla Kraju, ze szczególnym uwzględnieniem Powstania Warszawskiego. Zestawienia statystyczne podają wysiłek bojowy każdego rodzaju lotnictwa, typy samolotów, zwycięstwa powietrzne dywizjonów i zwycięstwa indywidualne naszych myśliwców, straty w poszczególnych rodzajach lotnictwa.

Skorowidz nazwisk zawiera ponad tysiąc nazwisk lotników wszystkich stopni i specjalności którzy czymkolwiek się wyróżnili lub zasłużyli.

Objętość książki — 400 stron.

Cena w przedpłacie do 1 września 1969: 25 F lub równowartość tj. \$ 5,50; \$ can. 6; £ stg. 2.03.00. Cena w sprzedaży będzie znacznie wyższa.

Wydanie książki jest przewidziane na koniec bieżącego roku.

Wpłaty prosimy przysyłać na adres:

INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy,
78-Maisons-Laffitte (France).



W związku z trudnościami w przekazywaniu pieniędzy z Wielkiej Brytanii prosimy o przysyłanie czeków na adres autora, który podjął się załatwić subskrypcję zbiorowo przez swój bank.

Adres: F. KALINOWSKI,
5, Chiswick Village
LONDON, W.4.

Czeki należy wystawiać na nazwisko autora i przekreślić.

Wolny niewolnik

— *Marczenko, wkrótce wyjdziecie na wolność. Rozumiecie, że na wolności musicie się prowadzić i myśleć tak jak wszyscy? Wolność to nie obóz, gdzie każdy myśli po swojemu.*
— *Obywatelu naczelniku, i na wolności nie wszyscy myślą teraz jednakowo. Nie te czasy. Nawet komuniści pożarli się między sobą.*

Anatolij Marczenko: *Moi pokazania.*

Anatolij Marczenko, syn kolejarza i sprzątaczkii, urodził się w roku 1939 w małym miasteczku syberyjskim Barabińsku. Po ośmiu latach nauki rzucił szkołę i zapisał się na kurs wiertnictwa. Jako majster wiertniczy pracował w ekspedycjach geologicznych i w kopalniach rudy w rejonach Nowosybirsk i Karagandy. Był członkiem Komsomołu. Aresztowano go po raz pierwszy pod zarzutem udziału w bójce z zesłanymi w te strony Czeceńcami. Odsiedział swój wyrok w obozach Karagandy. Po zwolnieniu postanowił uciec zagranicę. Został schwytany na granicy perskiej pod koniec października 1960 roku i w marcu następnego roku skazany na sześć lat. Część kary odbył za kratami więzienia wladimirskiego, większość za drutami kolczastymi obozów w Mordowii (Potma). Przytoczona wyżej rozmowa miała miejsce w przeddzień zwolnienia, jesienią 1966 roku. Na wolność wyszedł prawie głuchy w wieku lat 27 i niemal dokładnie w czterdziestą dziewiątą rocznicę Rewolucji Październikowej. W Potmie zdążył jeszcze zaprzyjaźnić się z przywiezionym tam właśnie niedawno Danielem, który na pamiątkę i na nową drogę życia podarował mu książkę Lebedewa o Czaadajewie z wierszowaną dedykacją: „Tutaj ogłuchłeś, tutaj przejrzałeś; bądź dumny z niezwykłego

* Rozdział z książki pt.: *Upiory rewolucji*, która ukaże się w Bibliotece „Kultury” w lipcu rb.

osiągnięcia, nie każdy kto ma oczy widzi". W dniu zwolnienia, podczas rewizji na wartowni, szef KGB obozów mordowskich Postnikow kazał tę dedykację wyciąć i skonfiskować, wyjaśniając sentencjonalnie: „Widzicie, Marczenko, według mnie Daniel wyraził w tym wierszu swoje poglądy”. Więzień u progu wolności, gdzie „trzeba myśleć tak jak wszyscy”, wzruszył ramionami: „Oczywiście że swoje a nie cudze. Cóż w nich buntowniczego?”. Postnikow nie odpowiedział i wziął się do przeglądania zeszytów rewidowanego z wypisami z Lenina: „Widzę, Marczenko, żeście tu całego Lenina przeczytali. Chwali się, chwali się... Ale boję się, że z waszymi poglądami wróćcie do nas szybko”.

Major KGB okazał się dobrym prorokiem. Marczenko napisał na wolności pamiętnik więziennie-oboazowy *Moje świadectwo* i przyjechał z nim do Moskwy. Aresztowano go 29 lipca 1968 roku za „naruszenie nakazu przymusowego osiedlenia”. Oskarżenie nie było bezpodstawne (Moskwa jest dla ex-więźniów miastem zakazanym), ale w rzeczywistości chodziło o coś zupełnie innego: o obawę że przepisany na maszynie rękopis pamiętnika wejdzie w podziemny obieg *samizdatu*. Marczenkę skazano na rok łagrów. Jego pamiętnik zdołał już jednak dotrzeć do kopistów *samizdatu*, a stamtąd normalną dziś koleją rzeczy przeniknąć zagranicę. Oryginał rosyjski ukazał się w Paryżu. „Sprawa Marczenki” stała się w pewnym momencie dość głośna w Moskwie: zbierano podpisy pod protestem przeciw ponownemu zesłaniu go do łagrów, młoda uczona Irina Biełgorodskaja przypłaciła rokiem więzienia kolportaż ulotek w jego obronie.

Na blisko czterystu stronicach swego pamiętnika Marczenko opowiada ze spokojną trzeźwością to co przeżył i widział, nie siląc się na efekty literackie. Nie jest pisarzem. Jest robotnikiem z otwartą i podniesioną głową, bystrym i czujnym moralnie, przywiązanym do świadectwa własnych oczu i do głosu własnego zdrowego rozsądku. Nigdy nie przyjmuje niczego na wiarę, wszystko stara się sprawdzić i samodzielnie przemyśleć. Przez piekło więzień i łagrów przechodzi jak wolny wewnętrznie niewolnik, podobny w tym zresztą do wielu swoich towarzyszy niedoli. Jeden z rozdziałów jego książki poprzedzony jest słowami Gribojedowa: „Taką o tobie prawdę opowiem, że gorsza będzie od wszelkiego kłamstwa”. Mogłoby to być motto całego pamiętnika.

We wstępie do *Mojego świadectwa* pisze: „Kiedy siedziałem w więzieniu włodimirskim, ogarniała mnie nie raz rozpacz. Głód, choroba i co najważniejsze bezsilność, niemożność walki ze złem, doprowadzały do tego że gotów byłem rzucić się na moich nadzorców po to jedynie żeby zginąć. Albo w inny sposób skończyć z sobą. Albo samookaleczyć się, jak to robili inni na moich oczach. Jedno mnie powstrzymywało, jedno dodawało mi sił

w tym koszmarze: nadzieja że wyjdę i opowiem wszystkim o tym, co sam widziałem i przeżyłem. Dałem sobie słowo, że w imię tego celu zniosę i wycierpię wszystko. Obiecałem to moim towarzyszom, którzy na lata jeszcze zostali za kratami, za drutami kolczastymi. Zastanawiałem się nad tym jak wypełnić to zadanie. Wydawało mi się że w naszym kraju, w warunkach surowej cenzury i kontroli każdego wypowiedzianego słowa przez KGB, jest to niemożliwe. I bezcelowe: do tego stopnia wszyscy zdławieni są strachem i zniewoleni ciężkim bytem, że nikt nie chce znać prawdy. Dlatego myślałem że przyjdzie mi uciec zagranicę, żeby ocalić moje świadectwo przynajmniej jako dokument, jako materiał historyczny. Rok temu skończył się mój wyrok. Wyszedłem na wolność. Zrozumiałem że nie miałem racji, że moje świadectwo potrzebne jest mojemu narodowi. Ludzie chcą znać prawdę. Głównym celem moich notatek jest opowiedzieć prawdę o dzisiejszych więzieniach i łagrach dla więźniów politycznych, opowiedzieć ją tym którzy chcą słuchać... W ostatnich latach pojawiło się w druku trochę artystycznych i dokumentarnych utworów o łagrach. Prócz tego w wielu utworach mówi się o nich to przelotnie, to w sposób aluzyjny. Pełny i ostry wyraz znalazł również ten temat w rękopisach kolportowanych przez *samizdat*. Zdemaskowano więc łagry stalinowskie. Ta demaskacja nie dotarła jeszcze chwilowo do wszystkich czytelników, ale w miarę upływu czasu dotrze z pewnością. Dobrze że się tak dzieje, choć rzecz nie jest pozbawiona niebezpieczeństw: mimowoli powstaje wrażenie że wszystkie te opisy dotyczą wyłącznie przeszłości, że dziś nic podobnego nie może się zdarzyć. Skoro pisze się o tym nawet w gazetach, to oczywiście wszystko się u nas zmieniło, wszystko układa się jak należy, wszystkich odpowiedzialnych za zbrodnie ukarano a wszystkim ofiarom wymierzono nareszcie sprawiedliwość. Nieprawda. Ileż ofiar przywrócono do czci pośmiertnie, ilu zapomnianych siedzi i teraz w łagrach, ilu nowych więźniów posyła się za kraty i za druty; i ilu dawnych oprawców zajmuje dalej swoje stanowiska albo żyje spokojnie na emeryturze, nie ponosząc żadnej, nawet moralnej odpowiedzialności za popełnione czyny". Trudno niedwuznacznie postawić pod pręgierz przeszłość, jeśli „obecne sowieckie łagry dla więźniów politycznych są równie straszne jak stalinowskie. Pod pewnymi względami jest w nich lepiej, pod innymi gorzej”.

Nie da się, na podstawie książki Marczenki, przeprowadzić dokładnego bilansu „lepiej” i „gorzej”. Rdzeń systemu pozostał nietknięty: głód i katorżna praca jako narzędzia z jednej strony wyzysku najtańszej niewolniczej siły roboczej, a z drugiej rozbicia osobowości ludzkiej. Poprawa jest problematyczna i w ostatecznym rozrachunku zdradliwa. Większa ilość paczek żywności-

wych z wolności łagodzi nieco chroniczny głód, częstsze widzenia z rodziną przyhamowują nieco proces rozkładu psychicznego. Ale za oba „przywileje” trzeba płacić wzrostem *wyrabotki*, co dla katorżnika oznacza rezygnację z oszczędzania się, jedynej broni jaką dysponuje niewolnik zawieszony bezustannie między życiem i śmiercią. Ulgę powinno przynieść ograniczenie absolutnej samowoli administracji obozowej, a przecież w istocie sprowadza się ono do szukania etykietek i pozorów „praworządności” dla starych praktyk. Kiedyś można było więźnia zgnoić lub zabić szybko i bez żadnych obłonek, obecnie można go w razie potrzeby za byle wykroczenie dobijać powoli i na raty karcerem w majestacie „paragrafów” i „przepisów”. Okrucieństwo żelaznej pięści zamieniło się w oprawcach tytułem kompensaty w okrucieństwo papierowej głowy, i kto wie czy nie o nim myśli Marczenko gdy stawia diagnozę pogorszenia. *Izdiewatielstwo* biurokratyzowane bywa czasem bardziej dotkliwe niż nagi i jawny *proizwoł*, a przynajmniej jest mu równe. Z tego punktu widzenia czytelnicy nielegalnych manuskryptów krążących w tej chwili w Rosji nie dopatrzą się zapewne większych różnic między *Moim świadectwem* i *Opowiadaniem kołymskimi* Szałamowa.

Istnieją jednak różnice, choć Marczenko jest zbyt młody by sobie z nich w pełni zdawać sprawę. Najważniejsza polega na tym że od Dwudziestego Zjazdu (i mimo ciągłych prób rehabilitacji Stalina), poprzez upadek Chruszczowa aż po obecną chwiejną równowagę w „kierownictwie kolektywnym” nastąpiło w Rosji coś w rodzaju desakralizacji władzy. Za czasów *Innego Świata* czy *Dnia Iwana Denisowicza* nadzorcy w łagrach byli wykonawcami woli wszechpotężnego i mściwego demiurga, więźniowie składanymi mu w ofierze na ołtarzu niewolnikami. Był to układ niewzruszony, nieodwracalny, o cechach przeznaczenia: ani nie dopuszczał wahań u uciskających, ani nie pozwalał myśleć o buncie żyć uciskanym. Mógł trwać, dopóki trwał kremlowski demiurg. Scholmer opisuje bunt więźniów w Workucie wkrótce po śmierci Stalina, naturalnie krwawo stłumiony. Był to dzień narodzin nowego więźnia sowieckiego, wolnego niewolnika.

Przebudzenie się zaprawionej buntem wolności wewnętrznej za drutami łagrów uderza mnie najbardziej, jako autora *Innego Świata*, w pamiętniku Marczenki. O zasięgu i zaraźliwym charakterze politycznym zjawiska świadczy fakt, że są nim nawet objęte peryferie półświatka *urków*, „drugiej partii” więźniów kryminalnych. W latach moich doświadczeń obozowych *urka* odnosił się na ogół niechętnie, jeśli nie wrogo, do więźniów politycznych a swoją „ścienną gazetkę” tatuażu poświęcał rozmaitym *obsoenom* lub mnie czy więcej udanym maksymom o losie człowieka na naszym padole łez. Współczesny *urka* każe sobie na

twarzy, na piersiach i na wszelkich możliwych i niemożliwych (nie wyłączając wstydlivych) częściach ciała tatuować napisy polityczne; najczęściej występuje wśród nich samookreślenie *rab* z różnymi dopełniaczami: Chruszczowa (przed jego upadkiem), ZSSR, KPZR. Jest to rzecz jasna drobiazg, lecz znamienity dla każdego obytego trochę z łagami sowieckimi, bo uprzytamniający do jakiego stopnia zmieniała się w nich atmosfera. W tej nowej atmosferze nie należą bynajmniej do rzadkości demonstracje więźniów politycznych, z okrzykami „faszyści” rzucanymi z tłumu pod adresem *naczalstwa*. Częstsze, żeby nie powiedzieć: nagminne, wypadki samookaleczeń i samobójstw też zdają się mieć inny wydźwięk niż w przeszłości. Niegdyś autolezjonizm był próbą wydarcia się z trybów morderczej pracy, samobójstwo było gestem ostatecznej rozpaczy i ucieczką od przekleństwa katorgi. W łagrach opisanych przez Marczenkę wyczuwa się i w jednym i w drugim domieszkę niepohamowanej rewolty, jak gdyby więźniowie u kresu wytrzymałości sobie samym wymierzali ciosy przeznaczone w duchu dla innych, dla prześladowców.

Prócz desakralizacji Władzy, która więźniów wytrąca z dawnej paraliżującej pasywności a w nadzorcach podcina poczucie bezgranicznej pewności siebie (ciekawy jest w *Moim świadectwie* opis popłochu na obozowej *wierchuszce* po upadku Chruszczowa), dużą rolę odgrywa skład nowej fali więźniów politycznych. Przeważają w niej Ukraińcy, Białotowie i „leningradcy”, głównie ludzie młodzi, dla których Wielki Terror jest raczej historią niż snującym się dalej w pobliżu cieniem, bardziej zatem skłonni do oporu. „Łagry młodnieją... — notuje Marczenko. — Z młodzieżą trudniej administracji znaleźć wspólny język, jak lubi mówić *naczalstwo*. Przyciśniesz ją silniej, szarpie się jeszcze gwałtowniej. Nie ugina się, nie milczy, protestuje... Spróbowano knut zastąpić piernikiem: zaczęto tworzyć osobne młodzieżowe brygady i baraki. Spodziewano się że tak będzie łatwiej trzymać wszystkich w garści. Skutek był odwrotny. Wspólny język znaleźli błyskawicznie młodzi Ukraińcy i Litwini, Estończycy i Rosjanie, robotnicy i studenci”. Częściowe otamowanie wszechwładzy i wszechmocy knuta wpłynęło również na to, że odkurzono zarzuconą w łagrach stalinowskich *poligramotę*. Miejsce KWCz (*kulturno-wospitatielnaja czast'*), gdzie kiedyś udawano wypożyczanie książek potępieńcom niezdolnym do ich czytania, zajęła teraz PWCz (*politiko-wospitatielnaja czast'*) z ambitniejszym programem politycznego nawracania łamanych głodem, pracą i karcerem grzesników. I na tym polu spotyka „wychowawców” zawód. Więźniowie zapędzani siłą na *politbiesiedy* biorą w nich udział albo ledwie słuchając, albo — mimo groźby karceru — stawiając „provokacyjne pytania” prelegentom z wolności. Marczenko przytacza

typowy epizod. Na wieczorze urządzonym specjalnie dla Bałtów jeden z więźniów, młody student, wręcza mówcy w imieniu reszty swoich towarzyszy owinięty w papier bukiet z prośbą o „przewiezienie tych wyhodowanych tutaj kwiatów w nasze strony rodzinne”. Dobrotliwe uśmiechy na twarzach „wychowawcy” i asystujących mu kagebistów obozowych wykrzywiają się w grymas wściekłości, gdy papierowe opakowanie odsłania bukiet zrobiony z kawałków drutu kolczastego.

W *Stromej drodze* Jewgienija Ginzburg, leżąc na pryczy więziennej, rozmyśla o tym „jak względne są wszelkie światopoglądy a jak — na odwrót — absolutne te straszne męki, na które ludzie skazują się nawzajem”. W *Huraganie* Sieriebiakowa, również za kratami stalinowskiego więzienia, przypomina sobie słowa Büchnera o Dantonie: „Rewolucja, jak bóg czasu Saturn, pożera własne dzieci”. Pamiętnik Marczenki z więzień i łagrów postalinowskich nasuwa inne refleksje. Traf chciał że czytałem go równocześnie z książeczką Karela Kosika, młodego czeskiego filozofa marksistowskiego, *Nasz obecny kryzys*. W rozdziale o „kryzysie władzy” Kosik analizuje studium Gramsciego o Machiavelim. Autorowi *Księcia*, który pierwszy nowoczesny podręcznik zdobycia i sprawowania władzy wywiódł z przekonania o niezmienności natury ludzkiej, apostoł marksizmu włoskiego przeciwstawiał obraz władzy czerpiącej swą siłę z absolutnej negacji tej niezmienności: „Nie ma abstrakcyjnej natury ludzkiej, stałej i niezmiennej, jest tylko natura ludzka jako zespół historycznie zdeterminowanych stosunków społecznych”. Kosik dodaje od siebie: „Gdy zmiana stosunków społecznych jest równoznaczna ze zmianą natury ludzkiej, władza staje się wszechwładna; skoro może zmienić wszystko, nawet naturę człowieka, wyzwala się z wszelkich ograniczeń i łamie wszelkie hamulce”. Oto paradoks: Machiavelli, nazywany często „teoretykiem tyranii”, nakłada w praktyce większe ograniczenia władzy niż „wolnościowy” marksista Gramsci. Podobny paradoks dostrzegł przed laty Jan Strzelecki w *Zapiskach* 1950-1953, wskazując ironicznie jak odbywa się stalinowskie „przezwyćieżanie” *Ducha* praw Montesquieu w imię „natury ludzkiej podporządkowanej partii”.

W skromnej i uczciwej relacji więziennie-obozonej młodego robotnika rosyjskiego oglądamy przy pracy współczesny totalizm, który wierzy że może wszystko, nawet rozbić osobowość człowieka i ugnieść ją potem na własną modłę. Myli się, albo myli się przynajmniej do pewnego stopnia. W łagrze o złagodzonej formie, gdzie „każdy myśli po swojemu”, wolni niewolnicy do upadłego bronią tego co jest w ich naturze ludzkiej niezmiennie.

Ku beta-rewolucji

W holenderskim uzusie językowym „dziedzina alfa” oznacza nauki humanistyczne, socjologię, filozofię, itd.; „beta” jest symbolem nauk „pozytywnych”, jak mówiono w końcu XIX wieku. Holenderski matematyk napisał książkę*, traktującą o rzeczach, należących tradycyjnie do zakresu nauk „alfa” i oto co ma na ich temat do powiedzenia:

„Nasi filozofowie przestali myśleć. Ich wodzem stał się Heidegger: 'das Nichts nichtet'. Poszukiwali Nicości i próżni. I znaleźli ją. Niech odpoczywają w pokoju.

Nasi psychologowie przestali demaskować. Stali się moralistami. Mówią o przystosowaniu. Martwią się, że nie traktujemy spraw seksualnych jako 'części-naszej-osobowości-jako-całości'. Niektórzy z nich zostali lekarzami. Wielu ich podziwiam. Stawiają bowiem niewiedzę: „tajemnicę” oraz „niepoznawalne w życiu”. W ich mętnych wodach z lubością łowią ryby teolodzy.

Nasi socjologowie przestali się buntować. Badają pochodzenie społeczne pomocników fryzjerskich i prowadzą statystykę zużycia cukierków na kaszel w Chicago. Mówią o przystosowaniu. Zostawmy ich w spokoju, tak jak oni nas”.

„Oficjalnym” mottem książki jest zdanie Aldousa Huxleya: „Prawdziwi romantycy dzisiejszych czasów siedzą przy mózgach elektronowych” — lecz w trakcie lektury zakreśliłem sobie inne zdanie, które wiele mówi o książce i jej autorze: „Jedną z najlepszych metod utrzymywania *status quo* i zmuszania krytyki z zewnątrz do milczenia jest przedstawianie rzeczy w gruncie prostych jako skomplikowane”.

Książka „upraszcza” rzeczywistość do takiej mnw. konkluzji: współczesna cywilizacja typu zachodniego („kultowo-neurotyczna”, jak to określa Rietdijk) jest przesiąknięta czynnikami powodującymi frustrację. Podobnie jak istnieją neurozy indywidualne, istnieją też neurozy zbiorowe, i są nimi — jak głosi jedna z tez — „wszystkie irracjonalizmy w kulturze, m.in. irracjonalne ideologie, nacjonalizm, faszyzm, rasizm, większość religii — a także irracjonalne normy, obyczaje i wartości”.

Tradycyjne alfa-diagnozy i alfa-zalecenia (spod znaku tzw. „głębszych wartości humanistycznych”) nie tylko zawodzą, ale w gruncie rzeczy służą *status quo*, ponieważ frustracja umacnia tabu społeczne, obyczajowe i — w końcu — hierarchie i pseudo-hierarchie odziedziczonych instytucji autorytarnych. „Żyjemy w

* C. W. Rietdijk — *Een filosofie voor het cybernetisch-biotechnische tijdperk. 91 stellingen*. Van Gorcum & Comp NV. Assen 1967.

epoce po-chrześcijańskiej i pre-cybernetycznej" — głosi pierwsze *stelling* (twierdzenie) książki — „lecz nasze wartości i normy, nasze kierunki społeczne i polityczne zostały uformowane w epoce poprzedniej — i problemy, które z nich wynikają są w większości przestarzałe. Są to krystalizacje sił z czasu, w którym już nie przeżywamy”.

Jakie rozwiązanie proponuje autor? Postęp w kierunku „nowego, wspaniałego świata”. A czym jest postęp — i postępowość? „Postępowość jest to racjonalizm w zakresie optymalizacji szans osiągnięcia szczęścia, czyli jest przeprowadzaniem idei Oświecenia we wszystkich dziedzinach życia, także najbardziej intymnych i ukrytych” — głosi teza 9-ta, a teza 22-ga precyzuje: „Zgodnie z doświadczeniem szczęście jest identyczne z zaspakajaniem potrzeb — m.in. potrzeby bezpieczeństwa i pewności swego losu”.

Książka Rietdijka jest niewątpliwie „rewolucyjna”, ale nie to stanowi jej oryginalność — i powód, dla którego zasługuje na omówienie — większość bowiem współczesnych książek „ogólnych” jest rewolucyjna w taki czy inny sposób. Jej *novum* stanowi wyraźnie sprecyzowany program *racjonalizmu konsekwentnego* — nie tylko w dziedzinie organizacji świata, ale i „filozoficznej” krytyki rzeczywistości. W książce pobrzmiewa przeczucie „prawa Gombrowicza”, głoszącego, że IM MĄDRZEJ TYM GŁUPIEJ.

„Egzystencjalizm, fenomenologia i spokrewnione z nimi kierunki stanowią formy zeświecczonej teologii, w której objawienie z zewnątrz zostało zastąpione objawieniem od wewnątrz: „doświadczeniem egzystencjalnym” i „bezpośrednio danymi”, tzn. subiektywnymi impresjami, podniesionymi drogą mistyfikacji na taki poziom, że niedopuszczalna staje się wszelka myśl o zwykłym niezrozumieniu rzeczy, wynikającym z jednostronnego wykształcenia, podświadomego *wishful thinking* i tradycyjnych postaw uczuciowych skutkiem czego sprawy te zostają uznane za niedostępne rzeczowej krytyce (leżą bowiem rzekomo na tzw. „innej płaszczyźnie”)”.

„Rzeczowa krytyka” autora jest tak rzeczowa, że czasem nasuwa określenie „cyniczna” — choć pod wpływem atmosfery książki Rietdijka przypomniło mi się powiedzenie jednego z przyjaciół, który twierdził, iż słowo „cynik” zostało wymyślone przez obłudników.

Dla ilustracji konkluzja tezy 32, rozważającej zastany układ norm, regulujących (i — jak twierdzi autor — wypaczających) współżycie ludzi w społeczeństwie: „Problematyka erotyczna, obejmująca dużą część problematyki neurotycznej, jest kwestią ogólnie istniejącego niedoboru materiału jakościowo wartościowego oraz irracjonalnego systemu dystrybucji”.

Niewątpliwie wielu czytelników tej książki wzrusza nad nią ramionami: „typowy kontestator — do tego bez sprecyzowanego programu”. Istotnie, wiele utopijno-groteskowych pomysłów (zapowiedzi?) Rietdijka czyta się z uśmiechem (lub dreszczykiem przerażenia), np. pomysł ingerencji w genetykę, celem zapobieżenia owemu „niedoborowi wartościowego materiału”, a czasem z melancholijnym westchnieniem — np. wywody na temat pod-

dawania polityków regularnym testom przy pomocy maszyny do wykrywania kłamstw (ha!); niemniej książka jako zapowiedź nowego podejścia do „spraw ludzkich”, a więc istotnie kwestii filozoficznej, nie jest tylko curiosum. Norbert Wiener twierdził, że filozofia danego okresu historycznego odzwierciedla zawsze w jakiś sposób stan techniki w danym okresie. Pod tym względem druga połowa XX wieku wciąż „nie nadała” — jeśli zgodzimy się, że istotnie naszą współczesną filozofię cechuje pociąg ku irracjonalizmowi (obsesja heglowska, scholastyka marksistowska i „posoborowo-dialogowa”, etc.). Wiek XVIII miał Oświecenie, wiek XIX — pozytywizm. Czym odpowiada „humanistyczna” część ludzkości na lot na księżyc? — „Geworfenheit”? Marcuse’em? bładaniami nad „dehumanizacją człowieka”? Dla Rietdijka kultura jest sprawnością i wydajnością w zaspakajaniu ludzkich pragnień, wyrażaniu ludzkich emocji i zapobieganiu cierpieniom. A człowiek? — „Człowiek — podobnie jak każda inna zamknięta w sobie całość — jest identyczny ze zbiorem swych własności: i czymkolwiek „więcej” miałyby zostać, będzie to znów tylko własnością”.

Ta definicja jest otwarta: nie zakreśla granic pojęciu „bycia człowiekiem”. Dotyczy to zarówno „kondycji ludzkiej”, coraz wyraźniej określanej tym, co produkuje część *beta* ludzkości w laboratoriach, jak i spojrzenia na tę kondycję — które dotychczas było monopolem specjalistów typu *alfa*. Istotą książki Rietdijka jest twierdzenie, że zmieniają się nie tylko *tempora*, ale i *mores* — i o tym, co jest w tych zmianach korzystne, mają w pierwszym rzędzie prawo decydować ich inżynierowie.

Problemy regulacji urodzin, stosunków międzyludzkich, zniesienia „strachu człowieka przed człowiekiem” są problemami technicznymi, a nie „esencją” ludzkiego bytu. „Twierdzenie, że dla utrzymania kultury lub społeczeństwa potrzebny jest pewien stopień stłumienia, represji i cenzury nie-agresywnych instynktów ludzkich należy do tego samego gatunku co twierdzenie, że z tychże powodów konieczna jest cenzura i represja i n t e l e k t u — i jest rozprzestrzeniane w podobnych celach” — głosi teza 45.

Rozwiczrzona książka Rietdijka zapowiada „rewolucję menadżerską” w filozofii i etyce. I kto wie, czy nie rewolucję pożądaną.

M. BRONSKI

Przyczynek do kalendarium mickiewiczowskiego

W Niemczech zachodnich mają polska literatura i historia zasłużonych przyjaciół. Począwszy od zmarłego dra Hermanna Buddensiega, założyciela i redaktora „Mickiewicz-Blätter”, od znakomitego, kongenialnego tłumacza naszych współczesnych poetów, Karla Dedeciusa, od docieklivego i czujnego historyka Hannsa v. Krannhalsa, autora bezstronnej i źródłowo opracowanej historii Powstania Warszawskiego, aż do szeregu tłumaczy prozy, poezji i dramatu autorów krajowych a także emigracyjnych, dzięki którym literatura polska znana jest i ceniona w Niemczech a cyfra tłumaczonych polskich książek sięga dziś już kilkuset pozycji. Takimi osiągnięciami nie możemy się poszczycić ani we Francji ani w Anglii.

Jednym z tych pracowników, badaczy stosunków polsko-niemieckich w XIX wieku, jest Georg W. Strobel.

W „Jahrbücher für Geschichte Osteuropas”, zeszyt z marca 1969, pojawiła się praca Strobela pt. „Die Reise von Adam Mickiewicz durch Süd-deutschland im Sommer 1832, Der Weg, die Reiseumstände und die Weg-genossen” (Podróż A. M. poprzez Niemcy południowe latem 1832 roku. Droga, warunki podróży i jej towarzysze).

Nie pierwsze to dzieło Strobela poświęcone sprawom polskim. Dwa referaty, na które się powołuje dotyczą Wincentego Pola, poety i powstańca, emisariusza generała Bema, z pochodzenia rodowitego Niemca, o nazwisku Pol von Pollenburg, któremu Strobel poświęcił dużo uwagi.

Referat o podróży Mickiewicza wygłosił autor w Columbia University w ramach obchodów milenijnych organizowanych przez Polski Instytut Naukowy w Nowym Yorku, w listopadzie 1966. W języku polskim praca ta nie została dotychczas nigdzie ogłoszona. W tym samym roku, jesienią, ukazał się w Polsce jeden z tomów pomnikowej pracy zbiorowej, zatytułowanej „Kronika życia i twórczości Mickiewicza”, tom opracowany przez Marię Dernałowicz a obejmujący czasokres od marca 1832 do czerwca 1834, czyli wchodzi weni również podróż Mickiewicza przez Niemcy. Niestety, ani G. Strobel nie mógł skorzystać z tego tomu mickiewiczowskiego Kalendarium ani Maria Dernałowicz nie знаła nowych szczegółów podróży Mickiewicza przez Niemcy.

Autor referatu jest nie tylko doskonale obeznany z bibliografią mickiewiczowską, pracą Gadona o emigracji polistopadowej, „Podróżami” Domeyki, „Wspomnieniami” Nakwaskiego, W. Pola i innych, ale też z rosyjską pracą N. V. Berga o polskich powstaniach, oraz szeregiem opracowań niemieckich dotyczących sprawy polskiej i stosunku ludności niemieckiej do powstańców w okresie Wiosny Ludów. Pisząc o Komitecie Pomocy Klaudyny Potockiej w Dreźnie sięgnął też Strobel do Archiwum Kórnickiego, i z benedyktyńska cierpliwością zbadał archiwa miast niemieckich w poszukiwaniu śladów przemarszu powstańców polskich w 1832 roku. Szukał tych śladów w zapisach policyjnych, w rejestrach hotelowych, w prasie współczesnej, itp., co po z górą 130 latach, wojnach i rewolucjach, nie było błahostką. Dowiadujemy się z jego referatu o przyjęciach i samorzutnie powstających komitetach przyjaźni polskiej, o pokaźnych zbiorach pieniężnych przeznaczonych na wsparcie uchodźców, o pomocach rządowych mających ułatwiać i przyspieszać ten przemarsz. Bo Prusy domagały się bez przerwy od władz skonfederowa-

nych krajów niemieckich usunięcia jak najspieszniej tego niebezpiecznego elementu poza granice niemieckie. A oto ustęp odezwy ze stycznia 1832 roku, odezwy obywateli Wirtembergii wzywającej do wsparcia rozbrojonych żołnierzy rewolucji:

Polska w swojej walce o wolność i niepodległość, nie uległa przemocy bagnetów rosyjskich — głosiła odezwa — ale złej woli mocarstw ościennych... „Polska została pokonana walcząc o Niemcy, o Europę, o wolność, o najdroższe dążenia całej ludzkości. Polska uzbroiła się przeciwko najstraszniejszemu wrogowi konstytucyjnego bytu państwowego... Biały orzeł leży skrwawiony a knut rosyjski stanie się narodowym znakiem Polski. Nieszczęsna Polska!”

Takie i podobne im odezwy budziły powszechną sympatię dla powstańców i skłaniały do hojności obywateli Saksonii, Bawarii, Wirtembergii i Badenii dla tych, których nazywano *die Sturmvoegel der Revolution* — ptakami Burzy. Dowiadujemy się od G. Strobel'a i o tym, że wśród uczciwych żołnierzy polskich znaleźli się też spryciarze, wykorzystujący sytuację, a nawet hultaje i oszuści, co dobre imię Polski nadwyreżyło. Faktem jest również, że niektórzy z nich przybierali nazwiska co głośniejszych wodzów, na cześć których organizowano bankiety, inicjując dodatkowe zbiórki. Tak więc np., w czerwcu tegoż 1832 r., przyjmowano z wielkimi honorami, jednocześnie w różnych i oddalonych od siebie miejscowościach rzekomego generała Rybińskiego który wszelako już w marcu tegoż roku był Niemcy opuścił.

Jeszcze jeden szczegół, który nam Strobel naświetla, to że Mickiewicz dołączył do fali powstańców nie będąc sam powstańcem i korzystał z pomocy na równi z innymi potrzebującymi mimo że, jak wiemy z jego listów, zaciągnął od hr. Grabowskiego przed wyjazdem z Dreżna pożyczkę 200 talarów na drogę. Korzystając z pomocy społecznych był Mickiewicz traktowany jak inni uchodźcy, to jest nie miał prawa zboczyć z drogi a musiał się trzymać marszruty z góry wyznaczonej przez władze poszczególnych krajów, dlatego nie dozwolono mu udać się do Bozen, w Tyrolu, gdzie przebywała księżna Wołkońska. Z Kalendarium M. Dernałowicz dowiadujemy się, że dopiero po przekroczeniu granicy francuskiej, wówczas kiedy większość towarzyszy podróży już się rozproszyła, kierowana do tak zwanych „zakładów” — obozów wojskowych — (władze francuskie nie pozwalały skupiać się powstańcom w Paryżu) — dopiero wtedy Mickiewicz i Domeyko podali się za ludzi prywatnych, podróżujących w interesach własnych, co było jedynym sposobem dotarcia do Paryża. Wówczas to dukaty Grabowskiego wybawiły obu przyjaciół od policyjnych szykan i kontroli. Na prośbie o paszport do Châlon-sur-Marne, wystosowanej przez Mickiewicza, poeta podpisał się „*propriétaire polonais*”, może miał na myśli swój dom w Nowogrodzku?

I jeszcze jedna korektura wniesiona do biografii Mickiewicza przez Strobel'a, to rzekomy pobyt poety w początkach lipca w Heidelbergu, i jego rozmowa po łacinie z profesorem heidelberskim o poezji rzymskiej (epizod podany przez Władysława Mickiewicza w biografii Ojca). Strobel z mapą i kalendarzem w ręku wykazuje że Mickiewicz w owym roku przez Heidelberg przejeżdżać nie mógł bo marszruta powstańców wtedy nie prowadziła a wypad do tego oddalonego miasta nie mieścił się w kalendarzu. Z tego wynika, że i łacińską rozmowę o poezji należy chyba zaliczyć do legend. Podobnie w archiwach heidelberskich i w prasie współczesnej nie ma o pobyciu Mickiewicza w Heidelbergu żadnej wzmianki.

11 lipca w Kehl opuścił Mickiewicz tak gościnne wtedy dla Polaków kraje niemieckie i znalazł się na ziemi francuskiej. Nigdy więcej nie miał już tej granicy przekroczyć.

Dane G. W. Strobel'a wejdą do skarbca biografiki Mickiewiczowskiej i powinny dopełnić wyżej wymieniony tom „Kroniki Życia i Twórczości Mickiewicza”.

Maria CZAPSKA

Krajowe nowości wydawnicze

Opracowała Maria Danilewiczowa na podstawie nowych nabytków Biblioteki Polskiej w Londynie.

Socjologia. Nauki polityczne. Ekonomia. Prawo. Wychowanie

55. CHAŁASIŃSKI, Józef: *Rewolucja młodości*. Studia o awansie młodego pokolenia wsi i integracji narodu polskiego. (Warszawa), 1969, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, s. 406 (2), front. port.

Tom studiów wydany z inicjatywy uczniów i przyjaciół prof. Chałasińskiego z okazji jubileuszu 40-lecia pracy badawczej i pedagogicznej. Poza przedrukami 20 artykułów przynosi „Zarys biografii naukowej Józ. Chałasińskiego” i bibliografię jego prac. „Rzadka to satysfakcja dla uczonego tworzyć dzieła wybitne i jedyne w danej specjalności naukowej, które by jednocześnie mogły „zblądzić pod strzechy” i znaleźć tam tak żywy rezonans czytelnicy. Żaden też inny kraj poza Polską nie może się poszczycić światowej sławy uczonymi, którzy jednocześnie byliby inspiratorami rozległego ruchu pisarstwa dokumentalno-obywatelskiego robotników i chłopów oraz przetwarzali plon tego ruchu w wybitne dzieła naukowe, znajdujące poczytność i akceptację wśród najszerszych kręgów mas pracujących” — podsumowuje zasługi prof. Chałasińskiego postowie.

56. INSTYTUT FILOZOFII I SOCJOLOGII POLSKIEJ AKADEMII NAUK. *Przemysł i społeczeństwo w Polsce Ludowej*. Praca zbiorowa pod red. Jana Szczepańskiego. Wrocław, Warszawa, Kraków, 1969, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wydawnictwo Polskiej Akademii Nauk, s. 496.

Tom podzielony na części: I. Ogólna charakterystyka przemysłu; II. Struktura społecznego systemu przemysłu i zachodzące w nim procesy; III. Przemysł a rodzina i społeczność lokalna; IV. Wpływ przemysłu na przekształcenie makrostruktury społeczeństwa. Szczególny nacisk położono na zobrazowanie „sprzeczności wymagających pozytywnego rozwiązania” a dotyczących położenia robotników (a zarazem współwłaścicieli środków produkcji) i pracowników administracyjnych, których prestiż pozostawia wiele do życzenia.

57. ŻARNOWSKI, Janusz: *Spółeczeństwo Polski międzywojennej*. Warszawa, 1969, Wiedza Powszechna, s. 173 (3). (Biblioteka Wiedzy Współczesnej).

Autor uważa, że „nowe społeczeństwo i nowa struktura społeczna” w Polsce Ludowej wywodzi się w prostej linii ze społeczeństwa przedwojennego, choć cechowała je stagnacja i „pozostawanie w obrębie systemu kapitalistycznego”. Za główne osiągnięcie okresu międzywojennego uważa Żarnowski szybki zanik różnic dzielnicowych i stapianie się społeczeństwa w jednolitą całość.

Sztuki plastyczne. Teatr. Film. Sport

58. MARCZAK-OBORSKI, Stanisław: *Życie teatralne w latach 1944-1964*. Kierunki rozwojowe. Warszawa, 1968, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, s. 306 (2), ilustr. (Wydział Nauk Społecznych Polskiej Akademii Nauk, Studia o Polsce Współczesnej pod red. Stefana Żółkiewskiego).

Kontynuacja książki o *Teatrze czasu wojny*, przynosząca szczegółową kronikę życia teatralnego i materiały bibliograficzne.

59. ŁAGOCKI, Zbigniew: *Piwnica*. Wyboru tekstów, piosenek i zdjęć oraz opracowania graficznego dokonał Zbigniew Łagocki. (Red. Alina Krehlikowa). Kraków, 1968, Polskie Wydawnictwo Muzyczne, s. 136, ilustr., nuty.

Krótką historia i teksty „numerów” wykonywanych w legendarnej „Piwnicy” krakowskiej w podziemiach pałacu Pod Baranami. Interesujący i doskonale zestawiony dobór tekstów, w których nowe opracowania przemieszane są z adaptacjami utworów Leśmiana, Tuwima, Lieberta („Jurgowska karczma”) — a nawet wyjątkami z listów Krasińskiego. Całość wysokonostalgiczna.

Literatura piękna (poezja, powieść, dramat, esaje)

60. LENARTOWICZ, Teofil: *Poezje*. Wybór. Wybrał i opracował Jan Nowakowski. (Warszawa, 1968), Państwowy Instytut Wydawniczy, s. 1105 (1). Biblioteka Poezji i Prozy.

Pewną niespodzianką wśród wierszy „lirnika mazowieckiego” jest „Lolita” („W nocy nie sypia, w dzień bałamuci...”) i „Wieża Eiffel”. Wśród wierszy objętych po raz pierwszy wydaniem zbiorowym zwraca uwagę „Ordon”, późny utwór Lenartowicza napisany pod wrażeniem samobójstwa Juliana Konst. Ordona (1810-1887). „Historia Ordona bardzo smutna — pisał Lenartowicz do Agatona Gillera — nudził się i z nudów życie sobie odebrał”. Był bohaterem „Reduty Ordona”, w której Mickiewicz przedwcześnie go uśmiercił.

61. HORDYŃSKI, Jerzy: *Koncert włoski*. (Warszawa, 1968), Państwowy Instytut Wydawniczy, s. 63.

Tom wierszy wykazujących zastanawiająco bliskie obcowanie z wcześniej ogłoszonymi utworami Kaz. Wierzyńskiego. Poprawne, gładkie, „ładne” a nawet patriotycznie wzruszające (np. „Cmentarz polski na Monte Cassino”).

62. BONARSKI, Andrzej: *Sytuacja ma rację*. Warszawa, 1969, Państwowy Instytut Wydawniczy, s. 154 (2).

Wymyślny „kryminał” psychologiczny ze starannie utopionym nieboszczykiem. Staromodne wyrzuty sumienia nakazują sprawcy zabójstwa wyrzucenie z siebie, po pijanemu i po Camusowsku, całej prawdy o prehistorii i przebiegu wydarzeń. Jest to niewątpliwie strawniejsza dla czytelnika forma monologu wewnętrznego a Bonarski zrećnie nią operuje. Tłem krótkiej powieści o tytule zapożyczonym od Białoszewskiego jest Warszawa „drugiego pokolenia” olśniewająca nas z daleka pogłosami nocnych lokali, płynąca strumieniami wódki i rozbijająca się samochodami w najlepszym Tyrmandowskim stylu. Powieść katastroficzna, ukazująca bohaterów w kleszczach narzucanego im przez los (raczej Fatum) biegu wypadków, którym nie mogą i nie usiłują się przeciwstawić. Wszystko to jednak ma sens artystyczny i układa się w dobrą powieść potwierdzającą nadzieje wiązane z autorem „Pojednania”.

63. STOJOWSKI, Andrzej: *Podróż do Nieczajny*. Opowiadania leodyjskie. Warszawa, 1968, Czytelnik, s. 220 (4).

Cykl opowiadań o wspólnym bohaterze i wyraźnym podkładzie autobiograficznym. Autor, urodzony w r. 1933 we Lwowie, uznał za stosowne przemianować rodzinne miasto na Leodię (sic!), zachowując jednak autentyczne nazwy ulic, hotel George’a, Koziołka itd. Opowiadania zbudowane są na zasadzie love-hate; wydaje się, że autorowi podsunęto materiał anegdotyczny wątpliwej wartości a nadto przesunięty w czasie; „pięćfuntowe głowy

cukru", mycie rąk w szampanie (s. 176), a nawet w mleku (nalewanym do ciężkiej srebrnej miednicy) (s. 171) źle się godzi z aurą dwudziestolecia; lepiej tu pasuje pończocha cerowana „po mistrzowsku” przez dobrze urodzoną ciotkę. Przeciwwstawienie rozkoszy warszawskiej kawalerki bohatera opowiadań biedzie krewniaków („chochołów”) w starym dworze jest raczej wazeliniarskie niż dowcipne.

64. KUBACKI, Wacław: *Kartki na wietrze*. Warszawa, 1969, Czytelnik, s. 75 (3).

Tym razem nie powieść i nie sztuka teatralna, ale wiązanka złotych myśli wyrażonych w sposób zdecydowanie kwiecisty: „Poproszę tylko wiosnę, żeby ci każdy nów wybieliła jaśminem”, „Niezabudkowej czułości ścieg”, „Po szklistych obszarach nocy płyną w puchu czułości łabędzie”. *No comments*.

Monografie historyczno-literackie. Biografie pisarzy

65. SUDOLSKI, Zbigniew: *Korespondencja Zygmunta Krasińskiego*. Studium monograficzne. (Warszawa, 1968), Państwowy Instytut Wydawniczy, s. 407. (Instytut Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk).

Sudolski zarejestrował w „Sumariuszu korespondencji” 3.500 listów Krasińskiego do 158 adresatów i po krótko scharakteryzował adresatów ważniejszych bloków: Delfinę Potocką (710 listów), Augusta Cieszkowskiego (310), Jerzego Lubomirskiego (231), Adama Sołtana (221) i in. Sudolski podkreśla „charakter wyraźnie psychologiczny, konfesyjny” korespondencji i uważa ją za jeden z ważniejszych dokumentów epoki romantycznej. Po wydanych ostatnio listach do Ojca i Jerzego Lubomirskiego oraz doskonałym wyborze listów do Delfiny (w oprac. Jana Kotta) ukazać się mają w pełnym brzmieniu listy do Adama Sołtana i Henryka Reeve’a. Zagięły, niestety, autograf listów do Delfiny Potockiej, Amelii Zatuskiej i większość listów do Ojca.

66. JABŁOŃSKA, Krystyna: *Kazimierz Tetmajer*. Próba biografii. Kraków, 1968, Wydawnictwo Literackie, s. 301 (2), ilustr., bibliog.

„Reprezentatywny” — jak nazywa go Jabłońska — „poeta Młodej Polski” potraktowany został w „próbie biografii” w sposób raczej niefortunny. Bez krytycznie sumienne wyliczanie faktów w oparciu o Hoesicka, Miecz. Smolarskiego i pamiętnik Zofii Gabińskiej z minimalną domieszką Boya daje przebieg życia i wykaz ważniejszych utworów, nie ukazując ani człowieka ani twórczości. Poszukiwacze skandalów znajdują jednak kilka smakowitych „kawałków”: opis sekretarzowania Adamowi Krasińskiemu w Heidelbergu, katalog „uroczych babiszonów”, skargi na dolegliwości weneryczne nieślubnego syna z niezidentyfikowanej dotąd matki, posądzenia o nadmierne eksploatowanie opowieści górala Jędrzeja Sulei w „Na Skalnym Podhalu” itd. Książka nie przyczyni się do odnowienia zainteresowania twórczością Tetmajera.

67. HELSZTYŃSKI, Stanisław: *Meteory Młodej Polski*. Kraków, 1969, Wydawnictwo Literackie, s. 360 (2), ilustr.

Na książkę składają się uzupełnienia wcześniej wydanej przez prof. Helstyńskiego korespondencji Przybyszewskiego oraz sylwetki szeregu barwnych postaci z okresu Młodej Polski: Theresity (Marii z Krzymuskich Iwanowskiej), Jana Augusta Kisielewskiego, „Abelarda i Heloizy warszawskich Powązek” (księdza Ant. Szandlerowskiego i Heleny Beatus), Izydora Kajetana Wysłoucha (znanego powszechnie pod przybranym nazwiskiem ks. Antoniego

Szecha) wreszcie tragedii klasztornej „drugiego Lutra w murach Wartburga” ojca Euzebiusza Statecznego, zakonnika i działacza socjalistycznego w jednej osobie.

68. BUKOWSKA, Anna: *Saint-Exupéry czyli Paradoxy humanizmu*. (Warszawa, 1968), Państwowy Instytut Wydawniczy, s. 193 (3).

„Conrad powietrza” „wyznawał moralność ludzi silnych i tworzył ideał aktywnego życia”. Twórczość jego jest dla Bukowskiej „wielką i tragiczną przygodą humanisty z wiekiem XX-ym”.

(Sprostowanie: współtłumaczem „Nocnego lotu” był Stempowski, nie Stempkowski).

Pamiętniki

69. DZIERŻYŃSKA, Zofia: *Lata wielkich bojów. Wspomnienia*. Warszawa, 1969, Książka i Wiedza, s. 481 (5), ilustr.

Wspomnienia zmarłej w r. 1968 „towarzyszki życia Feliksa Dzierżyńskiego”, który, jak głosi wiernopoddająca przedmowa „stał się symbolem braterstwa narodów polskiego i radzieckiego”. Przy lekturze trudno oprzeć się wrażeniu, iż powolutku, pociechutku wracamy do tzw. „okresu najgorszego”. W r. 1919 „na straży zdobyczy Października” Dzierżyński, zasadniczo łagodny jak baranek zmuszony był „do zastosowania czerwonego terroru” na skutek „zawziętej walki kontrrewolucji rosyjskiej”. Ale nawet wtedy czule opiekował się dziećmi skazanych a żony ich odsyłał do domu własnym samochodem. 17 sierpnia 1920 przesłał żonie „małą gałązkę wrzосу z naszych podwarszawskich lasów”. Nie dożył, o czym „towarzyszka życia” pisze ze wzruszeniem „do pracy w przyszłej Polskiej Republice Rad” (list z 1923 r.).

Dzieje Polski przedrozbiorowej

70. MLICKA, Wanda: *Karmazyni i chudopachołki*. Warszawa, 1968, Książka i Wiedza, s. 250 (4), ilustr. (Światowid — biblioteczka popularno-naukowa pod red. mgr A. Klubówny).

Żywo nakreślony zarys historii stanu szlacheckiego w Polsce zakończony próbą podsumowania pozostałego po nim dziedzictwa: cech dobrych (np. mitologia rycerstwa, która przekształciła się „w wielkie cnoty żołnierskie”) i złych („indywidualizm chętnie przekształcający się w anarchię”, „konsumpcyjna postawa wobec życia”, „niechęć i odcień pogardy w stosunku do pracy fizycznej i wytwórczości”). Autorka uważa, iż problem szlacheństwa „wygaś” dopiero w Polsce Ludowej dzięki rzeczywistemu awansowi mas ludowych”.

71. DIHM, Jan: *Kościuszkę nieznaną*. Wydanie pośmiertne. (Stanisław Herbst: Przedmowa). Wrocław, Warszawa, Kraków, 1969, Zakład Narodowy im. Ossolińskich-Wydawnictwo, s. 445 (3), ilustr.

Na tom składa się osiem rozpraw, które miały wejść do planowanej przez prof. Dihma „Historycznej pochwały T. Kościuszki w świetle nowszych materiałów i naukowych rozważań”. Współbohaterem rozpraw jest Niemcewicz, który — mimo dramatycznego zerwania z Naczelnikiem — lojalnie gromadził materiały biograficzne, łącząc uczuciową urazę z wyrozumowanym kultem. Prof. Dihm doszedł m.in. do rewelacyjnego wniosku, iż Kościuszkę symulował kalectwo nie tylko w więzieniu carskim ale i później aż do wyjazdu do Ameryki. Niemniej rewelacyjna jest rozprawa pt. „Jak to było naprawdę z Kościuszką pod Dubienką”.

Historia najnowsza (II Wojna Światowa)

72. STRUMPH WOJTKIEWICZ, Stanisław: *Gra wojenna*. Warszawa, 1969, Państwowy Instytut Wydawniczy, s. 419 (5), ilustr.

Najnowszy wyrób Wojtkiewicza dotyczy w głównym zrebie podziemia polskiego we Francji w czasie II wojny światowej. Autor oparł się na relacji Tadeusza Supronowicza, figurującego w powieści (?) pod fikcyjnym nazwiskiem Tadeusza Hańczy. Jest to właściwie niezadarnie zbeletryzowany raport, w którym postaci autentyczne np. gen. Daniel-Zdrojewski, Andrzej Wyssogota Zakrzewski, kpt. Wład. Ważny i w.in. przemieszane są chaotycznie z osobami i wydarzeniami fikcyjnymi. Przeskoki tematyczne umożliwiają autorowi włączenie opisu afery szpiegowskiej Sosnowskiego a nadto obszernego skrótu relacji o powrocie marsz. Rydza Śmigłego do Warszawy wg. „Kultury” (bez podania źródła). Nie brak typowych dla autora rewelacji np. o samobójstwie Wieniawy popełnionym na rozkaz „tajnej egzekutywy” mszczącej się „za akces do polityki Sikorskiego” (s. 115). Do książki włączone są obszernie streszczenia z angielskiego opracowania działalności S.O.E. na obszarze Francji. I to także źródło jest dyskretnie przemilczane.

Nadesłane nowości wydawnicze

List okólny Papieża Pawła VI do biskupów, duchowieństwa, wierznych oraz wszystkich ludzi dobrej woli o życiu ludzkim. (Humanae vitae). Str. 31 (Wyd. „Veritas”, Londyn, 1968, cena 3 sh. 6 d.).

WOJTYŁA (Karol) Kardynał. *Komentarz teologiczno-duszpasterski* komentarz teologiczno-duszpasterski do *Humanae vitae*. Str. 105. (Wyd. Centralny Ośrodek Duszpasterstwa Emigracji, Rzym, 1969).

RACZYŃSKI (Edward). *Pani Róża*. Synowa Zygmunta Krasieńskiego potem Edwardowa Raczyńska. Str. 227, z ilustracjami w tekście. (Wyd. Nakładem Autora, Londyn, 1969).

PASZKIEWICZ (Mieczysław). *Muzeum Polskie*. Zeszyt I. Str. 48 il. (Wyd. Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas”, Londyn, 1969).

JANICKI (Andrzej). *Wenus w opałach*. Powieść fantastyczna. Str. 196. (Wyd. „Veritas”, Londyn, 1969).

Bolesław Śmiały *król-pokutnik*. (Trójgłos o Osjaku). Odbitka z *Gazety Niedzielnej* Nr 14/1079 z 6 kwietnia 1969). Str. 7. (Wyd. „Veritas”, Londyn, 1969).

MORAWSKI (Kajetan). *Na przelaj*. Str. 160. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1969).

ALF TARCZYŃSKI (Tadeusz). *Włosiennica na jedwabiu*. Powieść biograficzna. Str. 280. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1969).

DOBEK (Czesław). *Skala nad Jeziorem*. Powieść. Str. 160. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna Londyn, 1969).

STYPUŁKOWSKI (Jerzy). *O honor*. Wspomnienia z czasów wojny. Str. 160. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1969).

PRAGIER (Adam). *Puszka Pandory*. Str. 320. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1969).

DAROWSKI (Jan). *Drzewo sprzeczeki*. Poezje. Str. 64. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1969).

- WOJSTOMSKI (Stefan W.). *Traktat Brzeski a Polska*. Str. 117 i 3 nlb. (Nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1969).
- CHYCZEWSKI (Andrzej W.). *Fanatycy wolności*. Str. 204 i 8 nlb. (Wyd. Samodzielny Oddział Koła Armii Krajowej w Wiktorii, Australia. Melbourne, 1967, cena dol. A. 2,00). Całkowity dochód ze sprzedaży przeznaczony na pomoc dla inwalidów A.K.
- BARS (Henry). *Polityka według Jacques Maritain'a*. Wstęp Jacques Maritain'a. Przełożyła Jolanta Łoś. Str. 293. (Wyd. „Odnowa”, Londyn, 1969).
- LOBODOWSKI (Józef). *Jarzmo Kaudyńskie*. Str. 89. (Wyd. Księgarnia Polska-Orbis, Londyn, 1969).
- NOWICKI (Zygmunt). *Złota klamra*. Str. 197. (Druk. Głos Polski, Toronto, 1963, cena dol. 3,50).
- NOWICKI (Zygmunt). *Długa droga*. Str. 470. (Druk. Głos Polski, Toronto, 1965).
- DUDZIŃSKI (Wacław). *Syn koszarnej epoki*. Powieść. Str. 501. Okładka Danuty Maryjowskiej. (Nakładem Autora, Boston, 1967).
- Poszukiwania. Studia o dawnej Polsce. I*. Pod redakcją Karola Orłowskiego. Str. 157 z ilustracjami w tekście. (Wyd. Edicion Orloviana, Buenos Aires - New York, 1968).
- BRANDSTAETTER (Roman). *Jezus z Nazarethu*. Tom II. Czas wody żywej. Str. 347. (Wyd. Pax, Warszawa, 1969, cena zł. 40,00).
- PARNICKI (Teodor). *Inne życie Kleopatry*. Powieść z wieku XIX. Str. 458. (Wyd. Pax, Warszawa, 1969, cena zł. 45,00).
- KUBIAK (Stanisław). *Niemcy a Wielkopolska 1918-1919*. Dzieje polskiej granicy zachodniej IV. Str. 303. (Wyd. Instytut Zachodni, Poznań, 1969, cena zł. 50,00).
- KRUPIANKA (Aleksandra). *Formacje czasownikowe z przedrostkiem o — (ob-) w języku polskim*. Prace Wydziału Filologiczno-Filozoficznego Tom XX — zeszyt 2. Str. 182. (Wyd. Towarzystwo Naukowe w Toruniu, Toruń, 1969, cena zł. 30,00).
- RAWICZ (Piotr). *Bloc-notes d'un contre-révolutionnaire ou la gueule de bois*. Str. 173. (Wyd. Gallimard, Paris, 1969, cena F. 10,00).
- KOSIŃSKI (Jerzy). *Les pas*. Roman. Traduit de l'anglais par Paule Gertrand. Str. 218. (Wyd. Flammarion, Paris, 1969, cena F. 16,00).
- TCHECOSLOVAQUIE. *Les ouvriers face à la dictature*. 1938- 1948- 1968 Préface A. Bergeron. Str. 208. (Ed. Confédération Force Ouvrière, Paris, 1969, cena F. 10).
- LOP (Ferdinand). *Telle sera l'Europe de demain!* Str. 44. (Paris, 1968, cena F. 15,00).
- CHALAMOV (Varlam). *Récits de Kolyma*. Traduit du russe par Katia Kerel et Olivier Simon. Str. 251 i 3 nlb. (Wyd. Editions Denoël, Paris, 1969, cena F. 19,20).
- KUROŃ (Jacek), MODZELEWSKI (Karol). *Monopol-sozialismus*. Offener Brief an die Polnische Vereinigte Arbeiterpartei. Str. 136 i 4 nlb. (Wyd. Hoffman und Campe, Hamburg, 1969).
- WOJCIECHOWSKI (Jerzy A.). *La connaissance quantitative et la connaissance qualitative. Essai d'une nouvelle confrontation*. Str. 203-217. (Odbitka z Dialogue, Vol. VII, n° 2 — 1968).
- MIŁOSZ (Czesław). *The History of Polish Literature*. Appendix, Selected Bibliography, Index. Str. 570 i 4 nlb. (Wyd. The Macmillan Co., New York, cena dol. 14,95).
- GOMBROWICZ (Witold). *Pornografia*. A Novel. Przekład Alastair Hamilton. Str. 160. (Wyd. Calder and Boyars, London, 1966, cena 15 sh.).

- GOMBROWICZ (Witold). *Princess Ivona*. Przekład Krystyna Griffith-Jones. Str. 70. (Wyd. Calder and Boyars, London, 1969, cena 21 sh.).
- MACIUSZKO (Jerzy J.). *The Polish Short Story in English. A guide and critical bibliography*. (Wyd. Wayne State University Press, Detroit, Mich. 1969, cena dol. 15,00).
- Meet the Press*. America's Press Conference of the Air. Produced by Lawrence E. Spivak, Guest: Professor Zbigniew Brzeziński. Str. 10. (Wyd. The National Broadcasting Company, Washington, 1969).
- BETHELL (Nicholas). *Gomułka, His Poland and His Communism*. Str. 296 z ilustracjami w tekście. (Wyd. Longmans, Green and Co Ltd., London 1969, cena 50 sh.).
- PILARSKI (Laura). *They came from Poland. The Stories of Famous Polish-Americans*. Str. 180. Illustrated. Index. (Wyd. Dodd, Mead & Co., New York, 1969, cena dol. 3,75).
- LICHTEN (Joseph L.). *One of the Just: Abraham Gepner*. Str. 17. (Przedruk z *The Polish Review*, Vol. XIV, No 1, Winter 1969, New York).
- Polish Affairs and Problems of Central and Eastern Europe*. Kwartalnik. N° 82. April 1969. (Londyn, 1969, cena 5 sh.).
- ROZEWICZ (Tadeusz). *"The card index" and other plays*. Str. 140. (Wyd. Calder and Boyars, London, 1969, cena 10 sh. 6 d.).
- TERTZ (Abram). *The Makepeace Experiment*. W języku Assamese. (Wyd. Dutta Baruah & Company, Gauhati, Assam).
- DZIEWANOWSKI (M.K.). *Joseph Piłsudski 1867-1967*. Str. 359-383. (Nadbitka z „East European Quarterly”, Vol. II, No 4, January 1969. (Wyd. University of Colorado, Boulder).
- The Future of Communism in Europe*. The Franklin Memorial Lectures. Volume XVII. Compiled and Edited by R. V. BURKS. Str. 283. (Wyd. Wayne State University Press, Detroit, 1969, cena dol. 7,95).
- BROMKE (Adam). *Czechoslovakia and the World: 1968*. Str. 581-591. (Odbitka z „Canadian Slavonic Papers, X, 4, 1968).
- Alliance of Friendship*. Bulletin No 1. Str. 40. September 1968. (Wyd. Executive Committee of Czechoslovak-Polish-Ukrainian Alliance of Friendship).
- WOJCIECHOWSKI (Jerzy A.). *The Future of Canada's Polish-Speaking Community*. Reprint from *Polish Canadians*. Str. 87-102. (Wyd. Polish Alliance Press Ltd., Toronto, 1969).
- BRZEZIŃSKI (Zbigniew). *Global Political Planning*. Str. 36. (Wyd. School of International Affairs, Columbia University, New York, 1968).
- BRZEZIŃSKI (Zbigniew). *Meeting Moscow's „Limited Coexistence”*. Reprinted from *The New Leader* Dec. 16, 1968. Str. 3. (Wyd. The American Labor Conference on International Affairs, Inc., New York, 1968).
- ŁAZORSKYJ (Mykoła). *Patriot. Hryhor Orłyk (1702-1759)*. Str. 309. (Wyd. Dniprowa Chwyla, Monachium, 1969).
- ŁOMACKYJ (Mychajło). *Z hir Karpat*. Str. 265. (Wyd. Monachium, 1967).
- HAWRYLUK (Wołodymyr). *Tiń i Mandriunyk*. Str. 105. (Wyd. Org. Oborony Czotyrioch Swobid Ukrainy, New York, 1969).
- BYKOWSKYJ (Łew). *Na Kawkazko-tureckomu fronti*. Spomyny z 1916-1918 rr. Str. 152. (Wołynia XVIII. Wyd. Inst. Dosliidiw Wołyni, Winnipeg, 1968).

- HARTMANN (Karl). *Das jüdische Theater in Polen nach dem Zweiten Weltkrieg*. Str. 633-677. (Odbitka z „Zeitschrift für Ostforschung” — Länder und Völker im östlichen Mitteleuropa, 17. Jahrgang 1968, Heft 4).
- GAŁCZYŃSKI (Konstanty Ildefons). *Die Grüne Gans*. Das kleinste Theater der Welt. Przełożył Karl Dedecius. Rysunki Sławomira Mrożka. Str. 179 i 7 nlb. (Wyd. Suhrkamp Verlag, Frankfurt/M, 1969. Cena DM 5,80).
- Völker klagen an 20 Jahre Menschenrechte*. Str. 272. (Verband der Freien Presse e. V. V, Monachium, 1968).
- WITTLIN (Joseph). *Das Salz der Erde*. Str. 316. (Wyd. S. Fischer Verlag, Frankfurt a/Main, 1969).
- Judenhetze in Polen*. (Vorkriegsfaschisten und Nazi-Kollaborateure in Aktionseinheit mit Antisemiten aus den Reihen der KP Polens). Eine Dokumentation von Simon Wiesenthal. Str. 44 z ilustracjami w tekście. (Wyd. Rolf Vogel, Bonn, 1969).
- STROBEL (Georg W.). *Die Reise von Adam Mickiewicz durch Süd-deutschland im Sommer 1832*. Str. 29-44. (Nadbitka z Jahrbücher für Geschichte Osteuropas, Band 17 Jahr. 1969, Heft 1, März 1969).
- SLADKOVIC (Andrej). *Marina*. Tekst w języku francuskim i słowackim. Str. 336. (Wyd. Tatran, Bratysława, 1969, cena Kczs. 23).
- Polska Satira*. Z przedmową i pod redakcją Zygmunta Stoberskiego. Str. 346. (Wyd. Stvarnost, Zagreb, 1964).
- Problémy literárnej avantgardy*. Konferencia Slovenskej akadémie vied v Smoleniciach, 25-27 octobra 1965. Str. 422. (Wyd. Slovenská akadémia vied, Ústav svetovej literatúry a jazykov, Bratislava, 1968).
- RAURICH (Hector). *Notas para la actualidad de Hegel y Marx*. Str. 145 i 7 nlb. (Wyd. Ed. Marymar, Buenos Aires, 1968).
- FORMANEK (Vaclav). PARKAN (Jaroslav) i in. *Le Château de Prague*. Str. 127, z ilustracjami i planami miasta w tekście. (Wyd. Sportovni a Turistické Nakladatelství, Praga, 1966, cena Kczs. 6,50).

Humor krajowy

Gomułce robiono stale zarzuty, że za długo przemawia. Nikt nie jest w stanie wysłuchiwać w skupieniu trzy-cztero godzinnych wypowiedzi, mówili mu przyjaciele.

Gomułka po namyśle uznał słuszność tych zarzutów i polecił swemu sekretarzowi przygotowanie na najbliższe posiedzenia 20-minutowego referatu, o czym zawiadomił zadowolonych towarzyszy.

Jednakowoż w czasie posiedzenia — minęło 20 minut a Gomułka czytał dalej, minęło następne 20 minut i nic. Dopiero po godzinie pierwszy sekretarz zebrał kartki i zszedł z mównicy. Przyjaciele natychmiast zaatakowali go, że nie dotrzymał przyrzeczenia. Zgniewany Gomułka wezwał swego sekretarza i zawołał:

— Co to ma znaczyć, przecież wyraźnie powiedziałem że moje przemówienie ma być zredagowane na 20 minut a trwało godzinę!

— To nie moja wina — odparł sekretarz — ja napisałem na 20 minut, i doręczyłem towarzyszowi jak zwykle oryginał i dwie kopie...



1 czerwca rb. do lokalu wyborczego w Warszawie wchodzi obywatel i widząc stos przygotowanych kartek wyborczych mówi:

— Proszę mi dać siódmą kartkę.

— Dlaczego siódmą? — dziwi się członek komisji.

— Bo już są wybory to trzeba coś wybrać...



Szlagbaum siedzi przy stole ze zdenerwowaną miną i pisze.

— Do kogo tak piszesz? — zapytuje go żona.

— Mam już tego wszystkiego dosyć, piszę zażalenie do Lenina — odpowiedział zapytany.

— Czyś ty zwariował — woła żona — przecież Lenin umarł!

— Dobrze, dobrze, nie zwracaj mi głowy! Jak ja mam do niego interes to on umarł, ale jak oni mają do mnie interes to on jest wiecznie żywy!



ODPOWIEDZI RADIA ERYWAŃ

Pytanie: — Czy prawdą jest, że patrioci czescy wezwali naszą niezwyciężoną Czerwoną Armię na pomoc?

Odpowiedź: — Prawdą, wezwali, ale w 1939 roku. Niestety dopiero w 1968 można było zadośćuczynić ich prośbie...

NIESTETY, TO NIE „HUMOR”...

Brzegiem chodnika Nowego Światu
Na przejściu pieszych i w autobusie
Na Poniatowskim oraz pod Prasą,
Niepostrzeżenie, cicho jak trusie
Chodzą kapusie.

W barach, kawiarniach, zamiast kelnerów
Niby też w kitlach, ale bez tacy
Koło Muzeum i koło Foksal
Z łopatką, teczką, niby do pracy
Krążą tajniacy.

Gdy boże słowo do wiernych płynie
Z ambony, która nad nimi wisi
Z tyłu w sutannach trzech panów stoi
Możesz być pewny, że to nie mnisi
Gdyż to są cisi.

Tu w samochodzie, tam na rowerze,
Tu zebrze jakiś niczym kaleka
Na Rutkowskiego i koło Smolnej
Niby taksówka na kogoś czeka
Wszędzie bezpieka.

W świętek i piątek, w święta kościelne
W święta państwowe i karnawały
Po całym mieście, ciągle niezmiennie,
Pod ortalionem schowane pały,
Chłopcy Switały.

Poprzebierani w różne kostiumy
Czasem jak księża, czasem hippisi
To pojedynczo, to znowu tłumem
Niscy, garbaci, wysocy, łysi
Smutni i cisi.

Ten mnie podgląda, tamten mnie sprawdza
Ten za mną chodzi i podstuchuje
Tamten wie dobrze z kim się zadaje
Ten z naprzeciwnika mnie podpatruje
Partia panuje.

Postanowiliśmy zmienić dotychczasową formę „Wydarzeń miesiąca” dzieląc je na dwie części: Polska — Blok Wschodni oraz Zachód — Emigracja, w tym ostatnim kładąc nacisk na problemy Emigracji i Polonii a redukując do minimum wiadomości ze świata, znane Czytelnikom z prasy.

Prosimy Czytelników zarówno o uwagi na temat wprowadzonej zmiany jak również o pomoc w redakcji działu dotyczącego Emigracji, tj. o nadsyłanie nam komunikatów, wycinków prasowych czy też krótkich notatek o sprawach, które interesują ogół.

REDAKCJA „KULTURY”

POLSKA — BLOK WSCHODNI

15-5-69

■ Ryszard Reiff, który był w ostatnim Sejmie PRL posłem z grupy Pax, nie został w ostatnich wyborach wyznaczony na kandydata do Sejmu. Mówi się w Warszawie, że jest to kara za przemówienie niedawno wygłoszone, w którym oskarżał władze bezpieczeństwa o opieszałość w śledztwie w sprawie zamordowanego Bogdana Piaseckiego. ■ Zmarł w Krakowie, w wieku lat 73, Adam Bunsch malarz i dramaturg. ■ Założenia nowego gospodarczego planu 5-cioletniego przewidują większe niż dotychczas efekty ekonomiczne ze środków którymi zakłady pracy już dysponują. W związku z tym nastąpi pewien spadek udziału inwestycji w dochodzie narodowym. Przewiduje się również odejście od koncepcji równomiernego rozwoju poszczególnych branż na rzecz preferowania branż i wyrobów najbardziej opłacalnych. ■ T. Mrzygłoda pisze w *Życiu Gospodarczym* że „ok. 1985 roku osiągniemy obecny poziom życia ludności państw w zachodniej Europie. Do tego okresu w zasadzie rozwiążemy problem mieszkaniowy. Należy przyjąć, że w okresie 1985-1990 każda osoba będzie posiadała oddzielną izbę a każda rodzina oddzielne mieszkanie. Do 1985 roku upowszechni się telewizja kolorowa, nastąpi pełne nasycenie w zakresie takich urządzeń jak telefony i lodówki. Równocześnie co trzecia rodzina będzie posiadała własny samochód. Powszechnie rozwinię się ruch turystyczny. Ok. 1975 roku tydzień pracy wyniesie 5 dni. Młodzież wchodząca w wiek produkcyjny będzie posiadała szkołę średnią”. ■ Obserwacja 400 godzin pracy dyrektorów polskiego przemysłu lekkiego wykazała, że ogółem 67 % swego czasu poświęcili oni na konferencję. ■ W ciągu 25 ostatnich lat wydano w Polsce 60 książek pisarzy ukraińskich a w prasie zamieszczono w tym okresie utwory 16 pisarzy ukraińskich przedrewolucyjnych i 120 z Ukrainy sowieckiej. Największym powodzeniem cieszyli się: Szewczenko, Franko, Kociubiński, Ryłski, Tytcyna, Bażan, Gonczar i Korniejczuk. ■ Ogłoszono Ogólnopolski konkurs na pomnik Lenina w Nowej Hucie, wysokości 20 m.

16-5-69

Tegorocznymi lauretami ogólnopolskiego konkursu czytelniczego *Złotego Kłosa* zostali Mieczysław Moczar, Bogdan Czeszko, Wanda Wasilewska i Leon

Kruczkowski. W konkursie brało udział 500.000 osób. ■ 22 pracowników Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk otrzymało wysokie odznaczenia państwowe. ■ W Niemczech Wschodnich aresztowano kilku-nastu studentów za manifestowanie sympatii dla Czechosłowacji. ■ Około 500 pracowników Czechosłowackiej Akademii Nauk znajduje się poza granicami CSSR. Około 70 z nich poinformowało, że nie zamierza powracać do kraju (*Polityka*, Warszawa). ■ W pierwszej połowie maja zatrzymano w Pradze 60 osób, które były schwytane na zrywaniu, paleniu czy beczeszczczeniu w inny sposób radzieckich flag. Aż 51 osób to ludzie młodzi, poniżej 25 lat (*Polityka*, Warszawa). ■ Według dziennika *Hong Kong Star* chińscy naukowcy i technicy pracują nad przyspieszonym programem produkcji rakiet większego zasięgu i międzykontynentalnych pocisków. Kierownicy naukowo-produkcyjnego zespołu podobno zapewnili chiński KC że rakiety międzykontynentalne i pociski o średnim zasięgu będą gotowe na zimę 1970. ■ W Pekinie przebywała syryjska delegacja wojskowa. ■ W Czechosłowacji zamknięto dwa pisma postępowe: *Reporter* i *Listy*. Trzy inne zostały zawieszone na 3 miesiące. Są nimi: *Plamen*, *Svet Obrazech* i *My* 69.

17-5-69

AFP donosi, że rząd jugosłowiański oświadczył krajom RWPG że od przyszłego roku stosunki handlowe między Jugosławią a nimi będą się odbywać tylko na zasadzie płatności w walutach wymienialnych. Wymiana handlowa Jugosławii z krajami socjalistycznymi wynosiła w ub. roku blisko 30 % ogólnej wartości jej handlu zagranicznego. Wspomniane posunięcie może zmniejszyć wymianę handlową między obu stronami o połowę. ■ W bieżącym pięcioleciu nie przewiduje się budowy ani jednego nowego hotelu w Warszawie mimo bardzo ostrego deficytu łóżek hotelowych. Również generalna przebudowa hotelu Bristol, który jest w stanie kompletnego zniszczenia nie ma widoków realizacji. Koszt przebudowy czy modernizacji ma wynosić ok. 70 milionów złotych.

18-5-69

Na dorocznym plebiscycie dla najpopularniejszego autora książek dla młodzieży przyznano nagrodę Alinie i Czesławowi Centkiewiczom, a na drugim miejscu A. Fiedlerowi. Napłynęło 7.249 odpowiedzi. ■ *Tygodnik Demokratyczny* podaje dane dotyczące prokuratorów i aplikantów PRL: wśród 3.237 prokuratorów i aplikantów znajduje się 707 kobiet. 1.145 prokuratorów i aplikantów jest w wieku od lat 30 do 40. Prokuratorów w wieku 40-50 lat jest 812. Poniżej 25 lat jest 232 osoby a w wieku 60-65 lat znajdują się 82 osoby. Do PZPR należy 2.147 prokuratorów i aplikantów. Do Stronnictwa Demokratycznego — 109, do ZSL — 46. ■ Ukazał się *Rocznik Statystyczny Kultury 1945-1967*, pierwsza tego typu publikacja GUS z zakresu kultury. ■ W latach 1948-1968 zbudowano w polskich stoczniach 941 statków o łącznym tonażu 3.976 tysięcy DWT. 73 % tych statków było przeznaczonych na eksport. Największym odbiorcą polskich statków jest Związek Sowiecki, któremu PRL w tym okresie dostarczył 479 statków o tonażu 2.349.130 DWT. Co piąty statystyczny statek sowiecki, towary i rybaki, pochodzi z Polski. ■ Mimo dokonanej w końcu ubiegłego roku podwyżki płac niedobór zatrudnienia w przemyśle węglowym wzrósł z 3.000 w marcu br. do 6.000 w kwietniu br. Jednym z powodów jest odpływ robotników do prac sezonowych w rolnictwie. ■ W Pałacu Kultury w Warszawie otwarto XIV Międzynarodowe Targi Książki. Ponieważ w ub. roku szereg książek wystawców zachodnich zostało skonfiskowanych przez władze bezpieczeństwa i do tej pory nie zwrócono ich właścicielom, Comité Permanent des Expositions du Livre w Paryżu, w okólniku do wydawców, podał listę tematów, któ-

re w Warszawie są nie dopuszczone na wystawę. Są to: Izrael i Syjonizm, Chiny, kryzys czechosłowacki, wszystkie prace krytyczne dotyczące marksizmu. ■ Gomułka oświadczył w przemówieniu sejmowym, że PRL gotowa jest zawrzeć z NRD traktat podobny jaki zawarła z NRD, pod warunkiem, że Niemcy Zachodnie uznają granicę na Odrze i Nysie oraz istnienie Niemiec Wschodnich. ■ Rosyjska rakietą kosmiczną spadła na powierzchnię Wenus umieszczając tam sowieckie godło państwowe: Sierp i Młot.

19-5-69

W Warszawie zakończono pracę nad edycją 11-tomowego *Słownika Języka Polskiego* pod redakcją W. Doroszewskiego.

20-5-69

Tegoroczny kolarski Wyścig Pokoju na trasie Warszawa-Berlin przebiegał tym razem tylko kilkudziesięciokilometrowym odcinkiem przez terytorium Czech. Drużyna czeska nie brała udziału w Wyścigu. ■ Zmarła w Warszawie w wieku 78 lat Zofia Melchiorowa Wańkiewiczowa. ■ Oddziały rumuńskie wzięły udział w 6-dniowych manewrach wojskowych Układu Warszawskiego, które odbyły się poza granicami Rumunii.

21-5-69

Sąd Najwyższy w Warszawie na rozprawie rewizyjnej K. Modzelewskiego, A. Kuronia, A. Michnika, H. Szlajfera, Barbary Toruńczyk, W. Goreckiego oraz A. Zambrowskiego utrzymał w mocy wyroki sądu w pierwszej instancji skazujące do jednego roku 8 miesięcy do trzech i pół roku więzienia. ■ Prezydium czechosłowackiej partii komunistycznej potępiło „bezsensowny radykalizm” panujący na wyższych uczelniach i wezwało Związek Dziennikarzy do przeprowadzenia samokrytyki. ■ Uniwersytet im. A. Mickiewicza w Poznaniu obchodził 50-lecie istnienia.

22-5-69

W Wilnie rozpoczęły się „Dni Poezji Polskiej”. Na uroczystości wyjechała delegacja Związku Literatów Polskich. ■ Polski kompozytor R. Twardowski otrzymał 3-cią nagrodę na Konkursie Kompozytorskim w Skoplie (Jugosławia). Jednocześnie w Belgradzie na XI Międzynarodowym Triennale Scenografii Teatralnej przyznano pierwszą nagrodę Zofii Wierchowicz za kostiumy do „Ryszarda III-go” Szekspira. ■ Zmarł w Katowicach w wieku lat 75 wybitny ekonomista prof. Edward Rose. ■ 55 intelektualistów sowieckich, z historykiem P. Jakirem na czele, wystosowało apel do Komisji Praw Człowieka Narodów Zjednoczonych, domagający się obrony praw człowieka w Sowietach i protestujący przeciw prześladowaniom politycznym.

23-5-69

Zarząd Czechosłowackiego Związku Pisarzy uchwalił wystąpić do Sądu z zarządzeniem decyzji Urzędu Prasy i Informacji o zamknięciu znanych tygodników literackiego *Listy* i *Reporter*. ■ W Pradze została otwarta wystawa litewskiej grafiki książkowej. Później była eksponowana w Bratysławie. ■ 200.000 żołnierzy sowieckich skierowano do Mongolii. Oddziały te wyposażone są m.in. w broń raketową.

24-5-69

W kraju władze uroczystie obchodziły 24-tą rocznicę Powstania Korpusu Bezpieczeństwa i oddziałów specjalnych, podkreślając „piękne tradycje bo-

jowe KBW w umacnianiu władzy ludowej". ■ W Krakowie rozpoczęły się obchody 150-lecia założenia Akademii Sztuk Pięknych. ■ Na Węgrzech zrehabilitowano pośmiertnie gen. L. Soloma, szefa sztabu armii węgierskiej w latach 40-tych, który został stracony w okresie stalinowskim. ■ Organ armii sowieckiej *Krasnaja Zwiezda* oskarżył Niemcy Zachodnie o dostarczanie materiału wojennego Chinom. Pismo to twierdzi, że w Chinach pracują niemieccy eksperci rakietowi.

25-5-69

W Rydze została otwarta wystawa wyrobów elektroniki, automatyki i urządzeń laboratoryjnych w 130 przedsiębiorstwach przemysłowych PRL. Jednocześnie rozpoczęła się Dekada Książki Polskiej ciesząca się dużym powodzeniem, specjalnie popularne były książki St. Lema. ■ Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie obchodziła 50-lecie swego istnienia. W związku z tą uroczystością nadano jej miano Stanisława Staszica. ■ Nowe czystki w ZSSR: z pisma dla młodzieży *Junost' (Młodość)* nakład 2.100.000 egzemplarzy usunięto W. P. Aksjonowa, Je. Jewtuszenko i W. S. Rozowa. *Prawda* domaga się ustąpienia Aleksandra Twardowskiego ze stanowiska naczelnego redaktora *Nowawo Mira*. ■ Prezydent Ceausescu wystąpił z apelem do wszystkich krajów Europy o rozwiązanie paktów wojskowych i wycofanie wszystkich wojsk obcych.

26-5-69

Rozgłosnia praska publicznie przeprosiła Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i tych działaczy komunistycznych, których oskarżano o kolaborację, ogłaszając, że wysuwane przeciw nim zarzuty były bezpodstawne. ■ Według informacji OECD ponad dwa miliony ludzi pracuje w Sowietach nad badaniami naukowo-technologicznymi. W Stanach Zjednoczonych liczba ta dochodzi do jednego miliona 200 tys. ■ Matematyk rosyjski Ilia Burmistrowicz skazany został na 3 lata więzienia za pożyczanie przyjaciółom maszynopisów utworów zakazanych w Rosji.

30-5-69

Przed sądem wojewódzkim dla m.st. Warszawy rozpoczął się proces przeciwko byłym urzędnikom Ministerstwa Zdrowia T. Gnatowi i H. Potockiemu. Po aferze mięsnej i sprawie Korgula jest to jeden z większych skandali w PRL — nadużycia i korupcja w które są zamieszani wysocy dygnitarze partyjni. ■ Generał Zakonu Jezuitów, Pedro Arrupe, zakończył swą dwutygodniową wizytę w Polsce, której głównym powodem była próba uregulowania z Kard. Wyszyńskim sprawy zakonu Jezuitów polskich. Istnieje bowiem konflikt na temat katechizmu szkolnego publikowanego rok rocznie przez Jezuitów który dotąd otrzymywał imprimatur Episkopatu Polskiego. Zmiany wprowadzone po Soborze nie zostały przychylnie przyjęte przez władze kościelne polskie i Kardynał oświadczył Ojcu Arrupe, że nie udzieli swego imprimatur. Drugim drażliwym problemem jest sprawa autonomii zakonów religijnych. W 1945 roku Prymas Polski otrzymał specjalne pełnomocnictwa kontrolowania zakonów ze względu na izolację Polski. Jezuici uważają, że w obecnej sytuacji te pełnomocnictwa nie są usprawiedliwione. Również i w tej sprawie nie doszło do porozumienia.

31-5-69

„Radziecka rewizjonistyczna produkcja przemysłowa chyli się ku upadkowi” — w tym stylu opublikowała artykuł agencja chińska „Sin-Hua”. W istocie w skutek szczególnie ostrej zimy kilka ministerstw (Ropy Naftowej, Metali

Niezelaznych, Przemysłu Leśnego, Materiałów Budowlanych oraz Przemysłu Mięsnego i Mleczarskiego) oraz kilka republik (Uzbekistan, Kazachstan, Azerbejdżan, Turkmenia) nie wykonały w pełni zadań produkcyjnych. Jednak w całości w okresie styczeń-kwiecień globalna produkcja ZSSR wzrosła o 6,7 procent, a wydajność pracy o 4 procent (*Polityka*, Warszawa). ■ We Wrocławiu dokonano pomyślnej operacji przeszczepienia nerki.

3-6-69

Prasa warszawska podaje oficjalne dane dotyczące wyborów do Sejmu. Głosowało 97,61 % uprawnionych do głosowania. Gomułka uzyskał 99,44 %, Gierek 99,78 %. Równie wysokie cyfry uzyskał Moczar, Kliszko, Kociołek i Kruczek. Natomiast Spychalski, Cyrankiewicz, Jędrzychowski, Łoga-Sowiński, Jaszczuk, Szydłak, Tejchna i Starewicz będący na pierwszych miejscach uzyskali ostatnie lub przedostatnie lokaty. ■ Grupa intelektualistów sowieckich z P. Jakirem na czele wystosowała apel do uczestników światowej konferencji partii komunistycznych w Moskwie, by nie dopuścili do odrodzenia się ducha stalinizmu.

4-6-69

Zmarł w Warszawie prof. dr Stefan Rozmaryn w wieku lat 60. Był on wybitnym znawcą prawa państwowego. ■ W okresie 4 miesięcy bieżącego roku wzrosło zapotrzebowanie na wyroby spirytusowe i papierosy. Wzrost wynosi ponad 9 % w porównaniu z rokiem ubiegłym. ■ Przewodniczący centralnej Komisji Kontrolno-Rewizyjnej Komunistycznej Partii Czeskiej oświadczył, że nie wolno z tolerancją odnosić się do tych członków KC i ich zastępców, którzy głosowali swego czasu w Zgromadzeniu Narodowym przeciwko rządowemu projektowi układu o czasowym pobycie wojsk sowieckich na terytorium czeskim. ■ Pismo studentów słowackich *Reflex* zostało zawieszone na okres 3 miesięcy. ■ Ostatnie Plenum KC Partii Czeskiej wykluczyło ze swego składu O. Szika (dwukrotnie występował na Plenum w swojej obronie), F. Votslona i F. Kregla za postawę antysocjalistyczną i antysowiecką. Ponadto z KC wykluczeni zostali K. Kosik, F. Pavliczek, K. Pavlisztik, którzy podpisali znany apel „2000 słów” a którzy nie zgodzili się z oceną Prezydium, że jest to dokument anty-partyjny. ■ Strougal, oskarżony niedawno o kolaborację z wojskami okupacyjnymi, został mianowany zastępcą Husaka. Usunięto poza tym ze stanowiska przewodniczącego praskiej organizacji partyjnej Simona.

5-6-69

W okresie miesiąca 8 dyrygentów polskich, 10 śpiewaków, 4 pianistki i 3 zespoły instrumentalne występowały poza granicami kraju. ■ W Moskwie rozpoczęła się światowa konferencja partii komunistycznych „na szczycie” z udziałem delegacji 75 partii.

6-6-69

W Moskwie aresztowano 6 Tatarów, którzy protestowali przeciw dyskryminacji Tatarów wysiedlonych z Krymu w czasie wojny, a którym odmawia się prawa powrotu na Krym. ■ W Warszawie rozpoczęła się 68 sesja Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego. ■ Centralna Biblioteka Wojskowa obchodziła jubileusz 50-lecia swego powstania. ■ W Moskwie rozpoczęły się pierwsze organizacyjne narady grup roboczych RWPG do spraw rolnictwa, przemysłu spożywczego i transportu. ■ Nagrody literackie im. Stanisława Piętaka zostały przyznane: w dziedzinie prozy Tadeuszowi Nowakowi za powieść „A jak Królem, a jak katem będziesz”, a w poezji Edwardowi

Stachurze za tom „Po ogrodzie niech hula szarańcza”. ■ Odznaczenia polskich naukowców za granicą: matematyk prof. dr Kazimierz Kuratowski został wybrany członkiem zagranicznym Akademii w Palermo (Włochy). — Uniwersytet w Debreczynie (Węgry) nadał doktorat honorowy filologowi klasycznemu, prof. dr. Kazimierzowi Kumanieckiemu, ponadto został on członkiem zwyczajnym włoskiego ośrodka studiów cycerońskich. — Znany geograf prof. dr Stanisław Leszczycki został wybrany prezesem Międzynarodowej Unii Geograficznej na kadencję obejmującą lata 1968-1972, ponadto został członkiem korespondentem Towarzystwa Geograficznego we Florencji (Włochy). — W Bordeaux (Francja) na walnym zgromadzeniu Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Sztuki wiceprezesem tej organizacji wybrano po raz czwarty prof. Juliusza Starzyńskiego z Warszawy. — Polski znawca prawa międzynarodowego prof. dr Manfred Lachs otrzymał doktorat honorowy Uniwersytetu Algierskiego i Uniwersytetu w New Delhi (Indie). — 30 stycznia rb. Uniwersytet w Groningen (Holandia) nadał doktorat honorowy historykowi sztuki doktorowi Janowi Białostockiemu z U.W. — Specjalista w zakresie teorii sprężystości prof. dr Wacław Olszak z Politechniki Warszawskiej został członkiem korespondentem Francuskiej Akademii Nauk. — Polski filolog klasyczny prof. dr Ignacy Malecki otrzymał w Liège od Stowarzyszenia Inżynierów Belgijskich medal Gustawa Pransentera za zasługi w dziedzinie akustyki i ultra-akustyki.

7-6-69

Reżyser R. Wionczek rozpoczął pracę nad filmem o Powstaniu Warszawskim.

8-6-69

Zostały otwarte 38 Międzynarodowe Targi Poznańskie. W Targach biorą udział reprezentanci 40 państw.

10-6-69

Tegoroczna nagroda literacka CRZZ została przyznana Julianowi Kawałcowi i Jerzemu Mańkowskiemu. ■ Do nowych władz Związku Pisarzy Czeskich weszli w olbrzymiej większości pisarze znani z liberalnych przekonań. Przewodniczącym został J. Seifert.

11-6-69

PAP komunikuje, że od 1. VII. 1967 do końca maja br. opuściło Polskę — deklarując wyjazd na stałe do Izraela — 5.264 obywateli polskich narodowości żydowskiej. Do 1 września br. będą stosowane specjalne przepisy przy wydawaniu paszportów emigracyjnych. Po tym terminie podania o wyjazd będą rozpatrywane w ogólnie obowiązującym trybie postępowania.

13-6-69

Centrum Dokumentacji Ofiar Nazizmu w Wiedniu doniosło o sprofanowaniu cmentarza żydowskiego w Warszawie. Nieznani sprawcy zniszczyli lub ukradli nagrobki marmurowe i granitowe z cmentarza. Ostatnio nieznani sprawcy zniszczyli kilkaset grobów na cmentarzu żydowskim w Krakowie.

15-6-69

Zmarł w Warszawie po długiej i ciężkiej chorobie Jerzy Zawieyski, znany pisarz i dramaturg oraz działacz katolicki.

ZACHÓD — EMIGRACJA

15-5-69

W Liege w Belgii występowała Opera Poznańska wystawiając „Straszny Dwór” Moniuszki i „Damę Pikową” Czajkowskiego. ■ Fundacja Kościuszkowska w Nowym Jorku przyznała stypendia ośmiu studentom amerykańskim na studia w Polsce na rok akademicki 1969/70. ■ „Naród Polski” organ Zjednoczenia Polsko-Rzymsko-Katolickiego w Ameryce, donosi że Rada Polonii Amerykańskiej na skutek trudności finansowych zamierza zamknąć swoje biuro w Polsce. ■ André Malraux został wybrany członkiem amerykańskiej Akademii Sztuki i Nauki. Wśród 29 zagranicznych członków Akademii figurują: Aleksander Sołżenicyn i fizyk sowiecki A. Sacharow. ■ Przybyły przed trzema laty do Toronto 49-letni Anzelm Waluk popełnił samobójstwo. Przyczyną samobójstwa była odmowa władz PRL udzielenia żonie i dzieciom paszportu na wyjazd do Kanady celem połączenia się.

16-5-69

Prezydent Nixon wypowiedział się za wycofaniem wszystkich wojsk obcych z Południowego Wietnamu w ciągu następnych 12 miesięcy, a następnie przeprowadzenie tam wyborów.

17-5-69

Zmarł w Rzymie Kardynał Józef Beran, arcybiskup Pragi, w wieku lat 81. ■ Nagrodę poetycką im. Kazimierza Wierzyńskiego w Londynie otrzymał Bogdan Czaykowski. ■ W salach Domu Polskiego w Buenos Aires została zorganizowana przez T. Dąbrowskiego i L. Paffa wystawa „Monte Casino”. Na otwarciu było ponad 400 osób. Sukcesem jest zaproszenie wystawy do Centrum Wyszkozenia Armii Argentyńskiej do Campo de Mayo. Wystawa jest opracowana po hiszpańsku. ■ Po dłuższej przerwie została wznowiona w Londynie wydawnictwo informacyjne dla Anglosasów: *Polish Affairs*, pod redakcją Stanisława Zarzewskiego. ■ Prof. J. Zawodny wygłosił w St. Anthony College w Oksfordzie odczyt o Powstaniu Warszawskim.

18-5-69

Naczelny Komitet Wykonawczy PSL na posiedzeniu w Belgii podjął jednoznacznie decyzję przystąpienia do Rady Jedności Narodowej w Londynie. Do rozmów ze stronnictwami i ugrupowaniami politycznymi RJN zostali upoważnieni Franciszek Wilk, prezes PRL i J. Rzemieniewski, sekretarz naczelny Stronnictwa. Wejście PSL do Rady Jedności Narodowej napotyka na trudności w pierwszym rzędzie ze strony Stronnictwa Narodowego. ■ XXII Rada Instytutu Polskiego Akcji Katolickiej w W. Brytanii potępiła krytykowanie polityki kościelnej i Kard. Wyszyńskiego, które ostatnio pojawiło się w prasie emigracyjnej, nie dając jednak merytorycznej odpowiedzi na wysuwane zastrzeżenia czy zarzuty. ■ W Buenos Aires wykonano po raz pierwszy „Piszę Św. Łukasza” Penderckiego. Orkiestrą i chórem dyrygował Henryk Czyż. ■ Rada Trzech przeprowadziła naradę ze stronnictwami i ugrupowaniami politycznymi wchodzącymi w skład Rady Jedności w sprawie rozwiązania kryzysu w Radzie Jedności, rozszerzenia Egzekutywy i przeprowadzenia wyborów uzupełniających do Rady Jedności. ■ Kryzys w Radzie spowodowany jest w pierwszym rzędzie rosnącymi żądaniami Stronnictwa Narodowego, które mając od początku w swych rękach przewodnictwo Rady Jedności zagarnęło niedawno także funkcję trzeciego członka Rady

Trzech w osobie Dr. Mgleja, uniemożliwiając wybór kandydata wysuniętego przez PPS. Spowodowało to zawieszenie udziału w Radzie przez PPS. ■ W rozmowach na temat rozszerzenia Egzekutywy Stronnicstwo Narodowe domagało się również stanowiska zastępcy Przewodniczącego, oraz rozdzielenia każdego z trzech głównych działów pracy Egzekutywy, spraw zagranicznych, spraw krajowych i spraw emigracyjnych na dwa równorzędne człony z których jeden w każdym dziale były w rękach Stronnicstwa Narodowego. Konsultacja w Radzie Trzech nie dała wyniku. Dr Mglej, mimo zobowiązań, odmówił ustąpienia na rzecz kandydata PPS — Urbańskiego.

19-5-69

W St. Catherines, Ontario, odbył się 13 walny zjazd SPK w Kanadzie przy wyjątkowej frekwencji delegatów. Po uchwaleniu budżetu (10.000 dolarów) wybrano nowe władze, prezesem Zarządu Głównego został T. Barankiewicz, sekretarzem generalnym M. Szczeciński. ■ Ukazał się Indeks Translacionum za rok 1967 wydany przez UNESCO. Najwięcej książek tłumaczonych ukazało się w Związku Sowieckim. W Polsce wydano 885 książek, przełożonych z obcych języków. ■ T. Dąbrowski, dyrektor Składnicy Książki Polskiej w Buenos Aires zorganizował wieczór ku czci K. Wierzyńskiego.

20-5-69

W Londynie odbyło się 4-te walne zebranie członków Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego przy obecności 36 delegatów organizacji członkowskich i 84 członków indywidualnych. Zebranie stwierdziło znaczny postęp w realizacji rozbudowy ośrodka. Przewodniczącym POSK został ponownie prof. inż. R. L. Wajda. ■ Zmarł w Austrii, w wieku 72 lat, płk. Riko Jary jeden z b. przywódców UW i OUN. ■ Redaktor *Kuriera Polskiego* w Buenos Aires, Feliks Zahora-Ibiański, przed paroma miesiącami tajemniczo zaginął. Poszukiwania organizacji polskich i policji były przez czas dłuższy bezskuteczne. Został odnaleziony w stanie nieprzytomnym w Avellaneda (przedmieście Buenos Aires). Zmarł nie odzyskawszy przytomności w szpitalu Fijorito. Ponieważ nie miał przy sobie żadnych dokumentów został zidentyfikowany na podstawie odcisków daktyloskopicznych. Redaktorem *Kuriera Polskiego* na jego miejsce został Cezary Gołkowski były współpracownik *Gazety Żołnierza*, wydawanej w czasie ostatniej wojny przez 2-gi Korpus w Bari (Włochy). ■ Telewizja brytyjska nadała obszerny program o bitwie pod Monte Casino, przedstawiając m.in. udział wojsk polskich.

21-5-69

Władysław Mazan został zaprzysiężony w Waszyngtonie na stanowisku asystenta sekretarza transportu (*for public affairs*). W uroczystości wzięli liczny udział przedstawiciele Polonii. ■ Delegacja Rady Polonii Amerykańskiej odbyła konferencję w departamencie Stanu w sprawie pomocy dla ludności polskiej specjalnie dzieci. Polska jest jedynym krajem w Europie który dotąd korzysta z pomocy w ramach programu *Food and Peace*. Program pomocy żywnościowej USA kończy się w czerwcu 1970. Rada Polonii zabiega o przedłużenie tej pomocy i pragnie jeszcze w bieżącym roku tą pomoc zwiększyć dla 15.000 dzieci w najuboższym województwie w PRL — Białostockim. Postulaty delegacji spotkały się z życzliwym przyjęciem ale ostateczna decyzja zapadnie w późniejszym terminie. ■ Dyrygent Leopold Stokowski otrzymał zaszczytne wyróżnienie „National Institute of Arts and Letters for Distinguished Service for the Arts”. Ceremonia wręczenia Stokowskiemu tej nagrody odbyła się w siedzibie American Academy of Arts and Letters. ■ Amerykanin polskiego pochodzenia, kongresman Henryk Helstoski, kandy-

duje na stanowisko gubernatora stanu New Jersey. Jest to pierwszy wypadek w historii Polonii.

22-5-69

Teatr „Library Theater” w Toronto wystawia dwie jednoaktówki Sławomira Mrożka.

24-5-69

Papież mianował Monsignora Augustyna Sępińskiego nuncjuszem w Urugwaju. ■ W Nowym Jorku odbyła się prapremiera reprezentacyjnej opery ukraińskiej „Anna Jarosławna” z okazji 75-lecia Ukraińskiego Związku Narodowego. Autorem libretta jest Leonid Połtawa, muzyka — kompozytora Antona Rudnickiego.

25-5-69

Senator E. Muske został wybrany do Komitetu Kierowniczego Partii Demokratów w Senacie w USA.

26-5-69

W Londynie odbył się XVII doroczny zjazd działaczy Skarbu Narodowego. ■ Od 1. I. 1961 do 28. XII. 1968 w wojnie wietnamskiej zginęło 30.543 Amerykanów. W tym samym okresie w wypadkach samochodowych w USA zginęło 380.963 osoby.

27-5-69

Biblioteka Polska w Montrealu przy Polskim Instytucie Naukowym w Kanadzie opublikowała zestawienie finansowe Biblioteki za rok 1968. Z zestawienia wynika, że dochody Biblioteki, składające się z darów osób prywatnych, składek bibliotecznych i składek okazyjnych, wyniosły w roku 1968 sumę dol. 1.334,50. Rozchody w przeważającej części, bo na sumę dol. 1.050,80, przeznaczono na zakup i oprawę książek, zaś na wydatki administracyjne, porto, transport książek itp. sumę dol. 242,20 czyli razem licząc dol. 1.293,00. Z tego skromnego obrotu wielkiej polskiej instytucji kulturalnej pozostała nadwyżka w kwocie dol. 41,42. Wydatki na lokal i personel nie są uwidocznione ponieważ lokalu udziela uniwersytet McGill a personel Biblioteki pracuje bezinteresownie. ■ Zmarł nagle w Argentynie Zbigniew Kulpiński, żołnierz 2-go Korpusu, działacz SPK i delegat Zjednoczenia na Argentyne. ■ Prezydent Nixon złożył w Kongresie projekt reorganizacji poczty w USA. Ma powstać wydzielone przedsiębiorstwo pocztowe z mieszanym kapitałem prywatnym i państwowym. ■ Po 8-dniowej podróży kosmicznej i zbliżeniu się do powierzchni księżyca na odległość 14 km, rakieta amerykańska Apollo 10 powróciła na ziemię. Jej podróż otwiera możliwość lądowania na księżycu.

28-5-69

W Londynie zmarł dr Mozes Mosenkis, przewodniczący Stowarzyszenia Polskich Komбатantów Żydów. ■ Kanada zapowiedziała wycofanie swych wojsk z Niemiec Zachodnich. Wywołało to ostry sprzeciw wszystkich ministrów Obrony biorących udział w konferencji Paktu Atlantycznego w Brukseli.

29-5-69

Tadeusz Olechowski, wiceminister handlu zagranicznego został mianowany

ambasadorem PRL w Paryżu. ■ Dr J. Macieszko został dziekanem slawistyki w Kolegium Związkowym w Cambridge Springs.

31-5-69

Rada Trzech zdecydowała skrócić swą kadencję do 1 roku aby umożliwić rozwiązanie kryzysu przez ponowne wybory członków Rady.

1-6-69

W Waszyngtonie zmarł w wieku lat 79 były poseł czechosłowacki w Polsce i b. Ambasador w Stanach Zjednoczonych, Dr Juri Slavik.

2-6-69

Chicagowski Kongres Polonii Amerykańskiej odmówił w tym roku udziału w „Paradzie Narodów Ujarmionych” ponieważ obchód ten od pewnego czasu był wykorzystywany przez niemieckich rewizjonistów. ■ W Buenos Aires ukazał się pierwszy numer *Biuletynu Informacyjnego* harcerskiego klubu andynistycznego „Tatry”.

5-6-69

Odbyło się spotkanie izraelsko-rumuńskie, poświęcone wzajemnym stosunkom oraz problemom międzynarodowym dotyczącym obu krajów. ■ Nowy rząd Sudanu nawiązał stosunki dyplomatyczne z Niemiecką Republiką Demokratyczną. Jest to trzeci kraj po Iraku i Kambodży, który uznał NRD. Niemcy Zachodnie mimo tzw. „doktryny Hallsteina” nie zerwały z tymi krajami stosunków dyplomatycznych.

7-6-69

W Londynie zmarł w wieku lat 84 gen. bryg. Henryk Krok Paszkowski. ■ Na Walnym Zebraniu Polsko-Kanadyjskiego Instytutu Dobroczynności zostało złożone sprawozdanie „Ogniska Polskiego”, Domu dla osób starszych. W Domu mieszka obecnie 88 osób, quebeckie ministerstwo Opieki Społecznej opłaca utrzymanie 77 osób. Przeciętny wiek mieszkańców „Ogniska” wynosi 73 lata.

8-6-69

Zmarł w USA znany aktor filmowy Robert Taylor.

9-6-69

Po spotkaniu się z prezydentem Południowego Wietnamu Thieu na wyspie Midway, prezydent Nixon ogłosił decyzję wycofania z Wietnamu 25 tys. żołnierzy amerykańskich. ■ Londyński *Times* zamieścił krótki wywiad z W. Gombrowiczem zapowiadając ukazanie się po angielsku jego powieści „Pornografia” i sztuki „Księżniczka Iwona”.

10-6-69

Telewizja francuska wystawiła „Dom na granicy” Sławomira Mrożka.

11-6-69

Zmarł w Ameryce John L. Lewis, przewodniczący Związku Zawodowego Górników. Lewis był jedną z czołowych i kontrowersyjnych postaci w amerykańskim życiu Związków Zawodowych. ■ Papież Paweł VI wygłosił w Gene-

wie przemówienie z okazji 50. rocznicy utworzenia Międzynarodowego Biura Pracy.

12-6-69

Zmarł Emanuel d'Astier de la Vigerie, znany pisarz i polityk.

14-6-69

Na Uniwersytecie York w Toronto rozpoczęła się konferencja poświęcona problemom kanadyjskim Słowian. ■ M. Windelen, minister Niemieckiej Republiki Federalnej oświadczył w Hamburgu, że nie widzi żadnej korzyści z ewentualnego uznania granicy na Odrze i Nysie jako wschodniej granicy niemieckiej. ■ „Międzynarodowa nagroda pamięci”, stworzona dwa lata temu w Nowym Jorku przez J. Rosensafta, przyznała w bieżącym roku nagrodę Stanisławowi Wygodzkiemu. Poprzednimi laureatami byli Elie Wiesel i Manès Sperber.

15-6-69

Prezydentem Francji został wybrany Georges Pompidou. ■ W Wiesbaden zmarł nagle Marek Hłasko w wieku 35 lat.

Listy do Redakcji

Montreal, 10 maja 1969 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Uprzejmie proszę o dołączenie mnie do listy osób, solidaryzujących się ze stanowiskiem p. S. Mękarskiego (list do Redakcji w Nrze 1/256-2/257 *Kultury* ze stycznia 1969 r.).

Łączę wyrazy poważania,

W. BABIŃSKI



Glasgow, 8 czerwca 1969.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pragnę na łamach Pańskiego pisma, którego od dawna jestem pilnym czytelnikiem, podziękować Michałowi K. Pawlikowskiemu za jego wystąpienie w obronie „rangi” pisarskiej Syrokomli. Jestem mu tym bardziej wdzięczny, że przed laty sam kruszyłem swoją wątłą kopię w obronie niedocenianego poety w związku z prawie całkowitym pominięciem jego twórczości w bardzo cennej skądinąd antologii Grydzewskiego. Uczyniłem to w artykule pt. „O poczesne miejsce na Parnasie” (*Wiadomości*, nr 5/513 z roku 1956), w którym m.in. powołuję się na niezmiernie wysoką ocenę naszego poety przez Jerzego Zdziechowskiego. Za zaszczyt sobie poczytuję, że znalazłem się w orszaku tak wybitnych przyjaciół „lirnika litewskiego”.

A swoją drogą dziwuję się wielce, co się dzieje z psychiką młodszego pokolenia w narodzie naszym, w Kraju (?) i za granicą. Niedgdyś słyneliśmy bodaj z tego, co bym chętnie nazwał kulturą uczucia („po psie płaczą szczerzej” mickiewiczowskie). A właśnie naszego „lirnika” w wysokim stopniu cechuje ta właśnie kultura uczucia. Niektóre z jego „Gawęd” to prawdziwe perły pod tym względem (i nie tylko pod tym zresztą).

A jeśli chodzi o „mierzenie wielkości”... Czy zastanowił się ktoś kiedyś nad takim Janem Dęborogiem? Wziąć za temat spór dwóch rodzin zakończony szczęśliwie małżeństwem, temat aż nadto często używany, niemal spopolitowany, którym jednak nie pogardził Mickiewicz w swym arcydziele, i nie zadłużyć się w niczym u swego wielkiego brata na emigracji, mieć własny, sobie swojski ton, swą koncepcję i wykonanie ich naszym życiem i prawdą postaci niezależny i szczerze prawdziwy koloryt miejscowy (*couleur* Kościół znajdował się na krawędzi wielkiej schizmy. Nie wiemy kiedy ta *locale* dla pedantów) — czyż to nie osiągnięcie godne szacunku?

Łączę uprzejme pozdrowienia oraz wyrazy prawdziwego poważania.

Jan P. DĄBROWSKI

P.S. A skoro jestem już „przy głosie”, niech mi wolno będzie wyrazić nadzieję, oby nie płoną (sic!). Za nic nie zgodzę się na oficjalną pisownię tego przymiotnika, nic wspólnego nie mającego z płonieniem, a wiele wspólnego z „płonką” w przeciwieństwie do wszelkiego rodzaju „zapłonów”, jak nie zgodziłem się niegdyś, z lepszym tylko skutkiem, z dziwacznym „triumfem”), że znajdzie się jeszcze miejsce na kilka słów, gdyż piszę je nie tylko *pro domo mea*, ale i *pro domo tua*, Czcigodna Kulturo... Zbyt często serce ściska mi ból, gdy widzę na twych łamach zwroty w rodzaju „sprzed laty” wychodzące spod niebylejakich piór, w tym nawet pióra naczelnego publicysty Mieroszewskiego! Nie dopuszczam ani na chwilę możliwości pojawienia się ich pod piórem np. Hostowca lub Miłosza. Przecie „laty” w danym wypadku są tylko starszą formą narzędnika „latami”. Nikt z tych panów, którzy grzeszą tak brzydko, nie napisałby przecie jakiegoś „sprzed kilkunastu (kilkunastoma) latami”. By się ustrzec tego rodzaju — powiedzmy — lapsusu, nie trzeba być językoznawcą czy choćby polonistą: wystarczy chwila zastanowienia się. A chyba dbałość o czystą i poprawną polszczyznę powinna cechować najwybitniejszy periodyk polski, i to na emigracji?

I dobrze jest pamiętać, że sam żał za popełnione grzechy nie wystarcza do uzyskania absencji; konieczne jest jeszcze postanowienie więcej niegrzeszenia.

Jan P. Dąbrowski

Tel Aviv, czerwiec 1969.

Szanowny Panie Redaktorze,

Od pewnego czasu stałem się obiektem nagonki jako rzekomy współautor półgodzinnej sztuki telewizyjnej pt. „Statek do Addis Abeby”, wystawionej przez teatr telewizji BBC w końcowych dniach lutego br.

Sztuka ta została oceniona jako antypolska w audycji Radia Wolna Europa, nadanej dnia 4 marca br., następnie zaś doczekała się szeregu wzmianek i omówień prasowych na łamach *Wiadomości* tudzież *Dziennika Żołnierza*.

Wyjaśniam, że jestem rzeczywiście autorem opowiadania pt. „Statek do Addis Abeby”.

Opowiadanie było drukowane w roku 1956/7 przez Łódzki dwutygodnik literacki *Kronika* w okresie redagowania tego pisma przez Jana Koprowskiego. Nie muszę więc dodawać, że opowiadanie to nie zawiera żadnych elementów o charakterze antypolskim, ani też żadnych akcentów mogących brzmieć dwuznacznie w dyskusji dotyczącej się jasnych czy ciemnych spraw okupacji.

Mój „Statek do Addis Abeby” to historia Żyda, który po ucieczce z getta zostaje schwytywany przez tzw. szmalcowników żądających okupu. Bohater zostaje zamknięty w pokoju i korzystając z telefonu ubiega się o pomoc. Nie doczekawszy się takowej wydaje swoich oprawców w ręce Gestapo pod zarzutem ukrywania Żyda — którym jest on sam.

Ten motyw uwięzionego Samsona, obalającego ściany przypadkowego mieszkanka na barki współczesnych Filistynów wydał mi się ongiś interesujący, dlatego też chętnie się nim zająłem. W toku opowiadania zostało jednak wyraźnie podkreślone, że:

1. Szmalcownicy są wyrzutkami społeczeństwa, rekrutującymi się przy tym z nizin społecznych.

2. Różni przypadkowi ludzie interpelowani telefonicznie ohawiają się prowokacji.

3. W decydującej chwili uwięziony ma otrzymać pomoc, ale traci ją z własnej winy.

I tak dalej.

Celem uniknięcia dalszych niejasności manuskrypt opowiadania składam w redakcji *Kultury*, mając zresztą niejaki wyrzuty sumienia. Za młodu bowiem pisywałem jeszcze gorzej niż teraz.

Wyjaśniam dalej, że z realizacją londyńskiej BBC nie miałem nic wspólnego. Mogę natomiast sądzić z opisów prasowych w *Wiadomościach* i *Dzienniku Żołnierza*, że sens mojej noweli został całkowicie wypaczony. Fakt, że szmalcownicy paradują nie w strojach, które pamiętam, ale w mundurach Wojska Polskiego (!), te wszystkie orły na ścianach i fotografie Naczelnika Państwa (!!!) budzić mogą jedynie politowanie, podobnie jak cytowane „odzywki” bohaterów.

Niestety, nie znam osobiście Mr. Geralda Wilsona, autora adaptacji scenicznej. Nie wiem zatem z jakiego obszaru doświadczeń bądź wyobraźni wywodzi się rodowód poszczególnych układów widowiska. Jako praktykujący reżyser domyślam się jednak z przerażeniem, jak dalece można przy pewnej skrupulatności zawodowej wspomaganej niezbędną ignorancją „ubarwić” pierwowzór literacki rzeczy.

W związku z tym uprzejmie i stanowczo proszę o nie łączenie mojego nazwiska — brzmiącego znajomo przyjacielom w Kraju — z tytułem nie-szczęsnego spektaklu BBC. Pragnę też dodać na użytek zainteresowanych, że z okazji tego telewizyjnego wydarzenia — o którym dowiedziałem się z gazet — nie dostałem ani grosza.

Lecz to niestety nie wszystko. Pozostaje bowiem na marginesie niniejszych uwag problem o charakterze dodatkowym i ten nieoczekiwany aspekt ośmielałem się postawić pod rozwagę Szanownych Redakcji tudzież Uważnych Czytelników Prasy Emigracyjnej.

Znalazłem oto w notatce *Wiadomości* klarowny passus o „niedość spolszczonych Żydach, którzy itd., itd.”. Odnoszę uporczywe wrażenie, że ktoś mimo woli zapożycza pełną garścią z żargonu ulicy Rakowieckiej.

Z poważaniem,

Edward ETLER



Monachium, 19 maja 1969.

Szanowny Panie Redaktorze,

W nrze 5/69 *Kultury* ukazał się artykuł p. Adama Kruczka pt. „Wielki Terror”. Autor zapowiedział, że zajmie się dwiema książkami, mianowicie Roberta Conquesta i moją, wydaną m.in. także przez Instytut Literacki w Paryżu, i dokona ogólnego bilansu obu. P. Kruczek poświęcił jednak większą część swego artykułu mojej książce, stosując przy tym metody jakich nie używa się normalnie w publicystyce. W związku z tym proszę o zamieszczenie moich następujących wyjaśnień i sprostowań.

Książka „Terror i rewolucja” była tłumaczeniem I wydania mojej pracy, która ukazała się w r. 1961 pt. „Von Roten Terror zum Sozialistischen Gesetzlichkeit”. Napisałem ją blisko 10 lat temu. W międzyczasie ukazało się drugie wydanie, uzupełnione i poprawione, pt. „Czerwona Inkwizycja” w językach niemieckim i francuskim. P. Kruczek potwierdza, że wie o tym. Gdyby utrzymał swój artykuł na płaszczyźnie obiektywnej, musiałby uwzględnić to ostatnie wydanie i dopiero je porównywać z pracą Conquesta. Okazałoby się wtedy, że nie tylko te pomyłki, które wylicza w swym artykule, zostały usunięte lecz także i wiele innych. Wzrosła bowiem liczba informacji i dokumentów o Związku Sowieckim i jego historii, co umożliwiło mi

wprowadzenie różnych uzupełnień. Ponadto opracowałem w tym czasie na zlecenie dwóch instytutów naukowych, w USA i NRF, dwa studia badawcze na temat roli terroru w Związku Sowieckim. Niektóre z wyników tych badań wprowadziłem do II wydania. W hiszpańskim tłumaczeniu, które wkrótce się ukaże, zamieszczam dalsze uzupełnienia. Szkoda, że p. Kruczek dezinformuje polskiego czytelnika posługując się jedynie I wydaniem, już częściowo zdezaktualizowanym.

W swym artykule p. Kruczek stosuje chwyt, które kategorycznie odrzucam. Stara się więc mnie wykić czy dowcipkować na mój temat, i zamiast rzeczowej krytyki operuje argumentami czy wypadami *ad personam*. P. Kruczek, całkowicie nieznany w polskiej i zagranicznej publicystyce, przypisuje sobie prawo nie tylko wydawania fachowych ocen, ale także klasyfikowania mojej działalności zawodowej. Jako przykład tej jego metody odсыłam do ustępu dotyczącego doborowania tytułów mojej książki, gdzie nazywa mnie „mistrzem w wymyślaniu tytułów”. Tymczasem sprawa jest bardzo prosta i każdemu piszącemu dobrze znana. Mój tytuł roboczy I wydania „Historia terroru w Związku Sowieckim” wydawca uznał za zbyt banalny i zaproponował swój, jako bardziej atrakcyjny. Tytuł polskiego wydania pochodzi od p. Jerzego Giedroycia. W drugim wydaniu i dalszych tłumaczeniach też wydawcy zdecydowali o tytułach.

Zaskoczony jestem zdziwieniem p. Kruczka, że usprawiedliwiam się przed polskim czytelnikiem dlaczego wydałem tę książkę w języku niemieckim. Tymczasem chodzi o coś zupełnie innego. Niepokoilo mnie, że opis zbrodni sowieckich organów bezpieczeństwa może być przez hitlerowskie i neo-hitlerowskie koła niemieckie przyjęty jako pomoc dla ich propagandy. Każdy kto choć trochę zna stosunki w NRF, wie o tym, że te koła czekają ciągle na dowody mające wykazywać że „nie tylko my mordowaliśmy Żydów i Polaków, lecz również i Związek Sowiecki, nie tylko u nas były kacety, bo w ZSSR istniały łagry, a więc metody hitleryzmu nie są czymś znów tak bardzo wyjątkowym”. Napisałem moją książkę dla tych Niemców, którzy są demokratami i prowadzą walkę zarówno przeciw neo-hitlerowcom jak przeciw kołom stalinowsko-ulbrychtowskim. Co to ma wspólnego z „obawą aby nie uznano mnie — broń Boże — za antykomunistę”, jak pisze p. Kruczek, pozostaje dla mnie zagadką. Na marginesie chciałbym tylko zanotować, że identyczny zarzut wysunęło przeciw mnie jedno z ukraińskich pism emigracyjnych, a autorem tej *quasi* denuncjacji był wysoki niegdyś funkcjonariusz hitlerowskiej Abwehry.

Czułem się zawstydzony, czytając te słowa p. Kruczka.

Rezygnuję z obrony przed osobistymi wypadami p. Kruczka pod moim adresem, chociaż nie tylko obrażają mnie, ale i szkodzą mi przez swój charakter zamaskowanego donosu. Chcę tylko sprostować niektóre fałszerstwa.

P. Kruczek twierdzi na str. 130, że oceniam pozytywnie przekazanie niektórych funkcji milicji członkom tzw. drużyn. Powołuje się przy tym na mój opis *sowieckiego umotywowania tych zmian*, a nie na moją ocenę tego umotywowania. A jest ona bardzo jasna: „System sowiecki jest w dalszym ciągu systemem biurokratycznym i dlatego wszystkie akcje, nawet w zasadzie zdrowe i postępowe, przemieniają się w sprawy czysto formalne i biurokratyczne” (str. 225).

Jeszcze jednym przykładem tej metody jest zarzut p. Kruczka, że dałem się „wywieść w pole dekretem o darmozjadach”. Tymczasem już w I wydaniu negatywnie oceniłem wszystkie publiczne wyroki społeczne. Napisałem tam: „Termin, publiczne wyroki społeczne jest innowacją w sowieckiej praktyce sądowej. [...] W rzeczywistości jest to *furka dla samowoli sądów i wydawania wyroków, których niesposób pogodzić z prawem*” (str. 236). Cytuję też krytyki sowieckich autorów i zgadzam się z nimi. W II wyda-

niu uzupełniłem moją prognozę dokładnym opisem tych nadużyć w związku ze sprawą Józefa Brodzkiego i innymi.

Nie chcę zabierać miejsca *Kulturze* na polemiki z p. Kruczkim i prostować oddzielnie każdy jego zarzut przybrany w szaty pseudo-naukowe, ale zdradzający na każdym kroku brak kwalifikacji autora. Proszę tylko tych, co czytali moją książkę, o bezstronną konfrontację zarzutów p. Kruczka z moimi тезami. Szczególnie zwracam uwagę na II wydanie (w językach niemieckim, francuskim i wkrótce hiszpańskim), gdzie podaję wyniki moich ostatnich badań.

Moje studia nad rolą terroru w Związku Sowieckim nie wynikły z dążenia do ogłaszania sensacji, ale z socjologicznych zainteresowań nad poznaniem rozwojowych modeli społeczeństwa sowieckiego. W książce „Komunistyczna Partia Związku Sowieckiego — Portret pewnego zakonu”, która ukazała się w r. 1967 w języku niemieckim, starałem się pokazać jakie skutki dla techniki rządzenia i całego ustroju sowieckiego miał terror. I właśnie ta praca — czysto socjologiczna analiza metod rządzenia w Związku Sowieckim — była uzupełnieniem moich książek o terrorze.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku,

Borys LEWICKIJ



Moje krytyczne uwagi pod adresem książki Borysa Lewickiego dotknęły autora. To naturalne. Któż lubi krytykę? List p. Lewickiego, pełen wymyślań — „fałszerstwo”, „pseudo-naukowość” — i subtelnych aluzji — zbieżność z zarzutami postawionymi przez funkcjonariusza Abwehry — nie zawiera ani jednego argumentu przekreślającego moje uwagi. Nie można bowiem poważnie traktować oświadczenia p. Lewickiego, że ponieważ Adam Kruczek jest „całkowicie nieznaną polskiej i światowej prasie”, to nie ma prawa krytykować „samego” Borysa Lewickiego tłumaczonego na liczne języki i współpracującego z amerykańskimi i zachodnioeuropejskimi instytutami naukowymi.

Tym bardziej że „nieznany Adam Kruczek” znalazł, jak przyznaje sam autor „Terroru i rewolucji”, błędy w jego książce. Prawda, p. Lewickij później je poprawił. To bardzo dobrze. Ale istnieją one w polskim wydaniu, i o nim należy mówić.

Zresztą ważne są nie poprawione omyłki, ale omyłki które pozostały w nowych wydaniach. Omyłki z mego punktu widzenia zasadnicze, omyłki przy których p. Lewickij się upiera.

Pan Lewickij np. nadal twierdzi, że przekazanie niektórych funkcji milicji *drużynnikom* „w zasadzie jest akcją zdrową i postępową”. Pan Lewickij nadal twierdzi, że rozporządzenie o karnym postępowaniu wobec darmozjadów to „nowość w sowieckim postępowaniu sądowym”, która otwiera drzwi do „samowoli”.

O mało nie napisałem „na szczęście” — a należy powiedzieć na nie-szczęście — polscy czytelnicy, to jest czytelnicy mieszkający w Polsce, mają możliwość sami rozwiązać ten „teoretyczny spór”: czy ORMO i niedawno wprowadzony w Polsce dekret o darmozjadach to kroki na drodze ku socjalistycznej praworządności, czy raczej akty terrorystyczne nie mające nic wspólnego z prawem.

Na tym polega istota różnic w naszych ocenach.

Napisałem, że p. Lewickij „obawia się by go nie wzięto za anty-komunistę”; p. Lewickij poczuł się tym dotknięty.

I okazało się że znowu miałem rację, twierdząc że dwuznaczna pozycja

p. Lewickiego przeszkadza mu w jego pracy. Pan Lewickij nie chce być anty-komunistą, ale jasne że nie chce być i komunistą. Jednocześnie bardzo się boi że jego prace mogą być wykorzystane przez neo-hitlerowców. Dziwna logika, charakterystyczna dla wielu zachodnich intelektualistów. Andreja Siniawskiego, jak również wielu przed nim i wielu już po nim, sądy sowieckie oskarżały że „obiektywnie lali wodę na młyny wrogów”.

Właśnie sowieccy agitatorzy i propagandyści wprowadzili — na wzór Pawłowa — automatyczny związek między demaskowaniem stalinowskich zbrodni a pomocą dla hitleryzmu, co przeszkadzało i przeszkadza naświetlić te zbrodnie do końca. Istnienie tego związku w książce p. Lewickiego uważałem, i nadal uważam po jego liście, za główną jej słabość. Pan Lewickij stara się dokonać tego, co nie udało się nigdy żadnej dziewczicy: zarobić na posag i zachować cnotę. Życzę mu z całego serca powodzenia w tej trudnej pracy nie zwalając nawet na to, że posługuje się on metodami polemicznymi których jego własnym zdaniem „normalnie w publicystyce się nie używa”.

Z poważaniem,

Adam KRUCZEK

Sutton, Canada, 20 kwietnia 1969.

Szanowny Panie Redaktorze,

W kwietniowym numerze *Kultury* natrafiłem na bardzo nas fascynujący temat: „Rola Polityczna Emigracji”. Autorem tej rozprawy jest pan Kazimierz Sabbat, który w bardzo ciekawy, ale niewyczerpujący sposób naświetlił to zagadnienie.

W rozważaniach jego uderza czytelnika brak konsekwencji. Skoro pan Sabbat piętnuje bezwzględne metody walki reżymu komunistycznego z emigracją polityczną i wspomina, że między innymi stosowana jest taktyka przemilczania, pozwalająca udawać, iż przeciwnika w ogóle nie ma, to w żadnym wypadku nie może sam naśladować komunistów, posługując się ich bronią w stosunku do swoich przeciwników politycznych na emigracji.

Nie mogę zrozumieć jak może poważny i szanujący się człowiek poruszając nasze tutaj stosunki i wszelkie poczynania w szumnym artykule pt. „Rola Polityczna Emigracji”, pominąć jednocześnie całkowitym milczeniem fakt istnienia na uchodźstwie Prezydenta R.P. Augusta Zaleskiego i rządu przez niego powołanego.

Doprawdy bardzo błado ta polityczna emigracja wyglądałaby, gdyby tak jak to chce uczynić pan Sabbat, zredukować całą działalność polityczną emigracji do roli jaką spełnia Rada Trzech lub Egzekutywa, które nie mają konstytucyjnej ciągłości Państwa Polskiego. Zamykając swe rozważania tylko w ramach porządku przyjętego przez „Zjednoczenie”, a nadając jednocześnie im tytuł „Rola Polityczna Emigracji” pan Sabbat wprowadza w błąd zarówno nieuświadomionych rodaków na emigracji jak i w Kraju.

Pisząc w roku 1967 o roli, jaką odgrywa tutaj emigracja polityczna, do tygodnika *Ameryka Echo*, wspominałem też o Zjednoczeniu, podkreślając, że Polish Danina Ltd. zbiera w Kanadzie o wiele więcej pieniędzy, niż Skarb Nar. R.P. Gdybym pominął fakt istnienia na tym terenie oraz działalności politycznej Zjednoczenia, naraziłbym się na śmieszność.

Poruszając zatem tak ciekawy i aktualny temat, daleko wykraczający poza ciasne ramy Zjednoczenia, pan Sabbat powinien był wykazać więcej rozsądku i dobrej woli. Zjednałoby to mu ludzi, a sprawa polska na tym by bardzo skorzystała.

Łączę wyrazy szacunku,

Zygmunt NOWICKI

Berkeley, 24 maja 1969.

Drogi Panie Redaktorze,

W artykule „W Belgradzie — o krok naprzód” (*Kultura*, maj 1969) p. Bohdan Osadczuk dał w odsyłaczu taką charakterystykę Wasilija Szulgina (ur. 1871): „Czarnosecinny przedrewolucyjny szowinista i czołowy działacz antysemicki wśród Rosjan w Kijowie, dziennikarz, naczelny redaktor antyukraińskiej i antyżydowskiej gazety rosyjskiej prawicy „Kijewlanin”, wychodzącej na Ukrainie”.

Taka charakterystyka wymaga pewnego sprostowania. „Czarnosecińcami” nazywano zwykle członków „Związku narodu rosyjskiego” (*Sojuz russkogo naroda*). Członkowie tego związku rekrutowali się w większości z pół i ćwierć inteligentów i często z mętów społecznych i typów kryminalnych. Szulgin natomiast nigdy do tego związku nie należał, był człowiekiem kulturalnym i wykształconym i był, jak miliony innych Rosjan, po prostu nacjonalistą, uznającym Rosję „jedną i niepodzielną” i — nie lubiącym Żydów. Jednak jako naczelny redaktor „Kijewlanina” stanął w latach 1911-1913 w obronie Bejlisa oskarżonego o „rytualne” morderstwo, i śmiało twierdził, że oskarżanie Żydów o takie przestępstwa jest nonsensem. Jego wystąpienia wywołały niezadowolenie najwyższych sfer w ówczesnej Rosji.

W czasie pierwszej wojny pravicowość Szulgina znacznie osłabła i stał się w Dumie członkiem tzw. Progresywnego Bloku, który był w opozycji do rządu. W tym Bloku Szulgin należał do lewego skrzydła pravicowców. On to razem z Guczkowem wymógł w marcu 1917 abdykację cara.

Po rewolucji losy jego były zmienne. Po „oswobodzeniu” Jugosławii przez wojska sowieckie został aresztowany i wywieziony do Sowietów. Po odsiedzeniu 10 lat w łagrach czy więzieniu zaczął — jako 90-letni starzec — zdzięczniały i terroryzowany — ogłaszać artykuły prosowieckie, co mu się oczywiście nie chwali, ale też nie ma nic wspólnego z jego działalnością przedrewolucyjną.

Łączę serdeczne pozdrowienia.

Michał K. PAWLIKOWSKI



Lidcombe, N.S.W., 25 maja 1969.

Szanowny Panie Redaktorze,

Piszę w odpowiedzi na artykuł Pani Pauliny Preiss pt. „Dialog trwa” w Nrze 3/258 *Kultury*. Artykuł bardzo ciekawy i słuszny, ale z jednym zdaniem nie zgadzam się. Pani Preiss pisze: „W krytyce 'opakowania' posłałbym nawet dalej niż p. Matis. (Chodzi o radio Wolnej Europy — przyp. mój). Wielu słuchaczy, zwłaszcza inteligentów, drażni nieznośnie język, często nie tylko sztuczny, pretensjonalny i skażony błędami, ale grzech największy — anachroniczny”.

Nie przeczę że język krajowy jest żywy, tworzą się tam nowe słowa, tak jak tworzą się nowe przedmioty codziennego użytku np. „długopis”, ale kto czyta po polsku i to rzeczy krajowe, ten zna te wyrażenia.

Nie wierzę stanowczo w to żeby ludzie którzy mają audycje na Kraj w Radio Wolna Europa, nie umieli po polsku, a zwłaszcza żeby ich język był „skażony błędami”. Tam są na pewno inteligentni ludzie, którzy mówią po polsku tak samo dobrze jak ludzie w Kraju. Tylko że ich język nie uległ

takiemu „zordynarnieniu” jak język krajowy, gdzie „cztery litery” występują u przeciętnego inteligenta co chwila. Zauważyłem to wielokrotnie u przybyszów z kraju, którzy uważają że my tu mówimy jak arystokracja — bo nie używamy w potocznej mowie ordynarnych wyrażań. Przepraszam, ale używanie takich słów, to nie jest wzbogacanie języka. Nie jest nim także używanie obcych słów, tak jak to robi Pani Preiss pisząc: „... nieadekwatny podział współczesnego krajowego społeczeństwa”. To słowo „nieadekwatny” drze mnie za moje polskie uszy. Czy to ma być bardziej „uczenie”, niż powiedzieć po prostu „nieodpowiedni”? Bo znaczy to zupełnie to samo. To mi przypomina jak tu mówią nasi prostacy: „Dziś byłem zaczarządzany przez błędną kopę za drajwowanie mojej kary pod influencją likworu”. (*I have been charged by a bloody cop, for driving my car under influence of liquor*).

Tadeusz SARYUSZ-BIELSKI

Paryż, 9 czerwca 1969 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Już obiecywałem sobie solennie, że nie odezwę się, bo to nie ma sensu „gadać do obrazu, gdy obraz ani słowa”... Nie ma sensu dyskusja, w której monologuje p. J. Mieroszewski; nie przytaczając ani jednego listu, ani jednego argumentu strony przeciwnej.

Jednak tuż obok „Kroniki Angielskiej”, w czerwcowym numerze znalazł się list p. Jacka Dywińskiego, który zmusza mnie do zabrania głosu, choćby to był głos wołającego na pustkowiu...

Po prostu chciałbym zapytać Pana Redaktora, czy p. J. Dywiński jest uczciwym człowiekiem i odpowiedzialnym za swoje słowa? — O ile tak, proszę go o udowodnienie następujących twierdzeń:

1) że w wydawanym we Francji *Głosie Katolickim* pozwoliłem sobie na jakieś „a-polityczne” wystąpienia, za które na pewno dostanę wizę wjazdową do Polski;

2) że wyciągnąłem wniosek ze słów Ewangelii „nie można dwom panom służyć” i dlatego potępiłem p. Mieroszewskiego i wybrałem Gomulkę; że odrzuciłem polski Londyn i wybrałem reżymową Warszawę.

Wraz z wieloma polskimi Duszpasterzami emigracyjnymi mógłbym postawić dalsze pytania: jakich to walorów ludzkich nie respektujemy, od jakich ugrupowań politycznych stronimy, który z nas odmówił odprowadzenia nabożeństwa za ofiary Katynia lub Jana Palacha i kto brał udział w przyjęciu w ambasadzie PRL?!... Bo obrażać, obrażać oszczerstwami, to potrafi każdy człowiek niepoczytalny, ale proszę o dowody!

O ile Pańska *Kultura* nie wzoruje się na tradycjach reżymowych (jak dotąd, mam co do tego poważne wątpliwości) ujrzą ten list w druku i o ile p. Jacek Dywiński nie jest pospolitym krzykaczem i oszczercą — udowodni swoje twierdzenia.

Z szacunkiem,

o. Edward SZYMECZKO OMI
Seminaire des Carmes
21, rue d'Assas, 75 - Paris.

Szanowny Panie Redaktorze,

Roxboro, 2 czerwca 1969.

Dot.: Notka p. M. Lurczyńskiego
Mój list z 4 kwietnia 1969.

W komentarzu redakcji do listu p. Twierdochlebowa znajduję następujące zdanie:

„Listy o PODOBNEJ TREŚCI... nadesłali pp. Janusz Znamierowski,...”

Bardzo energicznie protestuję przeciw sugerowaniu czytelnikom *Kultury* iż list mój był podobny w treści do listu p. W. Twierdochlebowa.

Jak Panowie wiedzą z treści mego krótkiego listu z 4 kwietnia 1969 ograniczyłem się *jedynie* do protestu przeciw zajmowaniu miejsca w *Kulturze* artykułami na poziomie prasy bulwarowej a więc nie nadającymi się do poważnej polemiki, moim zdaniem.

Uprzejmie proszę o umieszczenie niniejszego sprostowania.

Łączę wyrazy poważania,

Janusz B. ZNAMIEROWSKI



New York, 17 czerwca 1969.

Szanowny Panie Redaktorze,

W czerwcowym numerze *Kultury* ukazał się artykuł niejakiego pana Człowiekowskiego który, m.in., „omawia” mój esej o „Ameryce w wieku technetronicznym”.

Niestety, muszę stwierdzić, mówiąc ogólnie, że omówienie pana C. odbiega dość daleko od istotnej treści mego szkicu. Pozwolę sobie zacytować parę przykładów, gdyż nie chciałbym by czytelnicy *Kultury* wzięli poważnie streszczenie zawarte w powyższym artykule pana C.

Przykład 1: pan C. sugeruje, że ja dowodzę, że „nowy wiek technetroniczny utrwali hegemonię Ameryki w świecie”. W istocie o żadnej „hegemonii” nie ma ani słowa, a nawet wręcz przeciwnie gdyż w mojej pracy dowodzę że „ani siła wojskowa ani zasoby materialne, w jakie obfituje Ameryka, nie mogą być bezpośrednio przydatne w obliczu narastających różnic w sposobie myślenia, normach postępowania, i charakterze człowieka”. Wspominam natomiast, że w dziedzinie nauk ścisłych Ameryka będzie przodować prawdopodobnie w nadchodzącej erze; ocenę tę podziela m.in. poważna praca na ten temat przygotowana przez OECD.

Przykład 2: pan C. stwierdza „nic nie zdaje się zaciemniać tej promiennej wizji Trzeciego Millenium”. Parę zdań z mego eseju chyba wystarczy: „Dzisiejsze społeczeństwo amerykańskie jest pełne niepokoju, a nawet udręki... W skrajnym nasileniu może to przynieść Ameryce okres gwałtownych i destrukcyjnych wewnętrznych rozłamów, nietolerancji zarówno ideologicznej, jak i rasowej”. Itp., itp. gdyż omawiam to szerzej.

Pan C. kończy swe uwagi odkrywczą myślą o konieczności zastanowienia się nad problematyką koegzystencji osobowości ludzkiej z naukami ścisłymi. Jest to — w tym wypadku — dość ściśle streszczenie części mego eseju.

Z poważaniem,

Zbigniew BRZEZIŃSKI



Barbara Wereszczyńska, Berlin, oskarża *Kulturę* o „opluwanie Polski” a Żydów o kampanię antypolską.

Maria Zwolińska, Kanada, polemizuje z Jamesem Kavanaugh w związku z opublikowanymi w *Kulturze* fragmentami jego książki.

Bohdan Szarlak, Monachium, określa recenzję p. Lichteny z książki płk. Iranka-Osmeckiego pt. „Kto ratuje jedno życie...” — jako „obrachunek, w którym po stronie winien obciążone jest konto Polaków”.

Halina Wasiutyńska, New York, deklaruje swą wierność i solidarność z polityką Kościoła w kraju, potępiając stanowisko *Kultury*.

P. Wójcik z Chicago oskarża *Kulturę*, że „dzielnie pomaga szkalować tak zwane tutaj 'dobre imię Polaków' drukując reportaże pp. Lurczyńskiego, Grabowskiej i in.”.

REDAKCJA

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: 01-994-1860.



Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.



Kanadyjski korespondent „Kultury”: Wacław IWANIUK
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. — Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 3^e Trimestre 1969.

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolikowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25.	5,00 F	28,00 F	54,00 F
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	\$ A 1,00	\$ A 5,35	\$ A 10,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14		145 szyl. a.	280 szyl. a
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Caaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300,00 F. b.	560.00 F. b
BRAZYLIA : Jerzy Pomian-Piatkowski, rua Guirara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, tel.: 40-73, Postgiro 1379176.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h
KANADA : M. Jaxa-Dabieka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto, Ont.; Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. : 482-4673; B. Krasuski, 857 King St. W., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel : 586-3825; Jozef Polkowski, 110 Cobourgh Str., apt. 301, Ottawa 2, Tel.: 233-7212; « ZWIAZKOWIEC », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel. : LE 1-2491.	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. Mikieluk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss. ..	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, 1211 Geneve 7. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping C*, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 N* Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Av., Hollywood, Cal. 90028; M. K. Dziewanowski, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, tel. LA-1-2305; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, tel. MU 8-0346, Polish Amer. Book C* 1136 Milwaukee Av., Chicago Ill. 60622; E. Poeyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Ave. Jamesburg, N. J. 08831. R. J. Sas-Babczynski, 9530 East Rosecrans Ave, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington, Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48210, Tel. : 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol.	12 00 dol.
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications, Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.	5,00 F	28,00 F	54,00 F
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-67-241	700 L	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty portu 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

**INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56**

Nowość

TOM 173 — BIBLIOTEKI « KULTURY »
JÓZEF MACKIEWICZ

NIE TRZEBA GŁOŚNO MÓWIĆ

P o w i e ś ć

Wielki fresk przedstawiający rzeczywistość Ziem Północnych R.P.
w czasie ostatniej wojny

Str. 560.

Cena F. 35 (dol. 8,00)

Nowości wydawnicze

W NIEDŁUGIM CZASIE UKAZĄ SIĘ
W BIBLIOTECE « KULTURY » :

ANDRZEJ BUSZA

ZNAKI WODNE

P o e z j e



GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

UPIORY REWOLUCJI

E s e j e



CZESŁAW MIŁOSZ

MIASTO BEZ IMIENIA

P o e z j e



CZESŁAW MIŁOSZ

WIDZENIA NAD ZATOKĄ SAN FRANCISCO

Cena 7,50 F